


ALFRED SIATECKI

ZAPROSZENIE
NA ŚMIERĆ



OFICYNKA
WYDAWNICTWO



ALFRED SIATECKI

ZAPROSZENIE
NA ŚMIERĆ



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

*Zabójcy to na ogół ludzie bez wyobraźni; zabijają
w afekcie lub z premedytacją i nie myślą o tym,
że najtrudniejsze jeszcze przed nimi: jak żyć
później, jak uporać się z wyrzutami sumienia,
jak pozbyć się wspomnień, snów czy chociażby
jak umknąć sprawiedliwości.*

Janusz Majewski, *Czarny mercedes*

A black and white photograph of a tunnel entrance. Two bright, circular lights are positioned at the top of the frame, casting a strong glow. The tunnel walls are visible on either side, and the floor appears to be paved. The word "PROLOG" is overlaid in the center of the image in a bold, black, sans-serif font.

PROLOG

JODŁÓW, OS. OLSZOWE PIĄTEK WIECZOREM

– Nie wiedziałam, że i po naszym letnisku kobiety chodzą w mundurach. Je-je-jej! A jakąż to gorąca sprawa sprowadza panie w piątek przed wieczorem? Oj, coś straszego musiało się chyba stać w Jodłowie, że panie o tej porze! – zawołała zdumiona żona profesora Witkowskiego, podchodząc do ogrodzenia, za którym zatrzymał się ciemnozielony nissan ze znakiem straży leśnej.

Wysiadając z niego, kobieta tak mocno i zdecydowanie popchnęła drzwi samochodu, że walnęła nimi w słupek, do którego była przymocowana siatka, ale nawet nie przyjrzała się wgnieceniu. Była w zielonej koszuli z krótkimi rękawami, kamizelce, spod której wystawała kabura pistoletu, i w dżinsowych spodniach nieco poza kolana. Na głowie miała połówkę moro, nad dużym daszkiem oznaczoną godłem leśników. Witkowska dałaby jej nie więcej niż trzydzieści lat. Druga, w drucianych okularach, szczuplejsza, która była kierowcą, miała na sobie identyczne ubranie, wyglądała na troszkę młodszą i mniej pewną siebie.

Co roku od pierwszych dni maja do końca września Celina Witkowska jest mieszkanką Jodłowa, toteż dobrze pamięta twarz listonoszki, policjanta, obu śmieciarzy, brodacza raz w miesiącu spisującego stan licznika poboru prądu. W sklepie przyglądała się mundurowi zastępcy nadleśniczego ze Sławy, ale nigdy nie spotkała strażniczek leśnych.

W jakim celu ktoś taki miałby przyjeżdżać, skoro z centrum letniska do skraju lasu trzeba iść co najmniej kwadrans? Zresztą po co ktoś miałby kraść drewno, jeśli w październiku Jodłów się wyludnia i tak jest do pierwszych dni maja? Wtedy nie tylko drzwi restauracji nad Jeziorem Tarnowskim Dużym i sklepiku są zamknięte, a niedzielny kościółek pustoszeje. Po letnisku zamożniejszych zielonogórców, wrocławian, głogowian, nowosolan gwar roznosi się jedynie latem. Nieliczni niemieccy emeryci również wyjeżdżają przed zimą. Tak samo jest w Tarnowie Jeziernym, Radzynie, Lubiatowie, Józefowie. Jedynie w Sławie nawet w połowie lutego można spotkać obcych, szwendających się po przyjeziornym parku.

– Do pani należy posiadłość? – zapytała grubym głosem ta, która pierwsza wysiadła z nissana, rzuciwszy papierosa na drogę.

Celina Witkowska mogła potwierdzić, tym bardziej że nie tylko gotuje, pierze, sprząta w domu, lecz także raz w tygodniu kosi trawę na podwórku, co dwa dni podlewa georginie i kanny, wrywa chwasty z warzywnika, zbiera porzeczki z krzaków wzdłuż płotu, z których smaży powidła albo wyciska sok, jakiego nie ma w żadnym supermarkecie.

– Przepraszam, wzięłam pana za kobietę. Mundur, szaro, to i o pomyłkę nietrudno – zaczęła się tłumaczyć Witkowska speszona.

– Jestem kobietą. – Wyprężyła się. – Czy do pani należy ta posiadłość?

– Dlaczego to panią interesuje? – postawiła się Witkowska. Dałaby głowę sobie

uciąć, że to jednak mężczyzna.

– Będziemy rozmawiać wyłącznie z właścicielem – rzuciła okularnica takim tonem, że Witkowska natychmiast skarłała, odwróciła się i poszła za studnię, gdzie jej mąż razem z gośćmi piekli kiełbaski na ogniu.

Dwie minuty później Witkowski był przy furtce, przedstawił się, identycznie jak żona spytał, skąd to zainteresowanie i dlaczego przedstawiciele straży leśnej przyjechali tak późno.

– Pan profesor jest notarialnym właścicielem posiadłości? – odezwała się okularnica, jakby sprawdzała, czy ma przed sobą właściwą osobę.

– Pani mnie zna? – spytał. Miał na końcu języka jeszcze jedno pytanie, ale uprzytomnił sobie, że skoro dziś kobiety pracują w służbach wojskowych i policyjnych, to równie dobrze mogą i w straży leśnej.

Okularnica zorientowała się, że niepotrzebnie nazwała Witkowskiego profesorem, ale wymknęło się jej.

– Wszyscy wiedzą, kim pan jest na uniwersytecie i jakie ma zasługi dla polskiej ortopedii – przysła jej z pomocą ta tęższa, którą Witkowska wzięła za mężczyznę.

Profesor najpierw zaniemógł, bo i jemu wydawało się, że druga osoba jest mężczyzną. Po namyśle zadowolony wyprostował plecy i kiwnął głową. Jeszcze niewiele wypił, ale już czuł, że krew mu szybciej pulsuje.

– Chyba nie będziemy rozmawiali przez płot? Proszę wpuścić nas za ogrodzenie.

– Co jest powodem tego życzenia?

– Ktoś zadzwonił do dyżurnego w nadleśnictwie, że u pana na podwórku pali się ognisko.

– Świątujemy urodziny. Moje urodziny. Przyszli współpracownicy z życzeniami. Mam zamiar przyjemnie spędzić czas w gronie bliskich mi osób. Właśnie zaczęliśmy piec kiełbaski. Może panie także...

– Czy pan, profesorze Witkowski, na pewno zdaje sobie sprawę z tego, że palenie ognia w miejscu do tego nieprzeznaczonym, w porze letniej, kiedy występuje największe zagrożenie pożarowe, w dodatku w miejscowości o charakterze wyraźnie letniskowym jest działaniem sprzecznym z prawem i wbrew zdrowemu rozsądkowi?

– Pierwszy raz coś takiego słyszę, a domek w Jodłowie mam od sześciu lat. Co roku czternastego sierpnia przychodzą tu moi współpracownicy na urodzinowe kiełbaski – przyznał się profesor, zaskoczony tym, co usłyszał. Ale zaraz przypomniał sobie, że przecież w każdy weekend wędkarze aż do białego rana palą ogniska na cyplu jeziornym.

– Tamta część podlega nadzorowi straży rybackiej, my zaś reprezentujemy służbę leśną – odpowiedziała tęższa kobieta, wskazując palcem plakietkę na rękawie koszuli.
– Jesteśmy zmuszone ukarać pana mandatem.

– Nie wiedziałem, że jest zakaz palenia ogniska w Jodłowie. Jeśli...

– Musimy wejść z koleżanką na teren posiadłości i spisać dane personalne wszystkich uczestników zgromadzenia – odezwała się okularnica, nie pozwalając profesorowi dokończyć zdania.

– Jeśli ktoś powinien ponieść konsekwencje, to tylko ja. Proszę mnie ukarać. Tamci państwo – pokazał za siebie – są moimi gośćmi. Nie chciałbym, żeby spotkała ich nawet najmniejsza przykrość.

– Siedzą przy ognisku? Siedzą. Opiekają kielbaski? Opiekają. Czyli również łamią przepisy określone w ustawie o lasach – stwierdziła ta teższa i nie pytając o zgodę, ruszyła w stronę gości profesora. Tam powtórzyła to, co powiedziała Witkowskiemu, a gdy doktor Nowakowski podniesionym głosem oznajmił, że jest adwokatem i wykładowcą uniwersyteckim na wydziale prawa, wszystkie ustawy ma więc w małym palcu, ale nie przypomina sobie, żeby ktokolwiek wydał takie przepisy, rzuciła: – A ja z koleżanką jesteśmy na służbie w straży leśnej i wiemy, za co Lasy Państwowe wypłacają nam pensje. Przepisy nie są po to, żeby je lekceważyć.

– Będą państwo uprzejmi pokazać legitymacje służbowe lub inne wiarygodne upoważnienia do przeprowadzenia kontroli o tej porze dnia, to znaczy po zapadnięciu zmroku – nie ustępował Nowakowski, zwłaszcza że wypite dwa kieliszki wyborowej dodały mu odwagi.

– Czy to panu nie wystarczy? – zapytała okularnica, wskazując palcem najpierw na znak służby leśnej nad daszkiem czapki, potem naszywki na kamizelce i rękawie koszuli.

– Pan doktor Nowakowski... Oczywiście nie mamy żadnych wątpliwości, że taki przepis obowiązuje – sumitował się profesor. – Niewątpliwie...

– Ognia nie wolno rozpalać w odległości mniejszej niż sto metrów od lasu – nie ustępował Nowakowski. – Stąd do pierwszych drzew będzie pół kilometra, a może i więcej.

– Pan i pozostali uczestnicy zgromadzenia będą uprzejmi okazać dowody osobiste. Koleżanka starszy strażnik – okularnica pokazała na tę teższą, ustawivszy się bokiem tak, żeby wszyscy dostrzegli kaburę pistoletu – je zbierze, a ja spiszę dane. – Na wyjaśnienia za późno, tym bardziej że jesteście państwo po spożyciu alkoholu.

– Koleżanka... starszy strażnik? – Nie krył zaskoczenia Nowakowski. – Ja żem myślał, że to facet. Głos wyraźnie męski, twarz też jakby...

– Ja też – przyznał się Witkowski.

Profesorowa chciała powiedzieć, że spotkanie zaczęło się niedawno, jedni wypili po dwa kieliszki wódki, drudzy sączą wino, a doktor Letzki pije jedynie sok porzeczkowy, ale zabrakło jej odwagi.

Okularnica zaczęła spisywać dane podyktowane jej przez drugą strażniczkę.

– Witkowski Bolesław, zamieszkały w Zielonejgórze przy ulicy Czesława Niemena. Czy to tam, gdzie miała być druga palmiarnia? – Profesor się zawstydził, bo na opinii o nieprzydatności zardzewiałego szkieletu do podtrzymywania konstrukcji budowli, którą nie wiadomo dlaczego dał mu do podpisu doktor Letzki, również widniało jego nazwisko, ale przytaknął. – Musi się panu nieźle powodzić, skoro stać pana na apartament w takim miejscu. I jeszcze na domek letniskowy w Jodłowie na pewno nieźle urządzony – dodała tonem cokolwiek ironicznym. Tak się wydawało profesorowej. – Nowakowski Waclaw. – Krytycznie zmierzyła prawnika. – Osiedle

Kamieni Szlachetnych w Zielonejgórze. – Pan mecenas sam? Bez żony?

– Pani Alicja nie najlepiej się czuje, dlatego postanowiła zostać w domku – wyjaśniła Witkowska, pokazując na światło w oknie.

– Kulschmann Adam i Kulschmann Vanessa. – Tęższa kobieta najpierw przypatrywała się zdjęciom, potem długo sąsiadce prawnika. – Niemcy, Guben, Alte Poststrasse. Państwo musicie wyjątkowo cenić jubilata, skoro przyjechaliście aż z zagranicy – bardziej stwierdziła niż spytała, jakby chciała przekonać profesora i jego gości, że nawet i o tym wie. – Aleksander Stonoga – podniosła oczy na mężczyznę z zadbaną brodą – właściciel sławnej firmy produkującej implanty kręgosłupowe, rywal... – zaczęła i skarcona wzrokiem koleżanki, dyktowała dalej: – Medina Stabrowska-Stonoga. Żona? Co się pytam? Jeśli takie samo nazwisko, to musi być poślubiona doktorowi. Zielonagóra, osiedle Malarzy siedemnaście. Rogala Marian. Również osiedle Malarzy. Dziewiętnaście. Sasza Kubiszał. Też osiedle Malarzy dziewiętnaście. Panowie mieszkają razem? Pod jednym dachem? Aha, coś w rodzaju związku partnerskiego. Rząd uchwalił... Nareszcie takie osoby nie muszą się ukrywać – uśmiechnęła się okularnica do drugiej strażniczki, jakby to, co powiedziała, było i dla nich bardzo ważne. – I Letzki Bogusław, Zielonagóra, ulica Władysława czwartego. Singiel. Pana jeszcze nie stać na pałacyk z miedzianym dachem i fotokomórkami z firmy profesora Kurzawy.

– Bogusław? – zdziwił się Nowakowski. – Tyle się znamy, a nie wiedziałem, że jesteś Bogusławem.

– Jaki Bogusław? Przecież Bogdan – powiedziała Witkowska. – Bogusław nie pasuje.

– Mama uzgodniła z ojcem, że będę Bogdanem Adrianem. Drugie imię właśnie po ojcu. Ale w urzędzie stanu cywilnego coś się mu pokićkało – wyjaśnił Letzki, nic sobie nie robiąc z uwagi przyjaciół.

– Jung Daniel i Kwiatkowska-Jung Maria, Zielonagóra, osiedle Słoneczne – kontynuowała strażniczka bez zainteresowania. – Pan Remigiusz Carewicz, Witaszków osiem A.

– Ksiądz doktor habilitowany Remigiusz jest proboszczem – pośpieszył z wyjaśnieniem Witkowski. – Wykłada teologię pastoralną w seminarium i filozofię religii na uniwersytecie, gdzie ma godność profesora. Jest cioteczным bratem naszej pani poseł.

– Gdzie leży Witaszków?

– Tycia wioska między Lubskiem i Gubinem.

– Musiał ksiądz mocno podpaść swojemu biskupowi, skoro profesora doktora habilitowanego, w dodatku brata ciotecznego posłanki, wysłał na wieś zabitą dechami.

Daniel Jung, który lepiej znał księdza, wiedział, że duchowny zadarł nie z biskupem, lecz z sekretarzem regionalnej Partii Demokratycznych Obywateli, a właściwie z jego siostrzeńcem, który przyszedł na egzamin z filozofii prosto z dyskoteki, w dżinsach i rozciągniętym swetrze, przed czym wykładowca przestrzegwał. W przeciwieństwie do świeckich profesorów ksiądz był przykładem

trochę staroświeckiego nauczyciela i wychowawcy.

– Razem dwanaście dobrze wykształconych osób i wyjątkowo nieodpowiedzialnych. Nawet świętowanie urodzin profesora Witkowskiego nie może być uznane za okoliczność łagodzącą.

– I będzie dwanaście mandacików – dopowiedziała druga. – Najpóźniej do końca przyszłego tygodnia poczta dostarczy je pod adresy wypisane z dowodów osobistych. Trzeba będzie pokwitować odbiór.

– Na stałe jesteśmy zameldowani w Zielonejgórze, ale latem rzadko bywamy w swoich mieszkaniach. Prawie wszyscy mamy domki letniskowe i dlatego o tej porze roku większość czasu spędzamy tu, w Jodłowie – wyjaśnił Witkowski.

– Dobrze, osobom przebywającym w Jodłowie osobiście przywieziemy mandaty. Ewentualnie ktoś z nadleśnictwa dostarczy decyzję w ciągu dwóch tygodni – oznajmiła okularnica, kątem oka przypatrując się Jungowi. Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie go spotkała i dlaczego jego nazwisko zapadło jej w pamięć. – Pieniądze trzeba będzie wpłacić na wskazane konto urzędu wojewódzkiego.

Danielowi się wydawało, że jej koleżanka mrugnęła do Vanessy Kulschmann albo do Mediny Stonogi, bo siedziały obok siebie. Może którąś z nich znała?

– Decyzję pań zaskarżę do sądu! – zawołał Nowakowski. I mniej pewnym głosem dodał, że to samo powinni zrobić pozostali goście profesora.

Żebyś wiedział, prowincjonalny mecenasie, o co tu chodzi, nabrałbyś wody w usta, pomyślała okularnica.



CZĘŚĆ 1

**WOKÓŁ JEZIORA
TARNOWSKIEGO
DUŻEGO**

ZIELONAGÓRA, OS. SŁONECZNE SOBOTA PO POŁUDNIU

Latem od poniedziałku do piątku Daniel Jung nawet kilka razy na dzień zaglądał do internetu i sprawdzał, jaką pogodę meteorolodzy zapowiadają na sobotnie przedpołudnie. W pozostałe dni mogło wiać i lać, ale nie w sobotę, gdy Miśka nie szła do kliniki, a on, uwolniony od obowiązków domowych, zaraz po wspólnym śniadaniu wsiadał do ibizy i wyjeżdżał na lotnisko Przylepa, gdzie wyprowadzał motolotnię z hangaru. Dwie godziny albo i dłużej latał nad podmiejskimi łąkami i lasami, to wzbijając się wysoko, to zniżając lot maszyny, aby z góry podpatrywać tych, którzy wylegiwali się nad jeziorem w Dąbiu. Przy słonecznej pogodzie lądował w pobliżu dystrybutora paliwa, napełniał bak motolotni benzyną i jeszcze co najmniej przez godzinę w myślach wychwalał kolegę, który namówił go do latania. Gdyby ktoś mu kazał zrezygnować z pracy w redakcji „Gazety Zielonogórskiej” albo z latania, wybrałby to pierwsze. Tych pieniędzy, które dostawałby jako emeryt policyjny, wystarczałoby na chleb z pasztetówką i dwuprocentowe mleko, a on nie należał do wymagających smakoszy. Już się zastanawiał, jak się zachowa, gdy jesienią stanie przed komisją i ze względu na wiek lekarze złożą wnioszek o nieprzedłużenie licencji motolotniarza. Jacek Syski, którego w zeszłą sobotę zabrał do motolotni i po wszystkim zaprosił do kawiarni przy lotnisku, odpowiedział mu w żartach, że jeśli nie dostanie licencji, powinien się zapisać do sekcji modelarskiej lub do kółka miłośników astronomii.

Niedoczekanie.

Po trzech godzinach latania i przygotowywania motolotni do kolejnej wyprawy nad okoliczne łąki, pola i lasy Jung wrócił na osiedle, gdzie jeszcze jako podkomisarz w pionie kryminalnym dostał trzypokojowe mieszkanie na dziewiątym piętrze. Gdy dzieci były małe, marzył o kupieniu czegoś większego, żeby każde miało swój pokój, ale wtedy Miśka była tylko asystentką profesora Kałużnego z głodową pensyjką, a on zarabiał tyle, że ledwie starczało na podstawowe wydatki. Teraz gdy może i stać go nawet na domek w zabudowie szeregowej na obrzeżach miasta, nie ma ochoty emigrować z osiedla, do którego się przyzwyczaił i skąd wszędzie miał blisko. A najbliżej na lotnisko.

Najpierw wetknął klucz do górnego zamka w drzwiach swojego mieszkania i nacisnął klamkę. Zamknięte? Pomyślał, że Miśka wyszła do sklepu po coś, czego zabrakło w kuchni, włożył więc drugi klucz do środkowego zamka i go przekręcił. Gdy otworzył drzwi, zrobił krok i zatrzymał się osłupiały.

– Prawdziwy wałek? – zapytał, pokazując oczyma na to, co żona trzymała w prawej ręce, i się roześmiał. – Na mnie? Za co? Przecież wiedziałaś, że będę na lotnisku, a nie z kolegami na wódcę.

Miśka również się roześmiała, bo jeśli nawet Daniel wracał późno z jakiegoś spotkania i zachowywał się za głośno, nigdy nie czekała na niego w przedpokoju

z wątkiem.

– Zaraz po tym, gdy wyszedłeś z mieszkania, umyłam naczynia i zajęłam się swoją robotą w kuchni. Dawno nie pichciłam gołąbków po naszymu, chciałam więc zrobić ci przyjemność. Zaczęłam parzyć kapustę, gdy usłyszałam chrobotanie w zamku. Pomyślałam, że wróciłeś, bo znowu o czymś zapomniałeś. Ale dlaczego grzebiez kluczem w środkowym zamku, skoro wiesz, że gdy jestem w domu, nigdy go nie zamykam? Wyglądało tak, jakbyś był po dużej wódce i nie mógł trafić kluczem w dziurkę. Ponieważ trwało to z minutę, może dłużej, przekreśliłam górny zamek i chwyciłam za klamkę przygotowana na to, że powiem ci coś do słuchu. Za drzwiami były dwie kobiety, jedna przykucnęła z jakimś szpikulcem w rękę, druga stała za jej plecami z latarką. Nagle struchlała krzyknęłam: „Co panie tu robią?!”. A one w nogi.

– Złodziejki w biały dzień?

– Za krótko je widziałam, ale dałabym głowę, że gdzieś je spotkałam. Jedna była wyższa i tęższa, o męskim wyglądzie, druga w drucianych okularach i raczej szczupła. Można powiedzieć, że filigranowa. Tak na oko miały nie więcej niż po dwadzieścia kilka lat. W każdym razie przed trzydziestką.

– Pewnie osiedlowe włamywaczki. Teraz pełno takich. Czekają, aż wyjadę. Nie mamy telefonu stacjonarnego, nie mogły więc sprawdzić, czy jeszcze jestem, a numeru mojej komórki nie znają. W dodatku domofon nawalił. Były pewne, że nikogo nie ma w domu – dedukował Jung. – Gdyby włamały się do mieszkania, to co by wyniosły? Co można wynieść z naszego mieszkania? Fotele i kredens za ciężkie. Łóżko nie zmieści się w drzwiach, trzeba je rozmontować, co jest czasochłonne. Najwyżej telewizor, stary odtwarzacz, mój laptop, kasetkę z twoją biżuterią, futro. Książki?... Pieniądze trzymamy na koncie w banku.

– A nie pomyślałeś, że mogło im chodzić o twoje notatki? I że wcale to nie były włamywaczki?

– U mnie wakacyjna posucha. Wszystko, co ostatnio było interesujące, sumiennie opisałem. Nawet Jacek się śmiał, że jak tak dalej pójdzie, to komendant zlikwiduje jego wydział kryminalny, a mnie szefowa wyśle na grzybki.

ZIELONAGÓRA, UL. KAZIMIERZA WIELKIEGO PONIEDZIAŁEK Z RANA

– Jeśli jeszcze raz w tajemnicy przede mną wsiądziesz do nissana, to po powrocie pamiętaj o uzupełnieniu paliwa w baku, żebym nie poznał, ile żeś jeździł. I dobrze byłoby, kurwa, gdybyś zawsze po takiej przejażdżce przynajmniej szyby wytarł z kurzu – wytknął komendant posterunku strażnikowi. – Areczku, ale i tak mnie nie oszukasz.

– A dokąd niby miałem jeździć po służbie?

– Nie patrzę ci na ręce, bo mnie nie obchodzą twoje prywatne sprawy.

– Jedynie wtedy, kiedy bierzesz urlop, siadam za kierownicą naszego nissana. Albo jak za mocno popijesz – przypomniał strażnik Woźniakowi. – A w piątek prosto

z nadleśnictwa podryndałem do domciu. W sobotę i niedzielę byłem z żoną u teściów. Zadzwoń i sprawdź.

– W takim razie, Areczku, kto jeździł nissanem? Od piątku do wczorajszego ranka byłem za granicą. Wozilem gołębie do Épernay na długi lot. Może myślisz, że się wybrałem na wycieczkę po pijaku i dlatego nie pamiętam, co robiłem? Albo może pan nadleśniczy pojechał na dziwki?

– Jak babcię kocham, byłem z żoną u teściów, kurtka na pasach. – Zaciśniętą pięścią Arek uderzył się w piersi aż zadudniło.

– Udajesz twardziela, a nie masz odwagi przyznać się do wyskoku służbowym autem. Ja za ciebie nie będę świecić oczami przed nadleśniczym.

– Sześć lat razem pracujemy i dopiero teraz mi nie wierzysz? Czy kiedykolwiek cię oszwabiłem? Może podłożyłem ci świnie albo poleciałem do starego z jęczorem, jak siatkę, co miała być na ogrodzenie szkółki, wzięłaś sobie? Czym ogrodziłeś gołębnik? No, czym?

Komendant machnął ręką, żeby Banda nigdy więcej tego mu nie przypominał. Zresztą czy tylko Woźniak czeka na takie okazje? Gdyby wszyscy gajowi byli święci, jeździliby sfatygowanymi fiacikami. Leśniczy z Moczydła z kalendarzem w ręku każde lato wita w coraz nowszym opłu. Córce, która tylko Bóg wie dlaczego studiuje astronomię, kupił sportową kije. Za leśną pensyjke to?

– W piątek zatankowałem do pełna, żeby w razie czego, na przykład pożaru, nadleśniczy nie miał do nas pretensji – przypomniał i umilkł, czekając, kiedy Arek kiwnie głową. – Spisałem stan licznika, jak to robię na koniec każdego tygodnia. A dziś rano patrzę: przybyło sto dwadzieścia osiem kilometrów.

– Może pomyliłeś się w odczycie? Albo źle zapisałeś? – bronił się Banda.

– Ty mi lepiej wyjaśnij, jak dostałeś się do garażu, skoro ja mam oba klucze? Dorobiłeś je sobie, co? – dociekał komendant. Kilka dni po tym, jak Banda został strażnikiem leśnym, komendant zaczął go podejrzewać o robienie machlojek z właścicielami domów ogrzewanych drewnem brzoźowym, ale niczego nie mógł mu dowiedzieć, a teraz zdobył dowód potwierdzający nieuczciwość podwładnego. Jeszcze dziś Woźniak napisze wniosek do nadleśniczego o przesunięcie Bandy do innego działu. A jeśli inżynier spyta, dlaczego chce się go pozbyć, niczego nie będzie ukrywał. Ale jeśli powiem prawdę, wyjdzie z tego sprawa prokuratorska, pomyślał Woźniak. Szkoda chłopca. I mnie zaczną ciągnąć na przesłuchania, a przecież nie mam czystych rąk. – Jeżeli jeszcze raz zdarzy się coś podobnego, wylecisz ze służby. W straży leśnej nie ma miejsca dla takich, kurwa, co za dużo kombinują – ostrzegł Bandę, nie patrząc mu w oczy. Dopiero teraz zauważył wgniecenie na prawych drzwiach nissana. Tego nie da się ukryć przed nadleśniczym.

ZIELONAGÓRA, UL. PROF. ZYGMUNTA SZAFRANA PONIEDZIAŁEK PRZED POŁUDNIEM

Bolesławowi Witkowskiemu wyleciały z pamięci niektóre zdania z opinii

o przyczynach korodowania implantów kręgosłupowych firmy Kulsch Medizintechnik, które jako biegły zbadał na zamówienie sądu. Dziadzieję, pomyślał profesor, wpatrując się w plamy wątrobowe rozsiane na wierzchu lewej dłoni. Bał się starości na wózku, z chorobą alzheimera, w domu opieki. Niepotrzebny. Ale nie poddam się tak szybko, zapewniał siebie i współpracowników.

– Zaczyna się najlepszy dla nas czas, prawda, pani Kulschmann? – powiedział do fotografii Vanessy, na której Niemka była z mężem. I zanucił: – „Nie ma takich, jak my dwoje”.

Gdyby Witkowski pamiętał, pod czym się podpisał, jeszcze dziś mógłby poinformować profesora Zarzyckiego, że ma gotowy referat i na pewno przyjedzie do Zakopanego na sympozjum ortopedyczne. Prosi tylko o to, żeby tłumacz wcześniej się z nim skontaktował, ponieważ nadał nowe polskie brzmienie niektórym nazwom niemieckim. W ostateczności w roli tłumacza może wystąpić Bogusław Letzki, ale trzeba mu za to zapłacić. Jako adiunkt w zakładzie inżynierii biomedycznej, doktor zarabia niewiele. Na razie. W niedalekiej przyszłości, jeśli dalej będzie pokornie robił to, co mu Witkowski każe, zostanie doktorem habilitowanym, potem zastępcą kierownika zakładu i biegłym z ministerialnej listy do spraw implantów ortopedycznych. Letzki nie jest najzdolniejszym współpracownikiem profesora, ale na pewno najbardziej uległym i przede wszystkim zaufanym. Nawet gdy zimą adiunkt bez pukania wszedł do gabinetu Witkowskiego i zastał go z sekretarką w sytuacji niebudzącej wątpliwości, co robi podstarzały mężczyzna z młodą, atrakcyjną mężatką na służbowej leżance, nie doniósł o tym profesorowej. Prawdę mówiąc, Celina Witkowska podejrzewała męża o to, że mimo siwych włosów, nie zawsze jest jej wierny, a od czasu, kiedy dostał się do klanu cenionych bioinżynierów, była pewna, że ją zdradza nie tylko ze swoimi asystentkami i studentkami, ale i ze współwłaścicielkami firm. Skoro tyle lat obok niego przeżyła i wychowała dwóch synów, wszystko przyjmowała ze spokojem, tym bardziej że po owariotomii sprawy łóżkowe niemal jej nie interesowały. Wobec niej Witkowski zachowywał się jak dawniej, a może nawet był bardziej delikatny. Zdarzało się, że przynosił kwiaty bez powodu.

– Panie pro-profeso-orze...

Witkowski nigdy nie widział Letzkiego tak przestraszonego. Natychmiast zerwał się z fotela przy biurku, sięgnął po szklankę i butelkę z wodą mineralną.

– Co z tobą, Bogdan?

– Zro-zrobiłem tak, jak pan profesor kazał. To znaczy...

– Byłeś w Residences in Park? – zapytał Witkowski, a Letzki ledwie kiwnął głową. – To dlaczego zachowujesz się tak, jakbyś zobaczył młodego Drakulę?

– Nieboszczyk.

– Jaki nieboszczyk, Bogdan? O czym mówisz? – ciągnął go za język profesor. – Gdzie ten nieboszczyk? U nas w zakładzie? Na ulicy?

– W mieszkaniu jest nieboszczyk.

– W którym mieszkaniu, Bogdan? Coś ci...

– Przy Niemena.

– Przy Niemena? W moim apartamencie nieboszczyk?

– Kobieta. Nieżywa – wysapał Letzki drżącym głosem. – Nie przyglądałem się jej. To chyba ta, która przychodzi sprzątać i podlewać kwiaty.

– Staszka? Tylko Staszka ma klucz. Przecież ją znasz, bo jeszcze na Wyszyńskiego zajmowała się chłopcami. O nasze mieszkanie dbała lepiej niż o swoje – przypomniał mu Witkowski. Do rezydencji chciał wziąć młodszą gosposię, ale żona się nie zgodziła. Zdaniem Celiny żadna nie zadba o mieszkanie profesorstwa tak, jak to robi ich Stasia Wieczorek. – I ona by? Wiosną skończyła pięćdziesiątkę. Pewnie zatrzymanie akcji serca. Ostrzegałem, żeby tyle nie paliła.

– Na dywanie jest wyraźna plama. Jakby zaschnięta krew.

– O, kurwa. Krew? To nie będzie wesoło. A może o coś uderzyła się i...?

– Bez względu na to, co się stało, trzeba zawiadomić policję.

– Po co zaraz policja, kolego doktorze? – zapytał Witkowski. Ale po chwili namysłu zgodził się z Letzkim: – Nie znam numeru. Niech kolega do nich zadzwoni.

– Prawdopodobnie wezwą pana profesora do komendy i poproszą o złożenie wyjaśnień.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego.

– Mnie też przesłuchają, choćby dlatego, że na klamkach znajdują ślady moich rąk.

Dopiero teraz profesor dostrzegł sekretarkę opartą o framugę drzwi. Nie chciał, żeby to, z czym wrócił adiunkt, wyszło poza jego gabinet, dlatego położył palec wskazujący na ustach i mrugnął do sekretarki, a ta pokiwała głową. Na niej Witkowski mógł polegać tak samo, jak na doktorze Letzkim.

ZIELONAGÓRA, UL. CZESŁAWA NIEMENA PONIEDZIAŁEK W POŁUDNIE

Komisarz Jacek Syski przyjechał za wcześnie. Mógł nacisnąć jeden z dzwonek i poprosić o wpuszczenie za ogrodzenie, ale wtedy musiałby wytłumaczyć, kim jest i dlaczego chce się dostać do rezydencji. A jak listonosz, kurier czy ci od spisywania stanu liczników gazu i prądu otwierają bramkę? Pewnie każdy dostał uniwersalny kluczyk albo jest zarejestrowany w biometrze głosowym, sam sobie wyjaśnił policjant. Oparł się więc o pień ogromnego klonu i w jego cieniu postanowił czekać na profesora Witkowskiego. Może i lepiej, że tak się stało, bo jeszcze nie przyjechali technicy, a medyk sądowy będzie najwcześniej za pół godziny. Do tego czasu powinien też pojawić się ktoś z komisariatu osiedlowego. Latem większość policjantów bierze urlopy, dlatego nie jest łatwo o radiowóz z kierowcą, chociaż każdy dzielnicowy musi mieć prawo jazdy.

Przed wyjściem ze swojego pokoju na Wąskiej Syski zadzwonił do zastępcy komendanta z informacją, dokąd jedzie i co się stało w rezydencji na Niemena. Tak robił zawsze. Podinspektor przyznał się, że do zeszłej jesieni Witkowski był jego

sąsiadem w wieżowcu przy Wyszyńskiego. Miał cztery pokoje, które teraz wynajmuje komuś z tej sławnej firmy na Trasie Północnej, robiącej implanty ortopedyczne. Olemed czy jakoś podobnie. Oprócz tego, że profesor zajmuje pokój kierownika uniwersyteckiego zakładu bioinżynierii medycznej, bierze pieniądze za referaty wygłaszane na konferencjach w kraju i za granicą, ma pół etatu w klinice chirurgii urazowej, podpisuje się pod opiniami dla sądu, jest głównym projektantem w firmie Stonogów i – ale o tym podinspektor bliżej nie potrafi opowiedzieć – opracował metodę wytwarzania implantów ortopedycznych w technice 3D, o której wdrożenie zabiega kilka firm na świecie. Ponieważ zarabia kilka razy więcej niż prezydent miasta, było go stać na apartament w Residences in Park, lecz latem niewiele w nim przebywa. Jeszcze gdy był sąsiadem zastępcy komendanta, z uniwersytetu jechał prosto do Jodłowa, gdzie postawił domek letniskowy, a właściwie dworek z salonem, trzema pokojami na parterze i dwoma pod skośnym dachem, garażem i składzikiem oraz szopą na drewno. Od pierwszego dnia maja do końca września profesorowa tam gotuje, pierze, sadi warzywa, podlewa kwiaty, kosi trawę, smaży powidła, robi kompoty, a nawet zbiera grzyby. W październiku wraca do Zielonejgóry z tym, co przygotowała na zimę. Tak więc Witkowsy żyją na dwa domy.

Syski pamięta, że tu, gdzie teraz rozsiadło się pięć pałacików należących do Residences in Park, wtedy gdy kończył studia i z kandydatką na żonę zapuszczał się w okolice amfiteatru, miała stanąć palmiarnia większa od tej w centrum miasta. Leśnicy wykarczowali zdrowe dęby i klony, drogowcy ścięli wierzchołek wzniesienia, budowlańcy włali tony cementu w wykopy pod ławy na fundamenty, żeby zastalowcy mieli na czym ustawić szkielet konstrukcji. Zostało jeszcze wprawienie szyb i zrobienie czegoś w środku, co będzie wabiło ludzi tak, jak stara restauracja z kawiarnią na Wzgórzu Winnym przyciąga turystów. Dlaczego budowy palmiarni nie dokończono, tego nikt nie wyjaśnił.

Teraz Syski przykucnął pod ocalałym klonem, którego leśnicy nie wycięli, ponieważ ktoś zmienił decyzję. Podobała mu się pagórkowata dzielnica wokół amfiteatru, od południowej strony okolona ogródkami, za którymi rozłożył się ni to las, ni park z torem saneczkowym, stokiem dla narciarzy, strumykami biegnącymi w stronę uniwersyteckiego Ogrodu Botanicznego i namiastki zoo. Sto metrów za Residences in Park, gdzie najpierw była ekskluzywna restauracja z hotelem Piastenhöhe, zamieniona na dom wypoczynkowy dla oficerów Wehrmachtu, potem Regionalny Ośrodek Doskonalenia Kadr i Uniwersytet Marksizmu-Leninizmu, ma swoją rezydencję biskup diecezjalny. Niedaleko renomowanego liceum, na placu kiedyś przeznaczonym na zespół szkół artystycznych, franciszkanie postawili kościół, plebanię i klasztor. Na zboczach poszatkowanych uliczkami o ptasich nazwach zwracają na siebie uwagę przysadziste domy z płaskimi dachami i nowe wille z gankami, werandami, wieżyczkami. Gdybym miał pieniądze, natychmiast wyniosłbym się z mieszkanką na Zaciszu, pomyślał komisarz, ale i zdawał sobie sprawę, że z własnej woli nigdzie się nie wyprowadzi. Do tych dwóch pokojów latem zbyt gorących, zimą za zimnych, przyzwyczał się tak samo, jak i do sąsiadki każdej niedzieli słuchającej sumy z radia nastawionego na cały regulator.

Na asfaltówce od strony amfiteatru pojawiła się czarna octavia. Witkowski nie jeździł najnowszą audicą z napędem na cztery koła albo czymś jeszcze bardziej wypasionym? Pewnie profesor nie zwraca uwagi na to, za kierownicą czego siedzi, doszedł do wniosku Syski, gdy octavia zatrzymała się na parkingu oznaczonym tabliczką „Tylko dla mieszkańców rezydencji”. Zza kierownicy wysiadł młody człowiek i zanim komisarz wstał spod klonu, młodzieniec zdążył otworzyć drzwi od strony pasażera.

– Pan z policji? Myślałem, że jak policjant, to zawsze w mundurze – rzucił do Syskiego. Nie czekając na odpowiedź, wyjaśnił: – Pan profesor miał jeszcze pilną sprawę w związku z referatem, który do południa musiał skończyć i wysłać do Zakopanego, stąd nasze niewielkie spóźnienie. Ale już otwieramy bramkę i prowadzimy pana do apartamentu. – Zasłoniwszy sobą kasetę bramofonu, pochylony wolno wciskał klawisze.

Syski obserwował ruchy jego prawej ręki. Był przekonany, że kod składa się z czterech cyfr, pierwszą na pewno jest jedynka, ostatnią dziewiątka. W środku muszą być dwie czwórki albo dwie siódemki.

Witkowski stanął obok octavii z głową opuszczoną na piersi. Dopiero gdy usłyszał skrzypienie w zamku bramki, zrobił krok, lecz wtedy Syski chwycił go za rękaw koszuli.

– Czy to pan osobiście powiadomił komendę? – zapytał komisarz. Profesor zatrzymał się, jakby nie zrozumiał, dlaczego i z której strony padło pytanie. Syski powtórzył je wolniej i dodał, że od tej chwili on o wszystkim będzie decydował.

– Doktor Bogdan Letzki, to znaczy Bogusław. Bogusław Letzki przez tz. Ja telefonowałem na policję. Jestem starszym adiunktem w zakładzie inżynierii biomedycznej na naszym uniwersytecie, kierowanym przez pana profesora zwyczajnego doktora habilitowanego inżyniera Bolesława Witkowskiego – pełnym zdaniem wyjaśnił brodac, wskazując dłonią oniemiałego starszego mężczyznę.

– Komisarz magister Jacek Syski, kierujący wydziałem kryminalnym komendy miejskiej, międzynarodowy ekspert i biegły sądowy – przedstawił się wyraźnie ironicznym głosem policjant. Śmieszyła go i drażniła tytułomania akademicka, służalczość młodszych pracowników wobec zwierzchników, wprost niewolnicza zależność od profesorów. – Kto ma klucz do mieszkania: pan czy profesor? – zwrócił się do Letzkiego.

– Pan profesor prosił mnie, abym wyświadczył mu przysługę. To znaczy pojechał do apartamentu i przywiózł niezwykle ważny dokument, akurat potrzebny do przygotowywanego referatu na konferencję w Zakopanem. Bywałem w Residences in Park nie raz, nie dwa, toteż z przeogromną ochotą...

– Do rzeczy, panie doktorze – ponaglił go policjant.

– Jak zawsze wduśiłem odpowiednie przyciski w kasetce przy furtce, żeby dostać się za ogrodzenie. Potem powtórzyłem tę czynność przy wejściu na klatkę schodową. Trzecią operacją było rozkodowanie zamku w drzwiach do apartamentu, włożenie klucza i przekręcenie go w lewo. Wszedłem do gabinetu, gdzie pan profesor przechowuje opinie sądowe, gdy poczułem słodkawy odór. Jakby rozlany sok

z czarnej porzeczkii. Najpierw zajrzałem do kuchni. Nic. Potem do salonu. To było straszne...

– Co było straszne? – Znowu przerwał mu komisarz.

– To, co zobaczyłem w salonie.

– A co pan tam zobaczył?

– Pani Stasia, znaczy pani, która sprząta, gotuje i podczas nieobecności profesora cały apartament ma na głowie, leżała na dywanie z głową we krwi.

– Skąd pan wie, że to była krew?

– Panie komisarzu... – zaczął Letzki i zrobił taką minę, że Syski przestał pytać.

Akurat przyszedł naczelnik wydziału techniki kryminalistycznej ze swoimi podwładnymi. Komisarz przepuścił ich przodem, a sam oparł się o ściankę wiatrołapu z zamiarem obserwowania profesora i adiunkta. Niczego osobliwego nie zauważył w ich zachowaniu, toteż gdy weszli do budynku, poprosił Letzkiego, żeby otworzył drzwi do apartamentu, ale nie dotykał ręką klamki i futryny. Ledwie przekręcił klucz w lewo, technicy zaczęli robić to, co należy do ich obowiązków.

Było tak, jak opowiedział Letzki. W salonie na dywanie leżała kobieta z okrwawioną twarzą, zwróconą w stronę okna. Mimo że Syski był przyzwyczajony do fetoru, zakrył usta dłonią i starał się krótko oddychać.

– Smród nie do wytrzymania – rzucił do niego szef techników, fotografujący wnętrze ogromnego pokoju, pełnego słońca i obrazów. Wyglądały na oryginalne płótna pędzla Adama Bagińskiego. Podobne malowidła Syski widział w mieszkaniu Daniela Junga. Nawet mu się podobały. – Szkoda, że jeszcze nie ma naszego medyka. Jemu nigdy się nie spieszy.

– Właśnie jestem, panowie – spod otwartych drzwi odezwał się mężczyzna w czymś białym, co mogło być krótkim kitem albo koszulą wypuszczoną na spodnie. – Gdyby nie korek na Wyszyńskiego... Myślę, że zjawiłem się w odpowiednim momencie.

– Zamiast tłumaczyć swoje spóźnienie, niech doktor szybko robi to, za co bierze pieniądze – rzucił Syski. Komisarz lubił tego lekarza przede wszystkim dlatego, że szybko odpowiadał na jego pytania i nie zadzierał głowy jak większość asystentów z uniwersyteckiej katedry patologii ogólnej.

Letzki zrobił krok, jakby miał zamiar iść za medykiem, ale komisarz chwycił go za rękę, nakazując pozostanie przy profesorze. Lekarz w milczeniu najpierw przejechał wzrokiem wzdłuż martwego ciała kobiety, potem przyklęknął przy jej biodrach i wpatrywał się to w głowę, to w kant ławy między dwoma kanapami.

– Wygląda na to, że nieszczęśliwie uderzyła głową o coś twardego – powiedział do policjanta, pokazując zaschniętą krew na lewej skroni. – Ale to pozory, bo gdyby uderzyła się o ławę i zamroczona upadła na dywan, to krew powinna mieć po prawej stronie. Ponadto, niech komisarz zobaczy, rant ławy od góry jest zaokrąglony. Po walnięciu się w coś takiego można mieć siniaki, a nie przeciętą skórę aż do kości. Daleko wstępnie mogę powiedzieć tyle, że to, co widać, nie powstało na skutek uderzenia głową o kant ławy. Została czymś uderzona, domyślam się, z zaskoczenia.

Prawdopodobnie padła zamroczone i dlatego się wykrwawiła.

Syski otworzył usta, żeby spytać lekarza, czy potrafi powiedzieć, jak długo kobieta tu leży, gdy ten dał mu znak ręką, że to nie koniec hipotezy.

– Ona została uderzona czymś twardym, kanciastym w rodzaju kryształowego wazonu. – Chwilę omiatał pokój dociekliwym wzrokiem. Nie dostrzegł niczego, co jest podobne do szklanego wazonu z wyraźnie ściętymi bokami. – To może być ów zabójczy przedmiot – pokazał na lichtarz srebrzący się na kredensie. – Jak zawsze, ostatnie zdanie będzie należało do patologa sądowego. Myślę jednak, że doktor Trzcinka zgodzi się z moją hipotezą, a kolega komisarz przedstawi ją prokuratorowi do akceptacji.

– Doskonale. Jeszcze tylko trzeba ustalić dwie kwestie. Po pierwsze: dlaczego, po drugie: kto jest sprawcą. Kolejność nie ma znaczenia. Przy odrobinie szczęścia – mówiąc to, Syski zerknął na milczącego profesora – może się to udać przed niedzielą. Jeśli szczęście nas opuści, będziemy się guzdrali nawet rok. Albo dłużej.

Medyk podniósł głowę nieboszczki i zamiast cokolwiek powiedzieć, zasyczał przez zaciśnięte zęby.

– Coś nowego? – natychmiast zareagował Syski.

– Kolejna hipoteza, kolego komisarzu, tym razem za sto punktów. Zanim została uderzona czymś kanciastym w lewą skroń, jak przypuszczam, świecznikiem, nasza denatka już nie oddychała. Zaryzykuję stwierdzenie, że doszło do zbeczeszczenia ciała. Wcześniej kobieta została uduszona, o czym mogą świadczyć krwawe wybroczyny i sinica w obrębie twarzy. Morderca chciał wprowadzić nas w błąd, że śmierć jest wynikiem uderzenia się o kant stołu.

– Odór to pewnie...? – Policjant pokazał oczyma na zażółconą spódnicę.

– W czasie agonii puszczają wszystkie zawory – przypomniał lekarz o tym, co Syski wiele razy słyszał.

– Od ilu godzin ona tu jest? – spytał komisarz, starając się jak najmniej otwierać usta i oddychać nosem.

– Tego mimo doświadczenia i wiedzy zdobytej w zakresie medycyny sądowej na uniwersytecie w Erfurcie i u naszego doktora Trzcinki – podkreślił medyk – nie potrafię określić nawet w przybliżeniu. Tegoroczny sierpień jest wyjątkowo upalny, apogeum lata, zamknięte pomieszczenie. W takich warunkach procesy gnilne przebiegają inaczej niż w otwartej przestrzeni. *Rigor mortis* jeszcze nie ustało. Przypuszczam, że śmierć nastąpiła... dziś mamy poniedziałek... dwa, najdalej trzy dni temu. Między piątkowym wieczorem a sobotnim przedpołudniem. Na pewniejszą odpowiedź musi kolega komisarz poczekać. Mój profesor, doktor Trzcinka powinien sobie z tym poradzić. Jeśli nie dziś, to jutro.

– Mówisz, że dwa, trzy dni temu?

Medyk przykucnął, oświetlił latarką punktową twarz denatki.

– Są na niej plamki martwicy, niektóre jeszcze żółte, inne zbrązowiałe i nawet poczerniałe. To kolejny dowód na to, że nie żyje od co najmniej dwóch dni.

– Morderstwo w afekcie?

– Też tak uważałem. Zabójca nie spodziewał się, że ktoś jest w mieszkaniu. Wszedł i na wycofanie się było za późno. Wtedy ją udusił, czyli zabójstwo nie zostało dokonane, jak by to określił prokurator, dla zatarcia śladów lub uniknięcia konfrontacji ze świadkiem. Tyle że chwilę później uderzył ofiarę czymś kanciastym i to już było zaplanowane. Mamy do czynienia z obiema formami morderstwa: w afekcie i z premedytacją.

– Niech tym martwi się prokurator – rzucił komisarz.

– Panowie, szybciej, bo się porzygamy w tym smrodzie – poprosił szef techników swoich podwładnych.

– Dziś temperatura na dworze sięga trzydziestu stopni, wczoraj była nie do zniesienia, a tu, w zamkniętym pomieszczeniu jest o kilka kresek wyższa – tłumaczył lekarz. – W tych warunkach proces rozkładu ciała odbywa się znacznie szybciej. I dlatego panowie powinni założyć maski albo starać się nie oddychać przez usta.

– Pan znalazł zwłoki? – zwrócił się Syski do Letzkiego, jakby sprawdzał, czy adiunkt pamięta, co powiedział przy wejściu do mieszkania.

– Było to około dziesiątej. Akurat listonosz wkładał pocztę do skrzynek.

– Kiedy ostatni raz pan wchodził do swojego mieszkania? – zapytał profesor policjant, ignorując adiunkta, który chciał coś dodać.

– Dokładnie nie pamiętam – przyznał się Witkowski po dłuższym zastanowieniu. – Mo-może w połowie lipca. Latem zaraz po pracy jeżdżę do Jodłowa. Stamtąd rano wracam prosto na uczelnię, a jeśli mam coś pi-pilnego do załatwienia w szpitalu czy Olemedzie...

– Rozumiem – wszedł mu w zdanie komisarz. – A z jaką częstotliwością pan tu zaglądał? – zrobił krok w stronę Letzkiego.

– Jedynie wtedy, gdy pan profesor mnie o to prosił. Nie licząc dzisiejszego dnia, ostatni raz miałem przyjemność być w apartamencie dwa, nie, trzy tygodnie temu. Też przed południem, bo po południu pan profesor wyjeżdżał na konsultacje w Orthopädische Klinik w Stuttgarcie – powiedział do Witkowskiego, jakby go prosił o potwierdzenie, lecz profesor milczał. – Przepraszam, to było dokładnie dwudziestego drugiego lipca. W moje urodziny. Jako ewangelik nie obchodzę imienin.

– Chciałbym, żeby pan profesor rozejrzał się i odpowiedział, czy z mieszkania coś zginęło.

Witkowski omiół wzrokiem obrazy w salonie, jakby je liczył, wzruszył ramionami i po chwili pokręcił głową.

– Rzeczy istotne w mojej pra-pracy przechowuję w gabinecie. Zresztą wszystko, co ostatnio zaprojektowałem, weszło lub niebawem we-wejdzie do produkcji w Olemedzie. Dla innych firm raczej nie pracuję. Chyba że...

– Co takiego? – natychmiast zapytał komisarz.

– Chyba że chodziło o wcześniejsze projekty, ale czy to możliwe, żeby kogoś interesowały prze-przestarzałe rozwiązania? Tempo zmian w bioinżynierii jest uzależnione od informatyki, a ta zmienia się z dnia na dzień. Wczorajsze projekty,

jeśli nie zostaną dziś wdrożone do produkcji, jutro mają jedynie wartość muzealną.

– Trzy D, panie profesorze – odpowiedział Letzki.

– Co to takiego? – zaciekał się komisarz.

– Od pewnego czasu razem z panem profesorem pracujemy nad wykorzystaniem drukarki trójwymiarowej w procesie wytwarzania implantów ortopedycznych. Skoro ta rewelacyjna, jak wiemy, metoda jest przydatna nawet w neurochirurgii, to tym bardziej da się ją wykorzystać w ortopedii. Pomyśleliśmy, że opierając się na tomografii komputerowej, można robić kopie stawów, które zostaną zastąpione implantami.

Komisarz udał, że zrozumiał wyjaśnienie Letzkiego, w rzeczywistości już po pierwszym zdaniu nie nadążał za adiunktem.

– Proszę sprawdzić w swoim gabinecie, czy nic się w nim nie zmieniło – powiedział Syski i przed profesorem wszedł do pokoju na półpiętrze.

– Tam powinna stać niebieska teczka – Witkowski pokazał ręką na regał.

– Czy było w niej coś ważnego?

– Jak dla mnie, już nie – odpowiedział profesor, kątem oka lustrując doktora Letzkiego, jakby dawał znak, żeby się nie odzywał, bo mu się opłaci.

ZIELONAGÓRA, UL. WANDY PONIEDZIAŁEK, PO POŁUDNIU

Prosto z Niemena komisarz Syski pojechał do mieszkania denatki. Zanim wysiadł z fabii, zadzwonił do prokuratora i powiedział mu, co się wydarzyło w apartamencie profesora Witkowskiego. Był przekonany, że Ostrouchy swoim zwyczajem zacznie rzucać kurwami i narzekać, dlaczego tak późno dowiedział się o morderstwie i że śledztwo musi się odbywać pod jego nadzorem, dlatego powinien uczestniczyć w oględzinach apartamentu, w którym to się stało, ale prokurator nawet nie wysłuchał policjanta do końca.

– Niech pan nie zawraca mi dupy jakąś sprzątaczką. Mam ważniejsze zadania na głowie. Choćby martwe dusze w Partii Demokratycznych Obywateli, a jest pora urlopowa. Jak pan zamknie sprawę, proszę podrzucić mi komplet materiałów – powiedział i rozłączył się.

Syski uważał, że za zabójstwem Stanisławy Wieczorek kryje się coś ważnego, co za kilka dni zmusi Ostrouchego do włączenia się do śledztwa. Prawdę mówiąc, to nie był za tym, żeby akurat ten prokurator przejął kierowanie sprawą, ale przecież od policjanta nic nie zależy. Syski wolałby słuchać podpowiedzi Iwony Zajączkowskiej i jej raportować, jak daleko do finału. Wiele razy przekonał się, że zastępczyni prokuratora nie zawraca mu głowy oczywistymi zadaniami. Ponadto, co także miało znaczenie, z Iwoną można konie kraść.

Z kamienicy, przed którą Syski wysiadł z fabii, opadał tynk. Na podwórzu tylko dziada i baby brakuje, przypomniał sobie powiedzonko ojca. Komisarz dawno nie był

w tej dzielnicy, toteż trochę się zdziwił, że jeszcze są aż tak zaniedbane kwartały miasta. Póki na obrzeżach Zielonejgóry, gdzie dawniej winogrona wygrzewały się w słońcu, nie zaczęły wyrastać osiedla z płyt betonowych, w czynszowych domach przy Lisiej, Wandy, Krakusa mieszkali urzędnicy, nauczyciele, kierownicy sklepów, nawet lekarze i ważniejsze pielęgniarki. Po ich wyprowadzce do wieżowców nowymi lokatorami zostali spawacze, kierowcy, sprzętaczkę, samotne matki, emeryci i renciści, którzy musieli wybierać: kupić chleb i zwyczajną czy lekarstwo i mieć coś na wigilijne prezenty dla wnuków.

Przy wejściu nie było domofonu, z dziury na dzwonek wystawały kabelki, Syski wszedł więc na parter i zapukał delikatnie kilka razy, a potem zaczął walić pięścią w pomalowane na brązowo drzwi. Minęła minuta, może dwie, zanim muzyka ucichła, zazgrzytał klucz w zamku i pokazała się głowa mężczyzny w wieku Łukasza Białego odbywającego praktykę w wydziale kryminalnym. Komisarz przedstawił się, mignął mu odznaką i spytał, czy nazywa się Grzegorz Wieczorek, a gdy młodzieniec potwierdził, poprosił o zgodę na wejście za próg, czego nigdy nie robił, tylko od razu wchodził do mieszkania. Wydawało mu się, że Wieczorek ma coś do ukrycia, bo jego czoło nagle zrobiło się wilgotne od potu, a pieprzyk koło nosa jakby napęczniał.

– Pan mieszka sam czy z rodziną? – zapytał policjant, złoszcząc się na praktykanta, bo kazał mu sprawdzić w wydziale meldunkowym, czy Grzegorz ma żonę i dzieci, ale Łukasz zlekceważył polecenie albo zapomniał.

– Przydział jest na matkę. Kiedy przyjeżdżam do Polski, to t-tu się zatrzymuję.

– To znaczy, że pracuje pan albo kształci się za granicą – domyślił się komisarz, jeszcze bardziej zły na praktykanta. – Można wiedzieć, gdzie pan przebywa i czym się zajmuje?

– Studiuję mechanikę pre-precyzyjną w Stuttgarcie. Za dwa-a lata skończę uniwersytet. Wtedy ze świadectwem dyplomowanego inżyniera wrócę do Zielonejgóry. Będę zatrudniony w Olemedzie.

Syski już miał spytać, gdzie leży Stuttgart, gdy przypomniał sobie, że kilka lat temu, gdy wracał z konferencji Europolu czy Interpolu w Bernie, zatrzymał się w centrum starego Ulm, gdzie tkwił słup dystansowy poczty badeńsko-wirtemberskiej z informacją, jak daleko jest do Stuttgartu, Augsburga, Monachium, Wiednia i miast, których nazwy pierwszy raz widział.

– Studia za granicą pewnie kosztują więcej niż w Polsce.

– Mam stypendium i jak większość moich kolegów dorabiam a to w markecie technicznym jako ka-kasjer, a to w wypożyczalni ka-kajaków. Na zmywaku prawie wcale. W lipcu dostałem robotę w myjni samochodów. W sierpniu większość mieszkańców miast wyjeżdża na urlop, to i myjnia nieczynna, dlatego przyjechałem do mamy. Za dwa ty-tygodnie wracam na swoje stanowisko.

– Pewnie nie było łatwo dostać się na studia w Stuttgarcie – powiedział Syski takim tonem, jakby podziwiał młodzieńca.

– Dziś takie czasy, że na każdego, kto chce stu-studiować i ma trochę o-o-oleju w głowie, wszędzie czekają z otwartymi rękami. W Niemczech jest identycznie jak w Polsce: niż demograficzny powoduje, że uczelnie walczą o kandydatów na stu-

udentów. Zagraniczny ma więcej trudności w staraniach o sty-stypendium. Mnie pomógł profesor Witkowski. Spłacę mu dług, jak będę pra-pracować. Inżynieria medyczna to przyszłość. Człowiek nie jest przy-ystosowany do siedzącego trybu życia, a dziś to reguła. Nie wytrzymuje kręgosłup, sta-stawy, szczególnie biodrowe. Dlatego tacy specjaliści jak ja już są na wagę złota. Każdy chce długo żyć.

Syski miał na końcu języka pytanie, dlaczego Witkowski mu pomógł, gdy doszedł do wniosku, że pewnie jego matka o to prosiła profesora. A może Witkowski zrobił to z własnej inicjatywy. Syski dałby głowę, że Grzegorz jest mniej więcej tego samego wzrostu co profesor, ma identycznie wysokie czoło, szeroki nos, jąka się i mówi, przeciągając słowa. Wypisz, wymaluj młody Witkowski. Komisarzowi przyszło na myśl, że stojący przed nim chłopak może być nieślubnym synem profesora.

– Chciałbym zobaczyć pański paszport lub dowód osobisty.

– Po co? – postawił się Grzegorz, ale po chwili namysłu z dezaprobatą podał mu dowód.

Syski zerknął na zdjęcie, sprawdził datę urodzenia i imiona rodziców. Stanisława, Jan.

– Gdzie pracuje pana mama?

– A dla-dlaczego to pana interesuje?

– Najpierw proszę odpowiedzieć.

– Kiedyś matka sprzątała pomieszczenia-a mechaników na-na uniwersytecie. Od czterech lat jest na rencie z powodu zmian zwyro-odnieniowych lewego stawu łokciowego. I zajmuje się mieszkaniem profesora Witkowskiego. Jest tam za go-gosposię.

– A co robi ojciec?

– Nie wiem.

– Nie wie pan, co robi ojciec?

– Jestem o-owocem pa-panieńskiego grzechu ma-matki – odpowiedział Grzegorz tonem ironicznym, coraz bardziej się jąkając. – Najpewniej spółdzonym między jedną a drugą bu-butelką berbelu-luchy. Babka lubiła wesołe to-towarzystwo. Jaki chleb, taka skórka, jaka matka, taka córka – dodał kpiąco.

– Nigdy pan nie widział swojego ojca?

– Nigdy.

– Może na zdjęciu? Mama nic o nim nie mówiła? – zapytał policjant coraz bardziej przekonany, że patrząc na Grzegorza, widzi młodego Bolesława Witkowskiego.

– Dlaczego to pana tak ciekawi?

Zamiast odpowiedzieć, Syski zapytał:

– Co pan robił w sobotę?

– Pytałem, ale matka nigdy się nie przyznała. Domyślam się, kto jest mo-moim ojcem, jeśli t-to pana interesuje. Pewnie badania DNA by t-to potwierdziły. Może kiedyś...

– Ale co pan robił w sobotę? – powtórzył Syski, czując, że komórka w kieszonce

poinformowała go o nadejściu esemesa. Karolina, Ilona, Tadeusz Araszkievicz? Zerknął na wyświetlacz. A ponieważ to było pytanie z redakcji „Gazety Lubuskiej”, policjant je zlekceważył. Zawsze tak robił, jeżeli dziennikarz odzywał się nie w porę.

– Przed południem by-ylem na lotnisku w Przylepie. Pan Letzki prosił, abym przejrzał jego mo-otolotnię. On, mimo że jest do-doktorem inżynierem precyzyjnym, mnie ufa bardziej niż sobie. Jako chło-chłopak chodziłem do pracowni modelarskiej. Moje samoloty wygrywały zawody. Potem z pół godziny latałem nad lasami wokół Przylepy. Pan redaktor Jung mo-może poświadczyc. Trzyma swoją motolotnię w tym samym hangarze, co pan Letzki. Też latał. Wy-ystarczy?

– Co było potem?

– Wieczorem wy-wybrałem się do amfiteatru na ko-koncert Budki Suflera z Felicjanem Andrzejczakiem. Lubię, kiedy występuje z ty-ym zespołem.

– Ma pan samochód?

– Je-jeżdżę mocno przecho-odzionym volkswagenem golfem.

– Kolor?

– Wiśniowe drzwi, re-reszta czerwona.

– Teraz jest pan sam w domu – bardziej stwierdził niż spytał policjant. – A gdzie jest mama?

– Prawdopodobnie... co ja mówię? Matka na-na pewno jest w mieszkaniu profesora Witkowskiego. Każdej soboty chodzi na Niemena. Sprząta, podlewa kwiaty, co dwa mie-esiące myje o-okna i takie tam. Latem, kiedy profesor z żoną przenosi się do Jodłowa, gdzie ma do-domek, matka czasem zostaje dłużej w ich mie-mieszkaniu. Wtedy coś przepierze i wyprasuje. Robi za pomoc do-domową. Oczywiście nie za darmo.

– I nadal popija? – zapytał Syski na chybił trafił.

– Żeby tylko.

– Pokłóciliście się?

– Nie. Dlaczego pan tak uważa?

– Dlatego, że popija.

– Powiedziałem, co o niej myślę. A panu byłoby przy-przyjemnie, gdyby pana żona wra-wracała do domu pi-ijana albo przyprowadzała zalanych fagasów?

Ma rację, pomyślał komisarz. To dlatego ani razu nie powiedział „mama”.

– Panie Grzegorzu – Syski się wyprostował i odchrząknął – pana mama nie żyje. Znaleźliśmy jej ciało w mieszkaniu profesora Witkowskiego. Sekcja zwłok wyjaśni okoliczności jej zgonu.

– Moja ma-matka nie-e żyje? – zapytał Grzegorz, ale takim głosem, jakby się tego spodziewał. Po chwili osunął się na podłogę.

Syskiemu wydawało się, że to nie była naturalna reakcja.

ZIELONAGÓRA, UL. WĄSKA
PONIEDZIAŁEK PO POŁUDNIU

Od pierwszego sierpnia na każdym piętrze komendy co kilkanaście metrów srebrzą się tabliczki „Zakaz palenia tytoniu”. Tak zarządził nowy komendant, mimo że gdy zajmował gabinet pierwszego zastępcy, był nałogowym palaczem. Kto do końca lipca nie zdążył uwolnić się od papierosów, miał do wyboru dwie drogi: bez względu na stan pogody wychodzić na schody przed gmachem komendy, ale wtedy minuty spędzone poza swoim pokojem musi odrobić, albo za przykładem sekretarki komendanta kupić sobie urządzenie zwane e-papierosem i podchodzić do otwartego okna.

– Taka sama trucizna jak tytoń – powiedział szef techników kryminalnych do Syskiego, gdy usiadł na krześle dla petentów w jego pokoju, przez podwładnych nazywanym gabinetem. – No, może ma mniej substancji smolistych i na pewno człowiek nie wdycha tlenu węgla. Jest jeszcze jedna korzyść: wychodzi dużo taniej. Za te pieniądze, które przez tydzień wydawałem na marlboro, mogę kupić miesięczny zapas liquidu. E-papieros podobno ułatwia odzwyczajanie się od tytoniu na zawsze.

– Chwała Panu Bogu, że w odpowiednim czasie rzuciłem palenie – przyznał się Syski. – A właściwie powinienem dać na mszę za tego, który potrafił mnie na przejściu dla pieszych przy areszcie. Kiedy leżałem w poliklinice, żona codziennie mnie odwiedzała. I codziennie zapominała kupić mi papierosy. Brałem jakieś leki na uspokojenie i odzwyczaiłem się od palenia.

– Kilka razy próbowałem. Już byłem blisko zwycięstwa... I przez takich jak ty, komisarzu, jak Ilona, jak... znowu wyciągałem rękę po papierocha. Bo jak miałem fotografować pokiereszowanego trupa, to musiałem czymś zabić smród, żeby się nie porzygać. Po każdej takiej akcji jestem chory. Rzuciłbym w cholere tę pieprzoną robotę, gdybym potrafił co innego. Pytałem Daniela, czy w gazecie nie potrzebują fotografa, ale oni już nawet swoich pozwalniali.

O patomorfologach mówi się w komendzie, że na trzeźwo nie przeprowadzają sekcji zwłok. Syski kiedyś spytał o to doktora Trzcinę, a ten tylko uśmiechnął się i pokręcił głową z dezaprobatą. Gdyby to była prawda, to lekarze sądowi zawsze chodziliby pijani.

– Jakie wiadomości przynosisz z Residences in Park?

– Tam dopiero był smród. Br... Na ślady pozostawione przez sprawców nie liczyłem i miałem rację. Prawdopodobnie pracowali w rękawiczkach albo dłonie wysmarowali lateksem lub czymś podobnym. To musieli być fachowcy od mokrej roboty. Dokładnie wiedzieli, co ich interesuje. Najwięcej śladów zachowało się na lichtarzu, tyle że wszystkie należą do denatki, co mnie nie dziwi, bo przecież była gosposią. Moi chłopcy znaleźli pojedyncze włosy na dywanie, ale pewnie ustalenie, kto je tam zostawił, okaże się niemożliwe. W gabinecie profesora też kłapa na całej linii. Dla nieboszczyka dwa dni latem, w taki gorący, to więcej niż miesiąc zimą.

– Czyli poza denatką, o której wiemy, jak się nazywała i co robiła w mieszkaniu, dalej nic nie mamy. Nadzieja w laboratorium. Może coś znajdą.

– Na nich specjalnie bym nie liczył – powiedział szef techników, a komisarz akurat w tej kwestii z nim się zgadzał.

ZIELONAGÓRA, UL. CZESŁAWA NIEMENA PONIEDZIAŁEK PO POŁUDNIU

Kiedy podkomisarz Karolina de Murville zobaczyła domy stojące na wzgórzu, gdzie miała być druga, większa i nowocześniejsza palmiarnia, zatrzymała się i z niedowierzaniem pokręciła głową. Ile razy jechała do Drzonkowa na pływalnię, tylekroć wlepiła wzrok w wygrzewające się w słońcu osiedle Profesorskie z basenami, oranżeriami, kortami tenisowymi, ale mimo bajecznego położenia nie może się ono równać z tym, co miała teraz przed oczami. Okoloną wysokim płotem posesję z dwóch stron obejmował park Piastowski, od zachodu osłaniał ją las sosnowy, na południowym zboczu wygrzewały się ogrody i winnice już rozsiewające zapach dojrzewających owoców. To najpiękniej położone osiedle w Zielonejgórze, pomyślała z zazdrością policjantka. A ile trzeba zarabiać, żeby mieć za co kupić mieszkanie w Residences in Park? Ja, choćbym awansowała na dyrektorkę biura służby kryminalnej w komendzie głównej, mogłabym tylko marzyć o apartamencie na Wzgórzach Piastowskich.

– Uczciwie pracującego absolwenta uniwersytetu w Polsce nie stać nawet na najtańsze mieszkanie w bloku z pustaków – powiedział do niej komisarz Syski, gdy pierwszy raz była w jego gabinecie. Wtedy wydawało się jej, że naczelnik wydziału kryminalnego mówi tak, bo z jakiegoś powodu jest zgorzkniały, mimo to przyznała mu rację.

Karolina de Murville podeszła do furtki i wpatrywała się w kasetę bramofonu z klawiaturą cyfrową. Pierwszy raz widziała takie urządzenie. Któryś z dziesięciu guziczków trzeba wcisnąć, tylko który, żeby ktokolwiek się odezwał? Jeśli przypadek mi nie pomoże, będę stała przed bramką, aż ktoś zlituje się nade mną, pomyślała bardziej zawstydzona niż rozgoryczona. Akurat w tym momencie usłyszała zgrzyt i zobaczyła wolno przesuujące się skrzydło dużej bramy. Ucieszyła się, bo z garażu pod domem wyjeżdżał „garbus”, jaki jej się śnił jeszcze na studiach. Prawdę mówiąc, gdyby jakiś bogacz postawił przed nią ferrari, toyotę hilux z napędem na wszystkie koła i „garbusa”, i pozwolił wybrać, bez namysłu wsiadłaby do auta dla ludu. Pomarzyć można, bo na cudo motoryzacji zwane garbusem jej nie stać tak samo jak na najmniejszy apartament w Residences in Park.

– Czy pan jest stałym mieszkańcem tej rezydencji? – zapytała, chociaż powinna się domyślić, że skoro w biały dzień facet w lnianym garniturze wyprowadza auto z garażu, to nie z cudzego. Mężczyzna kiwnął głową. – A czy był pan w swoim mieszkaniu w sobotę przed południem?

– Wróciłem dopiero w niedzielę wieczorem. Prosto z Łagowa, pani policjantko.

– Po czym pan poznał, że jestem policjantką? – zacięła się, zaskoczona jego pytaniem.

– Tak wam wciskają procedury, że zachowujecie się jak półautomaty. Na temat morderstwa w mieszkaniu profesora Witkowskiego nic nie mogę powiedzieć. Nie kojarzę denatki, chociaż pewnie ją spotkałem. Czy ma pani jeszcze jakieś pytanie, bo spieszę się na spotkanie z kobietą?

Karolina de Murville machnęła ręką niezadowolona z jego odpowiedzi. Nigdy nie lubiła mężczyzn pewnych siebie, a ten wydał jej się nie tyle arogancki, co próżny. Musi mu się nieźle powodzić, dlatego lekceważy ludzi. U takiego nie chciałaby pracować nawet za duże pieniądze.

Właścicielka drugiego apartamentu na parterze również wróciła z Łagowa w niedzielę wieczorem. Drzwi do obu mieszkań na piętrze nikt jej nie otworzył. To samo było w środkowych budynkach. Dopiero w czwartym miała więcej szczęścia. Młoda kobieta z apartamentu pod trójką nawet zaprosiła ją do salonu i zaproponowała kawę, lecz na żadne pytanie nie odpowiedziała tak, jak tego oczekiwała policjantka. Syski kazał jej sprawdzić, czy ktoś obcy dostał się na posesję w piątek, sobotę lub niedzielę. Wspomniał o młodym mężczyźnie średniego wzrostu z wyraźnym pieprzykiem po prawej stronie nosa.

Podkomisarz przypomniała sobie o monitoringu. Przecież w Residences in Park muszą być kamery dozoru. Przy bramce widniała tablica firmy ochroniarskiej Grempler Security. Mimo popołudniowej pory policjantka zadzwoniła do jej szefa, a ten najpierw wił się jak piskorz, potem przyznał się, że skrzynki, które wiszą nad wejściem na podwórze i nad gankami, są puste.

– Wzorujemy się na miejskim monitoringu. Jeżeli pani jeździła Szosą Wrocławską na basen, to na pewno zdejmowała nogę z hamulca przy stadionie. Nie jest pani wyjątkiem. Każdy kierowca tak robi, bo myśli, że chwyci go fotoradar i cyknie fotkę, co kosztuje mandat i punkty karne. A to najzwyczajniejsza atrapa, ale jaka skuteczna, prawda? – roześmiał się dyrektor.

– Bierze pan pieniądze za coś, czego nie robi – naskoczyła na niego de Murville.

– Ludzie nie protestują.

– Bo nie wiedzą, że to oszustwo.

– A pani myśli, że jakbyśmy zainstalowali prawdziwe kamery w skrzynkach, to długo by tam stały? Zrobiliśmy tak przy szeregowcach na Waszczyka i nie ma po nich śladu.

– Wasza firma powinna nazywać się Grempler Wyrwigrosz – powiedziała z przekąsem, co jej się rzadko zdarzało.

– Pani podkomisarz nas obraża – rzucił dyrektor. Po chwili dodał głosem spokojniejszym, jakby się tłumaczył: – Gdybym na każdym osiedlu patrolowanym przez naszą firmę postawił po ochroniarzu, to też by niewiele pomogło. Dlaczego? Dlatego, że mieszkańcy apartamentów nie interesują się swoimi sąsiadami. Nie wiedzą, kim jest czy gdzie pracuje ten, który mieszka za ścianą. Ci z Niemena, z Moniuszki, z Malarzy, z Kamieni Szlachetnych, z Polanki sądzą, że jak ktoś wchodzi do budynku, to na pewno tam mieszka. Jeśli coś wynosi, to na pewno się wyprowadza.

– To znaczy, że puste skrzynki dają mieszkańcom osiedli złudne poczucie bezpieczeństwa – doszła do wniosku policjantka. – Taki pic na wodę?

– Przynajmniej dwa razy na dzień i raz w nocy patrolujemy okolice parku Piastowskiego. Przed każdym koncertem w amfiteatrze wkładamy kamery do

skrzynek. Chce pani przekonać się, że mówię prawdę? Proszę przyjechać do naszej siedziby i obejrzeć nagrania z ostatniej soboty.

De Murville nie odpowiedziała, tylko wyłączyła komórkę. Wcześniej doszła do wniosku, że szkoda jej czasu na rozmowę z dyrektorem.

ZIELONAGÓRA, UL. WANDY PONIEDZIAŁEK WIECZOREM

Musiałby ktoś mocno walić do drzwi, żeby Grzegorz podniósł się z krzesła i je otworzył. Wszystko, co się działo wokół niego, było nieistotne. Pozwolił błędzić myślom. Niczego nie słyszał, nawet sprzeczki w mieszkaniu nad nim, które wynajmowały dwie Ukrainki. Młodsza i ładniejsza, Łarysa, lepiej mówi po niemiecku niż po polsku. Gdy tylko Grzegorz wrócił ze Stuttgartu, zamienił z nią kilka zdań, ale starsza, podobno lekarka ze stopniem doktorskim, przerwała tę znajomość. Obie pracują jako salowe w klinice jednego dnia. Niedawno słyszał, jak sprzeczały się po ukraińsku, nawet zapamiętał kilka słów. *Kupyty, naszczo, siudy*¹. Teraz tamto nie było ważne, liczyła się odpowiedź na pytanie: kto i dlaczego zamordował matkę? Policja już zaczęła śledztwo, ale gdy doprowadzi je do końca, morderca może być daleko, nawet za granicą. Zresztą samo nazwisko to za mało, w sądzie trzeba dowieść, czy morderstwo zostało zaplanowane, czy było przypadkowe. Grzegorzowi coś podpowiadało, że ten, kto zabił jego matkę, zrobił to z premedytacją. Ten ktoś zabił ją, bo coś ważnego wiedziała, ale co? Odpowiedź na to pytanie może znać jedynie Witkowski.

Sięgnął po komórkę i gdy na wyświetlaczu pokazał się numer telefonu profesora, nie wcisnął zielonego guziczka. Znowu usłyszę, że za mało jestem z matką. Ona popija z tęsknoty do mnie. Jedyne dziecko powinien zawsze trwać przy matce, powie. Musisz częściej przyjeżdżać do Zielonejgóry. Pamiętaj, że najgorsza kobieta bywa najlepszą matką. Co innego ojciec.

Witkowski długo się nie odzywał. Gdy w końcu Grzegorz usłyszał jego chropawy głos, zaczął chaotycznie rzucać pojedyncze zdania. Nawet się nie jękał. O matce nie było ani słowa.

ZIELONAGÓRA, UL. WŁADYSŁAWA IV, PONIEDZIAŁEK, WIECZOREM

Nowakowski żałował, że nie spytał doktora Letzkiego o numer jego mieszkania. Asystentka prezesa Stonogi, która połączyła go z adiunktem, nie wiedziała, jak dojechać na Władysława IV. Dopiero ochroniarz wyjaśnił mu, że to ulica w pobliżu kampusu wydziałów politechnicznych uniwersytetu. Do połowy lat dziewięćdziesiątych poprzedniego wieku jej patronem był Feliks Dzierżyński, ale na fali usuwania wszystkiego, co powstało w poprzednim systemie politycznym, radni zielonogórcy zmienili nazwy ulic, w czym żona mecenasa Nowakowskiego jako

dyrektorka szkoły i nauczycielka historii ze stopniem doktorskim miała swój udział.

Nowakowski stanął przy konsoli domofonu i wpatrywał się w tabliczkę z trzema kolumnami klawiszy oznaczonych cyframi. Który do mieszkania Letzkiego? Najprostsze wyjście było takie: wdusić pierwszy z brzegu i gdy ktoś się odezwie, poprosić o otwarczenie drzwi. A jeśli ten ktoś będzie chciał wiedzieć, kim jestem? Wyjaśnię jak na spowiedzi, że do Letzkiego, to ten ktoś spyta, dlaczego nie dzwonię wprost do jego mieszkania. Nie wiem, pod którym numerem mieszka mój znajomy, przyznam się szczerze. Wtedy ten ktoś, z kim będę rozmawiać przez domofon, poradzi mi, żebym zadzwonił na komórkę doktora. Za komuny co rusz wprowadzano bzdurne rozporządzenia, ale ten, kto wymyślił przepisy o ochronie danych osobowych, pobił tamtych autorów na głowę.

Dziewczyna w wieku jego młodszej córki podeszła do konsoli, wcisnęła ostatni klawisz w środkowej kolumnie i natychmiast zazgrzytał zamek przy drzwiach.

– Zabiorę się z panienką – powiedział Nowakowski, ruszając za dziewczyną. Razem wsiedli do windy i gdy ona wdusiła guziczek oznaczony siódmką, spytał, czy wie, gdzie mieszka doktor Letzki.

– Drzwi na końcu korytarza, panie profesorze.

– Pani mnie zna?

– Jestem na trzecim roku prawa. Od października będę słuchała pana wykładów z prawa gospodarczego, a po studiach chciałabym się specjalizować w tej dziedzinie.

– A... – zaczął Nowakowski i zaraz umilkł.

– Pan Bogusław jest sąsiadem moich rodziców – kontynuowała studentka. – Kiedy godzinę temu wychodziłam z bloku, ktoś obcy wszedł do jego mieszkania.

Bogusław, a nie Bogdan? Aha, przypomniał sobie Nowakowski, Bogusław to urzędowe imię Letzkiego. Dla kolegów i przyjaciół jest Bogdanem. Zresztą skoro jako ewangelik świętuje urodziny, imię więc nie ma większego znaczenia.

– Wacek, dziś? – zdziwił się Letzki, gdy wyszedł na korytarz sprawdzić, kto wcisnął guziczek dzwonka. – Przecież umówiliśmy się na jutro.

– Nie zaprzeczam, ale wolę dziś.

– W takim razie... wejdź. Jest u mnie Remik. – Widząc zaskoczenie w oczach Nowakowskiego, wyjaśnił, że on i ksiądz Carewicz są przyrodnimi braćmi. Mają różne matki i tego samego ojca, którego nie widzieli od czasów przedszkolnych. Tego Nowakowski nie wiedział. Podejrzewał ich o skłonności homoseksualne, zwłaszcza że docent Rogala i Sasza nie kryli się ani nie zaprzeczali, co ich łączy. – Remik jutro jedzie do Warszawy po nominację profesorską. Zawsze gdy ma pociąg wcześniej z rana, u mnie nocuje. Stąd na dworzec dwadzieścia minut piechotą, a z Witaszkowa przez Gubin co najmniej godzinę samochodem. Przez Lubsko lepsza droga, ale dużo dalej.

– Nigdy nie mówiłeś, że Remik...

– Wejdź – Letzki otworzył szeroko drzwi – i mów, co cię sprowadza.

Nowakowski zastanawiał się, czy to, o czym Stonoga kazał mu porozmawiać z Letzkim, powinien słyszeć ksiądz Carewicz. Jeszcze nie powiedział, po co

przyszedł, może więc wymyślić jakiś inny powód niespodziewanych odwiedzin?

– Z całego serca ci gratuluję, Remiczku. – Nowakowski wyciągnął rękę w stronę księdza. – Jak przypuszczam, to pierwsze takie uznanie wśród duchownych w naszej diecezji.

– Dziękuję. Pierwsza nominacja i pierwsze gratulacje.

– Najtrudniej żyć wśród zazdrośników.

– Zazdrośnicy są wszędzie – odparł ksiądz, jakby usprawiedliwiał cały stan kapłański, i chciał jeszcze coś dodać, ale Nowakowski już zwrócił się w stronę Letzkiego.

– Sroki mieszkające na wieży ratuszowej skrzeczą, że coś nowego wymyśliłeś – powiedział, lekko przekrzywiając głowę.

– Bogdan wreszcie coś wymyślił? – zapytał z niedowierzaniem ksiądz Remigiusz.

– Jakaś rewolucję w produkcji implantów.

Letzki zrobił wielkie oczy. Po chwili namysłu wykrzyknął:

– Już wiem, o czym mówisz! W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach pomysłu jest mój, ale nie ja występuję jako autor.

– Twój szef?

Letzki kiwnął głową.

– Na uczelni jest jak w wojsku. Hierarchia...

– Struktura hierarchiczna jeszcze bardziej bywa dokuczliwa na najniższych szczeblach władzy kościelnej – wtrącił ksiądz Carewicz, dodając, że nawet dziekan przypomina mu o posłuszeństwie wobec biskupa, i choć to jego kolega z seminarium, zachowuje się jak sierżant w wojsku.

– To, co się u nas dzieje, można uznać za niepisane zasady obowiązujące na każdym uniwersytecie. Nigdy nie byłem w Cambridge, ale pewnie u nich adiunkt także jest zależny od profesora. Przyjmijcie, że tak jest również na Jagiellonce, Humboldcie, Łomonosowie, nawet na Harvardzie i Stanfordzie – powiedział Letzki bez cienia wątpliwości. – Miałem do wyboru: zgodzić się, żeby profesor był jedynym autorem patentu, albo iść z nim na udry. Przegrałbym i to byłby koniec mojej kariery na tej uczelni i na każdej innej w Rzeczypospolitej.

Ksiądz Carewicz nie miał wątpliwości, że tak by było. On też próbował postawić na swoim. Powinien być rezydentem w którejś z zielonogórskich parafii i wykładać w seminarium, na uniwersytecie, jeszcze gdzieś. Jest proboszczem, któremu konserwator zabytków nakazał przywrócić pierwotny wygląd świątyni, na co parafia nie ma pieniędzy. Nikogo nie pytając o zgodę, jego poprzednik polecił murarzom, żeby ukryli szkieletową konstrukcję ścian kościoła pod nowoczesnym tynkiem. Póki nie zmieni tego stanu rzeczy, będzie wiejskim proboszczem.

– Nad wynalazkiem pracowaliście jako osoby zatrudnione na uniwersytecie, wykorzystując uczelniane pomieszczenia i urządzenia napędzane prądem, za który zapłaciło państwo. Niech będzie, że Witkowski jest twórcą, ale zgodnie z prawem uniwersytet powinien być właścicielem praw autorskich i czerpać z tego korzyści. Profesorowi należy się najwyższej nagroda.

Książd Carewicz zrobił taką minę, jakby to, co powiedział prawnik, go zaskoczyło.

– A tak naprawdę czegoś odkrywczego dotyczy ten wasz wynalazek? – zapytał Nowakowski, udając, że niewiele go obchodzi patent i kto jest jego autorem.

– Najogólniej mówiąc materiałem stosowanym do produkcji implantów najczęściej jest stop z dużą zawartością kobaltu, chromu i niklu. Osoby uczulone na te metale chorują. O tym wie nawet lekarz rodzinny. Od lat na każdej konferencji ortopedzi błagają inżynierów i chemików o opracowanie nowego stopu do produkcji implantów.

– To aż takie trudne?

– Większość wynalazków to efekt przypadku.

– Tak się tylko mówi – wtrącił książd Remigiusz lekceważącym tonem.

– Zimą złamała mi się jedynka, poszedłem więc do dentysty. Kazał mi usiąść na fotelu, obejrzał to, co zostało, i powiedział, że po naprawie zęb może niczym się nie różnić od naturalnego, ale to będzie słono kosztowało. Tańsza jest korona metalowa, tyle że rzuca się w oczy. Zaproponował koronkę ceramiczną. Widać, że nie mój ząb? – Palcem wskazującym Letzki odchylił górną wargę i wyszczerzył zęby. – Tam, na fotelu u dentysty, wpadłem na pomysł, żeby zewnętrzną część metalowych implantów stawów biodrowych zastąpić stopem ceramicznym. Ponieważ metal nie będzie się stykał z płynami ustrojowymi, nie będzie dochodziło do jego korodowania. Po powrocie na uniwersytet swoim pomysłem podzieliłem się z profesorem.

– A on?

– Zrobił to, co robi każdy zwierzchnik młodszego pracownika nauki w uczelni akademickiej – dokończył Letzki kwaśnym głosem.

– Za głupotę trzeba płacić, Boguś. Witkowski opatentował wynalazek i mimo że nie postąpił *fair*, jest jego autorem i prawnym właścicielem. Możesz sprawę wnieść do sądu albo do urzędu patentowego, ale czy wygrasz? Zechcesz, mogę przygotować wniosek, ale nie będę twoim pełnomocnikiem. Póki Witkowski ma coś wspólnego z Olemedem, muszę żyć z nim w zgodzie.

– Żeby chodziło tylko o tę sprawę. Oto siedzi przed wami dubeltowy niedołęga – powiedział Letzki, uderzając się pięścią w piersi. – Mniej więcej w tym samym czasie, mówię o patencie na stop ceramiczny do stawów, uniwersytet kupił drukarkę przestrzenną. Natychmiast kolejka chętnych do jej wykorzystania zrobiła się na kilometr. Profesor nie wiedział, do czego to cacko służy. Wezwał mnie do swojego gabinetu i spytał, czy w pracy bioinżyniera można ją wykorzystać. Tak, szefie. Idealna do wytwarzania trójwymiarowych obiektów. Wyobrażam sobie to tak: osoba obsługująca tomograf podczas badania robi zdjęcia stawów, przekazuje je ortopedzie, a ten pocztą elektroniczną wysyła do producenta implantów. Wykonane protezy będą dokładnie takie same, jak zdrowe stawy, to znaczy identycznej wielkości i kształtu. Pomimo że wszyscy ludzie mają takie same biodra, zdarzają się niewielkie odstępstwa od normy. Czasem wywołuje to trudne do przewidzenia komplikacje. W tej kwestii drukarka 3D jest nie do zastąpienia.

– Witkowski także i tę wiedzę sobie przywłaszczył?

Letzki milcząco przytaknął.

– A gdybyś...

Ksiądz Carewicz westchnął z niedowierzaniem.

– Powiem wprost: przyszedłem do ciebie, Boguś, z propozycją od Olka Stonogi. Jego firma kupi od ciebie dokumentację na drukowanie implantów ortopedycznych. Dobrze zapłaci. Każdą cenę.

Letzki zaniemówił, ale zaraz pokręcił głową.

– Prawdopodobnie dokumentacja była w niebieskiej teczce w apartamencie profesora na Niemena. W sobotę zginęła.

– Policja musi ją odzyskać. Od tego jest – stwierdził Nowakowski.

Letzki widział poruszające się usta księdza, lecz go nie słyszał. Akurat w tym momencie przyszedł mu do głowy pomysł, na jaki by nie wpadł, gdyby nie propozycja Nowakowskiego. Witkowski pożałuje, że go okradł, a jeśli nie uda się odzyskać dokumentacji, to Letzki ją odtworzy z pamięci. Uśmiechnął się sam do siebie i ku zaskoczeniu przyrodniego brata złożył dłonie jak do modlitwy.

Skoro pracownikom laboratorium w Gliwicach udało się wyhodować arkusze skóry na podłożu hydrofilowym, a lekarzom z Siemianowic przenieść je na ciało poparzonego pacjenta tak, że spełniają swoją fizjologiczną funkcję, to i powinno się udać wyhodować tkankę kostną. Zresztą już to się robi na bazie komórek macierzystych. W takim razie niedługo będzie możliwe zastąpienie mieszanek ceramicznych wyhodowaną w laboratorium tkanką kostną i za pomocą drukarki przestrzennej nowego typu odtworzenie zużytych stawów biodrowych.

– Z czego tak się cieszysz? – zapytał ksiądz Remigiusz.

– Przyszedł mi do głowy pomysł, przy którym to, co ukradł profesor, jest bez znaczenia – odparł doktor Letzki i uśmiechnął się zagadkowo.

– Jaki?

– Na razie niech to pozostanie moją tajemnicą.

ZIELONAGÓRA, UL. DWORCOWA, PONIEDZIAŁEK, PÓŹNYM WIECZOREM

– Po coś te bohomyzy wycięła? Potrzebne ci do szczęścia? Jeden malunek Kossaka można wstawić do Desy, pewnie znajdzie się amator, ale pejzażyki jakiegoś Dudy Gracza? Dwa prawie takie same. Normalny człowiek wie o nim mniej niż ty o profesorze Hagensie. Jeszcze jakby w wartościowych ramach. Co zrobisz z tymi landszaftami? Wywal to! – rzuciła głosem apodyktycznym starsza, ta o twarzy mężczyzny, z tatuażem na szyi. Często tak się zachowywała.

– A ty dlaczego połakomiłaś się na skorupy? – broniła się okularnica. – Gdyby to były rosenthale czy, ja wiem, coś z Miśni... O, oryginalny Bolesławiec albo Ćmielów! A jeszcze lepiej jakaś teryna czy żardinierka z serwisu Łabędziego Brühla.

Znasz kogoś, kto słyszał o Carstens Porzellan Sorau? Co to za manufaktura?

– Tej samej rangi co Miśnia. A może i cenniejsza, bo nie istnieje.

– Mnie kawa najlepiej smakuje z półlitrowego kubka. Jak stłucze się duralex, przynajmniej go nie szkoda. Co zrobisz z filiżaneczkami? Może podarujesz je Kulschmannowi? Proszę, doktorze, to ode mnie z nadzieją na kontynuowanie tak dobrze rozpoczętej współpracy.

– Zaniosę je do Desy. Gotóweczka będzie od ręki – odpowiedziała starsza, przypatrując się posrebrzanemu dzbanuszkowi, który od spodu zaczął rdzewieć, co oznaczało, że to falsyfikat. – Niestety, tę podróbkę będę musiała sobie zostawić.

Na drugim łóżku okularnica oglądała broszki i kolczyki. Postanowiła, że szkatułkę, chociaż pewnie także ma swoją wartość, wyrzuci do pojemnika na śmieci zaraz za dworcem autobusowym.

– Tu pójdziesz do Desy ze skorupami? Chcesz, żeby cię przydupili? – spytała okularnica głosem ostrzegawczym.

– Po niedzieli wyskoczę na dzień do Poznania albo do Wrocławia. Nawet mogę jechać do Gdańska. Znam tam kogoś na Świętego Wojciecha. Zanim ty się pojawiłaś w moim życiu, z nią byłam. Przejedziesz się ze mną do Gdańska? Zatrzymamy się w jakimś hotelu przy drodze i będzie fajnie.

– Fajnie to dopiero będzie, kiedy Kulschmann da nam tyle, ile obiecał, i powie *Auf Wiedersehen*. Już się nie znamy.

– Da dopiero wtedy, kiedy sfinalizujemy ostatnie zadanie.

– A może lepiej wyjdziemy na tym, jak porozmawiamy ze starym, co? I będzie po chrześcijańsku.

– Świeć, dobry Panie, nad jego duszą – roześmiała się okularnica i zrobiła ręką znak krzyża w powietrzu.

– Po co mu pomarszczony staruch? Ile on ma lat? Sześćdziesiąt? Troszkę więcej? To wapno. W każdej chwili może kofnąć.

– Tyś taka bystra, a nie domyślasz się, o co chodzi Kulschmannowi?

– Ani w ząb – przyznała się okularnica.

– Profesor ma coś tak przedniego, co jest warte każdych pieniędzy.

– Głowę zapchaną pomysłami profeserek rzeczywiście ma. Skąd mu się to bierze? Młodszy, na przykład Letzki, rozumiem, ale w tym wieku? Ile on jeszcze pożyje?

– Tym niech się martwi Kulschmann.

– Pewnie po śmierci odda ciało Witkowskiego do Plastinarium. Taki profesor zasługuje na uwiecznienie.

– To dlatego w nocy z piątku na sobotę znowu mamy wpaść do Jodłowa? – spytała starsza.

Okularnica nie odpowiedziała, bo rozjaśnił się wyświetlacz komórki leżącej na stoliku przy jej łóżku, a chciała powiedzieć, że gdyby była na miejscu Kulschmanna, dałaby spokój profesorowi. Zainteresowałaby się doktorem Letzkim. Jest dużo młodszy, jeszcze kawaler, i ma w głowie nie mniej pomysłów niż profesor. Gdy przesunęła zieloną ikonkę w prawo, usłyszała głos Adama Kulschmanna:

– Jutro rano zadanie numer drugi. Robota na drodze. Będę czekał w lesie za obwodnicą Zielonejgóry. Stamtąd do granicy macie około setki. Pamiętajcie: powrót przez Zasięki – Forst. Nigdy przez Gubin czy Gubinek. Aha, wcześniej zabierzcie swoje bambetle z pokoju i nie zapomnijcie zapłacić za hotel. Żadnych napiwków.

GUBEN, ALTE POSTSTRASSE, PONIEDZIAŁEK, PÓŹNYM WIECZOREM

Vanessa siedziała przed telewizorem i malowała paznokcie, ale uszy skierowała w stronę przedpokoju. Gdy Adam wrócił do salonu i usiadł obok niej na kanapie, udała, że nie słyszała, co mówił przez komórkę. Nawet nie spytała, z kim rozmawiał. Pomyślała tylko, że Witkowski będzie jej wdzięczny, kiedy się dowie, kto uratował mu życie i co go czeka. Od jutra staruszek zrobi wszystko, co mu każe. Jeszcze tylko muszę zadzwonić do okularnicy. Ona bardzo potrzebuje pieniędzy. Taka nie odmówi, choćby miała zabić. Kobiety są okrutniejsze niż mężczyźni.

– Jeszcze niedawno kobiety malowały paznokcie tylko na czerwono lub pociągały je bezbarwnym lakierem. Teraz malują na różne kolory, coraz częściej na czarny. Gdy patrzę na twoje ręce, to widzę łapy drapieżnego zwierzaka – powiedział Adam, wskazując na rozcapierzone palce dłoni Vanessy.

- Mężczyźni niewieścieją, więc kto, jeżeli nie kobiety, ma przejmować ich rolę?
- Matriarchat już był.
- Historia lubi się powtarzać.
- Za drugim razem zazwyczaj jako farsa.

Vanessa zmierzyła Adama krytycznym spojrzeniem, po czym wstała bez słowa i poszła do sypialni. Rozmowy takie jak ta zawsze kończyły się sprzeczką, a ona nie chciała wadzić się z mężem. Teraz musi zadzwonić do okularnicy.

ZIELONAGÓRA, UL. PROF. ZYGMUNTA SZAFRANA, WTOREK, PRZED POŁUDNIEM

Wczoraj naczelnik Syski kazał Araszkiewiczowi wezwać Witkowskiego do komendy na przesłuchanie. Nie miał podstaw, żeby podejrzewać profesora o zamordowanie gosposi, wolał jednak dmuchać na zimne. To w razie, gdyby prokurator zarzucił mu niedopełnienie obowiązków, co Ostrouchemu zdarzało się coraz częściej. Po rozmowie z Grzegorzem Wieczorkiem komisarz zmienił swoją decyzję.

– Sam pojedę na uniwersytet i tam porozmawiam z profesorem. Przy okazji popytam, co to są implanty ortopedyczne, bo może na starość coś takiego będzie mi potrzebne – powiedział do aspiranta.

Araszkiewicz się ucieszył, gdy to usłyszał, bo nie wiedział, o co spytać Witkowskiego. Mimo dwunastego roku pracy w wydziale kryminalnym i corocznych szkoleń, nawet zastępowania Syskiego, nie mógł się przyzwycząić do tego, że ma

prawo zadawać pytania i domagać się odpowiedzi. Oraz, do czego ze wstydem przyznał się komisarzowi, nigdy nie wie, czy osoba przesłuchiwana przed nim coś ukryła. Syski powtórzył mu to, co słyszał tyle razy, że zadaniem policji kryminalnej jest wskazać przestępcę i zdobyć niepodważalne dowody jego winy. Czasem, ale to rzadko bywa, wystarczą poszlaki. Reszta należy do prokuratora i sądu.

Przez telefon Syski umówił się z Witkowskim na spotkanie o dziesiątej. Obiecał, że zajmie profesorowi nie więcej niż kwadrans. Przyjechał pół godziny wcześniej do kampusu politechnicznego, żeby nacieszyć oczy chlubą miasta, jak o uniwersytecie pisały gazety, i sprawdzić, co się zmieniło od dnia, kiedy był w tym miejscu ostatni raz. Wtedy, pięć lat temu jednego popołudnia udało mu się wskazać mordercę studentki ostatniego roku astronomii. W kampusie zmieniło się dużo, ale przede wszystkim przybyło budynków. Nawet starsze gmachy, teraz otulone taflami kolorowego szkła, odmłodziły. Tylko galeriowiec dawnego rektoratu, gdzie teraz był wydział prawa, nie poddawał się nowoczesności. Pomimo wakacji studenckich wzdłuż uliczek ciągnęły się paciorki aut, w większości poobijanych, podrapanych, okurzonych, z wgnieceniami. Siedmioletnia fabia Syskiego wyglądała przy nich jak maturzystka na zjeździe kombatanów. Na parkingu wyznaczonym dla samochodów pracowników wydziału mechanicznego nie dostrzegł czarnej octavii, którą wczoraj Letzki przywiózł profesora na Niemena.

– Wiem o wizycie pana komisarza – pochwaliła się szatynka w bluzce zapiętej pod szyją, zaraz po tym, jak Syski wszedł do sekretariatu zakładu bioinżynierii i się przedstawił. – Szef jest człowiekiem starej daty, a tacy nigdy się nie spóźniają. Dziś jednak coś z nim nie tak. Nawet komórki nie odbiera. Dzwoniłam do Olemedu, gdzie lubi zajrzeć z rana, ale i tam jeszcze go nie było.

– Czym zajmuje się Olemed? – zapytał policjant. To samo pytanie zadał zastępcy komendanta, a ten, mimo że niewiele wiedział, próbował być przewodnikiem po firmie. Zastępca zawsze udawał pierwszego po bogu.

– Na razie Olemed jest producentem implantów ortopedycznych do leczenia operacyjnego uszkodzeń kręgosłupa i jego deformacji. Na razie. Bo zaczyna robić endoprotezy stawów kolanowych i biodrowych. Społeczeństwo polskie się starzeje, dlatego zapotrzebowanie na te urządzenia rośnie szybciej niż na implanty kręgosłupowe. Kampanie w telewizji i radiu spowodowały, że młodzi ludzie zanim skoczą do wody, pomyślą, a to oznacza mniej złamanych kręgosłupów. Ale starości nie zatrzymają nawet najbardziej przekonujące kampanie. Skoro przybywa emerytów, to większego znaczenia nabiera gerontologia i medycyna regeneracyjna. Już wzrasta popyt na laski i podpierałka, wózki inwalidzkie, wszelkie implanty, a szczególnie stawów. Wyraźnie to widać w środowisku uniwersyteckim – odpowiedziała sekretarka. – Olemed jest najlepszą firmą tej branży w kraju i należy do grona wiodących w naszej części Europy. Na rynku medycznym konkuruje z niemieckimi producentami, mając za najpoważniejszego rywala Kulsch Medizintechnik. Większość zatrudnionych w niej inżynierów to absolwenci naszego zakładu. Profesor Witkowski jest głównym konsultantem w Olemedzie i z pewnością autorytetem, którego zdania dotąd nikt nie miał odwagi skrytykować. Podobno jego nazwisko

znalazło się na liście kandydatów do Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny i fizjologii. Czy zostanie laureatem, przekonamy się w październiku.

– Wiedziałem, że kiedyś Zielonagóra słynęła z wagonów, mierników elektrycznych, mebli, dywanów i materiałów na ubrania. Większość tamtych firm przeszła do historii, wyłączając fabrykę wódek. Teraz na plan pierwszy wysuwają się producenci oprogramowania do komputerów, systemów pomiarowych, klimatyzacji, sterowników i czujników. Nie wiedziałem, że tu też się robi implanty ortopedyczne – przyznał się komisarz.

– Założyciel i właściciel Olemedu, Aleksander Stonoga, po studiach rozpoczął pracę w naszym zakładzie bioinżynierii medycznej i gdyby nie to, że córka siostry pana profesora urodziła się ze skoliozą, dziś pewnie byłby doktorem habilitowanym. Miałby tycie mieszkanko w bloku, jeździł rękem i łapał każdą okazję, żeby zarobić na utrzymanie rodziny. Doktor Stonoga jest przykładem człowieka, któremu udało się przebić głową mur. Udowodnił tym, którzy uciekli do Warszawy czy Poznania, że poza wielkimi miastami można osiągnąć sukces na miarę światową. Proszę sobie wyobrazić, że ostatnio został wyróżniony Złotym Laurem Umiejętności i Kompetencji. Wcześniej dostał Geparda Biznesu, Złotego Eskulapa... Nie potrafię policzyć, ile razy był na listach najbardziej innowacyjnych przedsiębiorców w środkowej Europie. Oczywiście jest w tym olbrzymia zasługa profesora Witkowskiego. Czy pan wie, że wielu absolwentów naszego zakładu pracuje w Niemczech, Szwajcarii, nawet w Össur Corporate w Islandii? A doktor Madej, zanim został współwłaścicielem Kulsch Medizintechnik, konstruował niemal niezawodne implanty kręgosłupowe. Po śmierci profesora Kulschmanna ożenił się z wdową i przyjął jej nazwisko. Wszystko po to, żeby utrzymać prestiż firmy i nie stracić zaufania u ortopedów. Ostatnio za namową profesora Witkowskiego przeniósł siedzibę firmy do wschodnich Niemiec, do Guben, gdzie koszty produkcji są dużo mniejsze niż w Badении-Wirtembergii. – Syski pokazał na zegarek. Sekretarka zrozumiała, że mocno się rozgadała. – Przepraszam, o osiągnięciach naszych absolwentów to ja mogę... Pana to pewnie nudzi. Proszę więc usiąść i przejrzeć gazetę. Zaparzę kawę. „Gazeta Zielonogórska” leży na stoliku. Ale zanim podam kawę, dodatkowa uwaga. Proszę sobie wyobrazić, że w Zielonejgórze ma swoją siedzibę jeszcze jedna firma rangi światowej. Założyli ją młodzi naukowcy z naszej uczelni dlatego, że nie mogli wyżyć za to, co zarabiali na uniwersytecie. Tak to niedostatek przyczynia się do rozwoju przedsiębiorczości na najwyższym poziomie – powiedziała i dodała, że Witkowski na pewno zaraz przyjdzie.

Komisarz pomyślał, że profesorowie uniwersyteccy są jeszcze bardziej bezkarni niż biskupi. Studenci nie odważą się zwrócić im uwagi, a tym bardziej asystenci czy adiunkci. Dziekanom zależy na tym, żeby wydziały miały jak najwięcej samodzielnych pracowników nauki i było o nich głośno, a rektorzy są daleko.

Pijąc kawę, Syski przeglądał gazetę. Czytał jedynie to, co go zaciekało. Nie dostrzegł choćby jednej notatki podpisanej inicjałami (daj). W „Zielonogórskiej” nie było kroniki kryminalnej, jakby wczoraj nie zdarzył się nawet jeden wypadek, nikt nikogo nie potrafił na przejściu dla pieszych, nie okradł, nie napadł, nie wyłudził

pieniędzy, nie pobił, nie sprzedawał narkotyków. Nawet w Boże Narodzenie policja ma co robić, a na oddziale ratunkowym szpitala uniwersyteckiego jest ruch niewiele mniejszy niż w inne dni.

Dopiero teraz komisarz zdał sobie sprawę z tego, że Daniel Jung nie telefonował ani wczoraj, ani dziś. Zachorował? Wyjechał? Obraził się? To ja powinienem na niego się dąsać. Syski nie miał za złe Jungowi, że w reportażu o byłym pośle Kunickim wytknął prywatę prokuratorowi i szefowej Partii Demokratycznych Obywateli, lecz że obok Carewiczów umieścił jego nazwisko. Komisarz nie czuł się winny, bo sumiennie zrobił to, na co mu pozwolono, jednak wstydził się swojego zachowania. Mógł zacząć śledztwo nie tak, jak nakazał mu komendant, ale wtedy nie doprowadziłby sprawy do końca. Może nawet przestałby kierować wydziałem. Po blisko trzydziestu latach pracy w pionie kryminalnym zostałyby wcześniejszym emerytem albo urzędnikiem w zespole komunikacji społecznej.

– Czekam już pełną godzinę – przypomniał sekretarce, pokazując głową na zegar nad drzwiami.

– Kiedy pan był zajęty czytaniem gazety, próbowałam skontaktować się z profesorem. Niestety, bez rezultatu. Martwi mnie, co się mogło stać. Przecież pan profesor jest taki słowny.

Syski pomyślał, że Witkowski stchórzył, bo ma coś na sumieniu. Pewnie byłoby lepiej, gdybym przyjechał na uniwersytet bez uprzedzenia, ale wtedy mógłby zasłonić się brakiem czasu na rozmowę.

– A gdyby pani zadzwoniła do żony profesora – odpowiedział sekretarce.

– Z nią także próbowałam się połączyć. Prędzej człowiek wygra milion w totka niż dodzwoni się do pani Celiny. Na lato profesorstwo przenoszą się do Jodłowa. Tam nie w każdym miejscu jest zasięg. Kto ma numer w starszej sieci, bez trudu można się do niego dodzwonić. Pani Celina jednak zmieniła sieć. Dopiero gdy wyjdzie przed domek, kontakt z nią przez komórkę jest możliwy. I też nie zawsze.

– Czy wczoraj Grzegorz Wieczorek kontaktował się z profesorem? Osobiście albo przez telefon? Może w inny sposób? – zapytał, chociaż nie wiedział, jaki może być inny sposób.

– Niedługo po tym, jak pan prosił o połączenie z profesorem, zadzwonił ktoś, kto przedstawił się jako Wieczorek. Oczywiście połączyłam. Musiała to być niemiła rozmowa, bo gdy szef ją skończył, natychmiast wyszedł ze swojego gabinetu i nie wrócił. Profesor był wzburzony.

– Wyjaśnił, dokąd idzie? Kiedy wróci? Gdzie go szukać? Może z twarzy dało się odczytać, co go tak zdenerwowało, jeśli naprawdę był zdenerwowany?

Sekretarka pokręciła głową i powiedziała:

– Był cholernie wzburzony, mimo to udawał spokojnego. Za dobrze znam szefa, żeby nie wiedzieć, kiedy jaki jest.

– Powiedziała pani, że ten, kto zadzwonił, przedstawił się jako Wieczorek.

– Dawniej Grześ czasem tu zaglądał. Wszyscy wiedzieliśmy dlaczego. Od kiedy wyjechał na studia w Niemczech, nie przychodzi do nas, a jeśli dzwoni do szefa, to

pewnie na komórkę albo kontaktuje się w inny sposób. Dawno go nie widziałam i nie słyszałam, uważam jednak, że osoba, która przedstawiła się jako Wieczorek, to nie był Grześ. Mimo że mówiła grubym, męskim głosem, dałabym sobie rękę uciąć, że nie była mężczyzną. Panie komisarzu, to była kobieta.

– A czy ktoś z kimś z zakładu albo z uczelni profesor ma, że tak się dosadnie wyrażę, na pieńku? Pani rozumie, o co mi chodzi?

– Zazdrość wśród pracowników tego uniwersytetu jest taka sama jak wśród pracowników innych uczelni. Na przykład doktor Letzki... Ale to nic poważnego.

– Co takiego?

– Chodzi o to, że podobno doktor Letzki opracował nową czy zmodyfikował starą metodę produkcji implantów. Profesorowi pomysł się spodobał, tyle że...

– ...siebie dopisał do nazwiska wynalazcy – dokończył komisarz, a sekretarka nie zaprzeczyła i spuściła głowę.

ZIELONAGÓRA, UL. WĄSKA, WTOREK, W POŁUDNIE

Odprawa rozpoczęła się zaraz po powrocie Syskiego do komendy. Komisarz zapowiedział, że będzie trwała najwyżej dziesięć minut, z czego najbardziej cieszył się Łukasz Biały. Za dwa tygodnie skończy praktykę i żeby Bóg wie co komendant mu obiecał, nie zostanie psychologiem policyjnym.

– Ludzie są przemęczeni, bo jest nas za mało w wydziale – utyskiwał aspirant Araszkiewicz i zanim dopuścił Syskiego do głosu, dodał, że Karolina nie najlepiej się czuje.

– Czyżbyś była w stanie błogosławionym? – zapytał ją bystro komisarz, puszczając oko do Araszkiewicza. – Jeśli to prawda, masz prawo nie tylko czuć się gorzej.

Karolina zaczerwieniła się, spiorunowała wzrokiem Araszkiewicza i dopiero wtedy zaprzeczyła.

Praktykantka Dominika oznajmiła, że w czasie upałów nie potrafi się skupić.

– Gdy panują wysokie temperatury, pracodawca ma obowiązek zapewnić zimne napoje zatrudnionym. Policja wymaga od obywateli przestrzegania prawa, a sama lekceważy podstawowe przepisy dotyczące pracowników – dodała stażystka Natasza, wachlując się zeszytem.

Ta Natasza da mi jeszcze popalić, pomyślał komisarz. Pomimo że Araszkiewicz otworzył dwa okna i drzwi na oścież, w pokoju trudno było wytrzymać, tak było gorąco. Okna wychodzą na park od strony południowej. O przenośnych klimatyzatorach komisarz Syski próbował rozmawiać z naczelnikiem wydziału gospodarczego, lecz ten odesłał go do zastępcy komendanta. Podinspektor uznał, że sprawę trzeba załatwić kompleksowo, to znaczy należy wystąpić do komendy wojewódzkiej o dodatkowe pieniądze, ale nie w tym roku, bo przecież połowa

sierpnia i niedługo skończy się prawdziwe lato. Gdy zaczną się jesienne chłody, policjantki będą się domagały włączenia centralnego ogrzewania, a zgodnie z przepisami można je uruchomić dopiero, gdy przez trzy kolejne dni temperatura w pomieszczeniu spadnie poniżej dwudziestu stopni. Te bardziej przedsiębiorcze przyniosą elektryczne podgrzewacze ze swoich domów i awaria sieci murowana. Będzie jeszcze gorzej.

– Chociaż żaluzje czy rolety – skomlił Syski. – Mogą być najtańsze zasłonki z chińskiego sklepu.

– Jeśli pozwolę na założenie żaluzji w waszej sali odpraw, to zaraz odezwą się inni naczelnicy, dlatego akurat kryminalnych wyróżniłem. Niech pan zwołuje odprawy rano albo późnym wieczorem – poradził zastępca.

Syski mógłby to powtórzyć właśnie teraz, ale co by to dało? Powiedział, że ponad godzinę stracił w sekretariacie zakładu bioinżynierii medycznej, bo profesor Witkowski nie przyjechał na umówione spotkanie.

– Mówiłem, żeby do nas go wezwać – przypomniał Araszekiewicz. – W tej Saharze nawet laureat Nagrody Nobla zmięknie.

– Najpierw trzeba dowiedzieć się, dlaczego dziś Witkowski nie pojawił się na uniwersytecie. Żadna komenda powiatowa ani nasza drogówka nie potwierdza zatrzymania czarnej octavii do kontroli. Tego lata między Jodłowem a Zieloną Górą nie doszło nawet do stłuczki. Dlatego zaraz po odprawie pojedę do Jodłowa. Wasze zadanie – pokazał na Karolinę i Araszekiewicza – miejcie baczenie na Grzegorza. Wieczorka Grzegorza. I niech dzielnicowy z Szarych Szeregów, bo to chyba jego rejon, nie spuszcza go z oka.

– Czyżby właśnie jego pan komisarz...?

– Nie mamy żadnych dowodów – Syski natychmiast przerwał Nataszy.

– Mimo to jednak powinniśmy przejrzeć sobotnie nagrania monitoringu z parkingu przed amfiteatrem.

– Słusznie – komisarz pochwalił Karolinę. – Tym bardziej że Grzegorz był na koncercie Budki Suflera.

– To fajnie – rzuciła Karolina trochę bez sensu.

– To fajnie – powtórzył komisarz jak echo i puścił do niej oko. Nie przewidział, że Natasza zwróci na to uwagę.

JODŁÓW, OS. OLSZOWE,
WTOREK, PO POŁUDNIU

Sprzedawczyni w sklepie spożywczo-przemysłowym, przed którym Syski zatrzymał fabię, nie wiedziała, jak trafić do domu Witkowskiego. Radziła, żeby policjant poszedł na osiedle Sosnowe i zapytał sołtysa, ale pewnie o tej porze pomaga on żonie sprzedawać lody nad jeziorem, bo pełnia sezonu i każdy chce zarobić. Zimą żywej duszy nie będzie w Jodłowie. To znaczy pozostanie garstka miejscowych, którzy za

niemałe pieniądze pilnują opustoszałych domków niemieckich emerytów.

– Profesor jest raczej średniego wzrostu, bardziej siwy ode mnie, wąsaty, z wyglądu może mieć około sześćdziesiątki, jeździ czarną škodą octavią – tłumaczył komisarz, sądząc, że po tym sprzedawczyni przypomni sobie, gdzie stoi domek Witkowskiego.

– Panie władzo, kogo było stać na letni dom w Jodłowie, ten nie jeździ fiacikiem. Tu każdy ma jak nie toyotę to coś jeszcze lepszego. Tylu drogocennych samochodów, ile latem jest w Jodłowie, nie spotka pan nawet na parkingu przed Rubenem, a to najdroższy hotel w Zielonejgórze. Pan nie ma pojęcia, jak ludzie są bogaci – stwierdziła sprzedawczyni, przeciw czemu komisarz nie zaprotestował. – A ja świątek – piątek zaiwaniam. I co z tego mam? W niedzielę człowiek powinien iść do kościoła, odpoczywać albo... Myśli pan, że nie chciałabym poleżeć nad jeziorem jak te rozlazłe ropuchy, co biorą niemieckie emerytury.

– Trzeba było wydać się za Niemca – odezwał się mężczyzna z plastikowego krzesła w kąciku, pijący piwo prosto z butelki. Do Syskiego powiedział, żeby zostawił fabię przed sklepem i piechotą ruszył wzdłuż szutrówki. Gdzie stoi domek Witkowskiego, on też nie wie i nie słyszał tego nazwiska. Idąc w stronę jeziora, policjant będzie spotykał letników. – Niech pan pyta. W końcu ktoś mu powie. Jak to mówią, koniec języka za przewodnika.

Podpowiedź okazała się strzałem w dziesiątkę. Zaraz za przystankiem autobusowym kobieta w kapeluszu z szerokim rondem i okularach przeciwsłonecznych kazała mu iść do rozwidlenia dróg, a stamtąd prosto w dół. Po prawej stronie stoi kilka podobnych do siebie domków.

– Nawet płoty mają identyczne. W tych samych miejscach anteny satelitarne. Wszystko to domki wychowanków i znajomych profesora Witkowskiego – dodała przyciszonym głosem, jakby zdradzała jakąś tajemnicę. – Ten, który pana interesuje, stoi przedostatni. Za nim jest tylko mojego syna. Profesorową widziałam w warzywniku przed domem. Zbierała pomidory. Pewnie będzie robiła przecier. Pozna ją pan po turkusowej chustce na głowie.

Syski pierwszy raz był w Jodłowie. Daniel Jung trochę mu opowiadał o letnisku, ale komisarz nie przypuszczał, że to aż tak urokliwy zakątek. Latem najczęściej bywał nad śródleśnym jeziorem Dąbie, odległym o dwadzieścia minut jazdy asfaltówką z Zacisza. Jeśli sobotę miał wolną od rana, wyjeżdżał z żoną do Łagowa. Zawsze wracał niezadowolony i powtarzał, że nigdy jego noga nie stanie na łagowskim bruku. Kawiarnie, lodziarnie, nawet place przy budkach z kiełbaskami zajmowały ławice rozwrzeszczanych młokosów. Kto chciał wejść do restauracji w porze obiadowej, musiał cierpliwie stać w kolejce. Tylko raz udało mu się wypożyczyć kajak i wtedy przez pół godziny pływał po jeziorze. W najbliższą sobotę namówię żonę na wyjazd do Jodłowa, postanowił i zaraz dodał zastrzeżenie: jeśli nie zdarzy się nic takiego, co wezwie mnie do komendy.

Syski nie miał wątpliwości, że kobieta w turkusowej chustce na głowie, zrywająca pomidory do koszyka za ogrodzeniem przedostatniego domku, to profesorowa. Przedstawił się, pokazał legitymację i spytał ją o nazwisko, a kiedy je wymieniła,

powiedział, że chciałby porozmawiać z Bolesławem Witkowskim.

– O tej porze mąż jest w Zielonejgórze. Wróci przed wieczorem.

– Kiedy pojechał?

– Jak, kiedy pojechał? – Witkowska zrobiła pytające oczy. – Przecież przed chwilą powiedziałam. O siódmej trzydzięci. To jego codzienna godzina wyjazdu do pracy.

Dopiero teraz Syski wyjaśnił, co kazało mu przyjechać do Jodłowa.

– W zakładzie bioinżynierii nie było profesora. Sekretarka dzwoniła do Olemedu. Tam też go nie było. Nie odebrał komórki. Prawdopodobnie wyczerpała się bateria.

– Gdy mąż ma czymś zajętą głowę, co mu się często zdarza, potrafi tak się wyłączyć, że nic do niego nie dociera.

– Przed południem próbowałem skontaktować się z panią, ale to też okazało się niemożliwe. Pani również nie odbierała komórki.

– Muszę wrócić do Plusa. Dałam się namówić takiemu jednemu z Pol-Mobile czy jakoś podobnie, że jak przejdę do nich, to będzie dużo korzystniej. Zgodziłam się, owszem, jest taniej, ale nie z każdego miejsca mogę rozmawiać, bo okazało się, że nie wszędzie dociera sygnał. Sprzedawca nie powiedział mi, że ta nowa sieć dopiero w przyszłym roku postawi wieżę przekaźnikową między Sławą i Jodłowem – poskarżyła się profesorowa, co komisarza nie zaskoczyło. Wiele starszych osób daje się nabrać wygadany sprzedawcom.

– Czy mąż powiedział, jaki ma plan na dziś?

– Nigdy nie pytam, a mąż nie ma zwyczaju opowiadania o swojej pracy. Nawet o tym, że dostanie nagrodę ministra zdrowia za jakąś rewelacyjną metodę produkcji endoprotez stawu kolanowego, dowiedziałam się od doktora Stonogi, właściciela Olemedu. Po trzydziestu latach małżeństwa przyzwyczałam się do takiego postępowania.

Mądrzy ludzie zazwyczaj nie chwalać się tym, co mają w głowach, pomyślał Syski. W Polsce poznaje się ich po skromności i nieśmiałości.

– A czy mąż powiedział, że w mieszkaniu należącym do państwa przy Niemena prawdopodobnie doszło do morderstwa?

– Morderstwo w naszym apartamencie? Pan żartuje, prawda? – wybuchła śmiechem Witkowska i natychmiast spoważniała. – Kto i kogo miałby zamordować, skoro ja...?

– Na pewno wczoraj wieczorem ani dziś rano mąż nic na ten temat nie...?

– Aha, Boluś kogoś zamordował w naszym apartamencie? – nie dała mu dokończyć. – Kogo, jeśli to nie jest tajemnica policyjna?

– Nie mam podstawy twierdzić, że Bolesław Witkowski kogoś zamordował. Powiedziałem, że w mieszkaniu należącym do państwa przy Niemena prawdopodobnie doszło do morderstwa. Znaleźliśmy tam martwe ciało kobiety. Co to było: morderstwo czy nieszczęśliwy wypadek, będę wiedział po sądowej obdukcji.

Witkowska chwyciła się lewą ręką za ogrodzenie.

– Rzeczywiście zaraz po powrocie z pracy mąż był jakiś taki... Nie chciał jeść kolacji, nie oglądał Faktów, co jest rytuałem jak niedzielna msza święta, nawet nie

wybrał się nad jezioro. Prosto z podwórza poszedł do swojego pokoju i pewnie coś czytał. Rano tylko wypił herbatę – powiedziała tonem zaniepokojonym, jakby dopiero teraz wyciągnęła wnioski z tego, co wczoraj zaobserwowała.

– Od pierwszego maja do końca września państwo mieszkają w Jodłowie. Kto w tym czasie zagląda do mie... apartamentu? – Syski chciał sprawdzić, czy Witkowska potwierdzi to, czego już się dowiedział.

– Opiekunka.

– Stanisława Wieczorek?

– Pan zna naszą Staszkę? A skąd?

– Stanisława Wieczorek została znaleziona martwa w mieszkaniu należącym do państwa.

– W naszym apartamencie martwa Staszka?

– Przy Niemena. W Residences in Park.

– Pan żartuje, prawda?

Syski pokręcił głową.

– Jezuniu! – Witkowska chwyciła się oburącz za skronie. Chwilę kiwała się, jęczała, syczała, mamrotała. – Kto ją zabił? Dlaczego? To przecież taka solidna kobieta... Syneczek? Kto by inny? Tyle razy ostrzegałam Staszkę... Grzesiek to kawał drania. Narkoman. Mówiłam mężowi, żeby mu nie pomagał. Ale on dawał pieniądze. Szkoda Grzesia, zawsze mówił. Co chłopak winny, że nie ma ojca? Staszka jest moją daleką kuzynką. Bo to wiadomo, że Grzesiek na pewno studiuje w Niemczech? A może on jest w jakiejś mafii? Może...

Policjant nie pozwolił jej skończyć. Spytał:

– Jak pani sądzi, dokąd mógł pojechać profesor?

– Dokąd...? Boże jedyny, ten łotr przeklęty mojego Bolusia też zamordował!

ZIELONAGÓRA, UL. WĄSKA, WTOREK, PO POŁUDNIU

Jacek Syski obiecywał sobie, że zatrzyma fabię na parkingu za stacją paliw na Raculi i tam coś zje. Od dawna w przydrożnej restauracji robili akurat takie ruskie pierogi, jakie lubi komisarz. Ilona Mrozińska nawet się śmiała, że gdy odejdzie z policji, to weźmie pożyczkę z banku i uruchomi bar mleczny w pobliżu komendy po to, żeby Syski miał blisko na pierogi. Ale nie mógł się zatrzymać na parkingu przy stacji, bo kiedy zwolnił i na pamięć zaczął kierować fabię na środkowy pas drogi, zobaczył znak zakazu skrętu w lewo. W tym miejscu bardzo często zdarzają się wypadki, przypomniał sobie wypowiedź naczelnika drogówki, mimo że policjanci w mundurach i po cywilnemu na okrągło patrolują obwodnicę miasta.

Latem bufet w komendzie jest czynny w godzinach pracy policyjnych urzędników. Mógł kupić coś do zjedzenia w Słoneczku, gdyby nie to, że pomyślał o tym dopiero na Szosie Wrocławskiej, której środkiem biegnie ciągała linia aż do

skrzyżowania z Wąską, i już nie chciał zawrócić. Głodny wpadł do pokoju odpraw i sięgnął po butelkę z wodą. Zaraz za nim przyszedł Araszekiewicz z Karoliną. Stażystka i praktykanci już czekali. Nadkomisarz Mrozińska ma urlop do końca miesiąca, a ten nowy podkomisarz magister pojawi się dopiero we wrześniu. Syski zdał krótką relację z rozmowy z Celiną Witkowską.

– Czyli w Jodłowie dupa biała – podsumował aspirant po swojemu. – A u nas... coś ciekawego by się znalazło – dodał, zerkając najpierw na stażystkę, potem na praktykantkę i dłużej zatrzymując wzrok na Karolinie, jakby w ten sposób chciał dodać jej odwagi.

– Rozumiem, że mam być pierwsza – odezwała się podkomisarz de Murville, odwzajemniając spojrzenie. – Po naszym ostatnim spotkaniu w tej sali razem z koleżanką – pokazała na Dominikę – pojechaliśmy do zarządu firmy Grempler Security. Szef ochroniarzy ma coś na sumieniu, bo był wyjątkowo uprzejmy, nawet zaproponował nam kawę i dyżurne paluszki. Pewnie chodzi o to, że firma ściąga pieniądze od ludzi za coś, czego nie robi. Ale to tak na marginesie. Przejrzaliśmy zapisy sobotniego monitoringu, zrobione na parkingu i przed wejściami do amfiteatru. Rzeczywiście Wieczorek był obecny na koncercie Budki Suflera. O dziewiętnastej pięćdziesiąt dwie wszedł przez bramkę od strony parku w towarzystwie mężczyzny mniej więcej w swoim wieku. Pierwszy raz przebywał w amfiteatrze dokładnie czterdzieści osiem minut.

– Co to znaczy „pierwszy raz”? – przerwał jej Syski.

– Po czterdziestu ośmiu minutach wyszedł za opłotowanie. Tym samym wejściem wrócił po dwudziestu minutach. Gdzie był? Na to pytanie nie da się odpowiedzieć w oparciu o monitoring, ponieważ po rozpoczęciu koncertu ochroniarze wyłączyli kamery boczne. Dyrektor firmy twierdzi, że zazwyczaj w tym czasie nic nie dzieje się na parkingu, nie ma więc sensu rejestrowanie przestrzeni. Ochroniarze włączyli je ponownie na pięć minut przed zakończeniem koncertu. Wieczorek wyszedł z amfiteatru razem z tym samym mężczyzną, z którym przyszedł. Ciekawe może być to, że towarzyszyły im dwie dziewczyny, prawdopodobnie dobrze im znane, bo zachowywały się wyjątkowo swobodnie. Całą czwórką wsiedli do wiśniowego golfa i o dwudziestej drugiej jedenaście odjechali z parkingu.

– Jak wyglądały dziewczyny?

– Zwyczajne, ale nie siksy z gołymi pępkiem i tatuażami na ramionach – rzuciła Karolina i dopiero teraz domyśliła się, że Syski spodziewał się innej odpowiedzi. –

Obie miały okulary, jedna przyciemnione, druga w drucianej oprawie. Ta w druciakach była jakby troszkę tęższa, ale może zbyt luźna bluzka sprawiała takie wrażenie. – Położyła przed sobą kilka zdjęć i przez chwilę w nie się wpatrywała. –

Najlepiej będzie, jak szef sam oceni – powiedziała, przesuwając fotografie w stronę mężczyzny.

– Nic, na czym można zawiesić oko – natychmiast ocenił Araszekiewicz. – No, może ta w druciakach...

– Dalej koleżanka sierżant – wyrecytowała Karolina, pokazując na Nataszę Woźniak.

– Jakie są wnioski z analizy monitoringu? – Komisarz podniósł lewą rękę, co oznaczało, że jeszcze nie jej kolej.

Zaskoczona pytaniem, Karolina znieruchomiała i popatrzyła przed siebie. Po chwili przeniosła wzrok na aspiranta, jakby od niego oczekiwała wsparcia, ale Araszkiwicz tylko wzruszył ramionami.

– Wolałbym, żeby koleżanka podkomisarz więcej czasu poświęcała na zadania służbowe niż na sprawy prywatne. Mam na myśli wyłącznie godziny pracy – rzucił Syski w stronę Karoliny. Był zirytowany. Policjantka od pewnego czasu robiła, co jej kazał, ale była jakby nieobecna. Komisarz podejrzewał, że jest w ciąży, co go nie dziwiło. – Nataszko, oddaję pani głos.

Stażystka otworzyła notatnik.

– Na zmianę z koleżanką Dominiką – pokazała głową na praktykantkę – obserwowaliśmy obiekt, to znaczy Wieczorka. Było to o tyle łatwe, że tylko raz wyszedł z kamienicy. Udał się do oddalonej o trzysta metrów Biedronki, gdzie nabył pół chleba baltonowskiego, mleko dwuprocentowe i małe masło śmietankowe. Coś ciekawszego usłyszaliśmy od lokatorek kamienicy, mieszkających pod czwórka, czyli dokładnie nad Wieczorkami. Obie są narodowości ukraińskiej. Nie chciały podać personaliów, ale mamy swoje sposoby. Jedna nazywa się Tatiana Popielczuk, druga to Łarysa Demidowa. Są szwagierkami i obie pracują jako pomoce salowe w klinice jednego dnia przy Świętej Jadwigi. Demidowa ma wykształcenie medyczne, dwa miesiące temu złożyła wniosek o nostryfikację dyplomu lekarskiego. Popiel, absolwentka germanistyki po uniwersytecie w Odessie, twierdzi, że o ósmej z minutami, kiedy wychodziła z kamienicy do marketu, Wieczorek skądś wrócił czerwonym samochodem. Przypuszczalnie miała na myśli wiśniowego golfa, którym obiekt był w sobotę wieczorem w amfiteatrze na koncercie Budki Suflera. Koleżanka Dominika dyskretnie obejrzała auto, ale niczego, co świadczyłoby o jego obecności, na przykład, w lesie czy na polnej drodze, nie znalazła. Mam na myśli igliwie, kamyki w rowkach opon, gałązki lub patyczki pod zderzakami.

– Od biedy można przyczepić się do głębokości bieżników opon przednich kół – odezwała się praktykantka i zaraz zamilkła skarcona wzrokiem przez stażystkę.

W pokoju zrobiło się ciszej niż na odprawie u komendanta, gdy nagle wezwani naczelnicy milczeli, robiąc w myślach rachunek sumienia.

– Powiedzcie mi, dziewczyny... – Syski zawiesił zachęcająco głos. Nie wiedział, o co je spytać, żeby jeszcze czegoś się dowiedzieć. I tak zrobiły więcej niż im kazał. – Powinnaś wziąć z nich przykład – rzucił do Karoliny, wyraźnie niezadowolony z jej zachowania.

Podkomisarz de Murville prychnęła i już otworzyła usta, ale się nie odezwała.

– Wszystko, dziewczyny? – zapytał komisarz.

Praktykantka przytaknęła niepewnie, a stażystka oznajmiła, że inspektor Koźmiński, z którym miała zajęcia w szkole policyjnej w Pile, kazał metodycznie podchodzić do każdej sprawy kryminalnej. Poza zabezpieczeniem dowodów takich jak, na przykład, domniemane lub potwierdzone narzędzie zabójstwa, ślady linii papilarnych, świadkowie, trzeba wziąć pod uwagę na pozór nieistotne spostrzeżenia

sąsiadów i dopiero wtedy sformułować nie jedną, lecz kilka nawet wykluczających się hipotez.

– W ostatecznym rozrachunku któraś okaże się słuszna – dodała, jakby podsumowywała to, co powiedziała.

Komisarza nudziły takie wywody, dlatego wcześniej chciał jej przerwać, gdy zdał sobie sprawę, że we wrześniu stażystka na tydzień wróci do szkoły na uroczystą nominację i pewnie opowie, co robi w ZielonejGórze. Jej zdania nie zmieniają pochlebnej opinii Koźmińskiego o Syskim, ale inni wykładowcy mogą potraktować je jak najpoważniej.

– Nasuwa mi się wiele pytań. Żeby odpowiedzieć na pierwsze, zasadnicze, kto zamordował Stanisławę Wieczorek, trzeba sformułować następne i poznać odpowiedzi. Czy zabójca miał powody? Jakie? Inaczej mówiąc, dlaczego dopuścił się morderstwa? Na zlecenie? Jeśli tak, to na czyje? Może było to przypadkowe zabójstwo? I jeszcze takie: jak dostał się do apartamentu, skoro nigdzie nie ma śladów włamania? Znał kod? Kiedy i w jakich okolicznościach go poznał? Co interesowało mordercę? Czy w apartamencie było to, czym on zajmuje się zawodowo? A może chodzi o coś, co jest przedmiotem naukowych rozważań profesora Witkowskiego? Nowe, lepsze endoprotezy? Nowa metoda ich wszczepiania? Czy pan komisarz nie sądzi, że profesor jawi się jako postać zagadkowa? A to nagłe zniknięcie przed przesłuchaniem jest na pewno przypadkowe? Ukrył się, bo ma coś na sumieniu? Może został porwany? Przez kogo? Albo gdzieś wyjechał i zapomniał o tym powiadomić sekretarkę w zakładzie bioinżynierii? Czyżby miał sklerozę? A co będzie, panie komisarzu, jeśli nie natrafimy na jego ślad? Domyśla się pan, jakie gromy spadną na policję, jeśli profesor Witkowski nigdy się nie odnajdzie? Albo, czego nie można wykluczyć, natrafimy na jego martwe ciało?

– Słuszne pytania – wtrącił Araszkiewicz.

– Osobnym zagadnieniem jest Grzegorz Wieczorek – kontynuowała stażystka. – Trzeba zrobić wszystko, żeby nie zniknął z kręgu naszych zainteresowań. On może coś ukrywać.

– Teoretycznie tak. W praktyce, skoro komisarz go przemağłował, niczego pani z niego już nie wyciśnie – powiedział Araszkiewicz, żeby coś powiedzieć. Po powrocie Syskiego ze zwolnienia lekarskiego czuł się niepewnie w wydziale.

– Głównym motywem zdecydowanej większości zabójstw są pieniądze – przypomniała praktykantka to, co zapamiętała ze szkoły policyjnej. Chciała jeszcze dodać, że nie tylko biedni zabijają bogatych, ale skarcona krytycznym spojrzeniem Araszkiewicza natychmiast umilkła.

– Drugim najczęstszym motywem jest seks. Najpierw gwałt, potem morderstwo. Pozwolą państwo, że w tym budynku powyższej konstatacji nie poprę przykładami – wtrącił Łukasz Biały, wakacyjny praktykant w wydziale kryminalnym.

– Słuszna decyzja. Mógłby kolega za dużo nam przypomnieć. – Araszkiewicz uśmiechnął się do niego kwaśno i zaraz odwrócił głowę do komisarza, oczekując pochwały.

– Morderca zawsze zostawia za sobą jakieś ślady, co do tego nikt z tu obecnych

nie ma wątpliwości – odezwała się stażystka, jakby do niej należało ustalenie planu działania. – Naszym zadaniem jest je odnaleźć i tak poskładać, tak pokombinować, tak... żeby dowieść swojej przebiegłości. Tym powinno zakończyć się każde śledztwo i w gruncie rzeczy na tym polega sukces śledczych.

– O ile dobrze zapamiętałam z zajęć w szkole, dedukcja, a przede wszystkim intuicja to także zaakceptowane metody prowadzenia śledztwa – powiedziała praktykantka, lekko się czerwieniąc.

– Celne uwagi – Syski pochwalił Nataszę i Dominikę. W ich wieku też byłam taki sam mądry albo jeszcze mądrzejszy, ale mniej odważny i niepewny swojej wiedzy, pomyślał. Będą z nich rasowe policjantki, jeśli nie zurzędniczeją lub wcześniej nie dostaną kilka razy po głowie, co jest pewniejsze niż śnieg w czerwcu, i zaczną przestrzegać procedur wymyślonych przez tych w komendzie głównej, którzy są przekonani, że każdemu policjantowi można założyć szelki. – Tadeusz – wywołał Araszkiwicza z zamyślenia – przy pomocy koleżanki Nataszy dowiedz się jak najwięcej o firmie Olemed. A ty – zwrócił się do Karoliny akurat w chwili, gdy ona zgrzytnęła zębami, ale na zmianę decyzji było za późno – zaprosz Grzegorza Wieczorka do komendy i solidnie go przemagluj. Tak po naszymu. Na mojej głowie pozostaje profesor.

– A jakie zadania ma pan komisarz dla mnie? – odezwał się praktykant.

– Teraz wspieraj dziewczyny. Potem pojedziesz ze mną na uniwersytet – rzucił Syski od niechcenia. Po pierwszym spotkaniu z praktykantami doszedł do wniosku, że Łukasz Biały, mimo iż za rok skończy psychologię, nie będzie rasowym policjantem, a na pewno nie w wydziale kryminalnym, ale to nie jego sprawa. Dziś o dyplom uniwersytecki łatwiej niż dawniej o świadectwo maturalne. Skoro jednak zastępca komendanta oddał Łukasza pod skrzydła komisarza, musi wymyślić mu takie zadania, żeby chociaż liznął kryminalistyki w praktyce.

ZIELONAGÓRA, UL. TRASA PÓŁNOCNA, ŚRODA, Z RANA

Było tak, jak powiedział Araszkiwicz do Nataszy, gdy rozglądał się za wolnym miejscem na parkingu przed Olemedem. Ochroniarz potwierdził, że wszyscy pracownicy są przy maszynach od siódmej. Po czterech godzinach główny komputer ogłosi dwudziestominutową przerwę na drugie śniadanie. O trzeciej przyjdą logistycy. Ich zadaniem będzie opisanie, zapakowanie i wysłanie do szpitali tego, co zrobiła zmiana przedpołudniowa.

– Tu wszyscy szanują pracę. Lepiej płatnej nikt nie znajdzie w mieście. Póki właścicielem firmy będzie Stonoga, konkurencja nie da rady Olemedowi – wyjaśnił ochroniarz, zezwoliwszy Araszkiwiczowi wjechać na miejsce przeznaczone dla samochodów gości. – Gabinety prezesa i członków zarządu są na pierwszym piętrze.

Już w przedsionku aspirant poczuł mocny zapach aromatycznej kawy. Popchnął drzwi i wszedł pierwszy do sekretariatu akurat w chwili, gdy asystentka odkładała

słuchawkę na widełki. Domyślił się, że ochroniarz uprzedził ją o przybyciu policjantów.

– Pan doktor Stonoga poinformował mnie, że się spóźni – skłamała asystentka, gdy aspirant, dziś wyjątkowo w mundurze, przedstawił siebie i Nataszę i spytał o właściciela Olemedu. – Zapraszam do sali posiedzeń zarządu. W tej chwili podam kawę i zrobię wszystko, żebyście państwo długo nie czekali na prezesa. Domyślam się, że tak wczesna wizyta państwa ma coś wspólnego ze zniknięciem profesora Witkowskiego.

Aspirant przemilczał jej dociekliwość. Stanąwszy z boku, pozwolił stażystce pierwszej przejść przez próg do wskazanej sali. Natasza spodziewała się, że zobaczy masywne fotele obite futrem, stół gabinetowy z drewna, którego nazwy nigdy nie słyszała, a tu na wydeptanej wykładzinie stało osiem zwyczajnych krzesel wokół blatu opartego na metalowych nogach z plastikowymi osłonami. Pokój odpraw wydziału kryminalnego był urządzony z większym smakiem. Zaraz za Araszkieviczem weszła asystentka z tacą, na której pobrzękiwały trzy białe filiżanki na spodkach i dzbanek niepasujący do kompletu. Jeszcze nie postawiła jej na stole, gdy otworzyły się drzwi do sekretariatu i wszyscy usłyszeli tubalny głos.

– Panie prezesie, państwo przysli z komendy policji – poinformowała go zbytnie, bo przecież odróżnia mundury policyjne od wojskowych.

– W jakiej sprawie państwo się fatygowali o tak wczesnej godzinie? – zaczął Stonoga i zaraz sam sobie odpowiedział: – Aha, ciąg dalszy serialu z Witkowskim w głównej roli. Wczoraj wieczorem Celina, żona profesora, życ mi nie dawała. Państwo też pewnie sądzą, że zaginięcie Witkowskiego ma coś wspólnego z Olemedem. Owszem, profesor jest na naszej liście płac, że tak brzydko powiem, ale bardzo rzadko pojawia się w firmie. Płacimy mu wyłącznie ze względu na tytuł naukowy i nazwisko. Jeśli nie my, to konkurencja weźmie go na etat albo do rady zbędnych ekspertów.

– Olemed ma jakąś konkurencję w Zielonejgórze? – zaciekała się stażystka ku niezadowoleniu Araszkiewicza.

– Dziś, czego państwu nie powinienem tłumaczyć, jest ogromne zapotrzebowanie na wszelkiego rodzaju implanty, a odległości nie grają żadnej roli. Internet to z jednej strony udogodnienie, z drugiej przekleństwo... Nasza najpoważniejsza konkurencja jest na wyciągnięcie ręki. Zaraz za granicą. W niemieckim Guben. Zwie się Kulsch Medizintechnik. Najciekawsze jest to, że wielu spośród tamtejszych fachowców legitymuje się dyplomem zielonogórskiej bioinżynierii z czytelnym podpisem profesora Witkowskiego.

Tego Araszkievicz nie wiedział, ale kiwnął głową.

– Gdyby nie inżynieria biomedyczna, o Uniwersytecie Zielonogórskim mało kto by słyszał. Prowincjonalna szkółka – powtórzył aspirant to, co usłyszał od kadrowca, gdy wśród dokumentów o przyjęcie do policji zobaczył kopię dyplomu kulturoznawcy wydanego przez tę uczelnię. Zresztą większość jego kolegów w komendzie to byli absolwenci UZ-etu. On również.

– Myli się pan – zaprotestował Stonoga. – Twarzą uczelni była i pozostanie, nawet

po śmierci profesora Gila, astronomia. Nadal wielu młodych ludzi chciałoby właśnie u nas ją studiować. Niestety, ministerstwo ograniczyło liczbę przyjęć. I słusznie, bo komu są potrzebni bezrobotni astronomowie? Na wysokim poziomie mamy matematykę ze specjalnością bankową. Renomą cieszą się elektrycy. Lepiej niż dobrze radzą sobie informatycy. O humanistach mogę powiedzieć tyle, że jeden instytut historii zatrudnia więcej profesorów zwyczajnych niż cała Lubuska Szkoła Finansów i Gospodarki. W każdym uniwersytecie na świecie znalazłoby się miejsce dla takich profesorów, jak Jerzak czy Izdebski.

Araszkiewicz znowu kiwnął głową, tym bardziej że niedawno przeczytał wywiad z Izdebskim w „Gazecie Zielonogórskiej”.

Stonoga spojrzął na zegar zawieszony między oknami.

– Za kwadrans mam posiedzenie zarządu. Tyle czasu mogą państwo mi zabrać. Chciałbym, żeby rozmowie przysłuchiwał się doktor Nowakowski, wykładowca na wydziale prawa i nasz prawnik. Taki mamy zwyczaj – pospieszył z wyjaśnieniem prezes, widząc, że policjant nad czymś się zastanawia.

Nowakowski pewnie spodziewał się, że Stonoga będzie rozmawiał z policjantem tylko przy nim, bo kiedy Araszkiewicz nie sprzeciwił się obecności prawnika, natychmiast wszedł do pokoju jakby czekał za drzwiami. Usiadł przy stole obok prezesa. Zaraz za nim weszła sekretarka niosąca dwie filiżanki i przypomniała Stonodze, że za niespełna kwadrans musi się rozpocząć zebranie zarządu, bo w samo południe przyjedzie szef ortopedów z Praha Medical Center, a pozostało dużo spraw do załatwienia.

– Co chciałem i mogłem powiedzieć na temat profesora Witkowskiego, już powiedziałem – oświadczył Stonoga. – Jeśli mają państwo jakieś pytania szczegółowe, proszę je zadać na piśmie. Na pewno doktor Nowakowski przygotuje odpowiedź. Oczywiście pod warunkiem, że pytania nie będą dotyczyły tego, co prawnicy zaliczają do tajemnicy handlowej lub patentowej.

I to było najgorsze, bo Araszkiewicz już nie miał żadnych pytań. Wprawdzie Syski kazał mu dowiedzieć się jak najwięcej o Olemedzie, ale przecież nie będzie dociekał, co konkretnie robią, komu sprzedają, ile na tym zarabiają i czy płacą podatki. Takie sprawy mogą interesować jego kolegów z przestępczości gospodarczej, na której aspirant się nie zna. Część informacji o firmie Stonogi znajdzie w leżącym przed nim folderze dla ortopedów.

Araszkiewicz miał nadzieję, że w głowie Nataszy pytania ustawiły się w szeregu, dlatego trącił ją łokciem. Stażystka odsunęła fotel od stołu i dalej coś pilnie zapisywała w zeszycie. Prawdę mówiąc, aspirant więcej dowiedział się o Olemedzie od ochroniarza niż od prezesa Stonogi. Pomyślał, że ochroniarzem jest były policjant na wcześniejszej emeryturze. Jeśli w ciągu najbliższych trzech lat nie zostanie podkomisarzem, a wtedy minie piętnaście lat mojej służby w policji, też napiszę raport o przejściu na emeryturę. Każda agencja detektywistyczna zechce mnie mieć wśród swoich pracowników.

– Jeszcze coś państwa interesuje?

– Staramy się ustalić miejsce pobytu Bolesława Witkowskiego – przypomniał

aspirant i umilkł.

Cisza się przedłużała. Stonoga domyślił się, że policjant czeka na jego wypowiedź.

– Podczas dzisiejszego posiedzenia zarządu wniosę propozycję wyznaczenia nagrody. Jej wysokości jeszcze nie skonsultowałem z doktorem Nowakowskim. Sądzę, że stać nas na pięć tysięcy euro. Czy to nie będzie za mało? – zwrócił się do prawnika, jakby czekał na jego opinię.

– Pięć tysięcy euro za co? – zapytał Araszkievicz ze zdziwieniem w wielkich oczach.

– Za to, co należy do zadań policji, a z czego nie potrafi się wywiązać. Czyli za wskazanie miejsca uprowadzenia i przetrzymywania profesora doktora Bolesława Witkowskiego – odezwał się wyniośle dotąd milczący Nowakowski.

Stonoga odchrząknął.

– Witkowski został porwany? Jest przetrzymywany?

Prawnik zorientował się, że powiedział nie to, co powinien, ale skoro tak wyszło, postanowił brnąć dalej.

– Wczoraj rano profesor wsiadł do swojej octavii i wyjechał z Jodłowa? – zapytał i sam sobie odpowiedział: – Wyjechał, co jest pewne. Są świadkowie. Na drodze między Jodłowem i Zielonągorą nie zdarzył się wypadek? Nie zdarzył. Profesor nie dojechał na uniwersytet? Nie dojechał. Nikt nie widział go w Olemedzie? Ochroniarz twierdzi, że miejsce postoju octavii profesora od rana było puste. Czy to nie oznacza, że jedna z hipotez powinna brzmieć tak: profesor Bolesław Witkowski został porwany i uprowadzony? Trudno zaprzeczyć, że porwania mają miejsce coraz częściej. Szczególnie, panie aspirancie, jeśli chodzi o osoby związane z biznesem czy badaniami.

– Inna hipoteza może brzmieć tak: Witkowski ma coś na sumieniu i się ukrywa – najpierw ku zaskoczeniu, a potem ku radości Araszkievicza odezwała się Natasza, ciągle zerkając do notatnika. – Dlaczego profesor się kryje? Przed kim? A może ukrywa coś, o czym panowie wiedzą, ale z jakiegoś powodu nie chcą nam powiedzieć? I co jest bardzo ważne z punktu widzenia właściciela Olemedu, dlatego ta wysoka nagroda?

– Broń Boże – zaprzeczył Stonoga natychmiast.

– Zazwyczaj ukrywają się ludzie, proszę pani, którzy sami mają coś do ukrycia – po namyśle zripostował Nowakowski. – A ja... a my o niczym takim nie słyszeliśmy.

Nowakowski zastanawiał się, czy wynając jasnovidza. Gdyby znał takiego, po pierwsze, nie powiedziałaby Stonodze, tylko kazał sekretarce podpisać z nim umowę o dzieło. Po drugie, i to było decydujące, trochę się bał ośmieszenia. Bo on, profesor uniwersytecki i adwokat z ogromną praktyką, wierzy osobie niedoświadczonej.

– Proszę wziąć pod uwagę, że w mieszkaniu należącym do Bolesława Witkowskiego natrafiono na zwłoki kobiety – przypomniała stażystka, czym wprawiła aspiranta w jeszcze większe zdumienie. – Podczas wstępnych oględzin lekarz uznał, że kobieta nie zmarła śmiercią naturalną. Ona została zamordowana.

– Morderstwo w Residences in Park przy Niemena? – spytali równocześnie Nowakowski i Stonoga.

Natasza poczuła ukłucie małych oczu Araszkiwicza, ale to nie bolało. Przeciwnie, było jak niespodziewane dotknięcie gorącej dłoni mężczyzny. Gdyby nie to, że Karolina jest dziewczyną aspiranta, Natasza już by go owinęła wokół małego palca. Zresztą kiedyś miała taki plan.

ZIELONAGÓRA, OS. KAMIENI SZLACHETNYCH, ŚRODA, Z RANA

Alicja Nowakowska należy do tych dyrektorek, które grypa dopada między Bożym Narodzeniem i Nowym Rokiem oraz w drugiej połowie lata, kiedy żaden lekarz nie wystawi jej zwolnienia chorobowego, bo akurat wtedy są ferie zimowe albo letnie wakacje. Pomimo że nie czuła się zbyt dobrze, sama wróciła do Zielonejgóry. Za niecałe dwa tygodnie zacznie się nowy rok szkolny, a ona nie dopuszczała do siebie myśli, żeby przed pierwszym września liceum nie było gotowe na przyjęcie uczniów. Wacek niech sobie siedzi w Jodłowie, łapie ryby, pluska się, żłopie piwsko i wtryna kiełbaski z grilla, obgaduje polityków z Witkowskim, Letzkim, księdzem Carewiczem, Stonogami, Rogalą i jego niezbyt lotnym kochankiem Saszą. Alicja dziwiła się doktorowi, bo szczupły, wysoki, przystojny, przy tym dowcipny, ma dom urządzone ze smakiem, jeździ land cruiserem, każdy lekarz zazdrości mu pozycji wśród ortopedów, a ciągle jest kawalerem. Przecież po to Pan Bóg stworzył mężczyznę i kobietę, żeby byli parą, założyli rodzinę i mieli co najmniej dwoje dzieci, jeszcze lepiej troje albo i więcej, powtarzała tyle razy po księdzu Carewiczu, ile razy widziała, jak Rogala nadskakuje Saszy. Marian powinien się leczyć, orzekła.

– Wedle prawa homoseksualizm nie jest zboczeniem – wyjaśnił jej mąż, gdy kolejny raz namawiała go, żeby porozmawiał z Marianem Rogalą. – Medycyna ma identyczne zdanie w tej sprawie.

– Remik uważa, że to jest odstępstwo od normy. Zgadzam się z jego określeniem.

– Odstępstwem od normy jest to, że ksiądz Carewicz...

– Ksiądz to co innego.

– Zastanawiałaś się nad tym, dlaczego proboszcz prawosławny ma żonę i dzieci, a katolicki powinien żyć w celibacie?

– Tak nakazuje Pismo Święte.

– Pismo Święte prawosławnych niczym nie różni się od katolickiego Pisma Świętego. Przecież oba mają to samo źródło. Jedno jest dla chrześcijan i drugie jest dla chrześcijan – nie ustępował Wacek.

– To...? – zaczęła Alicja, ale ponieważ niewiele wiedziała o prawosławiu, zamilkła.

Nowakowski poczuł się jak na rozprawie w sądzie, gdy był pewny sukcesu.

– Homoseksualizm nie jest chorobą. Najprościej da się go określić jako

zaangażowanie psychoemocjonalne i pociąg seksualny do osób tej samej płci – powtórzył to, co pamiętał ze studiów. – To jest jedna z okoliczności niezależnych od woli człowieka. Częściej dotyczy osób twórczych niż wykonujących proste czynności fizyczne. Wedle badaczy związanych z American Psychological Association co trzeci aktor/aktorka, piosenkarz/piosenkarka, malarz/malarka, pisarz/pisarka, dziennikarz/dziennikarka jest gejem/lesbijką. Im większa sława, tym większe prawdopodobieństwo, że jest właśnie tak, jak podają Amerykanie.

– Powiesz mi, że może Daniel także...?

– Tego na pewno nie powiem – zapewnił ją Wacek i uśmiechnął się sam do siebie, jakby wiedział coś o Jungu, czego nie może odkryć nawet żonie.

– Ty, profesor uniwersytecki i wzięty adwokat, uważasz to za normalne?

– Nie uważam tego za normalne, ale staram się szanować każdego człowieka bez względu na to, czy jest luteraninem, katolikiem, żydem, świadkiem Jehowy, homoseksualistą czy żyje w celibacie. Zresztą dopóki gej się do mnie nie doбира, to mi nie przeszkadza. Lepiej jednak czuję się wśród mężczyzn heteroseksualnych.

– Obrzydlistwo, żeby facet obciskał faceta i jeszcze się do niego tulił na oczach ludzi. To powinno być piętnowane.

– Wedle naszego prawa homoseksualizm nie jest czynem karalnym. Na razie. Z prawniczego punktu widzenia groźniejsze są narkotyki i alkohol, szczególnie gdy dotyczy to kierowców. Póki pijana lesbijka nie prowadzi samochodu...

– Przestań – nie pozwoliła mu skończyć. Od dnia, gdy Alicja została dyrektorką liceum, uważała, że ma rację zawsze i wszędzie. Każdemu wolno myśleć inaczej, ale nie w jej obecności. Nauczycielki już dawno tego się domyśliły, dlatego przy Nowakowskiej mówiły tylko to, czego ona oczekiwała.

Alicja zdecydowała, że jeszcze przed wyjściem do szkoły nastawi pranie, a po południu, kiedy wróci do domu, wymieni pościel i umyje okna w sypialni. W drodze ze szkoły zrobi zakupy, bo lodówka jest pusta, zdecydowała, wysiadając z corsy. Mimo że stać ją na coś bardziej reprezentacyjnego, przyzwyczaiła się do małego samochodu, który może postawić nawet na niewielkim parkingu, co ma znaczenie w zatłoczonym centrum miasta.

Czyżby ktoś manipulował przy zamkach? Tylko mi się wydawało, ucieszyła się w myślach, gdy otworzyła drzwi i zaduch niewietrzonych pokoi uderzył ją w nozdrza. Alicja najbardziej lubiła swój dom jesienią. Na dworze plucha, wiatr tarmoszący drzewami, a ona leżała na obitej skórą kanapie przed telewizorem.

Każdy mebel w jej domu ma metryczkę sygnowaną przez właściciela sklepu z antykami. Kiedy przechodziła obok kredensu, wydawało się jej, że czegoś brakuje na środkowych półkach, ale nie zatrzymała się, tylko poszła w stronę okna balkonowego i je otworzyła szeroko. Natychmiast poczuła zapach świeżego powietrza. Oparta plecami o kolumienkę przy schodach, uważnie lustrowała salon. Akwarele zielonogórskich artystów od dawna zdobią ścianę nad kanapą, trochę abstrakcyjna fotografia z domkiem w Jodłowie wisi przy drzwiach do łazienki dla gości, krzyż z drewna sandałowego, pamiątka z wycieczki do Ziemi Świętej, jest nad wejściem do kuchni. Zrobiła krok w stronę kredensu i w jednej chwili oblał ją zimny

pot. A gdzie jest ta porcelanowa zastawa Sorau, którą Wacek kupił na nasze srebrne gody? Nie widzę filiżanek i talerzyków. Obok nich powinna stać bombonierka. Na stole brakuje platery, cukiernicy, dzbanuszka i nożyka do jabłek, ale to były przedmioty posrebrzane, kupione na bazarze w Stambule. Boże, nie ma teryny z serwisu Łabędziego.

Natychmiast sięgnęła po komórkę i zadzwoniła do męża. Wacek przestrzegł ją, żeby niczego nie dotykała, tylko wezwała policję.

– W tej chwili wskakuję do corolli i najpóźniej za kwadrans będę na naszym osiedlu – usłyszała, zanim się rozłączył.

ZIELONAGÓRA, UL. WĄSKA, ŚRODA, Z RANA

Latem doktor habilitowany Bronisław Trzcinka nie miał za wiele pracy. Kierat zacznie się od końca września, kiedy oprócz wykonywania obdukcji zwłok i pisania opinii sądowych będzie prowadził zajęcia ze studentami ostatnich lat medycyny. Doktor lubił, jak mówił do swoich współpracowników, być pod ręką, szczególnie jeśli trzeba było zrobić coś niezwłocznie.

– Postawisz mi podwójną wódkę – powiedział Trzcinka, gdy w komórce usłyszał głos Syskiego.

– Czy dlatego, że w czasie wakacji jest pustka w zakładzie i nie masz za dużo okazji do pobrania służbowego spirytusu ze szpitalnej apteki? – odgryzł się policjant.

– Dlatego, że, po pierwsze, to, co do mnie należy, zrobiłem przed terminem. Po drugie, mógłbym zachować się zgodnie z przepisami, to znaczy zanieść protokół do sekretariatu katedry. Po podpisaniu przez szefową sekretarka włoży go do koperty, zanieś na pocztę i za jakieś cztery, pięć dni prokurator będzie miał dokument na swoim biurku. Ty jeszcze później. A ja za podwójną wódkę mogę poinformować cię przez komórkę o wyniku oględzin zwłok osoby płci żeńskiej przywiezionych do zakładu medycy sądowej w poniedziałek.

– Jeszcze nie dysponuję funduszem reprezentacyjnym – odpowiedział żartobliwym tonem komisarz. – Postaram się jednak przekonać komendanta, żeby zaprosił cię na przyszłoroczne Święto Policji i przyznał dyplom za owocną współpracę. Zwykle po akademii odbywa się bankiet. Ci, którzy dostali awanse, medale, premie i podobne duperele, fundują znajomym wódkę. Taki zwyczaj.

– To skoro się odprężyliśmy, przystąpmy do rzeczy – zmienił głos Trzcinka. – Nie wiem, co dokładnie powiedział medyk sądowy podczas oględzin zwłok nieszczęśnicy w mieszkaniu, przypuszczam jednak, że się nie rypnął. Rzadko moi wychowankowie i protegowani się mylą.

Syski nie zaprzeczył. Lekarze, z którymi współpracował, rzeczywiście byli mistrzami w swoim fachu. Dawniej zdarzały się potknięcia, ale od kiedy doktor Trzcinka kieruje pracownią medycyny sądowej, Syski ufa patologom niemal tak samo jak swojemu doświadczeniu. Ich na pozór nieistotne uwagi i banalne spostrzeżenia

często naprowadzały policjantów na właściwą drogę śledztwa.

– Wyglądało to na zgon na skutek wykrwawienia, tyle że było jeszcze coś, co rzuciło się w oczy lekarzowi – przypomniał policjant.

– Owszem, wykrwawienie miało miejsce. Ale zanim to się stało, kobieta została uduszona, o czym świadczą krwawe wybroczyny i sinica w obrębie twarzy. – Syski miał na końcu języka zdanie, że identycznie powiedział lekarz, kiedy przykucnął nad denatką w mieszkaniu przy Niemena. Jednak nie przerywał doktorowi. – Morderca chciał wprowadzić nas w błąd, że śmierć spowodowało uderzenie głową o coś ostrego.

– O ławę – wtrącił policjant.

– Uderzenie o ławę nie było śmiertelne. Zmarła na skutek gwałtownego duszenia. Obrazowo mówiąc, morderca zatkał kobiecie usta i nos czymś, na pewno nie rękami, przez co odciął dopływ tlenu do płuc. Może workiem foliowym, może zaimpregnowaną szmatą, najpewniej jednak poduszką. Dobrze wiesz, co się wtedy dzieje w organizmie człowieka. Gdy ustały odruchy oddechowe, czyli po mniej więcej dziesięciu minutach, uderzył ją czymś kanciastym, przecinając żyłę skroniową i łamiąc kość skroniową.

– Na kanapie leżały poduszki. Jedną z nich... Kiedy to się stało? Chodzi mi o godzinę.

– Niestety, nie potrafię tego dokładnie określić. Mamy niemal tropikalne lato, ciało przebywało w zamkniętym pomieszczeniu. Rozumiesz... Trzeba przyjąć, że śmierć nastąpiła w sobotę nie wcześniej niż przed dziewiątą i nie później jak o dwunastej.

– Podobnego zdania był twój protegowany w poniedziałek, kiedy oglądał zwłoki w mieszkaniu – przypomniał komisarz, czym nie zaskoczył patologa. – A czy tym kanciastym przedmiotem, który przeciął naczynia krwionośne i złamał kość, mógł być lichtarz?

Trzcinka przymknął oczy, jakby się nad czymś zastanawiał, i dopiero wtedy odpowiedział:

– I tak, i nie. Sposób przecięcia skóry i naczyń krwionośnych tego lub podobnego wyglądu przedmiotu nie wyklucza. Ale skoro masz lichtarz, to nic łatwiejszego, jak to sprawdzić.

– Na nim są jedynie ślady pozostawione przez ofiarę. Nawet próba z luminolem na nic się zdała. Zabójca musiał mieć rękawiczki albo dłonie wysmarował lateksem. Zresztą w apartamencie nie było świeżych śladów. Przepraszam, były odciski palców współpracownika profesora Witkowskiego, ale on właśnie powiadomił nas o tym, co się tam stało.

– W takim razie nie będziesz się nudził w najbliższych dniach – roześmiał się Trzcinka. – Ja ze swojej strony zrobiłem wszystko, za co prokuratura mi płaci. Na protokół będziesz musiał poczekać, aż szefowa wróci do katedry i go zatwierdzi własnoręcznym podpisem. Formalność, ale taka jest procedura.

– Maryśka Jungowa znowu gdzieś konferuje, a ty musisz być na posterunku w taki

upał? – zapytał komisarz, jakby współczuł doktorowi.

– Tym razem szefowa jest na tygodniowym urlopie. Razem z mężem pojechała do Niemiec. Po śmierci żony, czyli matki mojej szefowej, jej ojciec był jeszcze na fleku. Drugi raz ożenił się z Niemką, może lepiej nazwać ją Ślązaczką, którą znał jeszcze z lat swojej młodości. I u niej zamieszkał. Na stare lata oboje mieli do wyboru: wynająć pielęgniarkę z Polski, bo dużo tańsza niż Niemka, albo zamieszkać w domu opieki. Wybrali drugie rozwiązanie, chociaż to słono kosztuje, ale oni dostają spore emerytury. Mieszkają niedaleko granicy z Polską, koło Burga na Spreewaldzie. Jungowie tam się wybrali.

To dlatego Daniel się nie odzywa i w „Gazecie Zielonogórskiej” nie ma nawet jednego zdania o tym, co się stało w mieszkaniu profesora Witkowskiego, domyślił się Syski, ale nie powiedział tego głośno.

ZIELONAGÓRA, UL. WĄSKA, ŚRODA, Z RANA

Dwaj posterunkowi, którzy przywieźli Grzegorza Wieczorka do komendy, spytali Karolinę de Murville, ile potrwa przesłuchanie i czy muszą czekać za drzwiami, bo chcieliby napić się czegoś zimnego w bufecie. Podkomisarz pytając wskazała oczami kajdanki na przegubach rąk Wieczorka.

– Młody miał inne zdanie niż my, dlatego zgodnie z procedurami zastosowaliśmy środki przymusu bezpośredniego – wyjaśnił niższy policjant, spodziewając się pochwały.

Takim pozwolić, to każdego, kto odezwie się inaczej niż oni oczekują, wsadzą do mamra, ale teraz właśnie tego uczą w szkołach policyjnych, pomyślała Karolina. A czy ja byłam inna, gdy pierwszy raz w mundurze wyszłam do miasta? Też zadzieriałam głowę, bo chciałam, żeby wszyscy na ulicy mnie widzieli i ustępowali miejsca. Przecież miałam nieograniczoną władzę. Każdego, kto nie zszedł mi z drogi, mogłam zapuszkować na czterdzieści osiem godzin. Po latach przekonałam się, że ode mnie niewiele zależy. Najpierw muszę wykonać zadanie, potem wolno mi dyskutować nad bezsenssem tego, co zrobiłam. Uśmiechnęła się do praktykantki, jakby chciała ją spytać, czy już zrozumiała, że indywidualiści są źle widziani w policji. W komendzie, Dominiko, każdy jest tylko posłusznym wykonawcą poleceń zwierzchników. Im mniej dyskutujesz, tym częściej cię chwala i nagradzają.

Karolina jeszcze raz pokazała oczyma na kajdanki. Policjanci nie reagowali.

– Uwolnijcie pana – powiedziała tonem rozkazującym. – I spadajcie do bufetu. Macie piętnaście minut wolnego. Jeśli będziecie potrzebni wcześniej, dam znać przez komórkę.

– Pani komisarz powinna być bardziej romantyczna – odezwał się niższy policjant.

– Romantyczne kobiety, kolego, bywają jedynie w powieściach – zgasiła go Karolina de Murville.

Praktykantka włączyła kamerę, gotowa do zanotowania tego, co powie Wieczorek, usiadła na krześle obok de Murville i przesunęła wielkie markowe okulary na czubek głowy. Karolina uważała, że też powinna takie sobie kupić. A ile one kosztują? Niedługo koniec upalnego lata, to może nie ma sensu wydawać pieniędzy na coś, co w przyszłym roku okaże się niemodne. Zanim kupi okulary, każe sobie zrobić taki sam tatuaż, jaki ma Natasza na lewym przedramieniu. Czy ma tatuaże w innych miejscach, tego nie wie. Kiedyś gdy będą same w pokoju, o to ją zapyta. Może Natasza pokaże te tatuaże. Podkomisarz podniosła wzrok na zegar wiszący nad lustrem weneckim, wyraźnie odczytała godzinę i minuty, po czym orzekła zdecydowanym głosem:

– Pominiemy formalności niezbędne do sporządzenia protokołu z przesłuchania. Przystąpimy od razu do zapoznania pana z prawami i obowiązkami jako podejrzanego oraz...

– Ja jestem po-odejrzany? O co? – przerwał jej Grzegorz Wieczorek.

– Tak mi się powiedziało. Protokół musimy sporządzić, bo takie są procedury. Proszę niczego się nie obawiać. Na razie mamy zamiar z panem porozmawiać.

– O czym?

– Jest kilka spraw wymagających wyjaśnienia.

– Przedwczoraj rozmawiałem z pa-panem komisarzem Syskim. Wszystko, co by-
było do wyjaśnienia, wyjaśniłem.

– Od przedwczorajszej rozmowy pana z naczelnikiem wydziału nasunęło się nam kilka pytań.

– A jeśli nie zechcę o-odpowia-adać?

– Tym gorzej dla pana – powiedziała podkomisarz takim tonem, jakby była pewna, że to tylko przymiarka do postawienia na swoim. W tym pokoju wielu doprowadzonych na przesłuchanie tak zaczynało i wielu przeproszało za swoje zachowanie. – Brak odpowiedzi może zostać uznany za brak współpracy z policją. W takiej sytuacji prokurator zazwyczaj kieruje wnioskiem do sądu o areszt tymczasowy – ostrzegła.

– Do niczego mnie nie zmusicie.

– Nie mamy takiej ochoty, ale jeśli pan będzie z nami współpracować, potrafimy to docenić. Możemy pójść panu na rękę.

– To co innego już inaczej się słyszy – odburknął hardo Wieczorek.

– Nawet możemy dać panu czas do namysłu – powiedziała Dominika ironicznym głosem, co nie spodobało się Karolinie.

– To ja...

– Czterdzieści osiem godzin na naszym wikcie. W tym czasie zrobimy panu zdjęcia, zdejmujemy odciski palców, uzupełnimy kartotekę. Jeśli dojdzie pan do wniosku, że się namyślił i jest gotów odpowiadać na pytania, ponownie spotkamy się w tym pokoju. Potem albo zwolnimy do domu i zastosujemy dozór, albo prokurator wystąpi do sądu o wydanie nakazu zatrzymania pana na dłużej.

– Matki za mnie nie po-ochowacie.

– Wszystko, co się wiąże z pochówkiem, załatwia zakład pogrzebowy. – Karolina trzymała stronę praktykantki.

– Za dwa ty-tygodnie muszę być w Stuttgarcie. Ma-am nagraną pracę.

– To zależy wyłącznie od tego, czy będzie pan z nami szczerzy.

– Przecież wszy-ystko po-powiedziałem panu komisarzowi Sys-syskiemu.

Karolina przewracała kartki w swoim notatniku, wyglądało to tak, jakby nie mogła znaleźć tego, co zapisała i na co Syski kazał jej zwrócić uwagę. Od powrotu komisarza do gabinetu naczelnika wydziału kryminalnego podkomisarz stara się robić tylko to, czego on od niej oczekuje. Lepiej się czuła, gdy podczas zwolnienia lekarskiego Syskiego wydziałem kierowała Ilona Mrozińska. Nadkomisarz nie musiała jej niczego dwa razy powtarzać. Tadeusz Araszkiwicz żartował, że ich umysły pracowały na tej samej fali.

– W sobotę był pan na koncercie Budki Suflera w amfiteatrze. Przed przerwą wyszedł pan za ogrodzenie. Dokąd i po co? – spytała. Przygotowując się do przesłuchania, uznała, że jeśli powie, po ilu minutach Grzegorz wrócił do amfiteatru, on uzna to za bezprawną obserwację, złożą skargę i nie zechce odpowiadać na pytania albo zażąda obecności adwokata.

– Wyszedłem do toa-alety. Czy mam wyjaśnić, co t-tam robiłem?

Gnojek czuje się pewnie, pomyślała Karolina i pokręciła głową. Gdyby kamery obejmowały alejki, budki i całe otoczenie amfiteatru, nie zadałaby tego pytania. Miała zamiar spytać o imiona, nazwiska i adresy dziewczyn, z którymi odjechał z parkingu po koncercie, lecz z tego zrezygnowała. Jeszcze powiedziałby coś, czego by się wstydziła. A swoją drogą, kiedy policjanci przyprowadzili Grzegorza do pokoju przesłuchań i on się odezwał, onieśmielił ją swoim głosem. W innym miejscu pewnie dałaby mu się poderwać. Nie za wysoki szatyn z bujną czupryną opadającą na czoło, pod którą były brwi jak firanki i oczy większe niż dojrzewające śliwki. Lubiła mężczyzn ze smukłymi, zadbanymi dłońmi, a Grzegorz miał palce jak pianista. Żałowała, że nie zaczęła przesłuchania od formalności. Pewnie jest w wieku Dominiki? Karolina kątem oka zerknęła na praktykantkę, jakby prosiła o potwierdzenie tego, co jej przyszło na myśl, ale ta zatopiła wzrok w zeszyte i pilnie coś notowała.

– Zadzwoił pan do profesora Witkowskiego. O czym rozmawialiście?

– Od pewnego cza-asu zajmuję się fa-fajnym pro-ojektem. Prosiłem pro-profesora o opinię.

– A czego ten projekt dotyczy?

– Studiuję inżynierię me-medyczną na uniwersyte-ecie w Stuttgarcie. Za rok wrócę do Polski, dostanę pracę w Olemedzie, więc wpra-wprawiam się w projektowa-anie instrumentów, które mogą wejść do pro-produkcji i na których mógłby-ym zacząć zarabiać. O tym, czy-y mój projekt znajdzie się na-na taśmie pro-produkcyjnej, decyduje właściciel Olemedu, ale bez opinii profesora doktor Stonoga nie po-odejmie decyzji.

Logiczne i chytre, stwierdziła w myślach Karolina. Olemed zatrudnia

Witkowskiego nie po to, żeby był dekoracją. Polega na jego ocenie i za to pewnie nie mało mu płaci. A może jeszcze na każdym atencie umieszcza to, co profesor napisał w opinii.

– Na temat pogrzebu też rozmawialiście?

– Profesor o-obiecał mi-mi pomoc.

Karolina pokiwała głową.

– A gdzie pan był wczoraj rano?

Zaskoczony pytaniem Grzegorz otworzył usta i znieruchomiał, po czym opuścił głowę, jakby się zawstydzził.

– W swoim domu.

– Proszę podnieść głowę i spojrzeć mi w oczy. Cały czas był pan w domu?

– Wy-wychodziłem do sklepu po chle-eb, mleko i ma-asło ro-oślinne. Muszę coś jeść. Zawsze robiła to matka – jąkał się coraz bardziej.

– A wcześniej?

– Spałem w swo-oim łóżku. Jeszcze wcześniej słu-słuchałem nowych nagrań Eisblume. T-to berlińska ka-apela poprockowa.

– Pan jeździ wiśniowym golfem – powiedziała podkomisarz, a Grzegorz przytaknął. – Skąd pan wrócił wczoraj rano? Przed ósmą.

– Jakim prawem m-mnie śle-edzicie?

De Murville powtórzyła pytanie i kątem oka obserwowała twarz Wieczorka. Starła się coś wywnioskować z zachowania mężczyzny. Prawdę mówiąc, psychologia ją bardziej interesowała niż policyjna kryminalistyka. Myślała nawet o zajęciu się psychologią śledczą, a szczególnie przyczynami zachowań antyspołecznych młodych ludzi i napisaniu rozprawy doktorskiej na ten temat. Przecież do emerytury nie będzie przesłuchiwała podejrzanych.

– Gdy za-zadzwo-niłem do profesora, żeby za-zaopinio-niował mój projekt... Powiedziałem, c-co o nim myślę.

– Profesor Witkowski nie wydał aprobującej opinii – domyślała się Karolina.

– Najpierw mnie skrzy-skrzyczał, że wziąłem się za co-oś, o czym nie mam po-pojęcia, a potem zgodził się o-obejrzyć to, co za-zaprojektowałem, ale postawił wa-warunek.

– Jaki?

– Że nie ja, lecz on się pod tym pod-podpisze.

– Wtedy cały splendor spadnie na Witkowskiego.

– Nie mogłem za-zasnąć. Zdecydowałem, że pojedę do Jo-jodłowa, gdzie profesor mieszka latem, i ta-am z nim porozmawiam w czte-cztery oczy.

– I?

– Kiedy dojechałem do Jo-jodłowa, przed jego domem już nie było o-octavii.

– Która wtedy była godzina?

– Sió-siódma. Może troszkę pó-óźniej.

ZIELONAGÓRA, LAS ZA OBWODNICĄ MIASTA, ŚRODA, Z RANA

Od pierwszych dni lipca obowiązuje zakaz wjazdu do wszystkich lasów okalających Zielonagórę. Zresztą w taki upał, jaki w tym roku panuje w zachodniej Polsce, każdy rozsądny człowiek woli poleżeć nad wodą niż kryć się w cieniu sosen. Do większości jezior można dostać się tylko przez las, toteż strażnicy pilnują, żeby ci, którzy jadą nad wodę, nie zatrzymywali swoich aut na leśnych drogach i nie wyrzucali petów i niedopałków papierosów na pobocza. Jeszcze więcej roboty będą mieli od połowy września do pierwszych przymrozków, kiedy wysypią się maślaki, zajączki, kozłarze, podgrzybki, prawdziwki. Wtedy przygarbieni grzybiarze nie zwracają uwagi na znaki zakazu, a ci najbardziej napaleni będą rozjeżdżali leśne dróżki. Pojawi się wielu i takich, którzy zignorują uprawnienia strażników, będą grozili, straszili, powoływali się na znajomości z posłami, a nawet z marszałkiem i wojewodą. Co im kto zrobi? Strażnicy mogą zakuwać w kajdanki i wzywać policję albo zawieźć na komendę, ale po co użerać się z takimi krzykaczami? To już lepiej zapisać numer rejestracyjny samochodu, w centralnym rejestrze sprawdzić adres właściciela i wezwać delikwenta na posterunek straży leśnej, a tam wlepić mu mandat, żeby do śmierci pamiętał, kto rządzi w lesie. Jeśli będzie się awanturował, straszyl skargą do głównego inspektora czy odwołaniem do sądu, pokazać zdjęcie jego samochodu zrobione na leśnej drodze. Woźniak jeszcze jako gajowy nauczył się sobie z takimi radzić. Arek Banda ma więcej serca, ale i on żadnemu pieniaczowi nie podaruje, choćby to był kuzyn biskupa. Co innego jak człowiek zaczerwieni się, przeprosi i z ręką na sercu zapewni, że nigdy więcej nie postawi auta na leśnej drodze.

– Zatrzymaj dryndę. Stop! – zawołał Arek, pociągając nosem. – Czujesz? Jakby jakiś śwąd, kurtka na pasach. Las się pali?

– Wydaje ci się – powiedział Woźniak lekceważąco, ale nacisnął czubkiem buta hamulec nissana.

Po wyjściu z samochodu obaj ustawili się w stronę południową, skąd wiał lekki wiatr, podnieśli głowy i pociągnęli nosami.

– Jakby świeżutka spalenizna. Ciągnie gdzieś znad jeziora?

– I znad jeziora śwąd dochodziłby przez ścianę olch, buków, sosen aż tu? Może zimą, ale nie latem. – Arek popukał się palcem w czoło. Nacisnął czapkę na głowę, poprawił pas, sprawdził, czy pałka i kajdanki są na swoim miejscu. – Idziemy – zdecydował, jakby był komendantem.

Banda szedł pierwszy. Po pięciu minutach przedzierania się przez krzaczki nie miał wątpliwości, że jest coraz bliżej spalenizny. Stara kanapa? Kto by ją wywiózł do lasu i dlaczego podpalił? Pewnie lodówka. Ale przecież w lodówce nie ma co się zapalić. Słoma? Zamiast wywieźć na wysypisko, ludzie wyrzucają śmieci do lasu, bo tu nie trzeba płacić za utylizowanie i bliżej domu. Żeby tylko w ten sposób pozbywali się butelek, słoików, szmat, papierów czy trocin, lecz i wywożą gruz, a nawet rupiecie. Dawniej w każdym miasteczku było złomowisko, punkt skupu makulatury, opakowań i butelek. Dziś nikomu to się nie opłaca, chociaż państwo namawia do

odbioru surowców wtórnych. Ciekawość Woźniaka spowodowała, że wyprzedził Arka. Kiedy był kilka kroków od tego, co spodziewał się zobaczyć, stanął jak wryty i rzucił:

– Tak żem myślał. Żeby aż tu wjechać i podpalić auto – zaklął z niedowierzaniem.

– I to jakie.

– Nówka pewnie.

– Octavia – stwierdził Arek Banda.

– Prędszej passat.

– Albo najnowszy león.

– Seaty mają szerzej rozstawione tylne światła – upierał się Woźniak, żeby podkreślić, ile wie o autach. – I kto by seatem wjeżdżał aż do lasu?

– Założ się o browarek, że to octavia.

Wysoko unosząc nogi, Banda obszedł pogorzelnisko i zanim zajął do wraku samochodu, starał się odkryć coś, co przekonałoby Woźniaka, że to na pewno octavia, ale niczego takiego nie znalazł. Nawet plastik na masce, z którego były zrobione znaki firmowe, stopił się albo pod wpływem gorąca odpadł od blachy. Co innego, gdyby te znaki były odlane z metalu.

– Człowiek... Jak Boga szczerze kocham, kurtka na pasach! – krzyknął Banda. – Za kierownicą. Jakby spalony.

– Niczego nie dotykaj – ostrzegł go komendant drżącym głosem. – O, ja cię pierdolę. Trzeba, kurwa, zadzwonić na policję!

ZIELONAGÓRA, OS. MORELOWE, ŚRODA, Z RANA

Kiedy podkomisarz de Murville przy udziale Dominiki przesłuchiwała Grzegorza Wieczorka, Łukasz Biały, student ostatniego roku psychologii, odbywający praktykę wakacyjną w wydziale kryminalnym, obserwował swego rówieśnika w lustrze weneckim. Prawdopodobnie jako licealiści spotykali się na koncertach w Kawonie, Piekarni Cichej Kobiety, 4 Różach dla Lucienne czy w amfiteatrze.

– Znasz go? – zaciekał się Syski.

– Gdyby chodził do liceum na Wzgórzach Piastowskich, pamiętałbym jego twarz – odpowiedział Łukasz. – Cały czas usiłuję sobie przypomnieć, gdzie go widziałem. Jestem przekonany, że już go spotkałem.

– A jako prawie magister psychologii... – zaczął Syski i urwał, bo nie wiedział, czy kończąc pytanie, się nie ośmieszy.

Łukasz zbył go długim milczeniem. Odezwał się dopiero, kiedy do pokoju weszła sekretarka i powiedziała, że naczelnik wydziału gospodarczego kazał kupić żaluzje do sali odpraw.

– Przydadzą się w przyszłym roku. Pan naczelnik już powinien rozpocząć bitwę o grzejniki, żeby wygrać ją w porze największych mrozów – rzucił do Syskiego, od

pierwszego dnia praktyki krytykując to, co się dzieje w komendzie.

– Celna podpowiedź, panie Łukaszku – pochwaliła go sekretarka. – A jak szef będzie walczył o grzejniki, to niech ma na uwadze nowe krzesła do swojego pokoju, bo będzie nieszcześnie.

Prawdę mówiąc, komisarz niewiele spodziewał się po praktykancie, ale był ciekaw, czy w zachowaniu Grzegorza Wieczorka dostrzeże coś, co mu podpowie, jaką drogą prowadzić śledztwo. Na razie nic się nie układało, ale Syski tym się nie przejmował, bo takie są początki niemal wszystkiego, co należy do zadań wydziału kryminalnego. Najchętniej pozbyłby się stażystów i praktykantów, tyle że to od niego najmniej zależy. Dlatego starał się wymyślać podopiecznym takie zajęcia, żeby w przyszłym roku zastępca komendanta znowu nie wezwał go do siebie i nie pouczał, jakie korzyści ma zielonogórska policja ze współpracy z uniwersyteckimi psychologami.

Wieczorek wyszedł na plac przed komendą i rozglądał się, jakby nie wiedział, którą drogą najszybciej dojdzie do przystanku autobusowego. Łukasz Biały uważał, że skoro posterunkowi przywieźli Grzegorza radiowozem na przesłuchanie, to i powinni go odwieźć do domu, ale wtedy on nie mógłby wykonać polecenia komisarza.

– Nie spuszczał Wieczorka z oczu. Jak to zrobisz, twoja sprawa. I najważniejsze: nie daj się nakryć.

Łukasz zapamiętał ostrzeżenie Syskiego. Mam krok w krok łączyć za Grzegorzem? A może będzie lepiej, jak podejść do niego. Stary, do południa będę twoim aniołem stróżem, uważaj więc, z kim się spotykasz, co mówisz i co robisz, bo może to zostać wykorzystanie przeciw tobie. W drugiej połowie sierpnia skończę praktykę, wtedy możemy pogadać nawet przy piwku, ale póki jestem podwładnym naczelnika wydziału kryminalnego, muszę robić to, co on mi każe.

– Do siódemki na prawo czy na lewo?! – odezwał się Grzegorz akurat wtedy, kiedy Łukasz wyszedł z komendy na schody.

Biały błyskawicznie doszedł do wniosku, że jeśli uda głuchego albo odpowie, to się spali, dlatego złapał się za głowę, jakby o czymś sobie przypomniał, i wycofał się za drzwi. Przez szybę obserwował Grzegorza. Ruszył po jego śladach dopiero wtedy, kiedy był pewny, że uda mu się wykonać zadanie postawione przez komisarza Syskiego. Pozytywna ocena w dzienniczku praktyki gwarantowała przyjęcie na studia doktoranckie i murowane stypendium, a teraz jedynie to się liczyło w życiu Łukasza Białego.



CZEŚĆ 2

**WOKÓŁ
SCHWIELOCHSEE**

ZIELONAGÓRA, LAS ZA OBWODNICĄ MIASTA, ŚRODA, PRZED POŁUDNIEM

– Zwęglone zwłoki w pozycji siedzącej. Właściciel auta lub kierowca – domyślał się lekarz, podchodząc do komisarza. – Ja tu nie mam nic do roboty. Bronek Trzcinka prawdopodobnie powie tyle samo. Chociaż może i nie, bo jeśli kierowca został wcześniej zamordowany, akurat patolog to potwierdzi. A tobie chodzi o nazwisko ofiary?

Syski pokiwał głową, ale nie przyznał się, że jest ktoś, kogo ma na myśli od chwili, gdy dowiedział się o człowieku w spalonym samochodzie.

– Na dziewięćdziesiąt procent mężczyzna. Mniej więcej czterdziestolatek, ale to tylko przypuszczenie biorące się z doświadczenia w medycynie sądowej. Bardzo wysoki, blisko lub nawet ponad dwa metry, i dobrze zbudowany. Jak zawodowy koszykarz.

– Jeszcze coś rzuciło ci się w oczy?

– To, że zanim się zwęglił, został zastrzelony albo w inny sposób wykluczony z naszego świata zła i dobra, jest bardziej niż pewne.

Tego Syski się domyślał, mimo to podziękował medykowi za wygłoszone spostrzeżenie.

– Do kolejnego spotkania! – rzucił lekarz, kierując się w stronę przesieki. – Mniemam, że jeszcze w tym tygodniu.

– Oby okoliczności były przyjemniejsze.

– Na przyjemności musimy poczekać do emerytury.

– Długo każesz czekać, doktorze.

Jak zawsze w takim miejscu najbardziej zapracowani byli technicy kryminalni, a właściwie ich szef, chemik i fotograf. Daktyloskopista, czując się zbędny, w towarzystwie strażników leśnych z nudów oglądał osmalone krzaki i drzewa wokół polany.

– Kiedy to się stało? – Syski zwrócił się do biegłego ze straży pożarnej, który zawsze był na zwołanie policjantów.

– Patrząc na drzewa, wczoraj przed wieczorem.

– Panowie dostali jakiś sygnał w tej sprawie? Ktoś do was dzwonił? – policjant rzucił do strażników.

Woźniak pokręcił głową, a Banda podpowiedział mu, żeby zadzwonił do leśniczego na Raculi.

– W sierpniu Paweł jest na urlopie. Ten, co go zastępuje, to przecież wyjątkowa dupa z uszami – przypomniał komendant strażnikowi. – Że też go trzymają.

– Jakbyś był sąsiadem nadleśniczego, to też żyłbyś jak u Pana Boga za piecem.

– Jedno mnie zastanawia... – powiedział pożarnik i zamiast skończyć zdanie, zaczął rozgarniać palcami ściółkę. – Przecież ona jest wysuszona na pieprz, a spaliła

się tylko dookoła auta. Jakby... wolę nie myśleć – podniósł oczy na strzeliste sosny, kiwające się niby dziewczyny niezwracające uwagi na to, co się wokół nich dzieje.

Więcej roboty miał traseolog, ale i on nie spodziewał się, że znajdzie coś, co pomoże komisarzowi szybko wydedukować okoliczności spalenia samochodu i ustalić nazwisko denata. Nawet wezwany na miejsce zdarzenia stały konsultant, docent Pastwa z zakładu budowy i eksploatacji pojazdów Uniwersytetu Zielonogórskiego, bezradnie rozłożył ręce.

– Panowie macie samochody, musicie więc wiedzieć, że czasem dochodzi do wybuchu ognia pod maską, co może być wynikiem zwarcia instalacji elektrycznej – przypomniał biegły.

– Marka auta, model, wersja, rok budowy? – zapytał go prokurator Ostrouchy.

– Pojazd klasy średniej. Teraz większość modeli tej samej klasy jest bliźniaczo podobna. Niech pan przyjmie do wiadomości, że producenci tańszych pojazdów, żeby utrzymać się na rynku, mocno tną koszty i dlatego elementy metalowe zastępują plastikowymi. Auto, które kiedyś było w stanie przejechać sto tysięcy bez remontu, dziś nie wytrzymuje połowy. Ledwie skończy się okres gwarancji, wysiada. Montownia w czeskim Kolinie na pierwszej zmianie składa małe toyoty, na drugiej citroëny, na trzeciej peugeoty. Trochę inaczej to wygląda z samochodami średnich i lepszych klas, ale też są do siebie podobne. Moi studenci z trudem odróżniają, na przykład, beemkę 650 od audicy S8. Ja, mimo że na co dzień zawodowo zajmuję się pojazdami, bo przecież jestem właścicielem komisju, także mam z tym problem.

– A ten? – Prokurator pokazał ręką na to, co zostało ze spalonego samochodu.

Unosząc nogi wysoko, Pastwa zrobił kilka kroków przed siebie. Przykucnął. Podniósł się. Jeszcze raz przykucnął.

– Seat león albo volkswagen passat – powiedział niepewnym głosem.

– Może, kolego docencie, jednak czarna škoda octavia? – zapytał Syski z przekazem.

– Czarna octavia – powtórzył Pastwa i jeszcze raz przykucnął. – Nie można wykluczyć, ale bez bardziej szczegółowych badań w warunkach laboratoryjnych się nie obędzie. Tabliczka rejestracyjna stopiła się jak dwa razy dwa. Plastik i aluminium. Może da się odczytać numer nadwozia, na pewno i coś zostało na silniku. A jeśli się uda, to i sprawdzi się w centralnym rejestrze, kto był jego właścicielem. Po tym dojdziemy, co to za marka.

Syski odwrócił się do niego plecami i rzucił coś niezrozumiale, ale takim głosem, że wszyscy zwrócili na niego uwagę.

– Niech pan powtórzy – polecił mu prokurator Ostrouchy.

– Powiedziałem, że szkoda wydawać pieniądze na takiego biegłego z zakresu motoryzacji, co nie odróżnia škody od zwykłego volkswagena i seata.

ZIELONAGÓRA, STACJA PALIW PRZY OBWODNICY,
ŚRODA, W POŁUDNIE

– Pan, paciupciać u was je achota? – nie wiadomo w jakim języku spytała pulchna kobieta w kusej spódnicy i z wielkim dekoltem, gdy komisarz Syski wysiadł z fabii na parking przy stacji paliw. A może powiedziała coś innego, ale policjant tak to zrozumiał.

Machnął ręką niedbale, co ona przyjęła jako zdecydowany brak zainteresowania propozycją i odeszła w stronę parkingu dla ciężarówek.

Syski sprawdził na liczniku swojej fabii, że z polany, gdzie niemal doszczętnie spalił się samochód, do S3 przecinającej zachodnią Polskę wzdłuż granicy z Niemcami jest prawie trzy i pół kilometra. Może dym i swąd spalenizny docierał aż do drogi, ale przecież nikt, kto pędzi ekspresówką, nie zwraca uwagi na takie rzeczy. Uważny kierowca patrzy przed siebie i czubkiem buta wdusza pedał gazu. Żeby w tych nowych samochodach klimatyzacja działała prawidłowo, wszystkie okna muszą być zamknięte. I są także filtry paliwa, oleju, cząstek stałych, kabiny, powietrza, przeciwpyłkowe, jedne standardowe, inne z węglem aktywnym.

Najbliższy zjazd z drogi na duży parking powstał przy stacji paliw, gdzie kierowcy ciężarówek zatrzymują się na dłuższy odpoczynek. W tym miejscu często dochodzi do bójek między prostytutkami rodzimymi i zagranicznymi, o czym komisarz wiele razy słyszał na odprawach w komendzie. Naczelnik sekcji zajmującej się sprawami obyczajowymi mógłby napisać rozprawę doktorską o przebiegłych Ukrainkach, Rosjankach, Rumunkach, Mołdawiankach, Bułgarkach i ostatnio kurdyjskich Turczynkach. Syskiego nie interesowało, dlaczego one tu stoją i zaczepiają kierowców. Był przekonany, że nie robią tego dla przyjemności. Sytuacja w ich krajach do tego je zmusiła. One chciały mieć lepiej. Ludzie biedni, głodni, chorzy w nosie mają politykę i moralność. Opiekunowie prostytutek wybrali podmiejski parking jako miejsce ich pracy w dzień i w nocy przez siedem dni tygodnia. Gdyby Syski był naczelnikiem obyczajówki, nie interesowałby się panienkami ani alfonsami, lecz klientami prostytutek. Domyślał się, że wśród nich są nie tylko kierowcy ciężarówek czy wdowcy i starzy kawalerowie.

– Czuje pan swąd? – zapytał kierownika stacji komisarz, stanąwszy twarzą w stronę lasu, i żeby uwiarygodnić swoje pytanie, pociągnął nosem. Wyszło to teatralnie.

– Z rana coś jakby. Teraz – kierownik wyprostował się, również pociągnął nosem raz i drugi – nic, to znaczy, jakby spaliny. Ale one są zawsze na każdej stacji. Gdy rano kierowcy zaczną rozgrzewać tiry, to tak kopcą, że nawet w biurze przy zamkniętych oknach nie idzie wytrzymać. Trzeba włączyć wentylator.

– A wczoraj przed wieczorem?

– Tak samo jak dziś.

– Jakiś swąd? Dym? Może coś innego zwróciło pana uwagę? – Syski wyciągnął rękę w kierunku lasu.

– Pyta pan o ten samochód, co wczoraj przed wieczorem sfajczył się na polanie?

– Skąd pan to wie?

– Parę minut temu mówili w radiu, że jakiś samochód spalił się w lesie niedaleko

węzła Racula. Podobno znaleźliście w nim spopielone szczątki jakiegoś sportowca. Pięcioboisty czy koszykarza.

Znowu Pastwa nie utrzymał języka za zębami. Z lasu docent zadzwonił do syna, a ten dorwał się do mikrofonu i fale eteru poniosły wiadomość, pomyślał komisarz. A czy ja, gdybym miał syna, który byłby dziennikarzem, postąpiłbym inaczej? Zaraz pewnie Daniel do mnie zadzwoni. Jednak gdy odezwała się komórka i komisarz spojrzął na wyświetlacz, nie był to numer telefonu Junga. Skoro nie Daniel, to nie ma mnie dla nikogo.

– Rzeczywiście, szedł stamtąd czarny dym – kierownik pokazał las za obwodnicą. – Myślałem, że zajął się zagajnik, bo taka susza... Zaraz, nie pamiętam, żeby wyła syrena. Drzewa nie palą się czarnym dymem.

– Która była wtedy godzina?

– Szósta, to znaczy osiemnasta. Najwyżej parę minut po szóstej. Pamiętam, bo o tej porze przychodzi zmiana nocna.

– Pytanie z innej beczki. Może zapamiętał pan czarną škodę octavię? Za kierownicą mógł siedzieć szpakowaty mężczyzna, dobrze po sześćdziesiątce. Z wyglądu twarz człowieka intelektu.

– On był w tym samochodzie, co spalił się w lesie?

Syski nie odpowiedział.

– Tu co rusz podjeżdżają jak nie „szkodowi”, to jeszcze bardziej wypasione limuzyny, za kierownicami siedzą spoceni, wyłysiali goście, za to z pełnymi portfelami, większość dobrze po sześćdziesiątce. A na kogo, myśli pan, jedna z drugą czeka? – pokazał głową na przechodzące obok nich dwie pulchne brunetki w kusych spódniczkach i z wielkimi dekolantami, szczerzące zęby do brodaczy w srebrzystej hondzie. – Pan by z tą albo z tamtą pojechał do lasu? – zapytał kierownik i zaraz odpowiedział: – Bo ja nigdy. Nawet po pijaku o północy w ciemnym lesie, gdybyśmy byli tylko we dwoje, jej bym nie tknął za żadne skarby. Trzeba mieć swój honor, komisarzu.

ZIELONAGÓRA, OS. MALARZY, ŚRODA, PO POŁUDNIU

Pierwsze, co zwróciło uwagę Aleksandra Stonogi, kiedy otworzył drzwi do wiatrołapu, było miganie diody przy suficie. Dobrze pamiętał, że w piątek jak zawsze przed wyjściem z domu wdusił przycisk klapy i nasunął na nią wycieraczkę. A może nie? Przecież musiałem go wdusić. Mogłem nie zamknąć okna w gabinecie, ale jeszcze się nie zdarzyło, żebym przed każdym wyjściem z domu zapomniał włączyć czujnik alarmu. Oparty plecami o futrynę drzwi zastanawiał się, jak zrobić kolejny krok, żeby sprawdzić, czy w czasie jego nieobecności ktoś dostał się do środka, a jeśli się dostał, to czy coś ukradł. Wszystko, co jest ważne przy produkcji implantów, przechowuje w sejfie, do którego klucze mają Medina, Nowakowski i on, ale żadne w pojedynkę tam się nie dostanie. Rozsądek podpowiadał mu wycofanie się z domu.

Zaraz, zaraz, skoro dioda gaśnie i zapala się rytmicznie, to znaczy, że sygnał dociera do centrali ochroniarzy, dlaczego więc nikt w firmie Grempler Security dotąd nie zareagował na alarm? Każdego miesiąca dajemy im tyle zarobić, że taniej byłoby wynająć stróża. O, cholera, za lipiec Medina zapłaciła z opóźnieniem, to pewnie w sierpniu też zapomniała przelać pieniądze na ich konto. Jesienią trzeba będzie zmienić firmę ochroniarską na bardziej tolerancyjną, postanowił.

Obejrzał zamki po obu stronach drzwi. Nie widział śladów manipulowania. Odchylił reprodukcję obrazu Gomringera, prezent od Adama Kulschmanna na czterdzieste urodziny, otworzył drzwiczki wnęki, w której jest ukryta konsola sterująca zabezpieczeniami domu, wyciągnął rękę, żeby wyłączyć czujniki, gdy dostrzegł zarysowanie pod sygnalizatorem. W piątek tego nie było. Ktoś majstrował przy przełączniku? Cholera, dotykałem gałki, a tam mogły być ślady pozostawione przez włamywacza. Natychmiast muszę wezwać policję, zdecydował. Włożył rękę do kieszeni, gdzie powinien mieć komórkę, ale jej tam nie było. Przypomniał sobie, że w czasie przejazdu z Olemedu na osiedle Malarzy rozmawiał z Nowakowskim i pewnie zostawił telefon w samochodzie. Najpierw sprawdzę, czy w domu coś zginęło, bo może nie warto robić rabanu, zdecydował.

W salonie wszystko wyglądało tak, jakby nikt niczego nie ruszał od dawna. Zresztą kogo mogą zainteresować miedziano-złote fotografie klonów w parku Mużakowskim? Uchylił drzwi do gabinetu, ale nie wszedł do środka, tylko przez chwilę wnikliwie go lustrował. Też żadnego śladu czyjejś obecności. „Gazeta Zielonogórska” leżała złożona na biurku. Jeśli pod nią będzie leżał otwarty portfel z dokumentami, który zapomniałem zabrać w piątek, to znaczy, że nikt nie włamał się do domu, pomyślał. Był. Nabrał powietrza do płuc i wypuścił je z sykiem. Dopiero teraz czuł, jak rozluźniają się mięśnie karku. Zajrzał do portfela. Niczego nie brakowało.

Wszedł do sypialni i pstryknął światło. Podwójne łóżko było zasłane, a story zaciągnięte. Zresztą zawsze były zaciągnięte. Z książek leżących na nocnych szafkach wyglądały zakładki. Wydawało mu się, że na komodzie pomiędzy fotografiami w ramach powinien stać inkrustowany kuferek, pamiątka z zeszłorocznej wycieczki do Tybetu, w którym Medea przechowuje swoją codzienną biżuterię. Może zabrała go do Jodłowa, żeby mieć ją pod ręką? Starał się sobie przypomnieć, czy żona coś wieszała na szyi, gdy w piątki i soboty wychodzili na spotkania koleżeńskie lub zapraszali znajomych do swojego domku. Zrobiło mu się wstyd, bo nawet nie pamiętał, czy zgodnie z wakacyjnym zwyczajem Medina wciskała się w spodnie i zakładała niewymyślną bluzkę, czy stroiła się w sukienkę z dekoltem. W Jodłowie Stonoga zawsze ubierał się na sportowo, mimo że czasem wieczorne spotkania odbywały się w restauracji nad jeziorem i miały charakter uroczysty. Nawet gdy w niedzielę szedł do kościoła, nie wkładał garnituru, tylko marynarkę albo samą koszulę. Nie chciał się wyróżniać w tłumie letników. Co innego w Olemedzie, gdzie w każdej chwili mógł się pojawić niezapowiedziany klient. Stonoga już dawno się przekonał, ile znaczy wygląd prezesa w robieniu interesów. Pewnie jednak Medina zabrała kuferek do Jodłowa. Zadzwońię do niej i wszystko będzie jasne, postanowił.

Wyszedł przed dom, otworzył drzwi samochodu, wyjął komórkę i w książce adresowej odszukał „ice”. Już dawno nakazał wszystkim pracownikom Olemedu, żeby pod takim oznaczeniem wpisali numer telefonu, pod jaki powinien zadzwonić medyk, policjant czy strażak w razie nagłego wypadku. Przyjęty na świecie skrót angielskiego określenia *in case of emergency* pozwala ratownikowi nie tylko na powiadomienie bliskiej osoby o wypadku, ale również na uzyskanie informacji o chorobach poszkodowanego i zażywanych przez niego lekach. Proste, wszyscy o tym wiedzą, ale niewiele osób do tego się dostosowuje.

Pomimo że czekał od co najmniej minuty, nie usłyszał głosu żony. Taki upał, to pewnie Medina poszła nad jezioro, pływa albo się opala na pomoście, pomyślał. Zawsze gdy idzie nad wodę, nie zabiera ze sobą komórki. Zresztą on także.

ZIELONAGÓRA, OS. ZACISZE, ŚRODA, PRZED WIECZOREM

Syski nie spodziewał się, że o tak późnej porze usłyszy głos prokuratora w swoim telefonie. Ostrouchy nawet próbował dowcipkować, co mu kiepsko wychodziło, czym zaskoczył komisarza bardziej niż pytaniem o przebieg praktyki Łukasza Białego, który jest jego siostrzeńcem, ale o tym wie tylko komendant i naczelnik wydziału kryminalnego.

– My tu gadu, gadu, a chłop śliwki w sadzie rwie – nagle zmienił ton wypowiedzi prokurator. – Właśnie kilka minut temu dostałem informację, która powinna pana zmartwić. Pod warunkiem że policjant po służbie przejmuje się pracą. Przepraszam, tak mi się powiedziało. Wiem, wiem, pan jest ulepiony z innej gliny. To znaczy jest pan bardziej wrażliwy niż co drugi krawężnik na gminnym komisariacie, a z takimi także mam do czynienia.

– Do rzeczy, prokuratorze – przerwał mu komisarz, zerkając na telewizor. W Sztokholmie odbywał się mityng lekkoatletów w ramach Diamentowej Ligi, a jedynie tę dyscyplinę Syski uważał za prawdziwie sportową i godną zainteresowania. Inne, jak na przykład żużel, szybownictwo czy kulturystyka, jego zdaniem nic nie miały z rywalizacji: wyżej, szybciej, dalej.

– Spalony samochód, ten na polanie w lesie przy obwodnicy, to... No, niech pan zgadnie.

– Chodzi o markę?

– O markę i model.

– Nie udało mi się zgadnąć w lesie, to dlaczego teraz ma się udać? W zakresie motoryzacji jestem głupszy niż stołowa noga.

– Niech pan próbuje.

– Hiszpański seat león.

– Pudło, komisarzu.

– Czeska octavia.

– Bardzo blisko, ale nie ten model.

– Poddaję się – powiedział policjant i najpierw się ucieszył, a potem zmartwił. Jeśli to nie była Octavia Witkowskiego, to znaczy, że za kierownicą nie siedział profesor. Gdzie on się podział?

– Volkswagen Passat Alltrack. I powinien pan zmienić opinię o docencie Pastwie. Po przewiezieniu wraku do laboratorium uniwersyteckiego w ciągu kilku minut odczytał numer nadwozia. Nie cały. Tyle, ile się dało.

– Za mało argumentów na korzyść Pastwy, żebym zmienił o nim opinię, ale proszę mu pogratulować.

– Na razie taki sukces nie ma większego znaczenia.

– Ma.

– Jakie, drogi panie komisarzu?

– Po numerze nadwozia uda się dojść do właściciela Passata – powiedział Syski i zaraz ugryzł się w język. Przecież Ostrouchy to wie.

– Jeszcze się nie uda. W centralnej ewidencji nie ma takiego pojazdu.

– Zarejestrowany poza Polską.

– Też tak myślę i dlatego do pana dzwonię.

Syski roześmiał się cicho. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby nawet w wolnym czasie prokurator czegoś od niego nie chciał.

– Mogę to zrobić kanałem policyjnym, ale to długa droga. Yonge Street – rzucił komisarz, jakby usprawiedliwiał Interpol. – Pan niech próbuje swoim kanałem. Jest i trzeci sposób. Najszybszy.

– Jaki?

– Trzeba zwrócić się do producenta Passatów bezpośrednio albo za pośrednictwem firmy Volkswagen Group Polska.

– I to będzie najlepsze wyjście – stwierdził prokurator. – Niech pan jutro do nich zadzwoni.

– A może ktoś od pana to zrobi? Jakiś stażysta? Prokuratora każdy się boi.

– Musimy postępować zgodnie z procedurami.

– W takim razie... – Syski miał na końcu języka określenie Ostrouchego urzędasem, jednak postanowił się poddać, zwłaszcza że wojowanie z prokuratorem rejonowym z góry jest skazane na porażkę.

– Co miał pan na myśli?

Zamiast powiedzieć prawdę albo cokolwiek wymyślić, Syski wyłączył komórkę. Prokurator nie zarzuci mu lekceważenia prawa.

ZIELONAGÓRA, OS. MALARZY, CZWARTEK, W NOCY

Docent Marian Rogala wyjechał z Zakopanego zaraz po wczesnym śniadaniu, a mimo to w Krakowie był dopiero po południu. W drodze z przystanku autobusowego na

dworzec kolejowy zastanawiał się, co zamówi na obiad w pociągowej restauracji. Pewnie kelner zaproponuje mu sałatkę z pomidorów, rosół i polędwiczki wieprzowe w sosie pieczarkowym. Do tego kieliszek czerwonego wina, kawa i tarta z malinami. Zaraz za Wrocławiem poprosi o coś lekkiego na kolację, herbatę i może małą szarlotkę jako deser. Nie przyszło mu do głowy, że dziś kolejarze wyłączą wagon restauracyjny ze składu „Ślązaka”, którym w połowie każdego miesiąca wraca od profesora Zarzyckiego, opiekuna jego rozprawy habilitacyjnej. Po blisko dziesięciu godzinach spędzonych w pociągu był bardzo głodny, a w domowej lodówce poza masłem i jajkami nie miał niczego, co nie utraciło terminu ważności do spożycia. Pod tym względem docent Rogala był tak samo dokładny jak w sali operacyjnej. Wszczepiał endoprotezy stawu biodrowego i kolanowego pochodzące z Olemedu, które, jak przekonywał ortopedów podczas corocznych kongresów, w przeciwieństwie do innych implantów ulegają korozji dopiero po ośmiu latach. Żaden słuchacz nie mógł podważyć jego stwierdzenia, ponieważ to, co robiła firma Aleksandra Stonogi, było nowością poszukiwaną na rynku implantów ortopedycznych. Niebawem Olemed zacznie produkować protezy ceramiczne, ale o tym na razie wie on, Nowakowski i Letzki. Europejczycy się starzeją, z czego cieszą się firmy farmaceutyczne proponujące medykamenty na przedłużenie życia i zapewniające, że będzie ono w miarę spokojne. Im człowiek ma więcej lat, tym chce żyć dłużej i bezkrytycznie zażywa te pastylki i płyny sprzedawane w buteleczkach o finezyjnych kształtach, z których pożytek jest taki, że specjalnie nie szkodzą. Mimo postępu w genetyce i rozwoju medycyny, organizm ludzki wolno przystosowuje się do zwiększonego wysiłku fizjologicznego. Szczególnie stawy kolanowe i biodrowe nie nadążają za oczekiwaniami, dlatego coraz częściej ortopedzi zamieniają je na sztuczne. Kto chce szybko się wzbogacić, najpierw powinien studiować inżynierię biomedyczną, potem założyć fabrykę endoprotez stawów i oprzyrządowania do wszczepiania implantów. Zapotrzebowanie na nie jest odwrotnie proporcjonalne do łóżeczek i wózków dla niemowlaków. Koledzy docenta śmieją się, że niedługo ortopedia zajmie piętra, gdzie dziś są oddziały patologii niemowlęcia, chirurgii dziecięcej, neonatologii i intensywnej terapii noworodków. Wytwórnice zabawek zostaną zamienione na montownie wózków inwalidzkich. Po korytarzach żłobków i przedszkoli zaadaptowanych na domy seniorów będą dreptali starcy.

Na parkingu przed dworcem Rogala uruchomił silnik land cruisera, ale jeszcze nie zdecydował, czy jechać do Jodłowa, gdzie znajdzie się za niecałą godzinę i dopiero wtedy wyrwany ze snu Sasza zrobi mu coś do jedzenia, czy wpaść do restauracji Figaro, skąd będzie miał pięć minut do domu. Nie lubił jazdy w nocy przez nieoświetlone wioski, dlatego wybrał to drugie rozwiązanie, tym bardziej że nie uprzedził Saszy o wcześniejszym powrocie z Zakopanego.

Pierwsze, co go zaskoczyło, to brak aut na parkingu przed restauracją. Drugie, i to było najgorsze, rolety zasłaniały okna. Mimo to wysiadł z samochodu i wspiął się po schodkach, a tam dowiedział się z tabliczki na drzwiach, że od poniedziałku do czwartku lokal jest czynny do północy. Wkurzony wrócił do land cruisera i z piskiem opon ruszył aleją Wojska Polskiego w stronę pobliskiego osiedla. Przejeżdżając obok

stacji paliw ze sklepikiem i barem, uśmiechnął się, zdjął nogę z pedału gazu, lekko nacisnął na hamulec i nagle skręcił w lewo tuż przed nadjeżdżającym saabem. Dopiero gdy zatrzymał auto na pustym miejscu dla konsumentów, przypomniał sobie, że jedzenie podawane o tej porze w przydrożnych barach bywa kilka razy odgrzewane.

Żałował, że nie posłuchał bufetowej z zakopiańskiej kliniki ortopedii, która proponowała mu kanapki na podróż. Muszę obejść się smakiem, pomyślał. Całodniowa głódówka nie powinna mi zaszkodzić. A może jednak jechać do Jodłowa? Ale skoro jestem tak blisko swojego domu i wcześniej zdecydowałem, że tę noc spędzę w Zielonejgórze, to nie mogę ulegać chwilowemu nastrojowi. Rano będę pierwszy na oddziale, czym zaskoczę pielęgniarki.

Docent zatrzymał land cruisera metr przed schodami, wysiadł z niego i tupnął prawą nogą po to, żeby czujnik ruchu włączył lampę oświetlającą numer domu nad drzwiami. Z kieszeni torby podróżnej wygrzebał pęk kluczy, najpierw otworzył dolny zamek, potem górny, wszedł do wiatrołapu, włączył światło, ściągnął mokasyny i zdjął marynarkę. W szeregowcu na Malarzy czuł się swobodniej niż w domku letniskowym nad jeziorem w Jodłowie, mimo że tam Sasza był na jego zawołanie. Trzeba otworzyć okno balkonowe, bo czuć przykrą woń farby lateksowej po ostatnim malowaniu, postanowił, zapalając światło w salonie.

A gdzie podziały się obrazy? Nad kredensem powinny wisieć dwa pejzaże prowincjonalne pędzla Dudy Gracza. Kupił je wprost od malarza na kilka dni przed jego śmiercią w Łagowie. Nawet nie zostały zarejestrowane w katalogu dzieł artysty. Sasza! Jak nic, Sasza mnie okradł, przeleciało Rogali przez głowę. Za mało mu dawałem, chociaż miał wszystko, czego zapragnął. Nie pracował, bo niczego nie umiał, a nie umiał, bo twierdził, że skoro mi zależy na jego obecności w moim domu, to powinienem go utrzymywać tak, jak mąż utrzymuje piękną żonę. Od tego dnia, gdy zamieszkaliśmy razem w szeregowcu na Malarzy, wyciągał ode mnie coraz więcej pieniędzy: a to na taki samochód, którym nie będzie się wstydził jeździć, a to na modelowanie sylwetki i ujędrnianie pośladków, a to na opłacenie wakacyjnego kursu języka angielskiego w St. Paul's Bay na Malcie. Ostatnio coraz częściej sprzeczałyśmy się z byle powodu. Gdy zagroziłem, że przestanę dawać mu pieniądze, zaczął mnie szantażować upublicznieniem naszego związku.

Tak, jestem gejem, kochany Saszko, ale czy tylko ja, ordynator oddziału ortopedycznego szpitala uniwersyteckiego, lgnę do mężczyzn? A czy to, że pederastami byli sławni wodzowie: Aleksander Macedoński, Piotr Wielki, Ryszard Lwie Serce, filozofowie: Sokrates, Platon, Erazm z Rotterdamu, Francis Bacon, pisarze: Molier, Hans Andersen, Oskar Wilde, Gombrowicz, kompozytorzy: Czajkowski, Szymanowski, George Gershwin, malarze: Leonardo da Vinci, Michał Anioł, Andy Warhol miało zgubny wpływ na naszą cywilizację? Czy to ich wina, że bardziej woleli przebywać z mężczyznami niż z kobietami i rozmawiać o tym, o czym rozmawiają kobiety w swoim towarzystwie?

A kobiety to co? I to jakie znakomitości! Gdybyś więcej przeczytał, to wiedziałbyś, że najślawniejsza poetka starożytnej Grecji Safona z Lesbos nie

wstydzila się swego homoseksualizmu. Angielska mistrzyni pióra Virginia Woolf zakochała się w Vicie Sackville-West i dlatego rozstała się z mężem. Identycznie postąpiła Maria Konopnicka. W trakcie zamieszkiwania z kochanką ułożyła *Rotę*, drugi hymn Polski, często śpiewany podczas uroczystości kościelnych i ludowych. A Maria Rodziewiczówna, która wyglądała i zachowywała się jak mężczyzna na polowaniu, nie tylko po to uciekła do lasu z dwiema kobietami, żeby zebrać materiał do *Lata leśnych ludzi*. Mieszkając z kobietą, Maria Dąbrowska napisała *Noce i dni*. Wątki homoseksualne są w *Romansie Teresy Henert* Zofii Nałkowskiej, która odeszła od męża po to, żeby związać się z kobietą. Tove Jansson, autorka Muminków, zachwycającej książki dla dzieci, miewała namiętne związki z mężczyznami, ale dość wcześnie odkryła, że to w relacji z kobietą może naprawdę być sobą. Jej życiową partnerką została o trzy lata młodsza fińska ilustratorka Tuulikki Pietilä, nazywana przez przyjaciół Tooti, będąca pierwowzorem postaci Tootiki z Muminków. Wiele kobiet współczesnych, szczególnie aktorek, piosenkarek i poetek, nawet poślubionych i dzieciatych mężatek, ukrywa swój pociąg do kochanek tej samej płci. Zdarzają się także takie, które tego nie czynią, przeciwnie, tym się szczycą. Choćby Angelina Jolie, Cameron Diaz, Lindsay Lohan, Nelly Furtado. To nie są zbzikowane, sfrustrowane, nieatrakcyjne, nienawidzące mężczyzn krzykliwe feministki.

Jeszcze na studiach Rogala myślał, żeby zmienić płeć. Już w przedszkolu czuł się bardziej dziewczynką niż chłopcem, ale starał się to ukrywać przed rówieśnikami, jakby rozumiał, że z nim jest coś nie tak. I wstydził się najpierw rodziców, potem znajomych. Podczas jakiejś rozmowy przy imieninowym stole ojciec przyznał się do tego, że chciał, żeby pierworodna była córką. W tygodniku dla kobiet przeczytał, że jeśli brzuch ciężarnej jest okrągły i szeroki, to urodzi się dziewczynka. Jego matka w ciąży miała suche dłonie, lubiła słodczyce, pięknie wyglądała. Na kilka miesięcy przed jej przyjściem na świat ojciec wybrał imię Marian. Matka nie przywiązywała wagi do płci dziecka. Powtarzała po swojej matce, że będzie to, co Pan Bóg da.

Mając skórę mężczyzny, Marian postanowił żyć tak, jak podpowiadała mu natura. Koledzy dziwili się, że nie kupuje papierosów, nie pije taniego wina, a depiluje brwi, nosi stringi. Chwalili się, kiedy pierwszy raz i którą dziewczynę zaciągnęli do łóżka i która się opierała. Jak było teraz i jak będzie za tydzień. Muszę spróbować, postanowił. Po pierwszym razie zdecydował, że nigdy więcej nie pójdzie z dziewczyną do łóżka, mimo to przed maturą jeszcze raz spróbował. Ta ostatnia opowiedziała koleżankom z klasy, jaki jest Marian. Wtedy koledzy trochę na żarty poradzili, żeby pozostał gejem. Przecież to nikomu nie przeszkadza.

Po maturze miał ochotę studiować chemię, aby potem prowadzić zakład kosmetyczny, ale wystraszył się, że gdy klientki dowiedzą się, kim jest, zaczną go traktować jak zboczeńca. Dlatego po pierwszym roku przeniósł się na medycynę, a gdy ukończył studia, odbył staż w szpitalu i gdy trzeba było wybrać specjalizację, zgłosił się na ortopedię. Profesor odradzał, bo to zawód dla rosnących i silnych mężczyzn, lecz on uparcie dążył do celu.

Gdy poznał Saszę, nawet się cieszył ze swojej orientacji zmysłowej. Niedawno obaj rozważali wyjazd za granicę, gdzie pary homoseksualne mają takie same prawa

jak małżeństwa. Chcieli wziąć ślub. Na początku znajomi będą im to wytykali, a potem się przyzwyczają. Tym bardziej że Sasza to naprawdę porządny partner i go kocha. Może kiedyś wezmą zahukanego malucha z sierocińca na wychowanie albo, o czym Marian jeszcze nie rozmawiał z Saszą, któraś ich znajoma zgodzi się na sztuczne zapłodnienie i urodzi jego dziecko.

Rogala zajrzał do sypialni, gdzie na wprost podwójnego łóżka zawiesił jeszcze jeden obraz olejny Dudy Gracza, na którym malarz przedstawił nagą arabeskę o nabitych piersiach dosiadającą buhaja. To malowidło kupił tego samego dnia, kiedy poznał Saszę. Ku radości Mariana obraz wisiał tam, gdzie go powiesił.

Zginęły dwa pejzaże średniego formatu. Były za duże, żeby Sasza je wyniósł przez drzwi. Jeśli nie on, a na pewno nie on, to ktoś włamał się do mojego domu i wyciął płótna z ram. Ale którądy wszedł, skoro oba zamki są nienaruszone? Gdy tylko policja zrobi swoje, każę firmie profesora Kurzawy wymienić zamknięcia na otwierane głosem, postanowił.

ZIELONAGÓRA, UL. WĄSKA, CZWARTEK, PRZED POŁUDNIEM

Doktor Trzcinka najczęściej dzwonił wprost na komórkę do Syskiego. W połowie tygodnia nie miał za dużo pracy, a to, o czym miał zamiar opowiedzieć komisarzowi, wymagało dłuższej rozmowy, dlatego wybrał się do komendy. Dyżurny potraktował patologa jak każdego mieszkańca miasta, mimo że znał go od dawna, to znaczy poprosił o dowód osobisty, przepisał z niego nazwisko, imię i adres, potem spytał, jakiej oczekuje pomocy i dlaczego nie pojechał do komisariatu w swojej dzielnicy. Nawet nie udając, że słucha doktora, podniósł słuchawkę, wystukał numer telefonu naczelnika wydziału kryminalnego i niczego nie tłumacząc, kazał mu przyjść do poczekalni.

– Niezwłocznie – rzucił rozkazującym tonem i się rozłączył.

Bufon, popisuje się, jaki jest ważny, ocenił zachowanie dyżurnego doktor Trzcinka. Dwie minuty później Syski oparł się obiema dłońmi o pulpit, przy którym siedział dyżurny.

– Zbikowałeś? Doktorowi Trzcinie kazałeś czekać? Temu, bez którego pomocy żaden policjant nie zrobi kroku? – naskoczył na niego komisarz.

– Takie są procedury, panie naczelniku. Nie ja je wymyśliłem i nie ja je zatwierdziłem, natomiast ja mam ich przestrzegać. Jak twierdzą Niemcy w Prusach, czyli w Brandenburgii, gdzie ostatnio byłem na wymianie, *Ordnung muss sein* albo *Ordnung ist das halbe Leben*².

Boże, mój Boże, zrób coś, żeby jak najmniej formalistów było w tym gmaszysku, prosił w myślach Syski, a do doktora powiedział:

– Przepraszam za zachowanie bezmyślnego służbisty.

Trzcinka miał ochotę powiedzieć, że nie inaczej jest w zakładzie patologii, ale

tylko podniósł dłoń i lekko się uśmiechnął.

W bufecie, dokąd zaprowadził go Syski, przed południem nie było nikogo. Zaraz po dwunastej zaczęła schodzić się naczelnicy wydziałów, psychologowie, prawnicy i funkcyjni związkowcy, potem ich miejsca zajmą zastępcy naczelników, logiści, informatycy, koordynatorzy projektów, tłumaczka, na końcu przyjdą księgowy, sekretarki i maszynistki. Trzcinka nie miał ochoty ani na kawę ze śmietanką, ani na ciepłą szarlotkę, za czym tęsknił komisarz. Syski zamówił więc dla niego sok pomarańczowy i podwójny przydział lodu.

– Gdybym teraz zastanawiał się nad wyborem zawodu, wybrałbym taki, żeby upoważniał mnie do założenia zakładu usług pogrzebowych – powiedział policjant.

– Dlaczego?

– Pogrzebówki to jedyne firmy, które nie narzekają na brak klientów – wyjaśnił całkiem poważnie.

– Szpitale też.

– Słusznie.

– A ja, gdybym miał wybrać studia, poszedłbym na inżynierię medyczną. Potem założyłbym wytwórnię wózków inwalidzkich, chodzików, balkoników, lasek, nawet kubeczków z dwoma uszkami. A gdybym się na tym dorobił, cały kapitał zainwestowałbym w produkcję implantów ortopedycznych.

– Po co?

– Kiedy mój dziadek źle się poczuł, kładł się do łóżka, ojcu kazał iść do sklepu po ćwiartkę spirytusu, a mamę prosił, żeby nagotowała kompotu z nieobranych jabłek. Wypijał to i po tygodniu wstawał. Mój ojciec, który dożył niemal do osiemdziesiątki, zmarł z powodu raka prostaty. Ja, jeśli nie wpadnę pod samochód, nie utopię się w Morzu Egejskim podczas letnich wakacji na Chalkidiki, nie popełnię samobójstwa, czego przyczyną mogą być zaburzenia psychiczne, powinienem świętować dziewięćdziesiąte urodziny. Mało tego, raz w miesiącu, jeśli nie zapomnę, wydmucham żonę. Ale zanim to się stanie, ortopeda wymieni mi stawy biodrowe, może i kolanowe, kardiolog wstawi rozrusznik serca, okulista wszczepi sztuczne soczewki do oczu, laryngolog przepisze aparat słuchowy. Nie wspomniałem o protezach zębów. Jaki wniosek z tego? – spytał Trzcinka i zaraz odpowiedział: – Że niedługo najlepiej będzie się powodziło ortopedom, kardiologom, dentystom, okulistom, laryngologom, geriatrom i producentom wszelkiego rodzaju implantów.

– Oraz specjalistom od komórek macierzystych.

– Inżynieria tkankowa dopiero się zaczyna. Gdy przejdziemy na emeryturę, mam na myśli siebie i ciebie, a to już niedługo, będzie miała takie zastosowanie w lecznictwie, jakiego dziś nikt się nie spodziewa. Wtedy każdy ortopeda, kardiolog, dentysta będzie musiał mieć dyplom inżyniera. Na naszych oczach klasyczna medycyna Hipokratesa staje się coraz bardziej bioinżynierią. Proszę bardzo: nici rozpuszczalne, sztuczna skóra, silikon. A niedługo hodowla serc, trzustek, ślepych kiszek i tego wszystkiego, co się najszybciej zużywa w człowieku, będzie powszechna. Tylko nie każdego będzie stać na zamiennik.

– Straszne.

– Co, straszne?

– To, że nie każdego będzie stać na zamiennik. Wszyscy dyktatorzy, milionerzy, zestarzałe aktorki i tysiące bogaczy zechcą mieć nowe serce, nową wątrobę, nowe nerki. Nie mówię o zębach, włosach i stawach, bo to już jest.

– Jeszcze bardziej strasznie będzie, kiedy młodzi nie będą mogli zająć stanowisk starszych, mam na myśli tych zregenerowanych.

– Skoro przyjechałeś do komendy, to chyba masz mi coś jeszcze bardziej ważnego do powiedzenia. Albo jest coś, o czym nie chciałeś rozmawiać przez telefon – przerwał mu policjant, spoglądając na zegar za plecami bufetowej.

Doktor spróbował soku pomarańczowego.

– Też sztuczny. Coraz mniej natury w naszym otoczeniu – powiedział i przesunął szklankę na środek stołu. – Jeszcze chwila cierpliwości i zakończę ten wątek. Wczesną wiosną producent narzędzi wykorzystywanych przez patologów zaprosił kilkunastu takich jak ja do Londynu na prezentację nowości. Tak się złożyło, że mieszkaliśmy w tym samym hotelu, co fotomodelki biorące udział w jakimś pokazie luksusów. Któregoś dnia jechałem windą z dość wysoką i raczej szczupłą panią w średnim wieku. Gdyby potem ktoś mi nie powiedział, że to była Nadja Auermann, nie miałbym czym się pochwalić po powrocie do Zielonejgóry. Ta, z którą jechałem hotelową windą, nie była podobna do tej, którą mam w garażu na kalendarzu firmy Pirelli. Jaki z tego wniosek? Ano taki, że współczesna medycyna to nie tylko leczenie i zapobieganie chorobom. Dziś koślawą dziewczkę można odpicować na modelkę. Pod warunkiem że znajdzie się ktoś, komu będzie na tym zależało i nie pożąda banknotów. Najpierw trzeba taką odchudzić, odpryszczyć i poduczyć wyuzdania. Potem powiększyć albo pomniejszyć jej cycki, uformować półdupki, poszerzyć wargi, skrócić nos, zmniejszyć uszy, podnieść czoło, wydłużyć szyję i na końcu wszczepić do mózgu czip cyfrowy z zabezpieczeniem, żeby nie zginęła. Od kiedy wyodrębniła się medycyna estetyczna, nie brakuje specjalistów o cudownych rękach. W tej branży dziś jest tak, jak było za naszych ojców. Wtedy nie matura, lecz chęć szczerą z każdego ćwoka mogła zrobić oficera.

Syski nawet nie próbował zaprzeczyć. Chciał powiedzieć, że transplantologia też czyni cuda, ale wtedy pewnie Trzcinka zrobiłby mu wykład o przeszczepianiu wątroby i płuc przez zielonogórskich specjalistów. Dlatego wzrokiem pokazał na zegar.

– Wczoraj przed wieczorem moi pomocnicy zajęli się tym z lasu.

– Pracusie jak jasna cholera. Można ich pokazywać częściej niż wzorzec metra w Sèvres.

– Nie mieli nic innego do roboty. Są młodzi, ambitni. Takim jeszcze zależy na...

– Zdobyć doświadczenia – rzucił policjant.

– Bardziej na pochwałę i dobrej opinii.

– Jakie są pierwsze konkluzje?

– Mężczyzna, czterdzieści lat. Rok więcej, rok mniej. Wzrost troszkę ponad dwa

metry. Lepiej niż dobrze umięśniony, o czym świadczy wyjątkowo rozwinięty układ kostny. Po co najmniej dwukrotnej operacji rzepki prawego kolana. Wygląda na takiego, który zawodowo grał w piłkę, najpewniej w koszykówkę, bo raczej nie w futbol amerykański, chociaż tego nie można wykluczyć. Pobraliśmy próbki do ustalenia kodu genetycznego DNA i wstępnie je porównaliśmy, to znaczy zrobili to moi wychowankowie pracujący w waszym laboratorium – doktor uśmiechnął się i urwał, jakby miał zamiar drażnić się z komisarzem.

– A nasi?

– A wasi... póki nie sporządzą protokołu i kierownik go nie podpisze... W policji procedury są ważniejsze niż zdrowy rozsądek – roześmiał się Trzcinka, pokazując głową za przeszklone drzwi, skąd dyżurny obserwował to, co się dzieje w bufecie. – U nas na ogół jest tak samo, ale zdarzają się odstępstwa od reguł. Szczególnie jeśli osoba wysoko postawiona, dajmy na to poseł, zadzwoni do szefa szpitala.

– Długo jeszcze będziesz tak chrzanić?

– Ten z lasu...

– Mów!

– ...to Madej. Tomasz Madej.

– Tak szybko zdążyłeś ustalić jego personalia?

– Osiem lat temu jego dane zostały wpisane do centralnego rejestru. Dlaczego? Nie wnikałem w szczegóły. Domyślam się, że raczej nie z powodu jazdy samochodem po pijaku. Madej musiał mieć coś poważniejszego na sumieniu.

– Że nie ganasz za piłką, nie dymasz na rowerze, pewnie i nie chodzisz na basen, to widać. – Syski pokazał oczyma na brzuch doktora rozsadzający koszulę. – A czasem interesujesz się jakimś sportem?

– O tyle, żeby przy stole biesiadnym nie zadawać głupich pytań, gdy inni rozmawiają, na przykład, o żużlu.

– W tej kwestii niewiele się różnimy, Bronieczku.

– To o dwóch kibiców mniej w mieście.

– I pewnie nie zaglądasz do „Gazety Zielonogórskiej”.

– Zaglądam do „Lubuskiej”, ale rzadko.

– Ja od czasu do czasu przeglądam kroniki wypadków w obu gazetach.

– A ja najwyżej program telewizyjny.

– Obaj popełniamy błąd, Bronieczku. Gdybyśmy częściej brali do ręki gazety, to wiedzielibyśmy, że w naszym mieście powstał drugi klub koszykarski.

– Konkurencja dla Stelmetu?

– Nie.

– Nie?

– Druga noga Stelmetu.

Trzcinka zaniemówił i zrobił pytające oczy, Syski więc wyjaśnił:

– Uzupełnienie środowiska o klub koszykówki żeńskiej.

– Utrzymanie drużyny musi kosztować miliony. Chyba że chcą oprzeć się na

panieneczkach z liceów.

– Pieniądze daje Grempler. Ten od żuźla i setek szemranych inwestycji. To znaczy obiecał dać, pod warunkiem że drużyna w ciągu trzech lat wejdzie do ekstraklasy i zdobędzie mistrzostwo kraju. Kolejne dwa lata zespół ma na dostanie się do Euroligi.

– Wtedy Grempler odzyska z nawiązką to, co wcześniej włada w klub.

– Dziś tak zwany sport wyczynowy niczym się nie różni od produkowania samochodów czy organizowania kursów na prawo jazdy. To biznes czystej wody.

– Nikomu nikt niczego nie daje, chociaż wielu mówi, że to, co robi, robi z miłości do sportu. – Klub ma prowadzić Tomasz Madej. Były zawodnik i asystent trenera w Stelmecie. Ostatnio szło mu gorzej niż źle.

– No mówię ci, że Madej nie żyje.

– Żyje.

– Nie.

– A ja ci mówię, że Tomasz Madej żyje.

– Przecież... Za kilka dni laboratorium policyjne dostarczy ci dowód na to, że ten, którego spalone zwłoki znajdowały się w samochodzie w lesie, to Madej. Będziesz musiał jedynie ustalić, czy został zamordowany z premedytacją, czy w afekcie. Pewnie jednak skłonisz się ku pierwszemu, ale nie będziesz miał pewności.

– Jak mi przyślą taki dowód, to usłyszą, że odstawili fuchę. Doktorze habilitowany nauk medycznych, sławny patologu, Tomasz Madej żyje.

– Jesteś w błędzie, komisarzu, naczelniku wydziału kryminalnego.

– Wczoraj po południu zebrał się zarząd tego nowego klubu. Grempler Basket czy jakoś podobnie. Madej został wybrany na pierwszego wiceprezesa do spraw organizacyjnych. Oczywiście prezesem jest wszechwładny Joachim Grempler – powiedział Syski, po czym zadzwonił do Łukasza Białego i kazał mu przyjść do bufetu z dzisiejszą „Zielonogórką”. – Tak dla jasności: gdyby odbywający w moim wydziale praktykę student psychologii nie interesował się koszykówką, pewnie nie wiedziałbym, kim jest Madej.

ZIELONAGÓRA, UL. WĄSKA, CZWARTEK, W POŁUDNIE

To, co Łukasz Biały opowiedział Syskiemu, trzymało się kupy. Zdaniem praktykanta matkę Grzegorza Wieczorka zamordował Bolesław Witkowski. Po pierwsze, w sobotę nikt nie widział profesora na uniwersytecie. Po drugie, wyjeżdżając rano z Jodłowa, wiedział, że noc z piątku na sobotę Stanisława spędziła w apartamencie przy Niemena i nadal tam przebywa. Tylko on znał kody do furki i drzwi. Nikt z sąsiadów nie zwrócił na niego uwagi, bo przecież jest tam zameldowany i pewnie jego twarz już się opatrzyła. Najpierw się gzili, zresztą musieli robić to często, a potem ona przypomniała temu kurwiarzowi, że Grzegorz jest jego synem i trzeba mu jeszcze

więcej pomagać. Chodziło o pieniądze. Jeśli Witkowski nie będzie hojniej wspierał Grzegorza, to ona komuś, na przykład pani Celinie, powie, że Witkowski ma nieślubnego syna. Poda go do sądu, a wtedy zapłaci alimenty za wszystkie lata do tyłu. Dlatego Witkowski zadusił Stanisławę, ciało jej przeniósł do salonu i tam uderzył świecznikiem w głowę, żeby upozorować napad.

– I żeby siebie uwolnić od podejrzenia o morderstwo, w poniedziałek kazał Letzkiemu jechać na Niemena po jakieś materiały. Logiczne, panie komisarzu?

– Jeszcze jedna hipoteza.

– A lekarz sprawdził, czy tuż przed śmiercią Stanisława odbyła stosunek seksualny? Nie wydaje mi się, żeby potwierdzenie tego lub wykluczenie nie było niemożliwe nawet po trzech dniach. Jeśli odbyła, a idę o zakład, że odbyła, czy pobrał pozostałości spermy? Czy to, co pobrał, dał do zbadania?

Syski postanowił, że jeszcze dziś zadzwoni do doktora Trzcinki i zada mu identyczne pytania, ale pewnie nie usłyszy potwierdzenia. Zresztą jak ma dowieść, że tym, z którym gziła się Stanisława Wieczorek, był Witkowski, skoro profesor zaginął?

W każdej chwili może zadzwonić prokurator Ostrouchy. Wieczorek to nic pilnego, powie. Posadźmy mordercę, to dobrze. Nie posadźmy teraz, zrobimy to za miesiąc, za rok. Nie ma zbrodni doskonałej. Najważniejsze jest odnalezienie profesora. Dyrektor gabinetu ministra nie daje mojemu szefowi spokoju. Mam go odnaleźć żywego lub martwego. Najlepiej żywego. Komu jest potrzebny martwy profesor? Przecież Witkowski nie uciekł za granicę ani nie ukrył się u kochanki, bo jest winny morderstwa w swoim mieszkaniu. Żaden bawidamek, żeby poza ślubną wdówka czy inna Dulcynea się w nim zakochała i dlatego dała mu schronienie. Chociaż nie można tego wykluczyć. Natura wyznaczyła czas kobiecie, do kiedy może zająć w ciążę, mężczyznę zaś pominęła, jakby nie od niego zależało to, czy dziecko będzie krzepkie. Anthony Quinn ostatni raz został ojcem dwa lata po hucznie świętowanych osiemdziesiątych urodzinach. Jean-Paul Belmondo był od niego o dziesięć lat młodszy, kiedy urodził mu się syn. Tak samo Luciano Pavarotti. Prawda, sami sławni artyści. Nieprzepracowani fizycznie, sprawni umysłowo. Witkowski też jest wielkim mistrzem w swoim fachu, podziwianym przez studentki, asystentki, nawet lekarki i sąsiadki. Naczelniku Syski, doda Ostrouchy, codziennie z samego rana chcę dostawać meldunek w sprawie profesora. Im szybciej pan się z tym uwinie, tym lepiej.

Tego policjant najbardziej się obawiał. Ale skoro prokurator jeszcze nie zadzwonił, to dziś Syski nie usłyszy jego rozkazującego głosu.

Komisarz pamiętał, że większość zaginionych po jakimś czasie się odnajduje. Nieliczni giną na zawsze, ale pozostają ślady ich obecności wśród żywych.

Minęły dwie doby. Po takim czasie obowiązkiem policji jest przyjęcie zgłoszenia i rozpoczęcie poszukiwania zaginionego. Gdyby Witkowski wyszedł do lasu za Jodłowem, armia policjantów z psami, strażaków, żołnierzy, wolontariuszy i ludzi, którym profesor jeszcze nie zalażł za skórę, przeczesywałyby dukty i polany, zaglądała pod krzaki, wtykała głowy do jam, zerkąła do dziupli. Nad koronami drzew latałyby śmigłowce z kamerami pogłosowymi i termowizyjnymi. Witkowski nie miał

padaczki ani zaników pamięci, nie cierpiał z powodu alzheimera, nie dokuczała mu schizofrenia, nie wpadł w depresję, nie pokłócił się z żoną ani nikt mu nie groził. O siódmej trzydzięci wsiadł do octavii i odjechał sprzed domu w Jodłowie. Od tej pory nikt go nie widział, z nikim nie rozmawiał, do nikogo nie dzwonił z komórki. Może telefonował z aparatu stacjonarnego na którejś stacji paliw, ale tego Syski nie był w stanie sprawdzić.

– Niech pan o mało co magister przygotowuje komunikat o zaginięciu Witkowskiego – powiedział do Łukasza Białego. – Kiedy i gdzie ostatni raz profesor był widziany, krótki rysopis, znaki szczególne i co tam jeszcze się podaje.

– Nigdy nie spotkałem profesora Witkowskiego. Przecież jestem na psychologii, a on...

– Rysopis i zdjęcie zaginionego powinni mieć w dziale kadr uniwersytetu przy Licealnej. Ostatni raz był widziany... – Przez chwilę komisarz zastanawiał się, czy podać, że rozmawiał z nim w poniedziałek w jego mieszkaniu przy Niemena. –

Ostatni raz był widziany we wtorek rano w Jodłowie koło Sławy, skąd wyjechał czarną škodą octavią prawdopodobnie w kierunku Zielonejgóry. Na końcu musi być informacja, że osoby znające miejsce przebywania zaginionego... i tak dalej. Wzór znajdziesz w internecie. Komunikat zamieść na stronie komendy, wyślij do Itaki, a ta umieści go w Internetowej Bazie Danych Osób Zaginionych. I koniecznie wyślij do redakcji gazet, radia i telewizji w Zielonejgórze. Jeśli jakieś redakcje są w Nowej Soli, Sławie, Głogowie, to i tam.

– Gdzie znajdę adresy?

Syski spojrzął na Łukasza z wyrzutem.

– Weźmiesz je od rzeczniczki komendanta, panie o mało co magistrze Biały. Do „Zielonogórskiej” sam zadzwonię. Daniela Junga nie ma chwilowo w pracy, poproszę więc naczelną, żeby komunikat ukazał się jutro, w sobotę i trzeci raz w poniedziałek, kiedy kibice kupują gazetę. Niech pan się pospieszy, bo najpóźniej o pierwszej musimy być w klubie.

– Domyślam się, że to, co powiem, nie jest zgodne z prawem – nagle zmienił ton Łukasz.

– Co takiego?

– Każdy człowiek po sześćdziesiątce powinien mieć przy sobie urządzenie sygnalizujące, gdzie się znajduje, zamontowane w zegarku albo w telefonie komórkowym. Żeby rodzina wiedziała, gdzie szukać i w razie jego zaginięcia nie uruchamiała armii policjantów, strażaków, żołnierzy. Myślę, że skonstruowanie takiego aparatu nie będzie trudne, jeśli wykorzysta się nawigację satelitarną.

– Niczego nie trzeba wymyślać. Już jest coś podobnego. To elektroniczna bransoletka – powiedział Syski. – Zakłada się ją na nogę mniej groźnemu więźniowi i pozwala odbywać karę we własnym domu, co jest tańsze niż utrzymywanie skazanego za kratami. To się nazywa system dozoru elektronicznego.

– A już pomyślałem, że odkryłem Amerykę.

ZIELONAGÓRA, UL. WAZÓW,
CZWARTEK, PO POŁUDNIU

Kradzież płócien Dudy Gracza zajęła aż tyle miejsca w głowie docenta Rogali, że wyparła mu z pamięci obie operacje zaplanowane na przedpołudnie. Pierwszą, wszczęcie endoprotezy stawu biodrowego emerytowanemu leśniczemu spod Gubina, mógł odłożyć do przyszłego czwartku. Drugą pacjentką ma być matka wicewojewody czy kogoś tak samo ważnego z punktu widzenia dyrektora szpitala, dlatego ją postanowił zoperować jeszcze dziś. Operację mógł przeprowadzić któryś asystent, co zrobiłby nie gorzej niż docent Rogala, lecz już z rana przestało to wchodzić w rachubę. Ledwie ordynator pojawił się na korytarzu oddziału, z dyżurki wybiegła pielęgniarka i wezwała go do telefonu. Dzwonił dyrektor szpitala z pytaniem o godzinę operacji matki ważnej osoby. Zobowiązał Rogalę do skontaktowania się z synem pacjentki zaraz po zabiegu i zapewnienia go, że po rehabilitacji starsza pani będzie się czuła dobrze. Kazał jeszcze coś powiedzieć temu ważniakowi, żeby wyglądało na wyjątkową staranność, z jaką lecznica podeszła do wykonania swojego zadania, ale Rogala nie zwrócił na to uwagi.

– To się koledze docentowi na pewno opłaci – zapewnił go tajemniczo.

Odłożywszy słuchawkę, ordynator żałował, że nie spytał, co dyrektor miał na myśli. Może wreszcie dostanę dodatkowe fundusze na wymianę sprzętu w sali rehabilitacyjnej? I może większy przydział endoprotez, żeby pacjenci nie czekali w długiej kolejce? A może zaproponuje mi zajęcie gabinetu swojego zastępcy do spraw medycznych, który będzie wolny zaraz po wakacjach? Podobno na ten temat dyrektor rozmawiał z Marią Jung, ale profesorka nie zgodziła się zostawić katedry patomorfologii doktorowi Trzcince. Mnie awans w hierarchii szpitalnej odpowiada, tym bardziej że chodzi o lecznicę uniwersytecką, pomyślał.

Zaferowany tym, co powiedział dyrektor, zapomniał o kradzieży obrazów Dudy Gracza. Nie skontaktował się z Saszą, ale obiecał sobie w drodze do szpitala, że jeszcze przed obchodem zadzwoni do komendy. Zrobił to dopiero po południu. Słuchawkę podniósł policjant, który przypomniał mu, że przed wakacjami operował staw kolanowy jego brata, koszykarza pierwszej drużyny Gremplera.

– Zanotuję zgłoszenie. Przekażę je naczelnikowi odpowiedniego wydziału. Czy to coś da? Nie jestem przekonany, panie docencie – powiedział takim głosem, że i on miał wątpliwości, czy policja odzyska obrazy. – Każdego dnia dostajemy po kilkadziesiąt podobnych zgłoszeń. Wczoraj znana w mieście dyrektorka szkoły, żona profesora prawa zawiadomiła nas o ograbieniu swego mieszkania z zabytkowych naczyń. Również wczoraj z domu zapewne i panu docentowi znanej osoby, bo to właściciel firmy robiącej implanty, zginęło to, co najbardziej lubią kobiety. Wyjątkowo cenna biżuteria. Zgłoszeniami dotyczącymi kradzieży rowerów, wózków, komputerów, telewizorów, włamaniami do piwnic przestaliśmy się w komendzie przejmować – usłyszał od dyżurnego.

– Przecież policja...

– Gdybym był na miejscu pana docenta, zadzwoniłbym na komisariat przy

Szarych Szeregów. Tam jest dzielnicowy, on najlepiej wie, co z tym fantem zrobić – poradził mu dyżurny.

ZIELONAGÓRA, UL. PRZYCMENTARNA, CZWARTEK, PO POŁUDNIU

Jak przewidział Łukasz Biały, właściciela klubu nie było w biurze.

– Pan Grempler rzadko tu przychodzi – wyjaśniła sekretarka Syskiemu. – Od załatwiania spraw codziennych ma menedżera. Właśnie dyrektor Neimann wrócił i czeka na pana komisarza w swoim gabinecie. – Pokazała ręką na drzwi obciążone zieloną dermą.

Neimann podniósł głowę znad gazety, gdy policjant wszedł do pokoju, ale nie wstał zza biurka, a jeszcze mocniej oparł się plecami o poręcz obrotowego fotela. Nic się nie zmienił, ocenił go w myślach Syski. Nawet na wcześniejszej emeryturze ubek zachowuje się jak ubek. Lojalność godna nagrody.

– Blacha, jakiś papier? Chcę mieć pewność, że nie rozmawiam z przebierańcem.

Komisarz położył przed nim legitymację i pokazał odznakę, ale nie podetknął mu pod oczy.

– A ten? – Neimann pokazał na Łukasza Białego.

– Praktykant. Za rok skończy psychologię na uniwersytecie, potem szkółkę w Pile, jeszcze później podyplomówkę w Szczytnie albo gdzieś za granicą i będzie miał szansę zostać komendantem głównym policji lub, czego nie da się wykluczyć, prezydentem Interpolu.

– To jak skończy cokolwiek, niech tu przyjdzie. U mnie też znajdzie się jakaś robota. A teraz, młody... wy-no-cha – przesyłabizował Neimann i wskazał kciukiem lewej dłoni niedomknięte drzwi.

Łukasz odwrócił się, gotów wyjść z pokoju.

– Zostań – nakazał mu Syski. Do Neimanna powiedział: – Jeżeli jeszcze raz usłyszę coś w podobnym stylu, wezwę pana na komendę. Czując dupą twarde krzesło, większość ludzi inaczej się zachowuje.

– Żartowałem, koleś – natychmiast zreflektował się dyrektor i położył dłonie na biurku, jakby przed nim kapitulował. – Kawa, herbata? Może po kieliszeczku czegoś mocniejszego?

Komisarz nie odpowiedział. Usiadł na wprost niego i poprosił o ostatni protokół z zebrania wyborczego w klubie Grempler Basket.

– W jakim celu?

– Niech pan mnie nie zmusza do tego, czego nie chcę zrobić.

– Powinienem...

– Protokół z ostatniego zebrania wyborczego – powtórzył Syski zdecydowanym głosem.

– Halinka, daj te kwity! – zawołał Neimann, zdając sobie sprawę z tego, że nie

wygra z policjantem. – Albo lepiej tu przyjdź!

Syski przez chwilę milczał. Nigdy nie polubił szaraków ze służb specjalnych, którzy zadzierali głowę wysoko, jakby cały świat mieli u swoich stóp, a teraz jeszcze bardziej nimi gardził. Gdy sekretarka położyła zieloną teczkę na biurku, komisarz powiedział, że wszystkiego nie będzie czytał.

– Zarejestrowaliście klub koszykówki żeńskiej. Wczoraj po południu odbyło się zebranie wyborcze. Interesuje mnie imienny skład zarządu.

– Prezes pan Joachim Grempler. Wiceprezes do spraw sportowych Madej Tadeusz i ja do spraw organizacyjnych. Wakuje funkcja sekretarza, więc jeśli kolega komisarz ma dość...

– Wszyscy się zgodzili? Nikt nie miał odmiennego zdania? Wszyscy byli obecni na zebraniu? – policjant rzucił serię pytań.

– Wszyscy byli za, kolego komisarzu. Panu Gremplerowi nawet prezydent miasta nie śmie odmówić. Na taką pozycję, jaką ma pan Grempler w Zielonejgórze, trzeba sobie zasłużyć.

– Madej też?

– Tadek byłby głupi, gdyby nie przyjął takich pieniędzy, jakie obiecał mu pan Grempler. Tu dostanie porządną kasę. Jest jeden warunek: drużyna ma trzy lata na wejście do ekstraklasy i zdobycie tytułu mistrza kraju. W ciągu kolejnych dwóch lat zespół musi dostać się do Euroligi.

– A jeśli ten plan okaże się tylko pobożnym życzeniem?

– Wtedy Tadek zastąpi jakiś Czarnogórzec albo Murzyn z Wysp Zielonego Przylądka, któremu zabrakło szczęścia w Stambule czy Barcelonie. Jeszcze coś? Bo mi się trochę spieszy.

– Chcielibyśmy... – Syski urwał i pokazał głową na stojącego przy biurku Łukasza Białego. – Chcielibyśmy porozmawiać z Madejem.

– Nie widzę przeszkód, tyle że będzie to możliwe dopiero po niedzieli.

– Dziś. Za kilkanaście minut. Powiedzmy, że za pół godziny. Ale na pewno dziś – powiedział zdecydowanie.

– Halinko, sprawdź, gdzie dziś jest Tadek.

– Pan Madej był umówiony w Atenach w jakiejś agencji, która pośredniczy w podpisywaniu umów z zawodniczkami amerykańskimi. Z samego rana dzwonił do biura.

– Od kiedy Madej jest w Atenach?

– W sobotę po południu miał samolot z tego nowego lotniska w Berlinie – odpowiedziała sekretarka.

– Czyli od pięciu dni jest poza Zielonągorą. – Policjant podniósł lewą dłoń i rozczapierzył palce tak, żeby Neimann je widział. – Na wiceprezesa klubu został wybrany w środę. Jak to możliwe?

– Kolega naczelnik nie słucha z uwagą wymaganą na tym stanowisku. Albo na bieżąco nie analizuje tego, co dociera do jego uszu. Przecież wyraźnie powiedziałem, że panu Gremplerowi nawet prezydent miasta nie odmawia. Madej został wybrany na

wiceprezesa do spraw sportowych zaocznie. Jeszcze coś koledze porucznikowi, przepraszam, u was są nowe stopnie, koledze komisarzowi nie pasuje? – śmiejąc się, Neimann puścił oko do Halinki.

Skurwiel nic się nie zmienił, ocenił go Syski.

– Kiedy Madej wraca do Zielonejgóry?

Sekretarka odpowiedziała ze wzrokiem skierowanym na zegar wiszący na wprost biurka:

– W tej chwili pewnie jest po odprawie na lotnisku w Atenach. Za niecałą godzinę wsiądzie do samolotu odlatującego do Stambułu. Jutro rano jest umówiony z drugim trenerem żeńskiej drużyny Galatasaray. Stamtąd wróci do Berlina. Jeśli nic nieprzewidzianego się nie wydarzy, w Zielonejgórze powinien być około dwudziestej w piątek.

– Ktoś po niego wyjedzie?

– Po co? – zdziwiła się Halinka. – Pan Madej zostawił swoją octavię na parkingu przy lotnisku.

– A co kolegę interesuje, że tak szczegółowo wypytuje o Tadka? – zaciekał się Neimann.

Syski spojrzał na Łukasza, jakby go prosił o wsparcie, bo nie wszystko zrozumiał, lecz praktykant nie domyślił się, że komisarz oczekuje pomocy.

– W takim razie – policjant się podniósł i skończył na stojąco – porozmawiamy z panem Madejem po jego powrocie do Zielonejgóry.

– Nie widzę przeszkód. W razie czego Halinka pomoże.

ZIELONAGÓRA, LAS ZA OBWODNICĄ, CZWARTEK, PO POŁUDNIU

Strażnicy leśni dokładnie opisali drogę, którą aspirant Araszkiwicz i stażystka sierżant Natasza Woźniak dojechali do szałas i ziemianki wykopanej przez dwóch bezdomnych. Komendant posterunku powiedział, że kiedyś trzeba będzie przepędzić włóczągów z lasu. Latem pewnie sobie poradzą, ale gdzie się podzieją zimą? Tyle tam włożyli pracy, że na razie szkoda niszczyć gniazdo, które sobie wymościł w ziemi między drzewami. Zresztą bardziej oddanych opiekunów lasu nikt nie znajdzie. Utrzymanie ich nic nie kosztuje nadleśnictwa. Piją, ale nie za dużo, bo nie mają pieniędzy na alkohol, a gdy nabierają jagód czy grzybów i je sprzedadzą w mieście, to przede wszystkim idą do sklepu po chleb, margarynę i pasztetówkę.

– Stąd daleko do siedlisk ludzkich. Nie boicie się tak żyć? – zaciekała się Natasza. Zanim skończyła kurs kryminalny w Pile, odbywała praktykę w wydziale prewencji, gdzie codziennie miała do czynienia z osobami, które naczelnik nazywał patologicznymi. – Dlaczego wybraliście akurat to miejsce do zamieszkania?

– Gorzej nie będzie, jak było – odpowiedział mężczyzna w spranym, ale czystym podkoszulku z napisem „Nic nie muszę”.

– Jest opieka i pomoc społeczna.

– Nikomu nie wchodzimy w drogę, o nic nie prosimy, nie kradniemy, nie napadamy, więc niech nikt od nas niczego nie żąda, pani sierżant.

Mimo to stażystka spytała, przed kim uciekli do lasu. Trzeba mieć dużo samozaparcia albo być pozbawionym wyobraźni, żeby zdecydować się na życie w lesie. Współczesny świat jest za mały, żeby było gdzie się ukryć. Ten w podkoszulku zmierzył Nataszę obojętnym wzrokiem i przykucnął pod sosną. Jego wąsaty kolega też milczał, ale po chwili, jakby się namyślił, potwierdził to, czego stażystka się domyślała.

– Nie miałem roboty, nie płaciłem czynszu, to zostałem wypier... dzielony z mieszkania. A kolega swoje odpokutował w Barczewie i nie miał gdzie się podziąć. Chce pani zobaczyć, jak sobie żyjemy?

Natasza kiwnęła głową. Araszkiwicz też był ciekawy, jak wygląda ziemianka. Szałas zbudowany z żerdzi, mat trzciniowych, kartonów i blach bardziej okazał się składzikiem wiader, koszyków i palet niż schronem. Dopiero gdy po schodkach z połówek cegieł i kamieni zeszedli do ziemianki, zaniemówili. Światło wpadające przez lufcik w suficie rozjaśniało dywanik na podłodze zrobionej z bali i desek. Do ścian z żerdzi były przyklejone obrazki wycięte z gazet. Na starych szafkach, pomalowanych w biało-czerwone paski, stały dwie tace, na nich leżały wymyte talerzyki i kubki. Spod matowej folii nad pryzkami wyglądały kurtki. Pośrodku sterczał stół przykryty ceratą, przy nim był obłazły z białej farby taboret i krzeselko wędkarskie.

– Możemy klapnąć? – Dotąd lekko pochylony Araszkiwicz pokazał pytającym wzrokiem na taboret. Ten w podkoszulku kiwnął głową. Wąsaty usiadł na pryzce, robiąc miejsce obok siebie Nataszy, lecz stażystka przesunęła krzeselko na środek ziemianki i na nim przycupnęła. – Tu dużo chłodniej niż na górze. To sobie porozmawiamy.

– Nam się nie spieszy.

– A nam przeciwnie. – Natasza uśmiechnęła się do tego w podkoszulku i mrugnęła do Araszkiwicza, dając mu do zrozumienia, że będzie grała główną rolę.

– Po pierwsze: co robiliśmy we wtorek przed wieczorem? Po drugie: czy widzieliśmy sfajczony samochód? Po trzecie: czy kogoś spotkaliśmy w lesie? Po czwarte: dlaczego nie zawiadomiliśmy policji? Jest jeszcze coś, co panią i pana interesuje? – spytał wąsaty.

Araszkiwicz dał mu znak ręką, że czeka na odpowiedzi. Stażystka wyjęła notes i długopis z dzinsów, gotowa do zapisania tego, co powie bezdomny.

– Zacznę od ostatniego pytania. Będzie pani uprzejma zanotować nasze wytłumaczenie: nie zadzwoniliśmy na komendę, bo nie posiadamy komórek. Do najbliższego telefonu, czyli na stację benzynową przy Raculi, stąd jest ze trzy kilometry na szagę. – Wąsaty podniósł prawą dłoń prosto i przeciął nią powietrze. Natasza i Araszkiwicz za długo patrzyli na niemal czarne opuszki jego palców. Zauważył to. – Od jagód – wyjaśnił i kontynuował: – Drogą przy obwodnicy trzeba drałować prawie godzinkę, a koledze ani mnie nie chciało się tyle zasuwać. Cały

dzionek w poniedziałek i jeszcze z samego rana we wtorek jak te wariaty zbieraliśmy jagody. Krzyże to nas tak na... Trzeba jakoś zarabiać na życie. W południe zatachaliśmy jagody do kawiarni Niger na deptaku niedaleko katedry. Można sprawdzić. Zawsze tam nosimy, bo płacą od ręki, a w Continentalu trzeba czekać, bo dyrektora nie ma albo kasjerka na chorobowym czy co innego. Z Nigru poszliśmy do Trzepaka na piwko. W drodze powrotnej do naszego lasu kupiliśmy dwa chleby i konserwy. Jak weszliśmy między sosny, Marcin – pokazał na tego w podkoszulku – powiedział, że gdzieś niedaleko coś się sfajczyło. O razu pomyśleliśmy: nasz szałas. Strażnicy podpalili. Tyle razy przyjeżdżali i kazali się wynosić, bo w lesie bez pozwolenia nie wolno żyć. A to był ten samochód, który wczoraj przed południem panowie z komisji długo oglądali i miejsce, gdzie się spalił, i dopiero przed trzecią załadowali go na lawetę. Volkswagen passat b7. Marcin – wąsaty znowu pokazał na tego w podkoszulku – zna się na autach lepiej niż niejeden mechanik. Póki za dużo nie dawał w szyję, miał robotę w serwisie fabrycznym Volkswagena. Potem zdurniał i tego no. Swoje odpokutował. Nigdy więcej nie podniesie ręki na kobietę. Co by jeszcze? – zwrócił się do tego w podkoszulku, a ponieważ on jakby się zawstydził i dlatego nie odpowiedział, podniósł głowę na świetlik, zmrużył oczy i jak skamieniały tkwił tak może pół minuty. – O, kobiety.

– Kobiety? O czym pan mówi?

– Między drzewami mignęły kobiety. Marcin powiedział, że za dużo wypilem i mi się przewidziało. Jeszcze wtedy kolega ich nie zauważył. Serce czasem wysiada, ale oczy to mam lepsze od sokoła. Było się w Gwardii, jeździło po świecie, przywoziło medale z mistrzostw, a nie dawali za frajer. Ja ze Stachem Maruchą... Nawet dziś w gładkolufowej mogę iść na zawody.

– Co z tymi kobietami, które pan widział między drzewami? – zapytała coraz bardziej zniecierpliwiona stażystka.

– Skryły się.

– Skąd pan wie, że to były kobiety?

– To się wie po tym, jak chodzą.

– Może sarny albo... – Nataszy nie przychodziło do głowy nic takiego, co powinno dopełnić zdanie. Patrzyła na wąsatego szerokimi oczyma, zachęcając go do odpowiedzi.

– Zobaczyły nas. Ta wyższa, taka bardziej w sobie, co paliła papierosa, rzuciła go i wdeptała czubkiem buta w ściółkę. Powiedziałem do Marcina, że jeszcze las podпали i na nas będącie.

– Na ustniku został ślad po szmince – odezwał się wąsaty.

– Aha, podnieśliście niedopałek i na tej podstawie doszliście do wniosku, że to były kobiety?

– Po jednego kiepa się schylać?

– Sądzicie, że te kobiety miały coś wspólnego ze spalonym samochodem?

Obaj równocześnie wzruszyli ramionami i przez chwilę milczeli, jakby się zastanawiali, co powiedzieć.

– One musiały podpalić – rzucił Marcin. – Kto by, jak jest zakaz wchodzenia do lasu?

– Tablica z zakazem stoi przy drodze, a wy...?

– My, pani komisarz, to co innego.

– Sierżant – poprawiła go.

– Podpaliły i... Pytanie za stówę: dlaczego podpaliły? – spytał Marcin, nic sobie nie robiąc z wyjaśnienia Nataszy. – Taki passat kosztuje... Bo ja wiem? Dużo. Może po pijaku któraś stuknęła auto? Nie przyzna się, tylko pójdzie na policję i powie, że pojechała do Polski. Ukradli, podpaliłi w lesie. Weźmie odszkodowanie z ubezpieczenia i kupi sobie jeszcze nowsze.

– Potraficie bardziej szczegółowo je opisać? – odezwał się dotąd milczący aspirant Araszkiwicz. – Było coś, co zapadło wam w pamięć? Jakie te kobiety były? Wysokie? Niskie? Stare? Młode? Kolor włosów? W spodniach? Bluzkach? Miały torebki? No, na co jeszcze mężczyźni zwracają uwagę?

Wąsaty przymrużył oczy i splótł dłonie. Widać było, że się zastanawia nad odpowiedzią. Mówił niewiele, ale logicznie i tylko to, co interesowało policjantów.

– Ta, co paliła papierosa, była dwa razy grubsza od pani – pokazał na Nataszę i zwrócił się do tego w podkoszulku, jakby go prosił o potwierdzenie. – Druga, w okularach, miała czarną torebkę przewieszoną o tak – kciukiem prawej ręki zrobił niewidoczną linię przez lewe ramię. Dopiero teraz Natasza zauważyła wytatuowaną kreskę na jego nadgarstku. – Czy były wysokie?

– Między drzewami każdy jest wysoki – wtrącił ten w podkoszulku.

– Pan spytał o kolor spodni. Ta od papierosa na pewno miała żółte. Druga takie jak twoje. – Wąsaty położył dłoń na kolanie tego w podkoszulku i długo jej nie zdejmował, a po chwili przesunął wzdłuż uda. – Moro. Może ciut ciemniejsze i bardziej zielone. Identyczne noszą strażnicy leśni.

Jeszcze jedna para gejów, pomyślała stażystka, kątem oka zerkając na bezdomnych. A po chwili przyszło jej na myśl, że do niczego nie należy podchodzić zbyt emocjonalnie. Uśmiechnęła się do Araszkiwicza akurat w momencie, kiedy on podniósł na nią oczy, jakby nie wszystko, co powiedział wąsaty, zrozumiał.

– Pan ma na imię Marcin. – Natasza pokazała na wąsatego. – A jak nazwisko?

– Paweł tak mówi. Moje imię to Jerzy. Nazwisko Marciniak. Kolega Paweł nazywa się Zdenka.

ZIELONAGÓRA, UL. WĄSKA, CZWARTEK, PO POŁUDNIU

Praktykantka Dominika Białek dzwoniła do izb przyjęć wszystkich szpitali w regionie, nawet sprawdziła, kogo karetki przywiozły do lecznicy wojskowej i prywatnej kliniki medycyny ratunkowej. Nigdzie nie było Bolesława Witkowskiego ani żadnego pacjenta do niego chociaż troszkę podobnego. Ci, z którymi rozmawiała,

dobrze wiedzieli, kim jest i czym się zajmuje profesor.

– A może w tajemnicy przed współpracownikami szef wybrał się na jakąś konferencję naukową? – Syski zapytał Letzkiego.

Doktor pokręcił głową jakby bez zainteresowania. Ale gdy policjant nie dawał za wygraną, powiedział, że w poniedziałek już po oględzinach apartamentu przy Niemena Witkowski napomknął o konsultacji z dyrektorem kliniki ortopedii w Zakopanem.

– Profesorowi zdarzało się zaskakiwać współpracowników. Ostatni raz w czerwcu, kiedy nie uprzedzając żony ani nikogo w zakładzie inżynierii biomedycznej, prosto z Jodłowa pojechał do Wrocławia, ponieważ miał ochotę wymienić poglądy z profesorem Draganem, a rozmowę przez telefon uważał za niekomfortową i zbyt kosztowną – powiedział adiunkt i zaraz wyjaśnił, że na parkingu przed wjazdem do miasta Witkowski wbił do nawigatorki nazwę ulicy, ale musiał coś pokręcić, bo gdy dojechał do parku Grabiszyńskiego, na wyświetlaczu pokazała się informacja, że jest na miejscu. – Stamtąd zadzwonił do mnie po pomoc. Skontaktowałem się z sekretariatem wrocławskiej ortopedii. Asystent profesora Dragana wsiadł do swojego samochodu i doprowadził profesora na parking przy klinice. Zagubienie się na drodze powtarzało się wiele razy, szczególnie w dużych miastach, lecz on nic sobie z tego nie robił. Zasłaniał się zwyczajowym prawem niezwracania uwagi na takie sprawy.

– Jako światowej sławy naukowiec miał prawo do odmiennych zachowań – wytłumaczył sobie Syski.

– Jeśli pan komisarz nie ma nic przeciw temu, to w tej chwili mogę sprawdzić, czy profesor kontaktował się z kliniką w Zakopanem. A może tam pojechał?

Syski przytaknął. Adiunkt wyjął komórkę z kieszonki modnej w tym sezonie koszuli i po kilkunastu sekundach odezwała się asystentka profesora Zarzyckiego. Spytał ją o Witkowskiego. Komisarz nie słyszał jej odpowiedzi, dlatego Letzki po zakończeniu rozmowy tak ją streścił:

– Miałem rację. Ostatni raz mój szef kontaktował się z kliniką w poniedziałek przed południem. Tego dnia drogą mailową wysłał do nich referat na symposium ortopedyczne. Tekst jest u kogoś w Krakowie w tłumaczeniu na angielski. Więcej się nie odzywał.

Zatem nie ma Witkowskiego w Zakopanem. Zdaniem doktora Trzcinki w spalonym passacie były zwłoki dużo młodszego mężczyzny i bardziej rosnącego od profesora, ale to jeszcze nic pewnego. Celina Witkowska powiedziała komisarzowi, że w poniedziałek po powrocie z pracy Bolesław niewiele się odzywał. Położył się do łóżka wcześniej niż zwykle, rano wstał jak każdego dnia i bez słowa pojechał do Zielonejgóry. Nie ma go na uniwersytecie ani w Olemedzie. Docent Rogala, który przez telefon próbował zasięgnąć opinii profesora w sprawie implantów z Kulsch Medizintechnik, też nie usłyszał jego głosu. Nikt spośród sąsiadów nie spotkał go w Residences in Park, a na drzwiach apartamentu dalej tkwi pasek papieru opieczętowany w poniedziałek przez policję.

– Chyba mam... – zaczął Letzki i urwał, jakby czegoś się przestraszył. – Proszę

mi przysiąc, że to, co za chwilę ujawnię, nie zostanie zapisane w protokole. To wyłącznie do państwa wiadomości.

– Mogę jedynie zapewnić pana, doktorze, że zrobię wszystko, żeby bez potrzeby nie ujawniać źródła wiadomości. Z naszej rozmowy koleżanka sporządzi notatkę i wetknie ją do teczki, gdzie są inne materiały dotyczące tej sprawy – powiedział Syski, wskazując na Dominikę. – Mimo że jest praktykantką, dotyczą jej te same procedury, które mnie obowiązują.

– W takim razie... Przepraszam panią praktykantkę za dosadne określenia, którymi będę się posługiwał.

Komisarz mrugnął do Dominiki, a ta wzniosła oczy ku sufitowi, lekko się roześmiała i powiedziała:

– Panie doktorze, proszę być sobą. Ściany tego pokoju słyszały więcej niecenzuralnych wyrazów niż jest ich w *Wielkim słowniku języka polskiego*. Nasze oczy i uszy – praktykantka pokazała na Syskiego i siebie – więcej widziały i słyszały niż się panu wydaje.

Bogusław Letzki oparł się mocniej o krzesło.

– Profesor był, jak to się mówi w żargonie studenckim, pies na baby – powiedział i zaczerwieniony spuścił oczy na stół.

– Mężczyzna bez kobiety to jak pies bez pcheł: niby da się żyć, ale nudno. Kobieta bez mężczyzny to jak pchła: żyć ciężko i nie ma kogo ugryźć – powtórzyła Dominika po kimś, kogo nie znała, żeby zachęcić adiunkta do bardziej konkretnej wypowiedzi.

– To znaczy, doktorze? – zapytał policjant trochę uszczypliwym tonem, mimo że cokolwiek słyszał na temat kobiecych zainteresowań Witkowskiego.

– Nawet nie musiał się za nimi uganiać. Kobiety lgnęły do niego jak... jak... jak ćmy do światła. Kiedy jeszcze byłem studentem, wśród moich koleżanek krążyła opinia, że wpisu do indeksu z nanotechnologii nie dostają tylko te, które w dniu egzaminu mają okres.

– Czy ostatnio Witkowski także kogoś uwodził?

– W tej kwestii trudno profesora zastąpić.

– Kogo miał na celowniku ostatnio? Powiedzmy, dwa, trzy tygodnie, licząc od dziś?

– W piątek wieczorem byliśmy całą paką w Jodłowie na urodzinach profesora. Kiełbaski pieczone w ognisku, wino, wódeczka. Wyłączając docenta Mariana Rogalę i mnie, sami znajomi z żonami. To znaczy jedynie ja byłem singlem do poderwania przez samotną panią, gdyby taka się pojawiła, bo Marian przyszedł z Saszą, takim swoim... Państwo domyślają się, co mógłbym powiedzieć. Profesorowa podawała przekąski, ja pełniłem obowiązki podcaższego i jej asystenta. Aha, zaraz na początku, ale to taka śmieszna drobnostka, przed bramę podjechało auto straży leśnej. Któryś sąsiad profesora wkurzył się i zawiadomił nadleśnictwo, że pieczemy kiełbaski w ognisku. Podobno nie wolno rozpalać ognia w odległości mniejszej niż sto metrów od lasu. Profesor Nowakowski z wydziału prawa tłumaczył strażniczkom, bo przyjechały umundurowane kobiety, że od domku Witkowskich do pierwszych drzew

jest więcej niż pół kilometra. Mimo to spisały personalia z naszych dowodów. Profesor Nowakowski, jak to ma w zwyczaju, protestował, a ponieważ było to nieskuteczne, oświadczył, że jeśli zostanie ukarany mandatem, odwoła się do sądu. Tyle w ramach przerywnika, o czym goście profesora szybko zapomnieli. Kiedy wszyscy mieli trochę więcej w czubach, Vanessa, żona Adama Kulschmanna, poszła do toalety albo odpocząć w domku. Niedługo jej śladem wybrał się tam profesor. Wokół ogniska toczyła się dyskusja wzmacniana dawkami alkoholu, więc raczej nikt nie zastanawiał się, dlaczego Vanessa tak długo nie wraca. Powiedziałem do pani Celiny, że sprawdzę, co się z nią dzieje, bo może źle się poczuła i trzeba jej pomóc. Za dużo wypila, a większość Niemek ma kiepską głowę do mocniejszego alkoholu w ilości większej niż naparstek. – Syski sięgnął po kubek z wodą. – Vanessa czuła się jednak lepiej niż dobrze – powiedział doktor i lekko się uśmiechnął.

– Co to znaczy?

– Z jej gardła wyrywały się okrzyki, jakie... – zerknął na Dominikę i zaraz uciekł wzrokiem, jakby się zawstydział – wydają niektóre kobiety w trakcie odlotowego sam na sam z mężczyzną.

– Tym mężczyzną był Witkowski?

Letzki kiwnął głową.

– Vanessa Kulschmann jest współwłaścicielką firmy Kulsch Medizintechnik tuż za miedzą graniczną, w Guben. Drugim współwłaścicielem jest jej polski małżonek, notabene absolwent naszego uniwersytetu, wychowanek profesora Witkowskiego. Adam ożenił się z Vanessą może pół roku po śmierci jej pierwszego męża, założyciela firmy. Na mój nos nie Adam ożenił się z Vanessą, tylko Vanessa wzięła sobie Adama. Od początku to nie jest udane małżeństwo, ale ona potrzebowała mężczyzny, pod którego szyldem będzie robiła to, co zaczęła robić pod bokiem pierwszego męża. Vanessa jest lekarką z wykształcenia. Zanim wyszła za Kulschmanna, pracowała w Plastinarium. Wie pan... wiedzą państwo, co to jest?

Syski kiwnął głową, bo coś słyszał o tej instytucji, ale gdyby ktokolwiek poprosił go o opowiedzenie, co robi Plastinarium, odesłałby go do internetu.

– Szefie, niech pan doktor wyjaśni – powiedziała Dominika do komisarza.

Letzki był tam dwa razy. Pierwszy raz z ciekawości, gdy przeczytał w „Gazecie Zielonogórskiej”, że niemiecki profesor Günther von Hagens, który opatentował plastynację, czyli jeszcze jedną metodę mumifikacji ciał zmarłych, po czterech latach poszukiwań lokalizacji umieścił placówkę w Guben. Drugi raz był w Plastinarium razem z uczestnikami konferencji na temat implantów ortopedycznych, zorganizowaną przez Kulsch Medizintechnik, gdy pojechał tam z profesorem Witkowskim. Nigdy nie obejrzał wszystkiego, mimo że Vanessa zachęcała go kilkakrotnie. Jej zdaniem ciało zmarłego poddane plastynacji ma wiele wspólnego z mumią, ale wygląda jak rzeźba, tym bardziej że oprócz lekarzy anatomów przygotowują je do pokazu plastycy. Obiekty prezentowane w Plastinarium powinni obejrzeć studenci medycyny i inżynierii biomedycznej.

– Właśnie umieszczenie Plastinarium w Guben spowodowało, że Kulschmann przeniósł swoją firmę spod Stuttgartu do tego miasta – wyjaśnił Letzki. – Nawiasem

mówiąc, jedynym konkurentem zielonogórskiego Olemedu na rynku implantów ortopedycznych w środkowej Europie jest właśnie Kulsch Medizintechnik. Profesor Witkowski stoi w rozkroku, bo u jednych ma etat i poważanie, drugim nie odmawia pomocy, spodziewając się światowego uznania i nawet nominacji do Nagrody Nobla.

– Gdzie ma etat? – zapytał Syski, oczekując potwierdzenia tego, co mu przekazał Araszkiwicz po powrocie z Olemedu.

– Oprócz uczelni jest na etacie w firmie doktora Stonogi. Jego nazwisko widnieje na liście ekspertów ministerialnych. Dostaje pieniądze za konsultacje w naszym szpitalu i jeszcze gdzieś. Kapusty, jak studenci nazywają pieniądze, mojemu szefowi nie brakuje. W ogóle to mógłby już być na emeryturze. Młodzi czekają na zwolnienie miejsca.

– A...? – zaczął komisarz, ale doktor podniósł rękę na znak, że domyślił się, czego Syski nie rozumie.

– Kilka razy profesor próbował wciągnąć do łóżka Medinę, żonę Olka Stonogi, właściciela Olemedu, lecz ta jeszcze pamięta, komu ślubowała miłość, wierność i co tam jeszcze mówi się przed ołtarzem.

– Vanessa Kulschmann ma krótszą pamięć.

– Raczej ma niewielkie wymagania w łóżku – syknął Letzki. – Ponadto, co jeszcze jest tajemnicą, przygotowuje rozprawę doktorską. Jako promotora wskazała szefa naszego zakładu. Idę o zakład, że za rok, dwa lata obroni dysertację, na czym najlepiej wyjdzie profesor Witkowski.

– Mógłby pan być niezłym śledczym – orzekła praktykantka.

Doktor znowu się zaczerwienił i spuścił oczy na stół.

Syski pomyślał, że Letzki nie wszystko powiedział. Ukrył coś, co jest dla niego niekorzystne. Co to może być?

JODŁÓW, OS. OLSZOWE, CZWARTEK, WCZESNYM WIECZOREM

Inaczej niż w czasie przedwczorajszej rozmowy, tym razem Celina Witkowska niczego nie ukrywała, tak się wydawało Syskiemu. W ostatnich dwóch dniach musiało się wydarzyć coś, co ją uwolniło od chęci ukrywania sekretów rodzinnych. Pewnie któraś sąsiadka przekonała Celinę, że nie zasługuje na takie traktowanie. Nie powinna tylko prac, sprzątać, gotować i gdy mąż wróci do domku, usługiwać mu jak niewolnica. Mimo przekroczonej pięćdziesiątki coś jeszcze należy się jej od życia. Nie jest na jego utrzymaniu, bo dostaje emeryturę nauczycielską. A może Bolesław zadzwonił i powiedział coś takiego, co ją wkurzyło, i dlatego teraz nie ma żadnych tajemnic przed policjantem?

– Czy zaobserwowała pani coś nietypowego w zachowaniu męża? – zapytał komisarz przyciszonym głosem. Trochę się domyślał, dlatego nie zamierzał wnikać w jej związek z Bolesławem.

– Co ma pan na myśli?

– W wieku postdojrzałym jedni zachowują się jak dzieci. Inni tracą kontakt z bliskim otoczeniem albo stają się wyjątkowo religijni. U jeszcze innych pojawiają się choroby tego wieku.

– Nic z tych rzeczy. Boluś był sprawny na wszystkie sposoby. Witalności powinni mu zazdrościć nasi synowie. Witalności i zaradności – pokazała na domek. – Oraz pomysłów. Proszę sobie wyobrazić, że mój Boluś, mimo bardzo dojrzałego wieku, miał ogromne powodzenie u kobiet. Szczególnie u młodych.

– Zawsze tak było?

Przytaknęła. O niewierności męża powiedziała dużo więcej niż komisarz usłyszał od Bogusława Letzkiego. Wyszła za męża za Bolesława, kiedy on był na czwartym roku mechaniki, a ona za miesiąc miała zdawać maturę. Urodził się im pierwszy syn, więc zamiast studiować polonistykę ze specjalizacją pedagogiczną, jak obiecała rodzicom, też nauczycielom, została kurą domową. Potem on dostał stypendium rządu niemieckiego i wyjechał na studia specjalistyczne do Stuttgartu. Gdy wrócił, po niecałym roku urodził się drugi syn.

– Osiem miesięcy wcześniej w Stuttgarcie urodził się też Frank-Ulrich. Jego matki nigdy nie widziałam. O ile wiem, była niemieckojęzyczną Szwajcarką, córką kogoś z branży lotniczej. Wyszła za męża za majątnego berneńczyka, który usynowił Franka-Ulricha. Mniej więcej w tym samym czasie córka dyrektora szpitala w Biberach an der Riss wydała na świat Wenera. O to, czy w żyłach jeszcze innych dzieci urodzonych w tamtym czasie płynie krew mojego męża, niech pan mnie nie pyta – poprosiła, jakby nie interesowała się tym, co robił Bolesław. – Miałam na głowie wychowanie dwóch chłopców i to mi wystarczało do szczęścia. Panie komisarzu, jako inteligentny policjant pan dobrze wie, że są tacy mężczyźni, którzy nawet nie dotkną cudzego, i grupka takich, którzy uważają, że co twoje, to i moje. Boluś należy do drugich. Proszę nie sądzić, że mam na myśli wyłącznie cudze żony.

– A co jeszcze pani ma na myśli? – zapytał Syski, trochę onieśmielony tym, co usłyszał.

– Skoro pan nie wie, nie będę się wdawała w szczegóły. Te sprawy nie powinny interesować nawet księdza podczas spowiedzi wielkanocnej. Tym bardziej że dotąd nikomu nie udało się dowieść, których przedmiotów konstrukcje Boluś po prostu skopiował.

– Ktoś próbował oskarżyć profesora o kradzież?

– Dobrze pan wie, że nie tylko w tej branży wszyscy wszystkich podglądają i wszyscy pod wszystkimi kopią dołki. Nieliczni, ci z przytępieniem słuchem i wzrokiem, pozbawieni znajomych i przyjaciół, w nie wpadają. W świecie wynalazców, artystów, sportowców nie ma szczerzej przyjaźni. Tam jest rywalizacja na zasadzie: kto pierwszy, ten lepszy.

– Profesorowi się udało. Jest znakomitością światowej sławy.

– Przypadek potwierdzający to, co przed chwilą powiedziałam.

– Nie rozumiem.

– Boluś studiował materiałoznawstwo. Potem doksztalał się w Stuttgarcie, gdzie liznął inżynierii biomedycznej. Po powrocie do Polski został asystentem w zakładzie przeróbki plastycznej metali na wydziale mechanicznym. Ledwie obronił pracę doktorską, za którą notabene dostał nagrodę ministra, Werner, jego nieślubny syn z Biberach, skoczył do rzeczki Riss i złamał kręgosłup. Dziadek, emerytowany chirurg miejscowego szpitala, napisał błagalny list do Bolusia, żeby pomógł. Werner będzie się poruszał na wózku, ale trzeba skonstruować stabilizator kręgosłupa. Bolusiowi udało się zrobić to, o co prosił dziadek jego syna. Nawet zawiózł oprzyrządowanie do Biberach. Jak wrócił, rozniosło się po Polsce, jaki to sukces osiągnął zielonogórczanin. Wtedy rektor zaproponował Bolusiowi utworzenie zakładu inżynierii medycznej i kształcenie młodzieży w tym zakresie.

– Słyszałem inną wersję.

– Jaką?

– Ktoś z rodziny profesora, bodajże siostrzeniec, od dziecka cierpiał z powodu skoliozy. Był leczony w Świebodzinie, Zakopanem, Konstancinie, Piekarach na Śląsku i gdzie jeszcze się dało. Wtedy doktor Wierusz podpowiedział siostrze profesora, żeby przekonała swego brata... – urwał policjant, widząc, jak Witkowska kręci głową. – Jeśli coś pomieszałem, to przepraszam.

– Gdyby tak było, panie komisarzu, Boluś zostałby telewizyjnym bohaterem roku. Nadzieją polskiej medycyny rehabilitacyjnej. Mógłby przebierać w ofertach pracy – westchnęła z żalem. – Jednego nie można mu odmówić: jest cholernie zdolny. Po kim odziedziczył ten niezwykły talent? Przecież jego ojciec był chłopem, jak się kiedyś mówiło, małorolnym. Ledwie umiał się podpisać. Boluś z trudem skończył technikum mechaniczne, na studia dostał się dlatego, że miał dodatkowe punkty za pochodzenie. W tamtym czasie malała liczba studentów pochodzenia robotniczego i chłopskiego, więc władze wymyśliły punkty. Gdyby nie to, Boluś pewnie zostałby chłopem jeszcze bardziej małorolnym niż jego ojciec, bo niewielki kawałek ziemi teść musiałby podzielić między czterech synów i jeszcze splechetek zatrzymać na posag córki.

To nie interesowało Syskiego, dlatego spytał, czy nadal nie domyśla się, gdzie przebywa jej mąż. Nie powiedział, że w spalonym samochodzie były zwłoki mężczyzny. Po niedzieli będzie jasne, czy to Madej czy ktoś inny.

– Na podstawie moich doświadczeń życiowych można napisać powieść. Ale to, co się wydarzyło od piątku, starczyłoby na powieść sensacyjną w trzech tomach.

Policjant zrobił pytającą minę.

– Najpierw te dwie strażniczki.

– O których strażniczkach pani mówi?

– W piątek, jak mieliśmy gości, przyjechały dwie strażniczki leśne i wszystkich spisały, bo ognisko paliło się za blisko lasu. Znam tutejszych leśników, ale nigdy nie słyszałam o kobietach pracujących w straży leśnej. Potem Staszka tak nieszczęśliwie... I Boluś przepadł. A dziś rano profesor Nowakowski powiedział mi, że złodzieje okradli jego mieszkanie w Zielonejgórze. Niedawno tam się wprowadził, jeszcze nie zdążył założyć solidnego alarmu. Nie zawracałabym tym sobie głowy, gdyby nie to, że wczoraj o identycznym zdarzeniu powiedział mi Sasza, przyjaciel

docenta Mariana Rogali. I jakby tego było za mało, ktoś włamał się do segmentu państwa Stonogów. Nie chciałabym niczego sugerować, zrobi pan jak uważa, ale to mi wygląda na zorganizowaną akcję, komisarzu.

ZIELONAGÓRA, OS. ZACISZE, CZWARTEK, PÓŹNYM WIECZOREM

Całą drogę z Jodłowa do swego mieszkania Syski myślał o tym, co mu powiedziała żona profesora. Dlaczego nikt w komendzie nie pisał słowem na temat włamań do domów osób bliskich Witkowskim? Przecież każdego dnia na porannej odprawie naczelników wydziałów komisarz referował, co jego podwładnym udało się zebrać na temat zaginięcia profesora i zabójstwa w Residences in Park. Nawet przedstawił działania, jakie zamierza podjąć do niedzieli, i wyjaśnił, czego oczekuje od pozostałych wydziałów komendy. Wszystkich prosił o wsparcie, bo przecież Witkowski to nie tylko profesor uniwersytecki, jakich wielu jest w Zielonejgórze, ale europejskiej, a może i światowej sławy ekspert w zakresie inżynierii biomedycznej. Każda uczelnia, każda firma robiąca implanty ortopedyczne, każdy szpital specjalistyczny chciałby go mieć pod ręką. Nikt w Polsce nie potrafi tyle, ile umie Witkowski. Dlatego do poszukiwania profesora powinno się włączyć Centralne Biuro Śledcze Policji, a może i Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Komisarz doszedł do wniosku, że winny jest nowy naczelnik wydziału dochodzeniowo-śledczego, podinspektor dyscyplinarnie odwołany z komendy powiatowej w Krośnie Odrzańskim. Nowy zachowuje się tak, jakby był kimś więcej niż naczelnikiem. Jego sekretarka zdradziła sekretarce Syskiego, że podinspektor traktuje nowe miejsce pracy jako przejściowe. Nikt nie wymazał jego nazwiska z rezerwy kadrowej, ma więc nadzieję na zajęcie gabinetu szefa którejś komendy powiatowej. Kto raz został komendantem, uważa, że musi nim być zawsze.

Z domu zadzwonił do dyżurnego na Wąskiej po numer komórki naczelnika wydziału dochodzeniowo-śledczego. Gdy odezwał się podinspektor, Syski przedstawił się i spytał, czy coś wie o włamaniach do domów, a przede wszystkim na osiedlach Malarzy i Kamieni Szlachetnych.

– W poniedziałek.

– Co w poniedziałek?

– W poniedziałek sprawdzę meldunki i wtedy odpowiem.

– Tak długo nie mogę czekać. W tej chwili potrzebuję informacji – rzucił podniesionym głosem Syski.

– Naczelniku, w tej chwili dochodzi godzina dwudziesta pierwsza trzydzieści cztery. Nie jestem na służbie. Jak każdy obywatel Rzeczypospolitej mam prawo do odpoczynku. Mam czy nie, komisarzu?

– Panie...

– Zgodnie z obowiązującymi nas procedurami na zadane pytanie odpowiem wyczerpująco nie wcześniej niż w poniedziałek.

- Najpóźniej jutro z samego rana.
- Na jutro wziąłem wolne za zeszłą sobotę. Należy mi się jak psu zupa.
- Panie naczelniku...
- Komisarzu, proszę zachować drogę służbową i stosować się do procedur.

Skończyłem.

Syski jeszcze przez kilkanaście sekund przyciskał komórkę do ucha.

– Zła-mas.

– Nie wszyscy traktują swoje obowiązki tak dokładnie jak ty, mój gorliwcu – pocieszyła go żona, zapraszając do kolacji. Dopiero teraz zauważył, że ma na sobie odświętną sukienkę. Na udekorowanym stole paliła się świeczka.

Syski od dawna wiedział, że nie ma nic gorszego od samotności we dwoje, dlatego wcześniej wychodził do komendy i wracał późno. Nie miał nic przeciw żonie, ale wtedy, gdy się żenił, czegoś innego oczekiwał. Tylko czy komisarz jest jedynym człowiekiem, któremu nie udało się w życiu prywatnym? Jako policjant czuje się spełniony, co też sporo znaczy.

– O czymś ważnym zapomniałem? – zapytał zawstydzony.

Żona kiwnęła głową i dodała:

- Nie pierwszy raz.
- A o czym teraz?
- O moich imieninach – przypomniała.
- Słusznie. Przecież dziś Emilii!

ZIELONAGÓRA, UL. SZARYCH SZEREGÓW, PIĄTEK, Z RANA

Kierownik komisariatu powiedział, że tylu zawiadomień o kradzieżach z domków jednorodzinnych, ile wczoraj i w środę zanotował dyżurny, nie było zimą i wiosną.

– Tak jest każdego roku latem. Właściciele i ich sąsiedzi wyjechali na wakacje. Grempler Security wycięła wszystkie firmy zabezpieczające mienie z miasta, a ponieważ za dużo chce za ochronę, to domów nikt nie pilnuje. Żniwa dla złodziei – wyjaśnił. – A czy u nas jest inaczej? Połowa stanu komisariatu na urloпах była w lipcu, druga część teraz. Ludzie mają dzieci w wieku szkolnym, to kiedy brać urlopy?

Identycznie jest w wydziale kryminalnym, dlatego Syski z uwagą kierownika się zgodził.

– Do końca wakacji niedaleko. Wytrzymamy – powiedział, jakby chciał go pocieszyć. – Co najczęściej ginie z tych kiepsko strzeżonych domów? Chyba nie meble i nie samochody.

– Na pierwszym miejscu są przedmioty jubilerskie. Rzadko samochody. Meble to prawie wcale. Chyba że pojedyncze stoliki z tarasów, jakieś komódki, krzesła, o, zabytkowe zegary. Taka poważniejsza kradzież dotyczyła kompletu

wypoczynkowego w stylu gregoriańskim z szeregowca tego, co był za marszałka sejmu. „Wysoki Sejmie, nie po raz pierwszy staje mi...” – przypomniał kierownik i się roześmiał. – Pamiętam szczegóły, bo mieliśmy z nim urwanie głowy. Właściwie nie tyle z nim, co z naczelnikiem dochodzeniówki, który był czy jest kumplem eksmarszałka. Mniejsza z tym. Zwykle chodzi o drobne antyki i dzieła dawnej sztuki. Czyli, po pierwsze, wyraźnie kradzież na zamówienie. Po drugie, złodziejami nie są kieszonkowcy i dlatego trudno ich namierzyć. A po trzecie, nigdy nie udało się odzyskać ukradzionych przedmiotów w całości, co może oznaczać, że kradną w Polsce i wywożą je za granicę albo że zlecniodawcami są cudzoziemcy. Niech pan sobie wyobrazi, że na kamionkowe koryta do pojenia krów, ukradzione z byłego pegeeru pod Gubinem, policja natrafiła przypadkowo koło Darmstadt. Komuś opłaciło się wieźć je przez całe Niemcy – powiedział ze zdziwieniem w głosie.

– Czy w środę i wczoraj były zgłoszenia z osiedli Malarzy i Kamieni Szlachetnych?

– Stamtąd zawsze jest najwięcej. Dużo też ginie z Polanek. Jak chce pan wiedzieć, co i z których domków, to nic prostszego, jak zejść do naczelnika dochodzeniówki. Dzień w dzień wysyłam do niego raport o włamaniach, kradzieżach, bójkach, zauważonych i zgłoszonych nieprawidłowościach w rejonie działania komisariatu. Muszę to robić, bo taka jest procedura. A swoją drogą nakazuję dzielnicowym, żeby mieli oczy i uszy otwarte i o wszystkim meldowali.

ZIELONAGÓRA, UL. WĄSKA, PIĄTEK, PRZED POŁUDNIEM

Wczoraj podkomisarz de Murville dwa razy telefonowała do działu sprzedaży Volkswagen Group Polska. Najpierw mężczyzna, z którym połączyła ją recepcjonistka, rzucił, że nie ma obowiązku odpowiadać na pytania przez telefon i nikt nie zmusi go do podania informacji o kliencie, bo to jest tajemnica handlowa. Potem domagał się przesłania faksem nakazu z podpisem prokuratora albo sekretarza sądu, a kiedy podkomisarz zażądała połączenia z prezesem grupy, wystarczyło podanie numerów silnika i ramy spalonego volkswagena.

– Jeśli pojazd został sprzedany w Polsce, ktoś z moich współpracowników sprawdzi gdzie i dowie się, kto go kupił. Tego nie da się załatwić od ręki. Proszę zadzwonić jutro przed południem – usłyszała podkomisarz.

Dziś o jedenastej podkomisarz de Murville znowu zadzwoniła do tego, z którym wczoraj rozmawiała.

– Niestety, volkswagen passat alltrack o podanych numerach nie został sprzedany w naszej sieci handlowej w Polsce – powiedział.

To samo Trzcinka ustalił dwa dni temu. Doktor na własną rękę próbował sprawdzić w centralnym rejestrze, kto był właścicielem passata, zanim auto spaliło się w lesie za obwodnicą. Volkswagen z odczytanymi przez biegłego numerami podwozia i silnika nie był zarejestrowany w Polsce. Gdzie, to Syski polecił wyjaśnić

Karolinie de Murville.

– Proszę skontaktować się z naszą centralą w Wolfsburgu – poradził mężczyzna z działu sprzedaży i dodał, że oczekiwanie na odpowiedź może być długie. Urzędnik niemiecki na pewno odpowie, ale zanim to zrobi, prośbę policjantki przedstawi swojemu pryncypałowi, a ten będzie się domagał podania podstaw prawnych. – Jeszcze wiele musimy się od nich nauczyć. Dlatego najlepiej od razu wysłać oficjalne pismo do Wolfsburga. Oczywiście nie wprost z komendy w Zielonej Górze, a za pośrednictwem odpowiednich służb w Warszawie.

Wiele razy Karolina wypełniała takie druki i poprawiała je, bo jak nie Syski, to zastępca komendanta mieli jakieś uwagi. Potem wiele razy telefonowała do centrali warszawskiej. Tam zawsze odpowiadano jej, żeby wytrwale czekała. Interpol sprawdza.

Dlatego dziś postanowiła zadzwonić wprost do Wolfsburga. Miała rację, podejmując taką decyzję. Niespełna godzinę po tym, jak przedstawiła się zastępcy dyrektora departamentu sprzedaży Volkswagena, wiedziała tyle, żeby naczelnik Syski ją pochwalił. Poszukiwanym właścicielem passata jest Adam Kulschmann.

– Kupił go w kwietniu w salonie samochodowym Ruprecht w Guben przy Forster Strasse 11. Właściciel mieszka w willi przy Alte Poststrasse, ale to informacja uzyskana nieoficjalnie – dodała.

Syski wstał zza biurka i milcząco patrzył na Karolinę. Już otworzyła usta, żeby spytać, co zrobiła nie tak, jak tego oczekiwał, gdy komisarz przypomniał sobie, gdzie usłyszał to nazwisko. Wczoraj Letzki je wymienił, mówiąc, że Vanessa Kulschmann jest współwłaścicielką firmy Kulsch Medizintechnik w Guben. Ma ją do spółki z mężem, absolwentem Uniwersytetu Zielonogórskiego. Adam ożenił się z Vanessą niedługo po śmierci jej pierwszego męża, założyciela firmy. Podobno nie z miłości, ale to trzeba sprawdzić.

– Jedynym konkurentem zielonogórskiego Olemedu na europejskim rynku implantów ortopedycznych jest właśnie Kulsch Medizintechnik – powtórzył opinię Letzkiego. – Kulschmannowie byli w piątek w Jodłowie na urodzinach Witkowskiego. Wedle doktora pomiędzy nią a profesorem rozegrała się sprawa łóżkowa. Nie pierwsza zresztą. Może Adam Kulschmann to widział i cierpliwie czekał do wtorku, żeby się zemścić.

– Podpaliliby własny samochód?

– Jest coś jeszcze bardziej niezrozumiałego. Docent Trzcinka twierdzi, że w tym samochodzie spalił się Tadeusz Madej, były koszykarz Zastalu, ostatnio zatrudniony przez Gremplera do zbudowania żeńskiej drużyny koszykówki. Ale jak mówi menedżer klubu, Madej pojechał do Grecji i Turcji kontraktować zawodniczki. Asystentka klubu zapewnia, że jest z nim w kontakcie telefonicznym. Dziś wieczorem przez lotnisko w Berlinie Tadeusz Madej ma wrócić do Zielonej Góry. Musimy go przesłuchać.

ZIELONAGÓRA, UL. WĄSKA,

PIĄTEK, W POŁUDNIE

Dyżurny w komendzie i jego pomocnik niemal bez przerwy trzymają słuchawki przy uszach. Notują wszystko, co usłyszą i czego się domyślą. To tak na wszelki wypadek. Co najmniej połowa zgłoszeń nie zasługuje na uwagę policjantów. Bywają takie, które dyżurny powinien zignorować, ale niczego nie lekceważy, każdy sygnał traktuje poważnie. Nigdy nie potwierdziła się informacja o ładunku wybuchowym podłożonym w szkole, sądzie, banku, teatrze, kinie, hotelu, markecie, kościele, autobusie, pociągu, na lotnisku. Wybuchają bomby pod samochodami właścicieli firm, sędziów, prokuratorów, ale o nich nikt wcześniej nie zawiadamia policji.

– Na waszej stronie w internecie jest informacja o poszukiwaniu zaginionego profesora Witkowskiego – usłyszał dyżurny.

– Proszę chwileczkę poczekać. Chcę słowo w słowo zanotować, a akurat wkład w długopisie mi się wypisał – powiedział do słuchawki i dał znak pomocnikowi, żeby sprawdził, gdzie wisi automat, z którego telefonuje kobieta.

Teraz odgadnięcie miejsca nie jest trudne, zwłaszcza że dyżurny słyszał jeszcze inne głosy osób stojących w pobliżu młodych ludzi. W gimnazjach i liceach nigdy nie było i nie ma automatów telefonicznych. Mimo że większość Polaków nosi komórki, przewodowe telefony pozostały na korytarzach szpitali i urzędów, w lepszych hotelach, ale co tam robiliby młodzi? Aparaty na kartę jeszcze są przy szatniach we wszystkich budynkach należących do uniwersytetu.

Pomocnik napisał na kartce „ul. Szafrana, wydz. mech., parter” i przesunął ją do dyżurnego. W pobliżu kampusu A nie było radiowozu. Zanim patrol z osiedla Pomorskiego dojedzie na Szafrana, minie co najmniej sześć minut. Tak długo nie uda się dyżurnemu zatrzymać kobiety przy telefonie. Mimo to polecił obsadzie radiowozu, żeby pędziła do budynku głównego wydziału mechanicznego i próbowała odnaleźć tę osobę, która dzwoni do komendy.

– Już mam czym i na czym pisać. Przepraszam, że tak długo to trwało. Zdarza się. Nie zawsze jest to moja wina. O, jeszcze okulary. Zamieniam się w słuch, proszę szanownej pani – przytrzymał się dyżurny. Zawsze tak się zachowywał, gdy czuł, że to, co usłyszy, będzie bardzo ważne.

– Niewiele mam do powiedzenia poza tym, że tego chuja Witkowskiego powinniście szukać u którejś studentki. Stary cap egzaminuje dziewczyny w łóżku. Albo teraz, gdy są wakacje na uniwerku, to pewnie z jakąś doktorantką baluje w Łagowie. Jebus, jakich niewielu nosi ta święta ziemia. I taki kumpluje się z biskupem. Wykastrować go!

Tylko szkoda czasu, pomyślał dyżurny, odkładając słuchawkę. Powinien zadzwonić do Syskiego, ale czy to ma sens? Rzucił do pomocnika:

– Odwołaj ten radiowóz, co go posłałeś na Szafrana.

ZIELONAGÓRA, UL. SZOSA WROCŁAWSKA,
PIĄTEK, W SAMO POŁUDNIE

Starsi Polacy są przesądni. Wierzą, że jeśli zgaśnie świeczka na stole wigilijnym, to ktoś spośród ich bliskich umrze w nowym roku. Nieboszczyka trzeba pochować po trzech dniach, ale nie należy tego odwlekać do po niedzieli, chyba że w piątek rozstał się z życiem. Przy telefonach firm pogrzebowych zawsze ktoś dyżuruje w dzień i w nocy, a kierowcy nieoznakowanych samochodów do przewozu zwłok stawiają auta na parkingach najbliższych swoich domów, żeby zdążyć przed konkurencją. Jedynie grabarze mają wolne w niedzielę i sobotę, chociaż zdarza się, że za dodatkową opłatą robią to, za co im płacą właściciele firm w pozostałe dni. Mimo że w branży funeralnej konkurencja jest ogromna, zakładów pogrzebowych przybywa. Ceny usług także rosną.

Łukasz Biały nie sądził, że to się tak skończy. Przeglądając „Zielonogórkę”, dostrzegł nekrolog zamordowanej Wieczorek. Z gazetą otwartą na osiemnastej stronie poszedł do naczelnika Syskiego, a ten kazał mu iść na pogrzeb, trzymać się końca konduktu, udając żałobnika lub kogoś z dalszej rodziny. Ma wszystko widzieć i słyszeć, o czym ludzie rozmawiają. Czasem padnie jedno zdanie, które okaże się kluczem do śledztwa.

Zaraz po wyjściu Łukasza na korytarz komisarz poprosił naczelnika wydziału prewencji o wysłanie na cmentarz co najmniej dwóch policjantów po cywilnemu, żeby obserwowali praktykanta i tych, którzy przyjdą na pogrzeb Stanisławy Wieczorek. Interesowało go, czy pojawi się profesor Witkowski. Gdyby tak się stało, Łukasz ma natychmiast dać znać Syskiemu.

– Żadnych czynności na własną rękę – ostrzegł go komisarz. – Choćby nagle cię przyduśliło i musiałbyś iść do toi toia, chcę o tym wiedzieć.

W kaplicy ani w kondukcie Łukasz nie dostrzegł profesora. Widział Grzegorza i obok niego dwie kobiety w czarnych sukienkach. Pewnie siostry. Domyślał się, że ci, którzy mieli w rękach wiązanki kwiatów, to sąsiedzi Wieczorków z ulicy Wandy. Letzki przyniósł karminową różę przewiązaną czarną wstążeczką, identyczną jak Łukasz. Kilka kroków za Grzegorzem szła Celina Witkowska z dużą wiązanką cytrynowych mieczyków ściętych w przydomowym ogródku w Jodłowie. Tylko dwaj mężczyźni nie mieli niczego w rękach i zachowywali się identycznie jak ci, którzy przychodzą na koncerty w amfiteatrze, ale nawet nie zerkają na scenę. Łukasz domyślił się, że są to wysłannicy policji albo ABW. Po powrocie do komendy opowiedział Syskiemu o tym, co zaobserwował.

– Popraktujesz dłużej w komendzie, to się przekonasz, jakie jeszcze obowiązują nas procedury. Niektóre są tak kretyńskie i wzięte wprost z księżyca, że aż dziw, jak komuś mogły wpaść do czerepu. Ale to jeszcze nic. Ktoś w centrali podsunął je komendantowi do zatwierdzenia – usprawiedliwił się komisarz.

– Trzeba było podnieść głowę.

– W policji obowiązuje ta sama zasada, co w wojsku: najpierw wykonać rozkaz, potem można dyskutować. Potem, czyli wtedy, kiedy zwierzchnik zbiera gratulacje albo nie słucha, bo szuka winowajcy.

ZIELONAGÓRA, UL. WĄSKA,
PIĄTEK, WCZESNYM POPOŁUDNIEM

Od wczorajszego wieczoru sierżant Natasza Woźniak starała się myśleć o czymś przyjemniejszym, mimo to miała wciąż przed oczyma obu bezdomnych. Gdyby nie bała się ciemności, w nocy pojechałaby do lasu za obwodnicą miasta sprawdzić, czy nic złego im się nie stało. Podziwiała ich za odwagę i pomysłowość oraz współczuła im przede wszystkim dlatego, że żyją na odludziu, ale gdyby była taka możliwość, także przeniosłaby się do lasu. Nie na zawsze. Na tydzień, dwa. Najwyżej do pierwszych przymrozków. Żeby na własnej skórze sprawdzić, jak czuje się człowiek, który nikomu nie jest potrzebny. Inni bezdomni najpierw ustawiają się w kolejce po zupę przed stołówką Caritasu, potem najedzeni jedni wyciągają się na ławkach przy parkometrach, drudzy zebrzą i straszą kierowców, że jeśli nie dadzą im pieniędzy, to znajdzie się ktoś, kto może porysować karoserię lub przebić oponę. A ci dwaj, których zobaczyła wczoraj, latem zbierają jagody i grzyby w lesie, od jesieni do wiosny wyciągają puszkę i butelki po piwie z miejskich koszy, myją szyby na parkingu przy stacji paliw. Słowem: pracują.

Stażystka namawiała aspiranta Araszkiwicza, żeby pojechali do lasu. Wykręcił się innymi obowiązkami.

– Szefie, skoro w pobliżu spalonego samochodu bezdomni widzieli dwie kobiety, to i te kobiety musiały widzieć bezdomnych. A jeśli one podpaliły volkswagena w lesie? I jeśli uznały, że w trakcie przesłuchania bezdomni mogą właśnie je wskazać jako sprawczynie, to...? – Natasza nie dokończyła pytania, jakby chciała, żeby Syski sam się domyślił, co miała zamiar powiedzieć, a wtedy na pewno przytaknie. Ale Syski tylko przekrzywił głowę i nawet nie oderwał wzroku od papierów, które leżały na biurku. – Jak podpaliły, to i mogły zlikwidować świadków.

– Mogły-nie-mogły – rzucił na odczepnego komisarz. Po chwili dodał: – Uważasz, że przy szalacie bezdomnych mam postawić policjanta?

– Niech szef nie traktuje mnie jak głupiutkiej stażystki. Uważam, że powinniśmy przekonać bezdomnych do opuszczenia tego miejsca. Nie na zawsze, tylko na jakiś czas.

– Jedź tam i przekonuj – powiedział dla świętego spokoju.

– Oczywiście z aspirantem Araszkiwiczem.

Komisarz Syski kiwnął głową.

Tadeusz Araszkiwicz, gdy Natasza mu to powtórzyła, miał ochotę zaprotestować, lecz ona zrobiła zakłopotaną minę, a dołeczki w policzkach miała jak połówki renklod, i wtedy zabrakło mu odwagi. Urokliwa. Po raz pierwszy w jej obecności milczał. Aha, mam cię, ucieszyła się stażystka. Zanim oderwał się od biurka, zadzwonił do Karoliny de Murville, że tak jak wczoraj ustalili, przed wieczorem pojedą do Łagowa. Wrócą w niedzielę po południu. I to będzie wasz ostatni wspólny wyjazd, uznała Natasza w myślach. Karolinko, szukaj sobie nowego faceta. Załóż się, że Tadeusz będzie mój.

ZIELONAGÓRA, LAS ZA OBWODNICĄ MIASTA,
PIĄTEK, PO POŁUDNIU

– Ja pierdolę! – wyrwało się Nataszy.

– Co takiego koleżanka sierżant dostrzegła, że aż tak spontanicznie zareagowała?
– spytał Araszkiewicz, świdrując wzrokiem czubki sosen.

– Tam!

Podążając wzrokiem za ręką stażystki, aspirant natychmiast wcisnął sprzęgło i hamulec. Wczoraj po południu, kiedy przyjechali tu tym samym radiowozem, między drzewami stał szalas z żerdzi, mat trzciniowych, kartonów i blach, okolony patykami i jeszcze czymś, czego Araszkiewicz nie umiał nazwać.

– O, ciulów sto! Tadeusz, ktoś podpalił szalas bezdomnych – powiedziała z niedowierzaniem Natasza. – Może spłonęli żywcem?

– Ktoś, ktoś. Sami podpálili, nygusy. Kto by inny? Mieli dość i podpálili. Albo pochlali i od papierocha.

– Wierzysz w to, co mówisz?

Araszkiewicz także miał wątpliwości, bo wczoraj, kiedy wszedł za opłotowanie i potem po wążiutkich schodkach wsunął się do ziemianki, odniósł wrażenie, że bezdomni czują się nieźle i na razie nie mają ochoty wynieść się do miejskiej noclegowni. Pewnie piją więcej niż statystyczny Polak, pomyślał, ale czy jest chociaż jeden bezdomny na świecie, który tego nie popija? Dotąd aspirant takiego nie spotkał.

Nie czekając, aż Araszkiewicz wyłączy silnik, Natasza wyskoczyła z radiowozu i pobiegła w stronę pogorzelska. Odnalazła zejście do ziemianki. Podniosła metalowy dekiel. Świecąc latarką, najpierw omiotła schody, potem posłała strumyk światła do środka i nadstawiła uszu. Wydawało jej się, że coś poruszyło się przy ścianie.

– Halo, jest tam ktoś?! – zawołała i ostrożnie zsunęła się po schodach na dywan przykrywający podłogę ziemianki. – O, kurwa!

Głowa wąsatego zwisała z pryczy. Ten w podkoszulku siedział na podłodze, oparty plecami o ścianę z desek. Natasza najpierw sprawdziła puls wąsatego. Chwała Bogu, żyje, stwierdziła. Potem dotknęła tętnicy szyjnej tego w podkoszulku. Też żył.

– Tadeusz, wezwij karetkę! – krzyknęła, wystawiając głowę z ziemianki. – Niech przyślą reanimacyjną! Najlepiej dwie!

– Jak? Tu... do lasu? Za skarby nie trafią.

– To wyjedź na obwodnicę! I ich doprowadź! Zaznacz, że do bezdomnych!

– Odmówią.

– Nie pierdol, Tadeusz, tylko dzwoń!

– Nie będą chcieli telepać się po takich wertepach, bo kto im zapłaci?

Wydawało jej się, że obaj bezdomni poruszyli się. Najpierw chwyciła wąsatego za ramiona i ułożyła jego głowę na pryczy, potem otwartą dłonią dwa razy chlasnęła go w policzek. Otworzył oczy i milcząco patrzył na policjantkę, jakby sprawdzał, gdzie jest.

– Co...? – zaczął, lecz Natasza nie słyszała, bo już cuciała tego w podkoszulku.

– Co tu się, kurwa, stało?! – wrzasnęła.

– Co...? – znowu zaczął wąsaty i zamilkł.

– To ja się pytam, kurwa, co tu się stało?! Pochlaliście niewąsko, pierdolone dziady, i wasza dacza poszła z ogniem w pizdu!

Ten w podkoszulku już oprzytomniał.

– Wypiło się, ale nie tyle, żeby nie pamiętać, co się robiło – zachrypiał i dlatego musiał na chwilę przerwać. – My tylko w niedzielę...

– To może ja sfajczyłam wasz szłaś, chuj pierdolone?!

– Jaki szłaś? – zapytał wąsaty, potrząsając głową. – Anielico, daj zapalić, bo zdechnę.

– Mało ci jednego pożaru, chcesz drugi wywołać? – naskoczyła na niego Natasza.

– Pani sierżant? – zdziwił się ten w podkoszulku, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że przed nim stoi policjantka. – Ale dynia mnie napierdala – powiedział i oburącz chwycił się za skronie.

– Dowiem się tego, ochlapusy, co tu działo się wczoraj, w nocy albo dziś rano?

Wąsaty nie rozumiał pytania policjantki, powtórzyła je więc głosem tak spokojnym, jakby tłumaczyła przedszkolakom, że ktoś oblał szłaś benzyną i podpalił. Chciała się dowiedzieć, kto, kiedy i dlaczego to zrobił.

– Za sucho na grzyby, to i nikt tu nie zagłąda. Dawniej czasem przyjeżdżali strażnicy leśni, Arek i Piotr, pytali, co i jak. Kazali mieć oczy otwarte. Poczęstowali papierosami. Od wtedy, jak spaliło się tamto auto – Natasza była pewna, że wąsaty ma na myśli volkswagena passata b7 – nikogutko. Wczoraj była pani komisarz i ten drugi policjant.

– A ile flaszek wczoraj obaliliście?

– Wczoraj? Było jak u ubogiej cioci na imieninach. Po browarku na głowę i hajda prosto do wyrka.

– Żadnego hałasu nie słyszeliście? Bo ja wiem... jakiegoś, dajmy na to, stukania, pukania, wołania?

Wąsaty spojrział na tego w podkoszulku, a ponieważ on wzruszył ramionami, pokręcił głową.

– A gdzie jest wasza psina? Pochlaliście i pies miał was dosyć? Wczoraj nie szczekał?

Ten w podkoszulku patrzył na policjantkę tak, jakby nie rozumiał pytania.

– Bździuch? – zapytał wąsaty. Nim Natasza potwierdziła, wszedł na schody, podniósł dekiel i zawołał: – Bździuuch! – Ponieważ kundel nie przybiegł, wąsaty wydostał się na górę. – Kurwa jebana mać! Jezuniuu! – zawył.

Natasza wyszła zaraz za wąsatym. Ten w podkoszulku też wydostał się z ziemianki.

– Wszystko spalone – potwierdził takim głosem, że i policjantce zrobiło się przykro.

– Odbudujecie – pocieszyła go.

– Bździucha zabili – powiedział wąsaty, pochylając się nad martwym psem. – Co on złego komu zrobił?

ZIELONAGÓRA, UL. WĄSKA, PIĄTEK, PO POŁUDNIU

Syski najpierw kazał Katarzynie de Murville, żeby przeanalizowała billingi rozmów z komórki Witkowskiego, potem zmienił decyzję. Doszedł do wniosku, że sumienniej podejście do tego zadania praktykantka. Miał rację, bo Dominika Białek sprawdziła nie tylko billingi dotyczące rozmów w ostatnim tygodniu, a właściwie tylko w poniedziałek, lecz i od początku miesiąca, o czym komisarz nie pomyślał. Nie było tam niczego, co wydawało się jej podejrzane albo budziło wątpliwości. Większość rozmów Witkowski przeprowadził po południu z Jodłowa ze swoimi znajomymi w całej Polsce. Jedna przekroczyła granicę polsko-niemiecką i trwała osiemnaście minut. To był numer komórki Vanessy Kulschmann, do której profesor telefonował także w czwartek i rozmowa była również długa. Praktykantka bardziej domyślała się niż wiedziała, że między dziewiątą a piętnastą Witkowski miał do dyspozycji aparat stacjonarny na uniwersytecie albo w Olemedzie, co będzie musiała sprawdzić. Obie sekretarki na pewno pamiętają, kiedy, z kim i o której godzinie go łączyły.

– Jego służbowy telefon, wykorzystywany również do celów prywatnych, nie logował się w sieci Plusa. Mówię o numerze znanym policji – powiedziała.

– A czyżby Witkowski miał jeszcze inny telefon? – zapytał Syski z niedowierzaniem. – Po co mu drugi aparat?

– Drugi mógł mieć na inne nazwisko. Ojciec mojego byłego chłopaka tak właśnie zrobił. Zresztą chłopak też, dlatego się rozstaliśmy. To pierwszy wariant. Drugi wariant jest taki: profesor sprawił sobie telefon na kartę. Oczywiście jego nazwisko nie zostało zarejestrowane. Numer znają tylko osoby zaufane. W przypadku kogoś innego w jego wieku odrzuciłabym drugi wariant. Niech pan komisarz weźmie pod uwagę to, że Witkowski jest profesorem inżynierem, może nie bezpośrednio i nie na co dzień, ale jednak ma do czynienia z najnowszymi technologiami informatycznymi wykorzystującymi metody cyfrowe. Pytałam sekretarkę zakładu bioinżynierii, jak posługiwał się komórką.

– Sprawnie – rzucił Syski bez żadnych wątpliwości. – Wstyd, gdyby nauczyciel akademicki jeszcze do tego potrzebował asystenta.

– Takie urządzenia, jak telefon komórkowy, tablet, laptop, cyfrowka fotograficzna, odtwarzacz mp3 nie były dla niego tajemnicą.

– I to jest najgorsze. Oczywiście tylko z naszego punktu widzenia, koleżanko.

ŚWIECKO, PRZEJŚCIE GRANICZNE, PIĄTEK, WCZESNYM WIECZOREM

Wczoraj tuż przed wyjazdem do Jodłowa Syski zadzwonił do Bernharda Ziescha, komisarza policji w rejonie lotniska Berlin-Brandenburg. Poznał go wiosną zeszłego roku na kursie z analizy kryminalistycznej w Holandii. Bernhard Ziesch, a właściwie Bjarnat Cyż, jest niemieckim policjantem pochodzenia łużyckiego. Większość kursantów rekrutowała się z krajów starej Unii, jedynie Syski i Andris Kučinskis przyjechali zza dawnej żelaznej kurtyny i kiepsko mówili po angielsku. Gdy szli na piwo, przyłączał się do nich Ziesch vel Cyż, też nie za mocny w angielskim, ale ponieważ jego łużycki był bliski językowi polskiemu, a Kučinskis zdążył nauczyć się rosyjskiego, byli paczką. Polakowi szczególnie podobały się toasty łużyckie, dlatego po trzecim pokalu amstela przypominał sobie któreś zawołanie: *Ja śi wižim*³. Cyż odpowiadał: *A ja śi słyšym*⁴. Niedawno gdy Syski kurował się w swoim mieszkaniu po wyjściu z polikliniki, zadzwonił do niego na komórkę łużycki berlińczyk. Chodziło mu o potwierdzenie, czy osoba, którą podejrzewa o morderstwo w garażu hotelu Pullmann przy Haus Grade Alee niedaleko lotniska Willego Brandta, mieszka w Zielonejgórze. Syski zdawał sobie sprawę, że gdyby komisarz Ziesch vel Cyż wybrał drogę oficjalną przez Interpol, byłaby to droga przez mękę, więc mimo zwolnienia chorobowego starał się mu pomóc. Dlatego wczoraj miał odwagę zadzwonić do Berlina i poprosić go o pomoc, a dziś komisarz potwierdził MMS-em, że na parking strzeżonym P4 od poniedziałkowego południa stoi butelkowa octavia. Na tablicy rejestracyjnej z eurobandem PL zaczynającej się od liter FZ jest pięć cyfr. Ważność biletu parkingowego kończy się w piątek o północy. Syski kazał Łukaszowi Białemu zadzwonić do wydziału komunikacji i dowiedzieć się, kto jest właścicielem tego samochodu. Mógł sam sprawdzić w centralnym rejestrze, byłoby szybciej i bez dyskusji, ale uznał, że to zajęcie akurat dla praktykanta. Niech Łukasz się przekona, jak trudno jest zdobyć mało ważną informację.

– Wieczorem pojedziemy do Świecka – zakomunikował praktykantowi.

Nie przyszło mu do głowy, że Łukasz odmówi.

– Mógł pan powiedzieć mi o tym w środę. Wczoraj uzgodniłem z moją dziewczyną, że dziś wyskoczmy pod namiot do Łagowa na trzy dni. Będą też nasi kolesie ze swoimi laskami.

– Służba nie drużba, o mało co magistrze Biały. Policjant to taki zawód, że trzeba być na nogach, żeby inni mogli wypoczywać. Do Łagowa wyskoczysz za tydzień – zapewnił go komisarz. Chwilę później zaznaczył: – Jeśli znowu nie wydarzy się coś ważniejszego.

– Za tydzień mnie już nie będzie w wydziale. W środę kończę praktykę i *good bye*, komendo.

– Tym bardziej nie znajduję podstawy do zwolnienia z obowiązkowych zajęć praktycznych – roześmiał się Syski, patrząc Łukaszowi prosto w oczy. – Poważnie mówiąc, liczę na twoją pomoc jako psychologa i kibica. Chodzi o Madeja, tego od żeńskiej koszykówki, który według pomocników doktora Trzinki spalił się w samochodzie. Wedle sekretarki menedżera Gremplera Madej kontraktuje zawodniczki do drużyny koszykarskiej. Musimy sprawdzić, kto ma rację.

– Plan jest dobry.

– Plan jest wtedy dobry, jak się uda go zrealizować.

– Pan sobie zawsze poradzi.

Syski dał znak Łukaszowi ręką, że jeszcze nie skończył.

– Samolot Lufthansy ze Stambułu przylatuje do Berlina kilka minut przed piątą po południu. Czekanie na bagaż, odbiór octavii ze strzeżonego parkingu, wydostanie się na autostradę w stronę Polski to w piątek co najmniej godzina z okładem. Kolejną godzinę, może mniej, Madej będzie potrzebował na dojechanie do przejścia granicznego. W Świecku musimy być najpóźniej przed siódmą.

– Ile zajmie przesłuchanie? Najwyżej godzinkę. Zdążę do Łagowa – powiedział zadowolony. – W takim razie nie ma sprawy, szefie. Jadę.

Syski nie potwierdził ani nie zaprzeczył. Z doświadczenia wiedział, że przesłuchiwany najpierw się stawia, potem polemizuje i straszy, a gdy dojdzie do wniosku, że to nie ma sensu, bo z policją kryminalną nikt nie wygrał, zaczyna odpowiadać na pytania.

Komendant placówki granicznej powiedział, że niemieccy strażnicy zainteresowali się butelką octavią na autostradzie A12.

– Od kiedy w Świecku jest centrum współpracy, często sobie pomagamy – wyjaśnił, widząc pytającą minę komisarza. – Teraz nieoznakowany volkswagen Bundesgrenzschutzu jedzie za nią w bezpiecznej odległości. Kilometr przed mostem na Odrze wyprzedzi octavię, zwolni, a na samym przejściu granicznym zajedzie jej drogę i się zatrzyma. Iks też będzie musiał nacisnąć na hamulec. Wtedy moi ludzie każą mu zjechać na parking kontrolny, gdzie dla picu będą stali celnicy. To... żeby się nie rzucał.

Było dokładnie tak, jak zapowiedział komendant.

– Tadeusz Madej? – zapytał komisarz, gdy dwaj strażnicy przyprowadzili rosnącego, dobrze umięśnionego mężczyznę do pokoju komendanta placówki.

– We własnej postaci.

– Proszę pokazać dowód osobisty.

– Mam też paszport.

– W paszporcie brakuje informacji dotyczącej adresu zamieszkania. A nas – policjant pokazał na Łukasza – nie interesuje, skąd pan wraca, lecz gdzie mieszka. Adres?

– W Zielonejgórze na osiedlu Dolina Zielona – odpowiedział Madej, podając Syskiemu kartę z napisem „Dowód osobisty”.

– Ulica Urszuli. – Policjant nie miał wątpliwości, że siedzi przed nim mężczyzna czterdziestojednoletni, bardzo wysoki, o oczach niebieskich. Dobrze zbudowany. Dłużej przypatrywał się zdjęciu. Zgadzał się z żoną, która twierdziła, że na czarno-białej fotografii w dowodzie każdy wygląda jak kryminalista schwytany na gorącym uczynku. – Czy pan był kiedykolwiek karany? A jeśli tak, to za co?

– Dlaczego pan pyta? – rzucił zaczepnie Madej troszkę rozbawiony i jak mało kto pewny siebie.

– Proszę odpowiedzieć.

– Muszę?

– Jest pan wykształconym człowiekiem.

– Dokładnie.

– Co, dokładnie? – Syski nie zrozumiał.

– Mimo że skończyłem politechnikę, nawet pół godziny nie przepracowałem w wyuczonym zawodzie. Ale mam dyplom w wiśniowej skórce.

– Spytałem o co innego.

– Kara już powinna być zatarta – wydusił niewyraźnym głosem i zawstydzony spuścił wzrok na stół.

Czyli pomagierzy Trzcinki mieli rację, pomyślał komisarz. Ale przecież Madej żyje, siedzi przede mną i się czerwieni. Syski jeszcze raz obejrzał dowód osobisty. Dokument wyglądał na prawdziwy.

– A za co była tamta kara?

– Została zatarta – przypomniał Madej, oderwawszy wzrok od blatu.

– Słyszałem.

Madej odchrząknął i znowu spuścił oczy na stół.

– Za współuczestnictwo w bójce ze skutkiem śmiertelnym – powiedział cicho, wyraźnie zmieszany. – Odsiedziałem trzy lata. Wyszedłem warunkowo. Za osobistym poręczeniem prezesa klubu i kolegów z drużyny. Wtedy Zastał grał w pierwszej lidze. Tamta drużyna potrzebowała silnego skrzydłowego, a beze mnie...

– Czy ma pan brata? – spytał Łukasz.

Madej spojrział na niego, jakby nie pamiętał, kim jest, chociaż wcześniej Syski przedstawił siebie i Białego. Dopiero po chwili odpowiedział:

– Młodszeo o rok i bliźniaka. To właśnie z młodszym...

– Co robi młodszy brat?

– Trenuje siatkarzy Akademika i dorabia na uniwersytecie jako asystent.

– A bliźniak?

– Jest współwłaścicielem firmy.

– Jakiej? Gdzie? Czym się ona zajmuje?

– Adam też skończył naszą politechnikę. Z fizyki ciała stałego u profesora Regiewiczza napisał doktorat. Po studiach krótko pracował w Lumelu, a potem załapał się do niemieckiej firmy robiącej implanty kręgosłupowe. Po śmierci właściciela najpierw ożenił się z wdową, potem został prezesem firmy. W Niemczech na tym stanowisku byli i są lepiej widziani mężczyźni niż kobiety, ale żeby nie psuć interesu i utrzymać rangę firmy, przyjął nazwisko żony.

– Jak się teraz nazywa?

– Kulschmann. Adam Kulschmann.

– A firma to? Chodzi mi o jej nazwę.

– Kulsch Medizintechnik.

– Gdzie ma siedzibę? – zapytał, żeby się upewnić, czy to, co już wie na temat Kulsch Medizintechnik, pokryje się z tym, co usłyszy od Madeja.

– Kiedyś była pod Stuttgartem. Po zjednoczeniu Niemiec pierwszy mąż Vanessy przeniósł ją nad Nysę do Guben. Wtedy we wschodnich landach była dużo tańsza siła robocza i było łatwiej o specjalistów, na przykład z Polski. Kto spośród absolwentów zielonogórskiej bioinżynierii nie dostał roboty w Olemedzie Stonogi, ten miał gwarantowane zajęcie u Adama.

– Kiedy ostatni raz widział się pan z bratem?

– Dlaczego pytacie? Stało się coś z Adamem?

– Później wyjaśnię. Teraz proszę odpowiadać na pytania – polecił Syski.

– W zeszłym tygodniu. Było to w piątek po południu. Z Vanessą, to znaczy z żoną, Adam wybierał się do Jodłowa na wieczór urodzinowy czy coś podobnego u profesora Witkowskiego. Wspomniał, że bratowa, to znaczy Vanessa, rozpoczęła czy ma zamiar rozpocząć pracę doktorską właśnie u Witkowskiego.

– Czy później, to znaczy po tamtym dniu spotkał się pan z bratem? Może rozmawialiście przez telefon albo kontaktowaliście się w inny sposób? Na przykład za pomocą Messengera czy Skype’a?

– W sobotę punktualnie o dwunastej wyjechałem na lotnisko do Berlina. Po południu miałem samolot do Aten. Wieczorem byłem na meczu tamtejszego Panathinaikosu z Arisem Saloniki, po którym umówiłem się na spotkanie z agentem...

– Jakim samochodem przyjechał Adam Kulschmann do Zielonejgóry? – przerwał mu komisarz. – Pytam o markę.

– Kiedy?

Udaje nierozgarniętego czy gra na czas? Mimo to Syski rozwinął pytanie:

– W piątek po południu, kiedy razem ze swoją żoną wybierał się do profesora Witkowskiego w Jodłowie.

– Volkswagenem passatem. Zdaje się, że to był najnowszy wypust.

– Jest pan pewny, że to był passat?

– Co się stało, że zadają panowie tak drobiazgowo pytania? – zaczął Madej, a widząc oficjalną minę Syskiego, odpowiedział: – To był grafitowy volkswagen passat alltrack.

JODŁÓW, OS. OLSZOWE, SOBOTA, BARDZO WCZEŚNIE Z RANA

Doktor Letzki nie wyrzucił wizytówki Syskiego. Gdy przedwczoraj po zakończonej rozmowie w komendzie komisarz podał mu ten kartonik, doktor spytał, czy to oznacza, że może dzwonić o każdej porze. Policjant skinał głową. Mimo to Letzki nie miał odwagi wbić numeru komórki, który był na wizytówce. Gdyby ktoś zadzwonił do mnie o czwartej, skłąbym go na czym świat stoi, pomyślał. Normalny mężczyzna, a komisarz to nie jakiś hulaka, co nad ranem wstawiony wraca z knajpy, o tej porze najsmaczniej śpi i śni przytulony do swojej kobiety. Jednak odważył się zadzwonić.

Po tym komisarz nie będzie miał podstaw, żeby wzywać mnie na przesłuchanie, wyjaśnił sam sobie chytrze.

– Doktor Bogusław Letzki, adiunkt w zakładzie inżynierii biomedycznej na uniwersytecie – przedstawił się, gdy w komórce usłyszał rozespany głos Syskiego. –

Dzwonię tak, jak pan komisarz kazał. To znaczy, jak pan sobie życzył, gdyby wydarzyło się coś istotnego. Przed chwilą wróciłem od pożaru. Zapalił się domek państwa Witkowskich w Jodłowie. Wszystko dosłownie spłonęło.

– Czy są ofiary?

– Prawdopodobnie tak. Nikt spośród sąsiadów nie widział pana profesora ani jego żony. – Letzki chciał dodać, że wieczorem rozmawiał z panią Celiną, ale Syski się rozłączył. Usiadł na łóżku i zatopił głowę w dłoniach. Mimo godziny czwartej nad ranem, odechciało mu się spać.

JODŁÓW, OS. OLSZOWE, SOBOTA, WCZEŚNIE Z RANA

Kapitan dowodzący akcją gaśniczą powtórzył Syskiemu to samo, co powiedział mu Letzki.

– Nie do uratowania – stwierdził strażak. – Pierwsi byli na miejscu ochotnicy ze Sławy. Mają najbliżej. Nasze dwa wozy dotarły po piętnastu minutach od zgłoszenia. Już wszystko płonęło jak zapalki w pudełku. Może gdyby ściany były z tradycyjnych materiałów... a to boazeria świerkowa zabezpieczona lakierami. Ale w lotnisku nikt nie stawia całorocznego bunkra.

Syski starał się przypomnieć sobie, jak wyglądało wnętrze domku, kiedy w czwartek po południu rozmawiał z Witkowską. Zaprosiła go do kuchni, gdzie było chłodniej niż na dworze, poczęstowała kawą i lodami z polewą porzeczkową. Pochwaliła się, że owoce zebrała w ogródku za domkiem, usmażyła je w garnku z podwójnym dnem, który dostała od Bolusia na imieniny, i przełożyła do słoiczków. Ma ich kilkadziesiąt w spiżarni. Jesienią przewiezie do piwnicy na Niemena.

– Wyjątkowy smak – pochwalił komisarz na wyrost.

– Wszystko, co rośnie w ogródku, trafia do żołądków moich panów. Z truskawek robię konfitury. Ze śliwek smażę powidła. Z jabłek wyciskam sok i resztę przetwarzam na marmoladę. Mam do szarlotki, a to jedyne ciasto, za którym przepadają moi panowie. Proszę sobie wyobrazić, że nawet w zimie posypuję ziemniaki zielonym koperkiem. Latem, gdy jest go za dużo w ogródku, ani jednej gałązki nie wyrzuciłam na kompostownik. Posiekałam i zamroziłam. W zimie będzie jak znalazł. Tylko... – urwała, jakby czegoś nie rozumiała i nie miał kto jej wyjaśnić – niech pan powie, dlaczego wnuki nie chcą jeść tych konfitur, dżemów, galaretek, które robi babcia. Chłopcy wolą chleb z jakąś nutellą. Przecież w tym, co przygotowałam, zachowały się sole mineralne, cukier, witaminy. W mojej spiżarni nie znajdzie pan niczego sztucznego. Żadnych konserwantów. Po miód jeżdżę do znajomego pszczelarza. Po żadną wędlinę nie chodzę do marketu, tylko kupuję

surową szynkę od rzeźnika, pekluje ją w ziołach i po kilku dniach gotuje. Co za smak. A jaki zapach. Prawda, to wszystko zajmuje dużo czasu, ale ja tak lubię.

Syski spytał kapitana, czy ktoś zginął w ogniu.

– Na razie nie mogę potwierdzić.

– To znaczy, że ktoś mógł być w środku, spał i...?

– Jak koledzy dogaszą ogień, sprawdzimy pogorzelnisko. Z informacji uzyskanych od sąsiadów Witkowskich wynika, że gdy ogień wybuchł, nikt nie widział właścicieli domku. Nie ma ich wśród gapiów. Profesor Witkowski podobno od kilku dni przebywa poza Jodłowem, ale pani Celina wczoraj po południu była widziana nad jeziorem, rozmawiała z sołtysem. Sąsiadka twierdzi, że z samego rana Witkowska rozwiesiła pranie na dworze. Zdjęła je wieczorem i od razu mogła wziąć się za prasowanie. Tak robi moja żona.

– Żelazko jako źródło ognia?

– Teoretycznie... – zaczął strażak i nie skończył, bo kilka kroków przed nim zatrzymał się ochotnik ze Sławy, a ponieważ nie znał Syskiego, odchrząknął i czekał, aż kapitan go zauważy. Co mówił, tego komisarz nie usłyszał. – Wiosną gasiliśmy ogień w domku na Zatorzu w Nowej Soli. Tam w trakcie prasowania nie właścicielka, a gospościa zemdłała czy tylko zasłabła. Upadła na dywan i pociągnęła na siebie żelazko włączone do sieci. Ugasiliśmy ogień, ale ona została kaleką do końca życia.

Syski pomyślał, że wszystko, co ma w swoim mieszkaniu, może spowodować pożar. A czy kierowca w trakcie jazdy nie może zasłabnąć i uderzyć autem w przydrożne drzewo? Niestety, ale będzie większe nieszczęście, jeśli zderzy się z innym samochodem albo wpadnie na pieszego. Wszędzie czyha śmierć.

– Kto zawiadomił was o pożarze?

– Dyżurny w komendzie ma jego nazwisko. Chłopak powiedział, że jak wyszedł z Jodłowego Dworku – to restauracja nad jeziorem – na horyzoncie zobaczył ogień. Nie zastanawiając się, natychmiast do nas zadzwonił. Tam stoi – kapitan pokazał na młodzika w krótkich spodniach, opartego o płot sąsiedniego podwórka. – Wcześniej ktoś z sąsiadów zaalarmował ochotników w Sławie. Sława uznała, że to nie jej rejon działania, dlatego od razu z nami się skontaktowała.

– Gdybyście coś znaleźli... Trochę się pokręcę – powiedział Syski i ruszył w stronę chłopaka, który wezwał strażaków z Nowej Soli. – Dziękuję za właściwą reakcję. Domyślasz się, kto mógł to zrobić?

– Ja powiadomiłem...

– Miałem na myśli to, czy domyślasz się, kto mógł podpalić domek – wyjaśnił komisarz.

Chłopak zaprzeczył ruchem głowy. Najbliżsi sąsiedzi Witkowskich, którym Syski powtórzył pytanie, także kręcili głowami. Nikt nikogo nie widział i niczego podejrzanego nie zauważył. Po chwili w głowie Aleksandra Stonogi coś zaczęło świtać. Wydawało mu się, że widział czerwonego golfa.

– Gdzie pan widział?

– Auto stało niedaleko przystanku autobusowego. Poza cieniem lampy.

– Która była wtedy godzina?

– Przed jedenastą. Wieczorem.

– Przesadzasz, Olek. W domu byłeś dużo wcześniej – powiedziała kobieta trzymająca Stonogę pod ramię. Syski domyślał się, że to jego żona. – Akurat na Polsacie oglądałam *Spadkobierców*.

Marian Rogala przypomniał sobie, że kiedy przed północą wracał ze szpitala, na poboczu leśnej drogi między Dąbrownem a Jodłowem spotkał samochód.

– Jakby kierowca na kogoś lub na coś czekał – powiedział i po chwili dodał, że na pewno był to wiśniowy golf.

Grzegorz Wieczorek, pomyślał Syski. Miał powód zemścić się na Witkowskim. Ale dlaczego podpalił bezdomnych?

– A czy czymś czerwonym nie jeździ Boguś? – spytał Stonoga. Już chciał powiedzieć, że ostatnio Letzki był zły na profesora, bo opracował skład stopu ceramicznego na implanty stawów i wymyślił metodę wykorzystania drukarki 3D przy produkcji protez, a Witkowski zarejestrował je jako własne patenty, ale w ostatniej chwili postanowił to przemilczeć. Wolał nie zadzierać z Letzkim.

GUBEN, ALTE POSTSTRASSE, NIEDZIELA, POD WIECZÓR

Jeszcze w zeszły piątek Daniel Jung umówił się z Adamem Kulschmannem, że w drodze powrotnej spod Burga na Spreewaldzie, gdzie w ewangelickim domu spokojnej starości mieszka ojciec Miśki ze swoją drugą żoną, wpadnie do niego na kawę. Każdego roku tydzień przed Wielkanocą, na początku czerwca, kiedy Edmund Kwiatkowski świętuje urodziny, pod koniec wakacji i przed Bożym Narodzeniem oboje tam jeżdżą. Zawsze wynajmują ten sam pokój w pensjonacie Zum Schlangenkönig, mieszkają dwa, trzy dni i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku wracają do Zielonejgóry. Na początku Miśka namawiała ojca, potem przekonywała jego drugą żonę Laure, żeby sprzedali dom na przedmieściu Chociebuża, gdzie przeżyli blisko ćwierć wieku, a który teraz wynajmują rodzinie z Wietnamu, i kupili sobie coś niewielkiego w Jodłowie, ale oni wolą mieszkać w ewangelickim schronisku. Ojciec Miśki może dałby się przekonać, tym bardziej że z Jodłowa do Niemiec jest półtorej godziny ekspresówką, lecz Laura uparła się, że nie polubi Polaków, chociaż w jej żyłach płynie śląska krew. Wielu Niemców, którzy urodzili się na Opolszczyźnie i potem w ramach łączenia rodzin wyjechali za Odrę i Nysę, na stare lata wraca do Polski, co jest wyjątkowo korzystne, bo za niemiecką emeryturę mogą kupić w Zielonejgórze dużo więcej niż w Chociebużu. I jeszcze stać ich na wynajęcie opiekunki, na wyjazdy do sanatorium dwa razy w roku, na wycieczki po świecie i prezenty. Z takiego rozwiązania najbardziej są zadowolone polskie wnuki, bo nie dość, że każde wakacje spędzają w tych domach, to po śmierci dziadków staną się ich właścicielami. Mieć dom pod lasem w Jodłowie, a jeszcze lepiej blisko jeziora w Sławie, Łagowie czy Lubniewicach, to tak, jakby wygrać

więcej niż milion euro w totka.

Mimo że byli bardziej dobrymi znajomymi niż kolegami, Adam Kulschmann, gdy w piątek w Jodłowie Jung napomknął o wyjeździe do mieszkającego w domu spokojnej starości ojca Miśki, zaprosił go do Guben. Daniel domyślał się, że Adam chce się pochwalić tym, co przejął po pierwszym mężu Vanessy i o ile udało mu się powiększyć majątek. Teraz stał przed domem okolonym żeliwnym płotem, za którym dywan trawy wyglądał tak, jakby skwarne słońce bało się wejść na podwórze, chociaż sierpień tego roku był tropikalny po obu stronach Nysy. Kwiaty na klombach i w donicach wzdłuż alejki prowadzącej do ganku także nie wyglądały na spragnione wody. O takich miejscach Jung mówi, że ktoś mieszka w centrum miasta z wyjściem do lasu. Jeszcze raz wcisnął guzik domofonu i nasłuchiwał. Nikt się nie odezwał. Stało się coś albo Adam zapomniał, że mnie zaprosił, pomyślał. Niedziela, to ogrodnik ma wolne, ale żeby w domu nie było nikogo w porze wczesnej kolacji, nawet gosposi? Przed wyjazdem z pensjonatu pod Burgiem trzeba było zadzwonić do Adama, że za niecałą godzinę będziemy w Guben.

– Jedziemy do Zielonejgóry! – postanowiła Miśka, siadając za kierownicą swojej leciwej felicii.

– Ktoś tam musi być – odpowiedział Daniel, pokazując na niedomkniętą bramę garażu. Nie miał pewności, ale dostrzegał chyba czarną octavię, a przecież Kulschmann przyjechał do Jodłowa passatem. Jeszcze raz wcisnął guzik domofonu i pochylił się w stronę kasety. Cisza. Może Adam jest na werandzie z drugiej strony domu? A jakbym przesadził płot i sprawdził?

Miśka przekreśliła kluczyk w stacyjce, silnik felicii zaskoczył. Zawołała ze złością wymalowaną na twarzy:

– Gdyby ktoś tam był, już by się odezwał! Ruszamy!

Ulicą przejechał wolno radiowóz. Przez otwarte okno policjanci przypatrywali się Danielowi i felicii, ale nie zatrzymali się ani nie spytali, czy potrzebują pomocy. Ten, który siedział obok kierowcy, coś powiedział do mikrofonu, jakby kogoś informował, że na Alte Poststrasse stoi samochód z polską tablicą rejestracyjną. Zatrzymają się przed Plastinarium i będą mieli go na oku, bo może to auto szajki złodziejskiej. Niemcy na pograniczu uważają, że Polacy są leniwi, nienowocześni, nie lubią obcokrajowców i kradną. Mają o tyle rację, że jeszcze przed przyjęciem Polski do Unii Europejskiej z parkingów Chociebuża, Forstu, Guben, Frankfurtu ginęły lepsze samochody. „Jedź na wakacje do Polski, twoje auto już tam jest” – śmiano się wtedy. Teraz komicy w telewizjach niemieckich pytają: „Dlaczego Rosjanie kradną w Niemczech zawsze po dwa samochody?”. I wyjaśniają swoim rodakom: „Bo w drodze powrotnej przejeżdżają przez Polskę”. Pytają też: „Po czym poznać, że Polak był w kosmosie? Bo Wielki Wóz zniknął”. Albo tak egzaminują swoich rodaków: „Czym różni się polskie wesele od pogrzebu?”. I odpowiadają: „Tym, że na tym drugim jeden z uczestników nie jest pijany”. Polacy nie są dłużni Niemcom, uważają ich za gburowatych i skąpych, zimnych i nieokazujących uczuć, bez pomysłu, zasadniczych. Na pytanie: „Dlaczego w Niemczech takim powodzeniem cieszą się ogrodowe krasnale z Polski?” Polacy odpowiadają: „W jakiś sposób trzeba

było podnieść iloraz inteligencji wśród Niemców”. Ileż razy Daniel pisał o tych Niemcach, którzy w Polsce tankują benzynę i odjeżdżają, nie płacąc za nią. Niedawno emerytka z Gubena ukradła w przygranicznym markecie bułki i kiełbasę. Burmistrz Gubina opowiadał Danielowi o znajomym, który jest właścicielem stawów rybnych. Większość wędkarzy to Niemcy. Sami łowią karpie, ale tylko część kładą na wagę, a resztę chowają w kaloszach. Od dziewiętnastego wieku nie mała część Polaków powtarza: „Jak świat światem, nie będzie Polak Niemcowi bratem”. Od dnia gdy Daniel pierwszy raz odwiedził teścia i jego drugą żonę, opowieści Niemców o Polakach i Polaków o Niemcach uważa za stereotypy. Tym bardziej że w przeciwieństwie do Polaków Niemcy nie mają dobrej opinii o Francuzach i Anglikach, a nawet o Holendrach i Duńczykach. A czy Amerykanie nie traktują innych z wyższością? Rosjanie też próbują od nowa zbudować imperium, żeby inne narody im się kłaniały.

Daniel wysunął lewą nogę i zaczął się odwracać, gdy dostrzegł kątem oka, że firanka w oknie na pierwszym piętrze się poruszyła. Wydawało mu się, że dostrzegł posiwiąłą skroń mężczyzny. Adam Kulschmann jest brunetem, jeszcze ma gęstą czuprynę, wąsy i niewielką brodę, więc to nie on. A kto? Jakby profesor Witkowski. Prędzej doktor Letzki. A co on by tam robił w niedzielę o tej porze? Znieruchomiałymi oczyma Daniel wpatrywał się w okno. Już nikogo nie widział, ale firanka jeszcze lekko drżała. Trzeci raz wcisnął guzik domofonu. Nie usłyszał niczyjego głosu.

– Tam jednak ktoś jest – pokazał na okno na pierwszym piętrze.

– Gdyby był, to by się odezwał – uznała Miśka. – Dlaczego Adam miałby się ukrywać, mój detektywie?

– Firanka się poruszyła.

– Prześladowuje cię skrzywienie zawodowe.

Daniel wyjął komórkę z kieszeni i zaczął wybierać numer telefonu Kulschmanna.

– Trzeba było to zrobić godzinę temu, zanim wyjechalibyśmy z pensjonatu.

– Nie odpowiada – stwierdził, ciągle trzymając telefon przy uchu. Po chwili dodał:

– Włączyła się automatyczna sekretarka.

– To nie pasuje do Adama. Przecież on, jak każdy Polak w Niemczech, stara się być bardziej dokładny niż rdzenny Niemiaszek.

ZIELONAGÓRA, AL. NIEPODLEGŁOŚCI, PONIEDZIAŁEK, Z RANA

Ochroniarz się podniósł, gdy zobaczył Daniela Junga starannie wduszającego guziczki cyfrowego zamka za oszklonymi drzwiami. Zawsze pierwszy przychodzi sekretarz redakcji, ale nie o wpół do ósmej. Naczelną pojawia się ostatnia, tuż przed zebraniem kolegiantów, i ostatnia wychodzi z budynku. Jung podał rękę Janiakowi, spytał go o samopoczucie, robił to tyle razy, ile razy przechodził obok kontuaru, za którym ochroniarz oglądał telewizję, drzemał, jadł, dłużył w nosie, gapił się przed siebie albo

rozmawiał z natrętnym czytelnikiem przez telefon.

– Jak się udał wyjazd, panie redaktorze? – Janiak nie wiedział, czy Jung był na urlopie, czy zbierał materiał do nowego tekstu. O zwolnieniu lekarskim nawet nie pomyślał. Ponieważ od tygodnia nie widział redaktora, uznał, że tak zadane pytanie go nie ośmieszy, a jedynie tego się obawiał. Jeszcze na początku swojej pracy usłyszał, jak dwie praktykantki rozmawiały na schodach o tym, z czym się spotkały w redakcji. Jedna uznała naczelną za babę nieuleczalnie chorą na władzę, Junga za czepialskiego, którego zżera ambicja, a Janiaka nazwała łysym pulpetem za ładą. Dlatego od tamtego dnia nawet latem nie zdejmuje czapki z głowy i je, gdy nikt go nie widzi.

– To był ledwie urlopik, panie Marianie. Tydzień poza redakcją. Czy się udał? Nie jest pan chłopakiem, to dobrze wie, jak się załatwia niełatwe sprawy rodzinne – powiedział Jung, puszczając do niego oko.

– Tak jest – potwierdził ochroniarz i, wyprężywszy się, zasalutował do daszka czapki z błyszczącym znaczkiem Grempler Security. Pół roku temu rękaw koszuli Janiaka zdobiła plakietka firmy ochroniarskiej z korporacji Kunicki Holding. Teraz niemal wszystko w mieście należy do Joachima Gremplera. Jedynie na najstarszym hotelu Śródmiejskim ciągle wisi ten sam stary szyld, ale pewnie niedługo zastąpi go tablica ze złocistymi literami Grempler Hotel.

Daniel pomyślał, że takim ludziom, jak Janiak, Laura, ojciec Miśki, dziś jest bardzo ciężko. Wychowali się w epoce atramentu, liczydeł, czarno-białych telewizorów, telefonów na korbkę. Najlepiej im smakowały kotlety schabowe, pomidorówka, kompot z jabłek. Za życia jednego pokolenia świat mechaniczny zrobił się elektroniczny. Australijczycy i Kanadyjczycy jedzą hiszpańską huevę, Indianie z Peru odróżniają parmezan od mozzarelli, hinduskie kobiety gotują zupę minestrone, meksykańską tortillę podają w luksusowych restauracjach Moskwy, zioła prowansalskie można kupić w prowincjonalnym markecie na Synaju. W Zielonejgórce są bary ze specjalami kuchni francuskiej, rosyjskiej, tureckiej, greckiej, czeskiej, żydowskiej, niemieckiej, litewskiej, tajskiej, chińskiej, gruzińskiej. Miśka ani żadne jej koleżanki nie jeżdżą do Paryża po markowe sukienki, bluzki, buty. Wszystko, co jest w paryskich butikach między placem Châtelet a rue St. Antoine, również jest w Focusie. Co tam ciuchy. Niedawno zepsuł się wentylator w naszej łazience. Zamiast jechać do Castoramy, usiadłem przy laptopie i kupiłem nowe urządzenie w sklepie internetowym. Mój redakcyjny podwładny, Kamil, powiedział, że urodził się za wcześnie. Gdy go spytałem, dlaczego tak uważa, odpowiedział:

– Tempo cywilizacji jest błyskawiczne. Ten, kto wybierze się na kilkudniowy urlop i w tym czasie nie będzie śledził zmian, nie nadrobi zaległości. Tego boję się najbardziej.

– Nie musisz być specjalistą w każdej dziedzinie.

– Mój dziadek chory na raka prostaty kilkanaście dni przed śmiercią powiedział, że nie chce umierać. Chciałby jeszcze żyć, ale nie w świecie komputerów, komórek, kart bankomatowych. On nie pasuje do współczesnych czasów.

– Boisz się, że kiedy dożyjesz do wieku dziadka, też nie będziesz pasował do współczesnych czasów?

Kamil przytaknął.

Pokój redakcyjny wyglądał tak, jak Jung zostawił go przed tygodniem. Wtedy kazał Kamilowi dbać o porządek, mimo to na jego biurku zawsze leżały w nieładzie notatniki, reklamówki, mapy oraz to wszystko, co przynosiła Magda z gabinetu naczelnej i dostarczała poczta. Kubka do kawy też nigdy nie mył. Pewnie Kamil przypomniał sobie, że dziś wracam do redakcji i dlatego wczoraj posprzątał, pochwalił stażystę w myślach.

Jung włączył laptop, sięgnął po gazety z ostatniego tygodnia, ułożone na jego biurku. Ale nie zrobiłeś tego, młody kolego, co jest twoim obowiązkiem. Podczas pierwszej rozmowy każdemu stażystcie wyznaczał identyczne zadanie: codziennie rano ma wpinać bieżący numer gazety do zszywki. Jeszcze bardziej wkurzyło go to, że w żadnym wydaniu z ostatniego tygodnia nie znalazł kroniki kryminalnej. Niemożliwe, żeby w wojewódzkim mieście choćby jeden pijak nie usiadł za kierownicą samochodu, nikt nie włamał się do willi, nie zwędził, nie pobił, nie orznął, nie zgwałcił, nie napadł, nie podpalił, nie obraził, nie zdewastował, nie zakłócił ciszy nocnej, nie dał łapówki, nie sfałszował dokumentu, nie spowodował wypadku, nie zabił, nie handlował narkotykami. To się nie zdarza nawet w Boże Narodzenie.

Ktoś w warszawskiej centrali policji wymyślił, że jedynie rzecznicy prasowi mają prawo informowania dziennikarzy o wydarzeniach kryminalnych. Jung na to nie zważał. Owszem, nawet kilka razy na dzień telefonował do rzeczniczki, ale tylko dlatego, żeby nie miała pretensji do niego i do Syskiego. O wszystkim, co było ważne w mieście z punktu widzenia policji, dowiadywał się od starych znajomych w komendzie, przede wszystkim od naczelnika wydziału kryminalnego, który jemu niemało zawdzięczał. Jacek Syski twierdził, że Jung nie tylko informuje czytelników, za co redakcja mu płaci, lecz i wypełnia wzorcowo obywatelski obowiązek wobec policji, dlatego dawał go za przykład w trakcie narad w centrali, co większość naczelników przyjmowała z niedowierzaniem lub z drwiną.

Czy jest w Rzeczypospolitej chociaż jeden dziennikarz śledczy, który nie ściga się z policją albo nie ma takich ambicji?

– Nareszcie – ucieszyła się rzeczniczka. – Kiedy tylko pan Jung idzie na urlop, nie ma co czytać w „Zielonogórskiej”.

– Zastępował mnie stażysta. Kamil.

– Nie zauważyłam tego. Ani razu nie zadzwonił, a ostatnio tyle się dzieje.

Jung nawet nie musiał pytać, co się wydarzyło. Rzeczniczka sama opowiedziała mu o morderstwie na Niemena, o spaleniu passata w lesie za obwodnicą i domku w Jodłowie, o włamaniach do mieszkań bogatych zielonogórczyków, o zniknięciu Witkowskiego, nawet o tym, że prezes Olemedu wyznaczył nagrodę za wskazanie miejsca przetrzymywania profesora.

– Coś już macie? – zapytał, zły na Kamila. Dlaczego gówniarz to olał?

– Niestety, ze względu na dobro śledztwa... – zaczęła powtarzać formułkę, którą

Jung słyszał setki razy. Oznaczała ona tylko tyle: policja udaje, że coś ma, a w rzeczywistości jest daleko w polu i nikt nie potrafi wskazać drogi, którą trzeba iść. Albo sprawa jest tak poważna, że przekroczyła granicę państwową i dlatego przejęła ją ABW.

Dzwonię do Syskiego, postanowił, ale zanim to zrobię, muszę się dowiedzieć, gdzie jest ten smarkacz i dlaczego zawałił tyle spraw.

Magda powiedziała, że nikt nie wie, dlaczego Kamil nie przychodzi do redakcji. Telefonowała do niego kilka razy, nagrywała się na automatyczną sekretarkę, skontaktowała się z Dżamilą, nawet była przed drzwiami jego mieszkania, pukała i dzwoniła, pytała sąsiadów.

– Jak kamień w wodę.

– Naczelną zgłaszała na policję jego zaginięcie?

– Naczelną przecież też jest na urlopie, a redaktor Chuda... Jej nie łączyłam z komendą, więc pewnie niczego nie zgłaszała. Dobrze wiesz, jaki Chuda ma stosunek do dziennikarzy. Gdyby od niej zależało, zlikwidowałyby działy redakcyjne. Jak można twierdzić, że ludzie przyzwyczaili się do gazety, dlatego kupią ją, jeśli będzie drukowała same reklamy i ogłoszenia? Jeszcze trochę i Chuda doprowadzi do likwidacji tytułu.

– W czasie mojej nieobecności w redakcji nikt nie zajmował się działką kryminalną? – zapytał z niedowierzaniem. – Przecież latem, kiedy politycy milkną, przede wszystkim kryminały wabią czytelników.

Magda pokiwała głową, co mogło oznaczać, że nikt nie zajmował się działką kryminalną lub że zgadza się z Jungiem, iż latem wiadomości kryminalne utrzymują gazetę przy życiu.

– Jeszcze nie odeszła mnie ochota obejrzenia miasta z wysokości twojej motolotni. Jeśli w najbliższą sobotę będziesz wybierał się na Przylepę... Pamiętasz, Daniel, co mi kiedyś obiecałeś? – zapytała szeptem, jakby się obawiała, że ktokolwiek może poznać ich tajemnicę.

Właściwie nie powiedział ani tak, ani nie, mimo to Magda nie powtórzyła pytania. Spozrzegła, że Jung odpłynął myślami gdzieś bardzo daleko, gdzie oprócz niego nikt nie miał wstępu.

ZIELONAGÓRA, AL. KONSTYTUCJI 3 MAJA, PONIEDZIAŁEK, Z RANA

Spotkali się nie w bufecie policyjnym, jak proponował Jung, a w kawiarence Dominium na wysokim parterze największej w mieście galerii handlowej Focus.

– Pora śniadaniowa. W naszym bufecie teraz siedzi połowa urzędników komendy. Nikt nie powinien wiedzieć, z kim się koleguję – powiedział Jacek Syski i Jung więcej nie pytał, dlaczego komisarz wybrał to miejsce, a nie coś położonego bliżej komendy. Dawniej umawiali się w Teatralnej, ale gdy nowi właściciele restauracji wprowadzili

do jądłospisu wyłącznie dania kuchni indyjskiej, ten lokal przestał się podobać Syskiemu. Wolał spotkania w klubie dziennikarza, mimo że Jung nie lubił tego miejsca od czasu, gdy dyrektor biura poselskiego szefowej Partii Demokratycznych Obywateli wbił pluskwę pod kołnierz jego marynarki. Teraz komisarz zawsze ma przy sobie detektor zakłócający fale radiowe. Najlepiej byłoby rozmawiać w pokoju naczelnika, ale nie dałoby się tego ukryć przed sekretarką, z którą Syski pracował od dwunastu lat i której coraz mniej ufał. Ostatnio często zastanawiał się, skąd komendant wie o tym czy o tamtym, skoro on nie ma pewności, jaką drogą poprowadzi śledztwo. Na razie tylko obserwował, ale jeśli będzie pewny, że sekretarka nosi płaszcz na dwóch ramionach, powie i to będzie ostatni dzień jej pracy w wydziale.

Kawiarenka Dominium była najbliżej komendy. Znajdowała się w centrum handlowym, które zajęło hale dawnej fabryki tkanin wełnianych. Po zmianie ustroju politycznego ktoś odważny za niewielkie pieniądze kupił nieźle prosperującą tkalnię i zamiast dalej robić tkaniny, maszyny wywiózł albo i sprzedał do Chin czy Bangladeszu. Po opustoszałych halach wiatr hulał przez kilka lat. Podobnie było z zakładami mięsnymi, fabryką wagonów, nawet zabytkowa wytwórnia win nie przetrwała ewolucji ustrojowej. Miejsce browaru zajęły magazyny sprowadzanych z Chin czy Bangladeszu taniutkich koszul, bluzek, spodni. Przy głównej ulicy, gdzie kiedyś stał wielopiętrowy dom towarowy, jest teraz sortownia szmat zwożonych z okolicznych miasteczek. Ile osób wtedy straciło pracę, tego nikt nie chciał policzyć. W najtrudniejszej sytuacji znaleźli się starsi ludzie, którzy mieli po kilka lat do emerytury i nie z własnej winy stali się zbędni. Nagle ulice miasta zaroily się żebrakami i takimi osobami, które udawały nędzarzy. Armię bezrobotnych nieszczęśników tworzyli murarze, stolarze, kierowcy, ślusarze, tokarze, mechanicy, hydraulicy, lakiernicy, tkaczki, sprzedawczynie, inżynierowie, aktorzy, plastycy, poeci, nauczyciele. Część z nich nie miała za co zapłacić czynszu, straciła więc mieszkania, to byli pierwsi bezdomni. Dopiero gdy Joachim Grempler odkupił dawną tkalnię, do boksów wydzielonych z pomieszczeń pofabrycznych przenieśli się młodszy handlowcy. Nie tylko handlowcy, bo i restauratorzy, i kioskarze, i księgarze, i aptekarze, i nawet zarządca sieci sklepików z upominkami. W największej hali, gdzie kiedyś stukały krosna tkackie, firma zajmująca się wyświetlaniem filmów urządziła kino. Grempler albo ktoś z administracji centrum handlowego nazwał tę część Zielonejgóry Nowym Śródmieściem, co oznacza, że w sobotę i niedzielę trudno tam znaleźć miejsce na parking. Przed południem w dni powszednie w centrum bywa mniej klientów, dlatego niektóre kawiarenki są zamknięte albo, tak jak Dominium, otwarte w części samoobsługowej.

– Pierwsze zdanie możesz pominąć – zaczął Jung, gdy Syski postawił na stoliku dwie filiżanki z kawą.

– To znaczy jakie?

– Że w ostatnim tygodniu tyle się działo w twoim pionie i że nikogo z „Zielonogórskiej” to nie zaciekało.

– Bo to święta prawda.

– Niestety, nie potrafię odpowiedzieć, dlaczego Kamil, który miał mnie zastępować przez tydzień, zniknął.

– Jak to zniknął?

Jung powtórzył to, co mu powiedziała Magda. Dodał, że uważa Kamila za swoją kopię. Nawet interesował się motolotniarstwem.

– Jego starszy brat ma pensjonat w Łagowie. Pewnie tam pojechał ze swoją dziewczuchą, wyłączył komórkę i na zasadzie, że szczęśliwi nie liczą czasu, zapomniał o tym, co mu kazałem robić.

– A jeśli on naprawdę zniknął? – Syski zrobił pytającą minę. – Od zeszłego piątku dzieje się tyle, że nie potrafię tego ogarnąć. I w dodatku pół mojego wydziału jest na urlopie.

– Ci, którzy zostali, nareszcie wiedzą, za co biorą pieniądze – rzucił Jung złośliwym tonem. A ponieważ Syski już otworzył usta, szybko wyjaśnił, że wie o morderstwie przy Niemena, o zniknięciu Witkowskiego, o spaleniu passata w lesie i domku w Jodłowie.

– Jeszcze było podpalenie szałasów bezdomnych, włamania do mieszkań bogatych zielonogórczyków, kradzieże samochodów i biżuterii oraz setka spraw mniejszego kalibru. Żadnego lata nie mieliśmy tyle zapieprzu, co teraz.

Jung zamilkł, jakby to, co usłyszał, układał w swojej głowie w ciąg następujących po sobie zdarzeń. Gdzie jest w tym logika? Co wspólnego może mieć podpalenie szałasów bezdomnych z kradzieżami samochodów albo spalaniem passata w lesie? To się kupy nie trzyma. Po chwili spytał o nazwiska właścicieli okradzionych mieszkań.

– Na to przyjdzie stosowna pora. Najpierw opowiedz o przyjemniejszych sprawach. Byłeś za granicą. Pochwal się, gdzie i co widziałeś.

– Obowiązki rodzinne – rzucił, czego Syski nie zrozumiał, ale zanim otworzył usta, Jung kontynuował: – Miśka urodziła się w Pszczynie na Śląsku, gdzie jej ojciec był internistą w szpitalu powiatowym, a matka pielęgniarką. Niedługo po niespodziewanej śmierci żony, co stało się w trakcie studiów Miśki w Katowicach, ojciec ożenił się z Laurą, owdowiałą koleżanką z roku, która mieszkała w południowych Niemczech gdzieś koło Schweinfurtu. Po obaleniu muru berlińskiego przeprowadzili się do Chociebuża i pracowali w klinice tak długo, nawet jako emeryci, póki ich nie zwolniono ze względu na starcze niedołęstwo. Miśka przekonywała ojca, żeby sprzedał dom i przeniósł się do Polski, ale Laura, mimo że z urodzenia też jest Ślązaczka, nie zgodziła się na takie rozwiązanie. Ona nawet nie chce rozmawiać po polsku. Rodziny jej znajomych, z krwi i kości Niemców, wynajmują polskie kobiety do opieki. Za tysiąc pięćset euro miesięcznie i utrzymanie. Nie słyszałem, żeby któraś Niemka narzekała. Polki owszem, bo muszą być do dyspozycji o każdej porze dnia i nocy. Nie mają ani chwili dla siebie, pewnie więc i tych pieniędzy nie wydają w Niemczech, tylko składają w banku albo wysyłają do Polski.

– Zapewne opiekunki z Polski nie znają języka, to co robią, gdy trzeba wezwać lekarza albo iść do apteki?

– Dlatego ojciec Miśki i Laura zamieszkali w ewangelickim domu niedaleko

Burga, między Chociebużem a Berlinem, jeszcze na Spreewaldzie. Gdyby Laura przystała na propozycję Miśki, kupiłoby się czy postawiło domek nad jeziorem w Jodłowie. Wtedy moglibyśmy częściej do nich wpadać. Prawdę mówiąc, to z Zielonejgóry na Spreewald jest niewiele dalej niż do Jodłowa. Cóż, ich pieniądze i ich wybór. To samo i nas czeka na stare lata. Na starość lepiej we dwoje – powtórzył po żonie ojca Miśki.

Czas to największy wróg człowieka. Jest ślepy i nie uznaje kompromisów, pomyślał Syski. Zamiast to powiedzieć głośno, spytał:

– A twoi rodzice?

– Problem już dawno sam się rozwiązał. Mama zachorowała zaraz po urodzeniu trzeciego dziecka. Z każdym rokiem było tylko gorzej. Żadnej nadziei. Umarła, gdy zacząłem studia. Ojciec przeżył ją o ponad dwadzieścia lat. Mógł ożenić się drugi raz, co pewnie byłoby najlepsze dla niego i brata, zwłaszcza że w domu za płotem samotniała owdowiała sąsiadka. A może ojciec ją odwiedzał albo ona do niego zaglądała? Kiedy najmłodszy brat się ożenił, ojciec przepisał na niego dom i przeniósł się do pokoiku przy kuchni, który dawniej był spiżarnią. Tam cicho umarł.

– Nie chciał nikomu zawadzać.

– Identycznie powiedział brat po pogrzebie i dodał, że ludzie samotni są nieszczęśliwi. Mój ojciec był trochę filozofem. Kiedyś powiedział, że umierać jest łatwo, skoro tyle ludzi umiera i stamtąd nie wraca. Trudniej jest być przy umierającym.

– Na tamtym świecie musi być dużo lepiej niż nam się wydaje, skoro nikt nie wraca do świata żywych. To powiedział mój ojciec. Mam prawo sądzić, że dopiero na starość większość ludzi mądrzeje.

Syski przytaknął i pokiwał głową, zgadzając się z Jungiem.

– Mieszkanko w takim domu, gdzie są twoi teściowie, musi słono kosztować, ale ma się zapewnioną opiekę – ni to spytał, ni stwierdził. – Ty jesteś dzieciaty, więc nie musisz martwić się o opiekę na starość, a ja... Pewnie każdego miesiąca powinienem odłożyć trochę z pensji, by uzbierać na miejsce w domu starców.

– Jeśli mieszkańcowi nie starcza pieniędzy z emerytury na opłacenie pobytu w takim domu, dopłacą jego dzieci.

– A jeśli mieszkaniec nie ma dzieci?

Jung nigdy nie spytał Syskiego, dlaczego jest bezdzietny. Z pierwszą żoną rozszedł się po czterech latach małżeństwa właśnie dlatego, jak szeptali koledzy w komendzie, że nie mogli mieć dzieci. On uważał, że to jej wina, ona – że on jest bezpłodny. Zbiegło się to z degradacją Syskiego z nadkomisarza do stopnia komisarza i obniżką pensji, ale został w pokoju naczelnika wydziału. Niecały rok po rozwodzie jego pierwsza żona urodziła bliźnięta i niedługo po tym wyszła za mąż za kogoś z komendy wojewódzkiej, gdzie była radczynią prawną. Mniej więcej w tym samym czasie Jacek Syski ożenił się z Emilią, asesorką w sądzie rejonowym. Gdy i druga żona nie mogła zająć w ciąży, za jej namową wybrał się do polikliniki, a tam po pięciu miesiącach badań urolog oznajmił mu, że nigdy nie zostanie ojcem biologicznym.

W młodości przeszedł zapalenie gruczołu krokowego spowodowane przez bakterię *Chlamydia trachomatis*, z czego nie zdawał sobie sprawy. Kiedy był w klasie maturalnej, o rok młodszą koleżankę zaprosiła go na osiemnastkę. Później koledzy dokuczali mu, że nie był pierwszy w jej łóżku i powinien natychmiast pędzić do dermatologa, bo syf albo jeszcze coś groźniejszego ma jak w banku, lecz się wstydził.

– Każdego dnia mogę złożyć raport o przeniesienie na policyjną emeryturę. Tadzik Araszkiwicz od dawna czeka, kiedy zwolnię pokój naczelnika. Karolina czy Ilona też nie odmówią – powiedział Syski, chyba czytając w jego myślach. – I co będę robił jako emeryt? Nie mam działki, nie fotografuję, nie maluję, nie poluję, nie łowię, nie lubię spacerów, nie znam się na grzybach, nie interesuje mnie muzyka, rzadko chodzę do kościoła. Niewiele interesuję się polityką i wszelką działalnością społeczną. Co więc robić z wolnym czasem? O, gdybym miał syna czy córkę, pewnie już doczekałbym się wnuków. Pomagałbym im, a tak... Daniel, żyję z dnia na dzień i robię wszystko, żeby nie zastanawiać się nad swoją starością. Po co myśleć o tym, co samo się stanie?

– Laura, druga żona ojca Miśki, pisze wiersze. Zresztą zawsze coś pisała, ale dopiero na starość odważyła się dopuścić inne osoby do swoich tajemnic. W domu mam jej tomik *Die verbotene Frucht*, wydany nie przez byłych pacjentów, którzy zapłacili za druk z własnych kieszeni, a przez profesjonalną oficynę Frohe Weihachten w Monachium. Prosiłem, żeby przełożyła go na polski. Zresztą obiecałem pomoc. *Zakazany owoc*. Już sam tytuł prosi, żeby zajrzeć do środka, ale Laura nie chce. W ogóle to jest ciekawe, że na starość wiele osób ujawnia swoje talenty – powiedział Jung. Miał ochotę dodać, że starzy ludzie są tak długo potrzebni, póki nie oczekują opieki młodszych. Na starość są same kłopoty. – Mimo że przed tobą jeszcze wiele lat chodzenia po ziemi i narzekania na nowoczesność, powinieneś przygotować się do wieku późności. Nie tylko o ciebie chodzi. Także i o tych, którzy będą koło ciebie chodzili. Ułatwisz im życie.

– Sądzisz, że jestem jednostką aspołeczną, bo nie planuję swojej przyszłości – wtrącił Syski.

– Do niedawna sześćdziesięciolatek uważano za starego grzyba. Dziś nikogo nie dziwi sześćdziesięciolatek zostawiający żonę dla panienki w wieku jego wnuków – kontynuował Jung. – Coraz częściej mężczyźni dożywają setki, a jeszcze niedawno sanatoria były pełne wdów. Teraz jest pół na pół.

– Leśnicy, piekarze, wykładowcy akademicy żyją długo, ale nie komisarze. Nie znam nikogo, kto nosił policyjny mundur, żeby świętował osiemdziesiąte urodziny.

– Będziesz pierwszy. Jesteś wygimnastykowany, to nie nadąży za tobą alzheimer, parkinson, otępienie starcze, nie będziesz miał problemów ze słuchem i wzrokiem.

– Mogę mieć problemy ze stawami. Nasze kości nie zostały przygotowane na tak długie dźwiganie kilogramów mięśni, żył, sadła. Czy wiesz, ile trzeba czekać w kolejce do ortopedy? – zaciekał się Syski, mając na myśli swego ojca.

– Nie stomatologia, ale ortopedia staje się najbardziej popłatną specjalnością lekarską. To wyjaśnia, dlaczego jeden z moich znajomych zajął się produkcją implantów ortopedycznych.

– Wiem, o kim mówisz.

– I nieźle mu się wiedzie.

– W ten sposób doszliśmy do celu – stwierdził zadowolony Syski. – A skoro...

– Wracając od teścia, miałem ochotę odwiedzić znajomego w Guben, także specja od implantów – nie pozwolił mu dokończyć Jung. – Miśka zatrzymała felicię na ulicy przed jego domem, ja naciskałem dzwonek dłużej niż pięć minut i nic. Kiedy miałem odejść sprzed furki, czyjaś twarz mignęła za firanką. Ten, z którym się umówiłem na odwiedzin, jest wysokim brunetem, ma gęstą czuprynę, wąsy i niewielką brodę. Za firanką stał przygarbiony mężczyzna o lekko posiwiałej skroni. Dałbym głowę, że to był doktor Letzki albo profesor Witkowski.

– W sobotę na deptaku spotkałem doktora Letzkiego – przypomniał sobie Syski. – Nawet mi się uklonił.

– Więc to nie on był za firanką.

– Chyba jednak nie.

GUBEN, ALTE POSTSTRASSE, PONIEDZIAŁEK, PRZED POŁUDNIEM

Witkowski nie zastanawiał się, co będzie dalej. Zawsze zachowywał się jak egoista. Teraz troszkę było mu żal, że Adam Madej tak fatalnie zakończył życie. A czy to moja wina? Nawet jednego palca w tym nie umoczyłem. Mnie nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby otumanić człowieka gazem i podpalić samochód. Gdybym to wymyślił, pewnie miałbym wyrzuty sumienia, tłumaczył sam sobie. W tej sprawie mam czyste ręce i nie powinienem się obwiniać. Ale czy jako katolik nie miałem obowiązku zapobiec śmierci Adama? A jeśli tego nie zrobiłem, to czy właściwie postąpiłem, że nie powiadomiłem policji?

– Trudno, stało się i już – powiedział sam do siebie i wyjął z barku butelkę whisky.

Choć swoim współpracownikom w zakładzie bioinżynierii mówił, że nadmierna pewność siebie prowokuje do robienia błędów trudnych do wybaczenia, Witkowski był pewny siebie już jako student. Pewnie więc dlatego tak wysoko zaszedł w nauce. Im więcej siwych włosów miał na głowie, tym mniej się wahał. Ignorował osoby zadające pytania pełne wątpliwości. Choćby nie był pewny sukcesu, zawsze stawiał na swoim. Pomimo że nie umiał przegrywać, czasem musiał się poddać, ale nie wtedy, gdy za przeciwnika miał kogoś ze swego otoczenia. Prawdę mówiąc, to doktora Letzkiego powinien traktować tak, jak traktuje doktora Stonogę.

Boguś ma jeszcze czas. Kiedyś jego nazwisko też będzie głośne, pomyślał. Teraz pragnął, żeby Vanessa wróciła do domu. Miał jej tyle do powiedzenia, ale nie wiedział, czy już dziś wypada z siebie wszystko wyrzucić i postawić warunki, jakie ona musi spełnić. Może lepiej poczekać dzień, dwa, aż będzie po pogrzebie. Jaki był, taki był, ale Adam był jej mężem. Jeśli nie zawsze szła do łóżka z Adamem, to jednak coś do niego czuła, w przeciwnym razie nie zostałaby jego żoną. A czy Vanessa do

mnie coś czuje? Jestem starszy od niej o więcej niż dwadzieścia lat. Starszy, uśmiechnął się pod nosem, ale w tej jednej sprawie niewielu mężczyzn może mi dorównać. Vanessa o tym wie i dlatego na mnie leci, wyjaśnił sobie zadowolony, rozsiadając się w fotelu i nalewając whisky do szklanki.

A jednak zwariowałem na stare lata. Przecież to się musi wydać, pomyślał. Dlaczego się zgodziłem? Jak długo wytrzymam w ukryciu? Dostanę bzika i którejs nocy wyjdę z domu na ulicę. Wylegitymuje mnie zabłąkany policjant. Zostanę oskarżony o współudział w morderstwach. Vanessa zna najlepszych adwokatów, więc sobie poradzi.

I jeszcze Jung wczoraj pod wieczór. Po co on tu przyjechał? Przypadek? To był policjant, ma nosa do rozwiązywania zagadek kryminalnych. Widział mnie? Lepiej, żeby mu się tylko wydawało, że dostrzegł mnie obserwującego ulicę zza firanki.

ZIELONAGÓRA, UL. PRZYCMENTARNA, PONIEDZIAŁEK, PRZED POŁUDNIEM

Komisarz Syski chciał mieć stuprocentową pewność, że Tomasz Madej żyje, a ten, którego zwęglone ciało było w spalonym passacie, to jego brat bliźniak. Po rozmowie na przejściu granicznym w Świecku brakowało mu potwierdzenia strony niemieckiej, że Adam Kulschmann jako kawaler nazywał się Madej. Wprawdzie w jednej chwili mógł zwrócić się do nich o pomoc, tym bardziej że ma wśród nich wielu znajomych i kontakty policjantów na pograniczu nie są aż tak sztywne jak między centralnymi biurami kryminalnymi, wolał jednak najpierw zebrać wszystkie informacje i na bieżąco przeanalizować materiał. W dodatku Daniel Jung zaoferował mu swoją pomoc.

– Wiem, kim byłeś i co potrafisz. Mimo to zabraniam ci prowadzenia śledztwa na własną rękę po tej i po tamtej stronie granicy. Przede wszystkim po tamtej. Niemcy nie certolą się z amatorami, a ty, pomimo policyjnego doświadczenia, w świetle przepisów jesteś amatorem – ostrzegł go, gdy po porannej rozmowie w kawiarence Dominium wyszli na parking przed Focusem, i więcej do tego nie wracał.

Wtedy Syski zobaczył Nataszę Woźniak i aspiranta Araszkiewicza, jak trzymając się za ręce, roześmiani szli między samochodami do centrum handlowego. Już otworzył usta, żeby ich zawrócić, gdy pomyślał, że nie powinien wtrącać się do spraw osobistych współpracowników. Jednak to, co widział, go zaskoczyło, bo przecież każdy policjant w komendzie wiedział, że Tadeusz Araszkiewicz i Karolina de Murville są parą na dobre i złe. A może to koleżeńska przysługa ze strony Nataszy w wyprawie po prezent? Próbował sobie przypomnieć, z jakiej okazji w zeszłym roku w drugiej połowie sierpnia Karolina zaprosiła cały wydział na tort i kawę. Chyba to były jej jakieś okrągłe urodziny. Tadeusz zachowywał się tak, jakby już był jej mężem. Gdy wrócił do komendy, wygarnę im, że wyznaczone godziny pracy są po to, żeby wtedy zajmować się tym, za co biorą pieniądze, postanowił. Ale też ileż razy pracowali w nocy, w sobotę, w niedzielę, niedawno w drugi dzień Wielkanocy, i nikt

im za to nie zapłacił. Ci z prewencji dokładnie liczą godziny i jeśli jest więcej niż osiem na służbie, biorą wolne. Nie tylko z prewencji, bo i z dochodzeniówki, o czym przekonał się w czwartek późnym wieczorem, kiedy prosił naczelnika wydziału o informacje na temat włamań do domków zamożniejszych zielonogórczan.

Natasza i Tadeusz Araszkiwicz nie wrócili do jedenastej, a na tę godzinę Łukasz Biały kazał Madejowi przyjść do biura Stelmetu. Praktykant mógł wezwać go do komendy, Syski wolał jednak rozmawiać w ustronnym miejscu, tym bardziej że w samo południe wiceprezes miał się spotkać z Joachimem Gremplerem i przedstawić mu efekty swojej podróży do Grecji i Turcji.

– Przecież już mnie maglowaliście – przypomniał Madej oburzony, na co Syski odpowiedział kiwnięciem głową. – Ile wiedziałem, tyle powiedziałem.

Komisarz położył przed sobą protokół oględzin zwłok z podpisem doktora Trzcinki i kartkę z danymi z systemu ewidencji ludności. Z teczki wyjął dwa zdjęcia i przesunął je w stronę Madeja, siedzącego po drugiej stronie stołu obok Łukasza.

– Zna pan te osoby? – zapytał.

– I tylko po to policja mnie wezwała?

– Panie Madej, zadałem pytanie.

– Po lewej ja jestem na zdjęciu zrobionym polaroidem do legitymacji klubowej. Na drugiej fotografii jest mój brat bliźniaczy Adam.

– Na pewno?

– Co na pewno?

– Czy na pewno na drugim zdjęciu jest pana bliźniaczy brat Adam? Proszę dokładnie je obejrzeć. To bardzo ważne.

– Komisarzu, niech pan przestanie traktować mnie jak kogoś, kto nie ma wszystkich w domu. Może jeszcze wyśle mnie pan do polikliniki na badanie psychiatryczne? Albo wezwie do komendy, posadzi na wariografie i będzie sprawdzał, czy kłamię? – naskoczył Madej na Syskiego. – O co chodzi, komisarzu? Że może ja to Adam, a Adam to ja? Zamieniliśmy się miejscami? A po co mieliśmy to robić? W podstawówce czasem tak było. Pan mi nie wierzy, a ja mówię prawdę. Jak na spowiedzi przedwielkanocnej. W takim razie... – Palcami obu rąk wyjął protezę górnej szczęki i położył ją na stole obok notatek Syskiego. – Czy w papierach, do których pan bez przerwy zagląda, jest mowa o braku uzębienia? A mnie, komisarzu, brakuje górnych jedynek, dwójek i trójek. Niech pan sprawdzi, czy kłamię. – Madej otworzył usta szeroko. – Dolne jedyneki i jedna trójka to implanty. Zawodowego koszykarza, jak i szczypiornistę czy boksera, pozna pan po braku własnych zębów, bo mu przeciwnicy je wybili. I po zmianach w stawach kolanowych, zresztą bardzo często będących skutkiem za częstej ingerencji ortopedów. Niech pan sobie wyobrazi, że przy wzroście dwumetrowym i wadze przekraczającej sto kilogramów, a co najmniej tyle ma każdy zawodowy koszykarz, kości nie wytrzymują obciążenia. Ja jestem po trzech operacjach prawego stawu kolanowego i dwóch lewego. Łokieć – podniósł prawą rękę – też mam po naprawie. Jeszcze jedna wizyta u docenta Rogali i musiałbym kupić sobie wózek inwalidzki.

Syski był coraz bardziej przekonany, że z drugiej strony stołu siedzi Tomasz Madej.

– Jak pan żył z bratem?

– Na odległość.

– Co to znaczy?

– Każdy z nas miał własne sprawy do załatwienia. Nie sprzecaliśmy się bez powodu, ale i nie padaliśmy sobie w objęcia.

– Jak często się spotykaliście?

– Dwa, trzy razy w roku. Zazwyczaj po polskiej stronie.

– A jak zachowywała się bratowa wobec pana?

– Z Vanessą nigdy nie rozmawiałem w cztery oczy przede wszystkim dlatego, że ona udaje, że nie zna polskiego, ja natomiast mówię po niemiecku mniej więcej tak jak Kali. Ponadto... – Madej uciekł oczami na ścianę za plecami Syskiego. Wydawał się zakłopotany. Po chwili nabrał odwagi i kontynuował, ale nie przeniósł wzroku na policjanta: – Ponadto uważam, że nie Adam ożenił się z Vanessą, lecz ona wzięła go sobie za męża. Za drugiego męża. Adam nie przyznawał się, że zawsze robiła to, co chciała, ale tak było.

ZIELONAGÓRA, AL. NIEPODLEGŁOŚCI, PONIEDZIAŁEK, WCZESNYM POPOŁUDNIEM

Dwa razy Daniel Jung próbował dodzwonić się do Syskiego. Gdy w końcu usłyszał głos komisarza, spytał, jaką drogą dotarła do niego wiadomość o spalonym samochodzie w lesie za obwodnicą miasta.

– Od strażników leśnych.

– Do ciebie zadzwonili wprost?

– Do mnie nikt spoza komendy nie ma bezpośredniego dostępu. Wyłączając ciebie. I chyba że komuś dałem wizytówkę. Oczywiście strażnicy zawiadomili oficera dyżurnego. Czyżby coś ci nie pasowało?

– Rozmawiałeś ze strażnikami sam czy za pośrednictwem dyżurnego?

– Osobiście nie rozmawiałem.

– Jakim autem jeżdżą ci strażnicy, którzy dali cynk dyżurnemu?

– Zielonym jak ich mundury.

– Miałem na myśli markę samochodu.

– Nie zwróciłem uwagi, ale wydaje mi się, że nissanem patrolem. Taki sam albo podobny ma straż miejska. Czasem widuję ich na mieście. A dlaczego pytasz?

– Wtedy, to znaczy w zeszły piątek wieczorem, gdy byłem u profesora Witkowskiego w Jodłowie na urodzinowym grillu, zielonym nissanem patrolem przyjechały dwie strażniczki leśne. Spisały nasze dane, bo siedzieliśmy przy ognisku palącym się za blisko lasu. Twierdziły, że zostaniemy ukarani mandatami.

– Ukaraly was czy tylko postraszyły?

– Wygląda na to, że postraszyły. Dotąd ani ja, ani żadna spośród obecnych tam osób, a było nas dwanaścioro, nie zapłaciła nawet grosza, ponieważ nie dostała wezwania. I teraz pierwszy powód, dlaczego do ciebie zadzwoniłem. Domy obecnych tam, to znaczy przy urodzinowym ognisku w Jodłowie, czyli Nowakowskich, Stonogów, Mariana Rogali i Saszy Kubisztala zostały okradzione.

– Zbieg okoliczności – rzucił policjant. – Przecież też tam byłeś, a... – urwał jednak w pół słowa, jakby coś mu nie pasowało.

– To będzie drugi powód. Moja żona, Miśka, twierdzi, że zeszłej soboty przed południem, kiedy byłem na lotnisku, a ona szykowała obiad w kuchni, usłyszała zgrzytanie klucza w zamku. W dzień, gdy jesteśmy w mieszkaniu, to od wewnątrz nie zamykamy drzwi na klucz. Dopiero wieczorem, na noc, choć też nie zawsze. Miśka myślała, że popiłem sobie czy coś podobnego i kombinuję, jak dostać się do mieszkania, nacisnęła więc klamkę, żeby mi pomóc. Wtedy zobaczyła dwie kobiety. Według mojej żony, a Miśka ma zawodową pamięć do twarzy, jedna była wyższa i tęższa, druga w drucianych okularach, szczuplejsza blondynka. Na oko mogły mieć nie więcej niż po dwadzieścia kilka lat. Góra trzydzieści. Miśce wydało się, że gdzieś widziała ich twarze. Zamiast jeść obiad, dedukowała. I doszła do wniosku, że to były te same osoby, które w piątek wieczorem przyjechały nissanem do Jodłowa.

– Ciekawe spostrzeżenie. Kobiety są dobrymi... – zaczął Syski, ale Jung nie pozwolił mu skończyć.

– Bardziej ciekawe będzie to, czego dowiedziałem się w nadleśnictwie. Po pierwsze, strażnicy leśni ze Sławy jeżdżą land roverem defenderem, a nie nissanem patrolem. Po drugie, nie tylko tam, ale nigdzie w naszym regionie w straży leśnej nie pracują kobiety. Rzecznik prasowy Lasów Państwowych, bo i do niego dzwoniłem, twierdzi, że kobiety pracujące w straży można policzyć na palcach jednej ręki. Na pewno nie ma ich w okręgu zielonogórskim.

– Czyli naszli was przebierańcy. To znaczy naszły.

– Tak właśnie sędzę. Jeszcze coś. One wiedziały, czym się zajmuję. I, tego nie jestem pewien, znały Vanessę Kulschmann.

– Mógłbyś pomóc naszemu grafikowi w naszkicowaniu portretu pamięciowego tych kobiet?

– Mógłbym. Jeszcze lepiej będzie, jak zaprosisz do komendy wszystkie osoby, które w tamten piątek wieczorem były u Witkowskich w Jodłowie. Wspólnymi siłami...

– To niewiele da.

– Dlaczego?

– Wyłączając profesora Witkowskiego, moi ludzie przesłuchali wszystkich. Docent Rogala nie tylko nie zwraca uwagi na twarze, ale i na kobiety. Ten jego przyjaciel, Sasza Kubisztal, zachowuje się niby panna do wzięcia. Wydaje mi się, że identyczny stosunek do kobiet jak docent ma ksiądz Carewicz, chociaż wolałbym się nie zakładać nawet o małą wódkę. Surowy obrońca prawa profesor Nowakowski pamięta, jakie słowa wtedy padły, ale nie wie z czyich ust. Stonogowie za dużo

wypili. Ponadto ona uważa się za taką, która nie zwraca uwagi na rzeczy przyziemne. Letzki twierdzi, że coś zauważył. Co? „Trudno powiedzieć”, w kółko powtarza.

– A Vanessa Kulschmann?

– Jej nie wziąłem pod uwagę. Zresztą wezwanie obywatelki Niemiec na przesłuchanie w Polsce to nie taka prosta sprawa.

ZIELONAGÓRA, UL. WĄSKA, PONIEDZIAŁEK, PO POŁUDNIU

Biegły, starszy kapitan straży pożarnej, nie mógł się zdecydować, jaką podać przyczynę pożaru domku Witkowskich w Jodłowie. Zdawał sobie sprawę z tego, że to, co powie, może mieć kluczowe znaczenie w śledztwie dotyczącym śmierci nie tylko Celine Witkowskiej, lecz i zaginięcia jej męża, a nawet zabójstwa Stanisławy Wieczorek i spalenia volkswagena należącego do Adama Kulschmanna.

– Mam dwie hipotezy – rzucił oschle, robiąc przy tym zagadkową minę. – Obie wiąże z zaplanowanym podpaleniem. Pierwsza mi nie pasuje. Coraz bardziej stawiam na drugą, z udziałem ptaka. Ale jeśli powiem, że chodzi o gołębia, nikt nie da mi wiary. Pan pierwszy mnie wyśmieje.

– Gołąb podpalił domek Witkowskich?

– A nie mówiłem? – jęknął biegły wyraźnie poirytowany.

– Niech pan przedstawi hipotezę z gołębiem – powiedział komisarz Syski, lekko się uśmiechając. Tyle razy współpracował ze starszym kapitanem, ale nie słyszał, aby ptak był podpalaczem. Zdarzało się, że myszy przegryzały izolację cieńszych przewodów elektrycznych i dochodziło do zwarcia instalacji, co niekiedy wywoływało pożar domu i zawsze śmierć wszędobylskich stworzonek.

– Witkowska spała w pokoju na poddaszu, gdzie było jedno okno dachowe, akurat zamknięte na amen. Tam ratownicy znaleźli jej spalone zwłoki. Prawdopodobnie zabił ją czad. Jak pan dobrze wie, czad, czyli tlenek węgla, jest bezwonnym gazem, lżejszym od powietrza, więc łatwo się unosi. Jest niewyczuwalny dla człowieka oglądającego telewizję, a w czasie snu skutkuje jak narkoza o wiekiustym działaniu. Zanim ogień dostał się do sypialni, Witkowska już nie żyła albo była w stanie poprzedzającym zgon. Nie bez przyczyny czad nazywa się cichym zabójcą. Na pewno nie cierpiała.

– A jaką rolę odegrał gołąb? – przerwał mu Syski.

– W pokoju na parterze, gdzie stała kanapa i dwa fotele i gdzie na ściany był umocowany telewizor, w *living room*, jak mówi moja synowa, która od czterech lat pracuje i mieszka w Anglii, właśnie pod fotelom znalazłem obrączkę z numerem. Identyczne hodowcy gołębi zakładają swoim ptakom, żeby śledzić ich loty. Były na niej oznaczenia, między innymi numer oddziału związku gołębiarzy – 0368. Na tej podstawie ustaliłem, że gołąb pocztowy należał do Piotra Woźniaka z zielonogórskiego osiedla Racula. Przed południem telefonowałem do właściciela, potwierdził zaginięcie ptaka.

– Nadal nie rozumiem roli gołębia – przyznał się komisarz, mimo że zaczął się domyślać sensu tego, co mu powie biegły.

A starszy kapitan wyjaśnił, że podpalacz przyczepił do obrączki na nodze gołębia coś w rodzaju żagwi z opóźnionym zapłonem. Przez niedomknięte okno wpuścił ptaka do salonu. Ten, latając oszołomiony po pokoju, bo żagiew coraz mocniej go parzyła, najpierw podpalił firankę. Od firanki zajęła się kanapa i fotele, potem dywan.

– Wszystkie ściany domku, nawet sufity, od wewnątrz były obłożone wysokiej klasy boazerią świerkową. Na piętro prowadziły drewniane schody. Nic tak szybko nie płonie jak właśnie nieodżywcowane drewno.

– Jaka jest druga hipoteza? Może koktajl Mołotowa w butelce po ginie lubuskim wrzucony przez okno otwarte na parterze? – zapytał Syski wyraźnie kpiarskim tonem.

– A może coś bardziej nowoczesnego? Na przykład układ scalony dostarczony do środka za pomocą urządzenia laserowego?

Biegły wyczuł drwinę w głosie komisarza. Mimo to bez obrazy odpowiedział na jego pytanie.

– Podpalacz oblał drzwi zewnętrzne mieszaniną denaturatu z substancją łatwopalną o konsystencji oleistej i je podpalił, jakby się spodziewał, że przebywająca wewnątrz osoba tą drogą będzie próbowała wydostać się na powietrze. Powiedziałem „denaturatu”, ponieważ butelka z etykietką po takim płynie leżała przy ogrodzeniu. Mógł być w niej inny rodzaj alkoholu, co nie ma żadnego znaczenia. Na podstawie oględzin nie potrafię podać składu substancji o konsystencji oleistej. Próbkę oddałem do zbadania w waszym laboratorium. Na mój nos była to biała wazelina hydrofilowa, czasem stosowana do zabezpieczania narzędzi chirurgicznych przed korozją i zanieczyszczeniami organicznymi.

Syski przypomniał sobie, że po powrocie z Olemedu Natasza opowiadała mu, jak się projektuje i robi implanty ortopedyczne. Chyba wspomniała o wazelinie farmaceutycznej stosowanej do zabezpieczaniu każdego produktu przed korozją, ale tego nie był pewny.

ZIELONAGÓRA, PL. PRZY GAZOWNI, PONIEDZIAŁEK, PO POŁUDNIU

Aspirant Araszkiwicz nie miał ochoty jechać na Trasę Północną, ale polecenie przełożonego w komendzie jest jak rozkaz w wojsku, a on chce zostać zastępcą naczelnika wydziału i dlatego stara się być policjantem bez zarzutów. W drodze powrotnej z Olemedu do komendy ułożył sobie odpowiedź:

– Doktor Stonoga potwierdził, że wszystkie produkty opuszczające zakład najpierw są sterylizowane w strumieniu gorącego powietrza i pary wodnej oraz jeszcze czegoś, potem zabezpieczane tak przed mikroorganizmami, jak i korozją. Na końcu pakowarka umieszcza je w specjalnych torebkach. – Jeśli Syski spyta, czym są zabezpieczane, odpowie, że to także tajemnica handlowa. – Bez pisemnego nakazu sądu prezes firmy nie ujawni nazwy specyfiku zabezpieczającego. Prosiłem,

tłumaczyłem, nawet grzecznie straszylem, ale prawnik Stonogi, doktor Nowakowski, nie dał się złamać. Jedyne, co mi powiedział, to że substancja jest stosowana w kosmetyce, niewybuchowa, a więc niegroźna dla zdrowia i życia ludzi. Pokazali mi pozwolenie wydane przez Państwowy Zakład Higieny i certyfikat jakiejś unijnej instytucji wypisany po angielsku.

Aspirant przypomniał sobie, że komisarz pojechał do hodowcy gołębi pocztowych i pewnie dziś nie wróci do komendy, dlatego zatrzymał się na parkingu, wyjął komórkę z kieszeni, wduślił guziczek oznaczający kontakt z naczelnikiem wydziału i czekał na połączenie. Gdy usłyszał głos Syskiego, powtórzył to, co sobie ułożył.

– Miałeś się też dowiedzieć, czy w ostatnim czasie było jakieś włamanie do ich magazynu, laboratorium, bo ja wiem, gabinetu prezesa, i jeśli było, to co zginęło.

– Od dnia, kiedy ochronę zakładu przejęła Grempler Security, nie stwierdzono kradzieży z żadnego pomieszczenia.

– A może pracownik wyniósł tę substancję, której nazwy nie chcieli ci podać?

Araszkiewicz nie przyznał się, że nie przyszło mu na myśl to pytanie.

– Ta sprawa nie dotyczy Olemedu – odpowiedział wymijająco, czerwieniąc się natychmiast. Jak to dobrze, że Natasza nie chciała ze mną jechać, bo gdyby teraz mnie widziała, byłoby mi głupio, cieszył się.

– Miałeś się dowiedzieć, jak inni producenci implantów zabezpieczają swoje wyroby – przypomniał Syski.

– Wszyscy stosują identyczną metodę.

– Niemcy również?

– Oczywiście. – Boże, nie pozwól, żeby komisarz zapytał o to, czy dowiadywałem się o włamanie do Kulsch Medizintechnik.

– Czy z magazynów Kulsch Medizintechnik nie zginęła ta substancja?

– Jaka?

– Do zabezpieczania wyrobów przed mikroorganizmami i korozją, której nazwy nie chcieli ci podać.

Boże, pomóż. Araszkiewicz czuł pot na plecach. Po krótkim namyśle zaczął odpowiadać:

– Pewnie nic na ten temat nie wiedzą, bo...

– Pytałeś czy tylko się domyślasz?

– A...

– Żałuję, że zamiast ciebie nie posłałem Nataszy do Olemedu. Stażystka, ale już myśli jak doświadczona śledcza. Z tobą, Tadeusz, dzieje się coś niedobrego. Zakochanie wszystkiego nie usprawiedliwia – powiedział komisarz i się rozłączył.

Araszkiewicz odetchnął z ulgą. Nie pamięta, kiedy ostatni raz tak się spocił. Powinien natychmiast się umyć i zmienić koszulę. Mimo to zadzwonił do Karoliny. Automatyczna sekretarka odpowiedziała: „The number you are trying to reach is currently unavailable. Please, try again later”. Domyślał się, że znaczy to tyle samo, co „Numer, pod który dzwonicz, jest nieosiągalny. Prosimy spróbować ponownie później”. Po wakacjach zapiszę się na kurs angielskiego, postanowił, kładąc komórkę

na fotelu dla pasażera. Zastanawiał się, dokąd jechać, gdy odezwała się nokia. Pomyślał, że to Karolina dzwoni, ale na wyświetlaczu zobaczył numer telefonu Nataszy.

ZIELONAGÓRA, UL. RACULA WITOSA, PONIEDZIAŁEK, PO POŁUDNIU

Strażnik leśny Piotr Woźniak wyjaśnił Syskiemu, że pierwsze cztery cyfry na obrączce gołębia pocztowego są międzynarodowym numerem oddziału związku, do którego należy hodowca. 0368 to kod oddziału zielonogórskiego. Kolejne dwie oznaczają rok założenia obrączki na nogę. Ostatnie to numer rodowy ptaka. Od niedawna zapis cyfrowy otwiera oznaczenie kraju, na przykład PL na początku obrączki informuje, że gołąb należy do polskiego hodowcy.

– Przed wieczorem lubię sobie usiąść na ławce przed domem, wziąć piwko do ręki i słuchać ich turkotania. Sama przyjemność, kurtka na pasach, jak mówi mój podwładny w straży.

– Czy w ostatnich dniach zginął panu jakiś gołąb? – zapytał komisarz, obserwując ptaki gruchające za siatką w wolierze. Co w tym przyjemnego? Już wolałbym mieć jamnika, pomyślał. Niewiele przy nim roboty i weselej w mieszkaniu.

– Z każdego długiego lotu kilka nie wraca. To normalne – odpowiedział Woźniak. – Czasem po wielu dniach ktoś zawiadomi związek o miejscu znalezienia martwego ptaka. Dobre i to, przynajmniej wiadomo, co się stało.

– A gołębia o takim numerze obrączki – Syski podał mu karteczkę – kiedy pan wypuścił i skąd?

Woźniak milczał, jakby się zastanawiał, ile może powiedzieć.

– To na pewno numer mojego ptaka, ale przynajmniej od miesiąca nie wypuszczałem go z klatki. Podejrzewam salmonellozę. – Stanął przy siatce i chwilę wpatrywał się w stadko gołębi. – A gdzie on jest? Niemiec! – zawołał. – To charakterystyczny ptak. W odróżnieniu od innych pocztowców nosi szyję pionowo. Dumny jak paw i łatwy w hodowli jak królik. Niemiec! – jeszcze raz zawołał, modułując i przeciągając głos.

– Padł?

– Wiedziałbym.

– Uciekł?

– Niemożliwe – rzucił Woźniak jednak trochę zaniepokojony. – To nie zdarza się u gołębi pocztowych.

– Ktoś go ukradł?

– Wolierzy nie zamykałem na kłódkę. Każdy może wejść na podwórze i ją otworzyć. W piątek przed wywozem gołębi do Épernay na lot długodystansowy żem go widział. W sobotę i niedzielę żona podrzucała im karmę. Niemiec, jebańcu!

– Sąsiadom nie przeszkadza to, czym się pan zajmuje? W ciasnej zabudowie

gołębie bywają dokuczliwe – bardziej stwierdził niż spytał policjant. Ledwie słońko zacznie wychylać się zza lasu, dzikie gołębie, które zrobiły sobie gniazdo nad jego mieszkaniem, rozpoczynają koncert na gruchanie.

– Od knypla jestem gołębiarzem. Kiedy stawiałem ten budynek, dookoła było pole. Żytko rosło. Teraz dom przy domu, a gołębie nie wiedzą, co im wolno i co nie. Sąsiadka – pokazała na willę w stylu dworku – domaga się, abym mył jej okna. Tamta po drugiej stronie ulicy straszy sądem, bo co posadzi w skrzynkach na balkonie, to gołębie oskubią. A moja wina, że ptaki lubią begonie? Podpowiadałem, żeby posadziła calibrachnę albo koleusy. Coś o gorzkim smaku. A najlepiej sztuczne pelargonie.

– Sprawcą pożaru domku w Jodłowie, o którym robi się coraz głośniejsze, prawdopodobnie był gołąb. – Syski ponownie rozłożył kartkę, na której widniał kod spisany z obrączki, i pokazał go Woźniakowi.

– Jestem hodowcą, a nie podpalaczem. Mam odpowiadać za ptaka? Ja jestem winny, kurwa?

– O tym prokurator zadecyduje. Ile jest pana wina, określi sąd. Albo i nie. Na razie staramy się wszystko wyjaśnić.

Woźniak zapalił papierosa. Syskiego nie poczęstował, jakby wiedział, że komisarz od dawna nie pali.

– Od czasu gdy z Arkiem żeśmy znaleźli spalony samochód w lesie, czuję się tak, jakbym był na celowniku – powiedział.

– Ktoś panu groził? W jaki sposób?

– Nikogo nie złapałem za rękę. Arek Banda, kolega, z którym mam służbę w lasach, w piątek powiedział, że gdzie się ruszy, tam widzi te same dwie baby. Jakby za nim łąziły. Czego one chcą? Jesteś młodszy ode mnie, przystojniejszy, w leśnym mundurze, to czemu mają za tobą nie łązić? – powiedziałem mu. Jak to mówią: za mundurem panny sznurem.

ZIELONAGÓRA, OS. SŁONECZNE, PONIEDZIAŁEK, WIECZOREM

Miśka zadzwoniła, że nie wróci na noc do domu. Zmarł nagle ojciec lekarza, który miał dyżurować w zakładzie medycyny sądowej, ona więc musi go zastąpić. Daniel odpowiedział, aby wyznaczyła kogoś z rezydentów.

– Latem tak często dochodzi do wypadków na drogach, że nawet doświadczony patolog ma co robić.

– Szef jest po to, żeby zarządzać.

– W lodówce jest wszystko, co będzie ci potrzebne na kolację i na śniadanie – przypomniała, po czym życzyła mu dobrej nocy. – Wrócę jutro po południu.

Jung wyjął z lodówki dwa jajka, cebulę i masło. Pomyślał o boczku, ale nie wiedział, gdzie go szukać. Usmażywszy jajecznicę, usiadł w pokoju przed

telewizorem. Najpierw autor audycji skierował kamerę do parku, gdzie na ławkach odpoczywali starsi ludzie, a potem w studiu rozpoczęła się dyskusja na temat dzietności w Europie.

– Grozi nam wyludnienie czy to tylko takie straszenie? – zwrócił się dziennikarz do dwóch mężczyzn siedzących w studiu.

Coraz częściej docierało do Junga, że jeśli tak będzie dalej, to za pół wieku chrześcijański Stary Kontynent nie tyle się wyludni, co stanie się muzułmański. Już nie tylko na ulicach Berlina, Chociebuża, Frankfurtu, ale i w Burgu, w Guben, nawet w niewielkim Peitzu latem spotykał kobiety w chustkach na głowach. Madlena mówiła, że rodowite Niemki nie chcą rodzić dzieci, pomimo dużo większej pomocy państwa niż wtedy, gdy ona została matką. Wskaźnik dzietności w Niemczech wynosi 1,4, co oznacza, że na statystyczną kobietę w wieku rozrodczym przypada prawie półtora dziecka. Z punktu widzenia demografów nie jest źle. Odmienne zdanie mają politycy. W ich oczach sytuacja jest katastrofalna, ponieważ, po pierwsze, oznacza, że Niemcy się wyludniają, po drugie, rodzą przybyszki z krajów muzułmańskich. Rodzą dzieci i wychowują je w kulturze religijnej krajów, z których przyjechały do Niemiec. Każdego dnia pięć razy w Bremie, Dortmundzie, Berlinie, Dreźnie, Hamburgu, Stuttgarcie, Mönchengladbachu, Leonbergu, Eschweilerze, Schweinfurcie, nawet w katolickim Monachium, imami pełnym głosem i przez głośniki wzywają muzułmanów do modlitwy. Parafii ewangelickich i katolickich nie stać na utrzymanie kościołów, więc je wydzierzawiają lub sprzedają gminom islamskim. Jung pomyślał, że niedługo to samo stanie się w Polsce.

– Jest bardzo źle – grzmiał dyskutant. – Obecny rząd nie dba o przyszłość polskiego na wskroś chrześcijańskiego narodu. Jeśli nie poprawi się wskaźnik dzietności, który pod rządami obecnej koalicji zrównał się ze wskaźnikiem w Niemczech, to w połowie tego stulecia będzie nas mniej o jedną czwartą. A trzeba wziąć pod uwagę to, że wydłuży się średni wiek życia Polaków. Kto zapracuje na nasze emerytury?

– Uważa pan, że za niekorzystną sytuację demograficzną jest odpowiedzialny ten rząd? – spytał dziennikarz.

– Jeśli nasze ugrupowanie przejmie władzę w kraju, to zostaną wydłużone urlopy macierzyńskie, przybędzie żłobków i przedszkoli, wzrosną emerytury, na korzyść ubezpieczonych zmieni się służba zdrowia...

– Opowiada pan bzdury! – przerwał mu sąsiad z partii rządzącej. – Wasz szef jest bezdzietnym kawalerem. Jeden jego zastępca spłodził tylko syna, drugi ma dwie córki. Obie wyjechały do Anglii. Sekretarz generalny jest bezdzietny, ale może to się zmienić, bo niedawno wstąpił w związek małżeński. Drugi związek. A pan, kolego, jak liczne ma potomstwo?

– Rozmawiamy o kraju, a nie o naszych sprawach prywatnych – bronił się ten z opozycji.

Jung pomyślał, że gdyby był dziennikarzem prowadzącym tę audycję, spytałby, dlaczego Polki, które wyjechały do Wielkiej Brytanii, tam rodzą po kilkoro dzieci. I wyłączył telewizor.

ZIELONAGÓRA, UL. WĄSKA, WTOREK, Z RANA

Zastępca uznał, że skoro podczas urlopu szefa on jest najważniejszy w komendzie, nie musi tłumaczyć się przed naczelnikami wydziałów, dlatego spóźnił się na odprawę aż dziesięć minut. Przyszedł później, bo zadzwonił do niego prorektor uniwersytetu z pytaniem o profesora Witkowskiego. Co tydzień o ósmej trzydzieści wszyscy najważniejsi w komendzie schodzili do salki na parterze, gdzie każdy zawsze siadał na tym samym miejscu i choćby w ostatnich dniach miał same niepowodzenia, o nich nie wspominał albo je usprawiedliwiał cudzą winą. Najdłużej mówili kierownicy komisariatów, a gdyby się okazało, że komendant pochwalił tego z Szarych Szeregów, natychmiast odzywał się ten z osiedla Pomorskiego albo jego koleżanka z Nowojendrzychowskiej. Rywalizacja pomiędzy nimi śmieszyła jednych naczelników wydziałów, innych dziwiła. Kierownik komisariatu wykonuje polecenia zwierzchników i dlatego samodzielnie niewiele może zrobić, mimo to każdego w komendzie usiłuje przekonać, że od niego zależy opinia o całej policji. Gdyby ci na górze zmienili procedury na takie, które są z tej ziemi, w rejonie jego działania nie byłoby złodziei, gwałcicieli, nożowników, pijanych kierowców, dilerów narkotyków, melinarzy, próżniaków, darmozjadów, damskich bokserów i tych wszystkich niebieskich ptaszków, którzy żyją beztrosko i niczym się nie przejmują. No, może kilku drani powinno zostać, żeby dzielnicowi mieli czym się zajmować.

– Kryminalny – zastępca komendanta pokazał na Syskiego, a to oznaczało, że musi opowiedzieć, co mu się udało i za co zbierze cięgi. O telefonie od prorektora na razie nie wspomniął.

– Właściwie jest jedna sprawa. Wielowątkowa i dlatego bardzo trudna – podkreślił komisarz, żeby zastępca znowu nie powiedział, że wydział kryminalny można włączyć do dochodzeniowo-śledczego. – Z czterech interesujących nas zagadek na razie udało się rozwiązać jedną. Mam na myśli to, że w spalonym w lesie volkswagenie były zwłoki Adama Kulschmanna vel Madeja, Polaka mieszkającego i pracującego w Niemczech. Nie wiemy, kto zamordował pomoc domową Witkowskich, Stanisławę Wieczorek, ani dlaczego. Natomiast wiemy, czyje zwłoki były w spalonym domku Witkowskich w Jodłowie. Wiemy też, co było przyczyną pożaru, ale niestety nie mamy pojęcia, kto podpalił domek i dlaczego.

– Czy dobrze usłyszałem, komisarzu? – zastępca wszedł w słowo Syskiemu. – Wiecie, co było przyczyną pożaru, a nie wiecie, kto go spowodował. To się kupy nie trzyma. Jak się wie jedno, to i musi wiedzieć się drugie.

Dopiero gdy Syski opowiedział o gołębiu wpuszczonym przez okno do pokoju i denaturacie z płynem podtrzymującym ogień, zastępca dał mu spokój.

– Jeszcze jednego nie znamy – przyznał się komisarz, na co zastępca zareagował tak, jakby został oszukany. – Nie wiemy, gdzie jest zaginiony profesor Witkowski. Nigdzie nie znaleziono jego ciała ani jego octavii, ani żadnego śladu jego obecności.

– Nie wiecie też, kolego komisarzu, kto okradł domy na osiedlach Malarzy i Kamieni Szlachetnych – powiedział z ironią w głosie naczelnik wydziału

dochodzeniowo-śledczego.

– Prawda, tego też nie wiemy. Mam nadzieję, że kolega podinspektor wreszcie zacznie tę sprawę wyjaśniać i zechce ze mną współpracować. A może kolega już coś wie i odpowie na moje pytania zadane w ubiegły piątek?

– Komisarzu, pan się zapomniał, że obowiązuje droga służbowa. Ponadto procedury dają nam odpowiedni czas na wyjaśnienie dyskusyjnych kwestii.

– Kolego, chodzi o złodziei – uściślił naczelnik wydziału kryminalnego.

– Panowie naczelnicy – zastępca najpierw spojrział na Syskiego, potem na podinspektora – po odprawie obu zapraszam do mojego pokoju. Z tym, który z was jest ważniejszy, musimy wreszcie skończyć. Albo będzie porządek, albo szlag mnie trafi.

– Nasza organizacja jest za tym, żeby połączyć oba wydziały i Ilonę Mrozińską dać na naczelniczkę. Rozmawialiśmy o tym na ostatnim zebraniu zarządu – powiedział przewodniczący zarządu terenowego związkowców. – Kolega komisarz Syski już dość się napracował. Kiedyś był nie do zastąpienia. Teraz... Po tylu latach służby może przejść na zasłużoną emeryturkę. Należy mu się. Młodzi, kolego, czekają na wolny stołek.

Syskiego nikt nie musiał przekonywać, że w komendzie najważniejsza jest funkcja i to, co policjant ma na pagonach, a nie efekty jego pracy. Komisarz w wydziale kryminalnym choćby nie jadł, nie spał, nie brał urlopu, harował w soboty, niedziele i święta nie po osiem godzin, ale od świtu do zmroku, komendant tego nie pochwali na odprawie. Najwyżej powie, że takie są zadania policji i za to państwo płaci. Nie podoba się? Droga wolna. Młodzi czekają na wolne miejsca. Znają się na komputerach, mówią po angielsku, mają zagraniczne dyplomy magistrów, niektórzy po dwa, nie liczą godzin, nie chorują i nie protestują. Z niewolnika nie ma solidnego pracownika. Bywało, że podczas konferencji prasowych dziennikarze pytali o nazwiska śledczych, wtedy komendant wspominał, kto się zasłużył, ale zaraz dodawał, że nic w tym szczególnego, bo takie są obowiązki policji państwowej. Inspektor może zbijać baki na korytarzu, godzinami przesiadywać w bufecie, gadać przez telefon z kochanką, a i tak będzie chwalony. Mało tego, podczas uroczystej odprawy w święto policjanta będzie stał w pierwszym szeregu wśród odznaczonych i nagrodzonych. A jeśli w czasie dorocznego testu ze sprawności fizycznej zasapie się, bo dźwiga brzuch obrośnięty sadłem, komisja uzna to za okresowy brak kondycji. Najwyżej każe mu codziennie chodzić na pływalnię i do siłowni, oczywiście na koszt komendy. I tak inspektor dotrwa do emerytury. Najtrudniej w policji mają ci od szarej roboty, czyli aspiranci i komisarze, uważa Syski.

GUBEN, BETHANIENSTRASSE,
WTOREK, Z RANA

Jung dziesiątki razy robił zakupy w Kaufhofie przy drodze do Chociebuża, a nie wiedział, jak się dostać na gubeński cmentarz. W informacji o pogrzebie przesłanej

mu e-mailem przez kogoś z biura Kulsch Medizintechnik nie było dokładnego adresu nekropolii. Wczoraj późnym wieczorem zadzwonił więc do Stonogi i Nowakowskiego, obaj potwierdzili, że wybierają się na pogrzeb bez żon, lecz żaden nie orientuje się, jak dojechać na cmentarz w Guben. Dopiero niemiecki strażnik przy moście granicznym pomógł Danielowi.

– Na pogrzeb Kulschmanna? – zaciekał się.

– Owszem. Po czym pan poznał?

– Gdyby pan wybrał się do Plastinarium, to w taki upał nie w ciemnym garniturze.

– Słusznie.

– Widziałem nekrolog w „Niederlausitzer Tageblatt”. I po kwiatach – wyjaśnił strażnik, pokazując głową na wieniec z czerwonych róż za fotelem Daniela, przepasany szarfami z napisami „Das letzte Geleit” i „Ostatnie pożegnanie”. –

Niemcy nie są ani aż tak pomysłowi, ani tak wylewni jak Polacy. A tu, na brandenburskich cmentarzach, coraz częściej tradycyjny pogrzeb odbywa się według nowego zwyczaju.

– Nowy zwyczaj?

– Co drugi pochówek w Guben jest anonimowy.

Daniel nie spytał, co strażnik miał na myśli. Przekonał się dopiero na cmentarzu.

Mimo że Adam Kulschmann vel Madej został ochrzczony w Kościele katolickim i nigdy nie zmienił wyznania, nabożeństwo żałobne prowadził pastor ewangelicki. Może w Guben nie ma parafii katolickiej? Ale przecież w polskiej części historycznego miasta mieszkają księża katolicy, przypomniał sobie Daniel. Na wprost koszar stoi kościół, zbudowany wtedy, gdy z miasta wyprowadzono wojsko, zostawiając setki rodzin emerytowanych oficerów. Na to samo zwrócił uwagę Nowakowski, udając oburzonego, chociaż gdyby ktoś go spytał, kiedy ostatni raz był na mszy z własnej woli, długo by sobie przypominał. A gdy pastor poinformował żałobników, że na życzenie wdowy pochówek będzie anonimowy, przez kaplicę przeszedł szmer.

– Grabarz wyniesie urnę z prochami zmarłego na wcześniej przygotowane miejsce wiecznego spoczynku. Gdzie się ono znajduje, wie tylko zarządca nekropolii i grabarz. W poufnej księdze cmentarnej zostało ono oznaczone, ale nikt poza sądem nie będzie miał do niej wglądu – wyjaśnił pastor. – My, którzy przyszliśmy pożegnać się ze zmarłym, pozostaniemy tu, gdzie jesteśmy. Przy kawie i ciastkach będziemy wspominali Adama Kulschmanna.

– U nas nigdy ten zwyczaj się nie przyjmie – szepnął Nowakowski do ucha Junga.

– Ponadto nasze prawo zabrania chowania ciał w miejscach nieoznaczonych. Musi być grób albo, co ostatnio staje się coraz bardziej modne, kolumbarium.

– Skoro przyjęła się kremacja zwłok nawet wśród katolików, przyjmie się i pochówek anonimowy.

– Kościół na to nie pozwoli.

– Gdy wierzących znacznie wyraźnie ubywa, a tego Kościół katolicki w Polsce nie uniknie, i tę nowość księża zaakceptują. Nie będą mieli innego wyjścia.

– Słusznie. Im przede wszystkim chodzi o pieniądze – powiedział Stonoga do Daniela. – Jak umarł mój kuzyn na wsi pod Zamościem, proboszcz nie zaczął rozmowy z wdową od złożenia kondolencji czy pocieszenia. Jego pierwsze pytanie dotyczyło tego, czy zmarły był ubezpieczony na życie. Na życie nie, odpowiedziała kuzynka. Tylko tak jak każdy pracujący. To znaczy dostanie pani zasiłek pogrzebowy z ZUS-u. Wdowa potwierdziła. Wtedy on powiedział, że za mszę i za czynności wikarego na cmentarzu przy grobie zmarłego należy się czwarta część sumy, którą jej wypłaci ZUS. Zgodziła się. Gdy tylko dostanę zasiłek, zaraz przyjdę na plebanię. Jeśli pani nie ma pieniędzy, można pożyczyć w banku – dopowiedział. Organista też pożycza. Na procent, ale od ręki i nie trzeba płacić podatku.

Pastor nieznacznie się uśmiechnął.

– Skoro miejsce złożenia prochów naszego kolegi jest tajemne...

– Anonimowe – pastor poprawił Nowakowskiego. – Jednak nie do końca, bo znane administracji cmentarza i Najwyższemu – podniósł palec wskazujący.

– Słusznie, anonimowe – potwierdził Nowakowski przeprasającym tonem. – Moje pytanie dotyczy tego, gdzie powinniśmy umieścić wieńce i wiązanki kwiatów. Chcielibyśmy złożyć je na grobie naszego znajomego, ale skoro... – urwał, jakby nie wiedział, co powiedzieć.

– Przed wejściem do kaplicy stoi krzyż. Myślę, że to będzie najlepsze miejsce na złożenie wieńców – wyjaśnił pastor, zapraszając żałobników do stołu, na którym stał dzbanek z kawą, filiżanki i półmisek z ciastkami, jakie można kupić w każdym sklepie.

W Polsce niektórzy księża katolicycy nawet na cmentarzu więcej mówią o polityce, partiach i ich wodzach niż o Bogu, zmarłym i miłości bliźniego, pomyślał Jung. Mógł podać wiele przykładów tego, że nauk wygłaszanych z niedzielnej kazalnicy nie ma w czynach księży.

– Czy u nas byłoby możliwe, żeby na pogrzeb właściciela firmy nie przyszli pracownicy? – zapytał szeptem Stonoga. – Razem z nami z Polski jest tu osiem osób.

– Dziesięć – poprawił go Jung, ale nie wyjaśnił, że wtedy, kiedy grabarz wynosił urnę z kaplicy, przy drzwiach stały dwie kobiety: jedna szczuplejsza, druga wyższa i tęższa. Wydawało mu się, że były podobne do tych, które w poprzedni piątek wieczorem w mundurach strażniczek leśnych weszły na podwórko Witkowskich w Jodłowie.

ZIELONAGÓRA, UL. PARTYZANTÓW, WTOREK, PRZED POŁUDNIEM

– Miałem telefon od kogoś bardzo ważnego z ministerstwa z pytaniem o profesora Witkowskiego – zaczął prokurator Ostrouchy, wezwawszy Syskiego do swojego gabinetu na konsultację. Komisarz był przekonany, że nikt z żadnego ministerstwa nie pytał o Witkowskiego. Kogo w ministerstwie interesuje profesor z uniwersytetu w prowincjonalnym mieście? Co innego, gdyby zaginął poseł, wtedy ktoś

w Warszawie tym by się zainteresował. Pewnie prokurator okręgowy trzęsie portkami. – Pytanie mojego rozmówcy dotyczyło tego, ile czasu jeszcze potrzebujemy, żeby odnaleźć profesora Witkowskiego. Sprawa jest bardzo poważna. Co mam powiedzieć?

– Prawdę.

– Jaką prawdę, komisarzu?

– Że sprawa coraz bardziej się komplikuje, ale policja robi wszystko, co w jej mocy, i tak dalej. Pan najlepiej wie, jak się bredzi, żeby zadowolić zwierzchnika.

– Komisarz żartuje?

Syski przypomniał, że wzmianka o zaginięciu Witkowskiego wraz z jego zdjęciem dwa razy ukazała się w „Gazecie Zielonogórskiej” i raz w „Gazecie Lubuskiej”. Jest też na stronie internetowej komendy głównej w zakładce „Poszukiwani”. Komunikaty powinny wisieć na tablicach ogłoszeń we wszystkich komisariatach.

– Prawdopodobnie sprawa się wyjaśni już wtedy, kiedy ustalimy, kto i dlaczego zamordował Stanisławę Wieczorek. Na razie przede wszystkim tym zajęliśmy się w wydziale – powiedział naczelnik i dodał: – Mój zwierzchnik zaakceptował takie prowadzenie śledztwa.

– Co mi pan tu pieprzy? Czym zasłużyła się jakaś Wieczorek, że jest ważniejsza od profesora?

– Została uderzona tępym narzędziem w głowę w mieszkaniu należącym do Witkowskiego, co było przyczyną jej nagłego zgonu – przypomniał komisarz.

– Pan myśli, że Witkowski ją rąbnął? Światowej sławy profesor miał powód, żeby pozbyć się gosposi, tak?

– To właśnie staramy się wyjaśnić.

– I do jakiego wniosku śledczy doszli? – zapytał Ostrouchy ewidentnie ironicznym tonem. Nie zaproponował Syskiemu nawet kawy czy herbaty i nie zdjął nóg z poręczy fotela, na którym siedział.

Komisarz stał przed nim, opierając się prawą ręką o poręcz krzesła dla osób wezwanych do gabinetu.

– Grzegorz Wieczorek, syn zamordowanej Stanisławy Wieczorek, jest nieślubnym synem Witkowskiego – powiedział.

– I on by ją? To znaczy bajstruczek zaciachał mateńkę? Nie chce mi się wierzyć, komisarzu.

– On albo nie on. Grzegorz Wieczorek na razie zaprzecza. Namacalnych dowodów jego winy brak. Jak i brak wyraźnych dowodów winy Witkowskiego. Nawet poszlak.

– Trzeba tego synka przydusić. On musi mieć coś wspólnego ze śmiercią matki. A jak nie ma... Zabójca, komisarzu, musi się znaleźć. Mam pana uczyć, jak się postępuje ze sprawcami?

– A może sprawcą jednak jest profesor Bolesław Witkowski? I może ukrywa się dlatego, że zamordował swoją kochankę i gosposię w jednej osobie? A może doktor Letzki? A może ktoś zupełnie inny, kogo dotąd nie wzięliśmy pod uwagę? Na

przykład Adam Kulschmann.

– Niech pan przestanie pleść od rzeczy! Witkowski, profesor światowej sławy, wychowawca całej generacji doskonałych bioinżynierów i morderstwo? Takim myśleniem, komisarzu, pan ośmiesza aparat ścigania.

– Jaki ma pan cel w tym, żeby bronić Witkowskiego?

Ostrouchy natychmiast wpadł w złość.

– Nikogo nie bronię, tylko wykluczam udział profesora z takimi osiągnięciami naukowymi w morderstwie. To nie mieści się w mojej głowie.

– Witkowski jest na długiej liście podejrzanych – powiedział policjant. Miał na uwadze to, że zazwyczaj ofiarę i sprawcę coś łączy.

– Pojutrze zaczynam zaplanowany urlop. Dlatego jutro, komisarzu, do piętnastej czekam na informację o odnalezieniu profesora. Żywego lub martwego. Najlepiej żywego. Komu jest potrzebny martwy profesor? Przecież Witkowski nie mógł uciec za granicę ani nie ukrył się u kochanki. Za stary, żeby mieć kochankę.

Syski chciał powiedzieć, że w tej sprawie wiek nie ma znaczenia, gdy Ostrouchy milcząco prawą ręką wskazał drzwi i lewą sięgnął po teczkę z napisem „Akta prokuratorskie”. Pewny siebie nadęty bufon, ocenił go ze złością policjant.

ZIELONAGÓRA, UL. ZYTY, WTOREK, WCZESNYM POPOŁUDNIEM

Jung odnalazł Kamila na łóżku w sali na oddziale ortopedii w szpitalu uniwersyteckim. Jaką drogą stażysta tam się dostał, tego nie potrafił wyjaśnić. Pamiętał, że gdy był krok przed przejściem dla pieszych przy areszcie, zapaliło się zielone światło. Na pewno od strony Palmiarni dość szybko jechał samochód. Jakiego koloru, jakiej marki i kto siedział za kierownicą, kobieta czy mężczyzna, na to Kamil nie zwrócił uwagi. Miał co innego w głowie. W ubiegły poniedziałek rano, wychodząc z mieszkania do redakcji, zastanawiał się, czy zastępowanie Daniela Junga zacząć od przejrzenia komentarzy internautów pod informacjami kryminalnymi, czy najpierw zadzwonić do rzeczniczki komendy policji i powiadomić ją, z kim ma się kontaktować przez najbliższy tydzień.

– A powinienes zacząć od poinformowania kogokolwiek w redakcji, że wpadłeś pod samochód i leżysz w szpitalu – skarcił go Jung, aż cały się skulił na łóżku. – W poniedziałek byłeś w szoku, nie pamiętałeś, ale we wtorek, środę...

– Z tobą, szefie, nawet nie próbowałem się skontaktować, bo wiedziałem, gdzie jesteś. Z mojej komórki nie da się zadzwonić za granicę. Mam telefon na kartę, bez roamingu – tłumaczył się Kamil, leżąc na łóżku z nogą w pancerzu gipsowym na wyciągu. – Przysięgam, że jak wyjdę ze szpitala, kupię sobie najnowszy model samsunga z wszystkimi bajerami. A do redakcji, oczywiście, zadzwoniłem zaraz po rozmowie z docentem Rogalą.

– Kolego, gdybyś zadzwonił, Magda by wiedziała.

– Nie do Magdy, tylko do działu kadr. Pan Szmit, jak podpisywałem umowę o staż, powiedział, że w gazecie ważna jest redaktorka naczelna i opiekun, ale najważniejsza jest osoba odpowiedzialna za sprawy kadrowe. Ty i naczelna domagacie się od dziennikarza wykonywania poleceń i fachowo napisanych tekstów. On jest po stronie pracownika, dlatego oczekuje, że o każdej dostrzeżonej nieprawidłowości, o każdym niewłaściwym lub nawet podejrzanym zachowaniu dziennikarzy, w ogóle o wszystkim, co dzieje się w redakcji, o czym i z kim rozmawiasz, mam go informować. Także o tym, co zauważę podczas urlopu czy co na dzień dobry nie ma nic wspólnego z redakcją.

Szmit się nie zmienił. Był i jest kapusiem jak jego brat na usługach Gremplera. Straszy młodych dziennikarzy i ich wykorzystuje, pomyślał Jung, ale tego nie powiedział. Mnie się obawia, bo wie, gdzie poprzednio pracowałem, z kim się koleguję i że go nie lekceważę, a rozmawiam z nim jedynie wtedy, kiedy muszę.

– Przynajmniej jedno się wyjaśniło – stwierdził Jung. Nie przyznał się, że prosto ze szpitala wróci do redakcji i zanim usiądzie przy swoim komputerze, wejdzie do pokoju Szmita.

– Jak wyjdę stąd, będę miał zebrany materiał do tematu medycznego. Czy szef wie, jak długa jest kolejka pacjentów czekających na wymianę stawu kolanowego? Mam na myśli tylko szpital uniwersytecki. Starsza kobieta, która jest po operacji stawu biodrowego i teraz przechodzi rehabilitację, powiedziała mi, że czekała na zabieg dwa lata. Gdyby nie to, że kolega jej zięcia pracuje w Olemedzie i po godzinach specjalnie dla niej zmontował staw, czekałaby kolejne dwa lata albo i dłużej.

– Nie jest to obce tym, którzy mają rodziców w wieku emerytalnym. Minister zdrowia też pewnie wie o bolączkach ortopedii. I Olemed mógłby robić tyle implantów, jakie jest zapotrzebowanie.

– Dlaczego więc nie zarabia? – nie rozumiał Kamil.

– Zazwyczaj trzeba wszczepić oba stawy biodrowe w odstępie roku. Stawy są drogie, operacje też są kosztowne, nie każdy szpital ma ortopedów. Ale nie to jest główną przeszkodą.

– A co?

– W naszym kraju każdy pracownik musi płacić składkę ubezpieczeniową. Skoro każdy musi płacić, to i każdy spodziewa się, że za wszczepienie implantów zapłaci ubezpieczalnia. Przecież dlatego płaci składkę. Ale ubezpieczalnia ma za mało pieniędzy, a wydatków dużo, że wybiera między uzdrawianiem starszuchów a leczeniem dzieci. Dzieci, co rozumiały, mają pierwszeństwo.

– Starszerek prędzej odejdzie z tego świata niż doczeka się wymiany stawu. I problem sam się rozwiąże. Pewnie o to chodzi ubezpieczalni – ironizował Kamil. – To jest sadyzm.

Jung pomyślał, że z punktu widzenia ubezpieczalni, zakładu wypłacającego emeryturę czy rentę, ośrodka pomocy społecznej, miejsca nie wiadomo dlaczego nazwanego domem spokojnej starości, Kamil ma rację. Nie ma jej, gdy się weźmie pod uwagę to, że każdy człowiek będzie stary, większość niedołączonych

i potrzebujących pomocy. Nie ma ani jednego człowieka na świecie, który wybiera cierpienie.

ZIELONAGÓRA, AL. NIEPODLEGŁOŚCI, WTOREK, PO POŁUDNIU

– Nie twoja sprawa, redaktorze – rzucił Szmit z wyższością w głosie, gdy Jung wszedł do jego pokoju i zapytał, dlaczego ukrył przed nim, że Kamil leży na ortopedii.

– Dopóki Kamil będzie moim podopiecznym, to będzie także moja sprawa.

– Redaktor Chudy została powiadomiona w sposób zgodny z procedurami obowiązującymi w naszym wydawnictwie – oświadczył łagodniejszym tonem Szmit.

– Chudy? Zastępczyni naczelnej nazywa się Monika Chuda – przypomniał mu Jung, wyraźnie wymawiając jej nazwisko. Zachowywał się tak tylko wtedy, kiedy Szmit próbował go lekceważyć. – Czy to normalne, że redaktorka Chuda wiedziała o tym i nie podjęła żadnych kroków? Tak zachowuje się szefowa? Dlaczego nikt nie powiadomił jego rodziców? Dlaczego nikomu nie przyszło do głowy, żeby pójść do szpitala, spytać Kamila, czego potrzebuje? Gdyby Magda wiedziała...

– Dość tego, Jung – przerwał mu Szmit. – Jak ci się nie podoba polityka redakcyjna, w każdej chwili możesz napisać podanie o zwolnienie. Nikt nie będzie za tobą płakał, komisarzu redaktorze. Na twoje miejsce czekają tuziny młodych. Przyjdą tu z pocałowaniem ręki. Takie czasy, Jung.

Daniel miał na końcu języka, że Joachim Grempler kupi wydawnictwo i pozbędzie się Szmita. Jeśli Grempler zostanie właścicielem gazety, co powinno stać się niebawem, bo na ten temat krążą plotki po Zielonejgórze, Neimann jako jego prawa ręka podpowie, żeby Szmit zajął gabinet pierwszego zastępcy albo nawet prezesa firmy. Wtedy będzie musiał się zwolnić z redakcji, pomyślał Daniel. Prawdę mówiąc, brał to pod uwagę i dlatego kilka razy przy piwie w Teatralnej namawiał Jacka Syskiego do założenia agencji detektywistycznej, ale komisarz się bronił przed taką pracą, tym bardziej że niebawem będzie miał prawo do pełnej emerytury.

– Chyba już nie potrafię być jednocześnie szefem i podwładnym. Przyzwyczaiłem się do tego, że komus podlegam – powiedział policjant.

Każdy człowiek ma nad sobą kogoś, komu ufa i wierzy. Chodzi o to, żeby podwładny był traktowany godnie, a nie jak zniewolony zakładnik, pomyślał Daniel, wychodząc z pokoju Szmita.

Pewny siebie kutas. On już się nie zmieni. Mimo to będę go tolerował, postanowił. Zresztą nie mam innego wyjścia.

ZIELONAGÓRA, UL. STRZELECKA, WTOREK, PÓŹNYM WIECZOREM

Tadeusz Araszkiwicz pierwszy raz był w hoteliku policyjnym w zeszłym roku, gdy

wprowadziła się tam Karolina de Murville. Od tamtego czasu niewiele się zmieniło, to znaczy w mikroskopijnych pokoikach mieszkali praktykanci, stażyści i samotni posterunkowi. Każdy płacił za miejsce na mundur galowy we wnęce z wieszakiem zasłoniętym kotarą z czasów milicji, okrągły stolik i oblaźłe z farby dwa wysłużone krzesła oraz wygnieciony tapczanik.

– Jaki czynsz, takie wygody – roześmiała się Natasza, gdy Tadeusz powiedział, że będzie czuł się w jej pokoiku jak aresztant zapuszkowany na policyjnym dołku.

– Pewnie większość aresztantów chciałaby spędzać ten czas w taki sposób, jak mnie się uda – dodał po chwili, to zerkając na Nataszę, to chwyląc ją za wystrój pokoiku. Gdy dostrzegł dwie paprotki na parapecie, żałował, że nie kupił doniczki z czymś rozkwitniętym. Nad tapczanem wisiała barwna fotografia absolwentek szkoły policyjnej. Zrobił krok do przodu, żeby wyłowić Nataszę z grona świeżo promowanych policjantek. – Wszystkie jesteście jak... jak... – Miał ochotę powiedzieć, że wszystkie absolwentki są do siebie podobne, ale pewnie Natasza nie byłaby z tego zadowolona. – Zostałaś stworzona do pokazywania się w mundurze – rzucił po namyśle.

Co odpowiedziała i co działo się potem, nie zapamiętał. Wszystko zmieniało się tak szybko i nie pod jego dyktando, że ocknął się dopiero na tapczanie, ale niczego nie żałował. Natasza przyłgnęła do Tadeusza jeszcze mocniej niż wtedy, gdy ją całował, i na palec wskazujący prawej dłoni nakręcała rzadkie włosy na jego piersiach. Lubiała brunetów smukłych, wyższych od siebie, nie za tęgich. Tadeusz spodobał się jej już pierwszego dnia stażu w komendzie, gdy nieogolony wszedł do sali odpraw i wstydliwym głosem przyznał się, że zasnął. On musi być mój, wtedy postanowiła. Jeszcze tego samego poniedziałku spytała, czy pomoże jej napisać protokół przesłuchania świadka, a każdego kolejnego dnia robiła wszystko, co może zrobić kobieta, żeby mężczyzna jej nie omijał. I musisz być mój na zawsze, postanowiła w myślach, obejmując Tadeusza w pasie. Nawet nie przyszło jej do głowy pytanie, co będzie, jeśli za tydzień, dwa okaże się, że jest w ciąży. Dziś nie przyszło, ale wczoraj zastanawiała się, jak mu o tym powie i czy będzie się domagała, żeby natychmiast się z nią ożenił. Było jej obojętne, jak zachowa się Karolina, gdy się dowie, że we wtorek zaciągnęła Tadeusza na swój tapczanik.

Ciszę przerwała melodyjka komórki. Natasza podniosła się na łokciu, żeby sięgnąć po aparacik leżący na stoliku, gdy Tadeusz spytał:

– To na pewno twój telefon? Mój odzywa się identycznie.

Natasza nie przyznała się, że gdy pierwszy raz usłyszała, jaka melodia przywołuje Tadeusza, postanowiła ją mieć w swojej komórce. Nie we wszystkim, ale akurat w tym chciała być identyczna jak on, zwłaszcza że melodia z serialu *Policjanci z Miami* naprawdę jej się podobała.

– Moja milczy na stoliku. To twoja. Może coś ważnego. Odbierz – powiedziała głosem rozkazującym.

Tadeusz wysunął nogi spod koca i po omacku szukał w kieszeni spodni. Mimo mroku Natasza wsparta na łokciu przypatrywała mu się bardziej z zaciekawieniem niż podziwem. Nie przyznała się, że Tadeusz nie jest pierwszym mężczyzną, z którym

poszła do łóżka, ale pierwszym i jedynym, wobec którego ułożyła plan. Minuty spędzone z tamtymi i to, co jej mówili, czym się zachwycali, co obiecali i o co prosili, dawno wymazała z pamięci.

– Kto dzwonił? – zaciekała się.

– Kolega.

– O tej porze? – spytała zaczepnie.

– Nie wszyscy moi koledzy mają zegarki – odpowiedział Tadeusz, nie przyznając się, że na wyświetlaczu pokazał się numer komórki Karoliny.

ZIELONAGÓRA, UL. WĄSKA, ŚRODA, Z RANA

Gdy zaraz po ósmej podkomisarz Karolina de Murville weszła do pokoju naczelnika wydziału kryminalnego i bez owijania w bawełnę powiedziała, że w kadrach złożyła raport o zwolnienie z pracy w komendzie, Jacek Syski machnął ręką bez zaciekawienia. Nie jest pierwszą, która straszy odejściem z policji, pomyślał. Jej też przejdzie.

– Zgodnie z *Kodeksem pracy* obowiązuje mnie trzymiesięczny okres wypowiedzenia. Szef działu kadr powiedział, że jeśli pan naczelnik zgodzi się na krótszy okres, on nie będzie stawiał przeszkód, abym odeszła z komendy dowolnego dnia. Proszę więc o skrócenie tego okresu do dwóch tygodni. W tym czasie wykorzystam urlop należny mi za bieżący rok – oświadczyła zdecydowanie.

Tego Syski się nie spodziewał. Nie zdziwiłby się, gdyby Araszkiewicz postanowił odejść do muzeum, o czym napomykał zawsze wtedy, gdy mu się nie układało w policji. Jeszcze wiosną zeszłego roku Ilona Mrozińska zapowiadała wycofanie się na emeryturę i prowadzenie baru czy restauracji regionalnej w pobliżu komendy, ale została i jak Syski ją zna, jeszcze długo będzie go wspierała w wydziale kryminalnym. Żeby Karolina de Murville naprawdę zdecydowała się na rezygnację z pracy w policji, tego nie przewidział. Przecież w zimie komendant wyśle ją do Piły na kurs z zakresu taktyki i techniki przesłuchań metodami FBI, po powrocie dostanie awans na komisarza i będzie pierwszą kandydatką na naczelniczkę, a może nawet i na zastępczynię komendanta, bo centrala nakazała, żeby więcej kobiet zajmowało kierownicze funkcje w administracji. Coś musiało się wydarzyć w jej życiu, że nagle podjęła taką decyzję, ale co? Dopiero teraz Syski zdał sobie sprawę, że Karolina nie żartuje.

– Stało się coś, czego nie dało się przewidzieć? Jakie są powody decyzji pani podkomisarz? Mogę je poznać? – zapytał, wstawszy zza biurka i wskazawszy ręką na krzesło przy stole. Gdy policjantka na nim usiadła, podszedł do okna, jakby się wstydział, że to z jego powodu Karolina chce odejść z komendy. Prawda, czasem był wobec niej niepobłażliwy, ale przecież od wszystkich, którzy z nim pracują, wymaga dużo. Siebie też nie oszczędza.

– Sprawa osobista – odparła przez łązy.

– Proszę powiedzieć coś więcej. Może mógłbym pomóc?

– Raczej nie.

– Na pewno nie potrzebuje pani pomocy?

– Proszę przyjąć do wiadomości, że jest to wyłącznie moja sprawa, panie komisarzu – wyrzuciła z siebie.

– Oczywiście – zgodził się z nią, ale zaraz zapytał: – Co będzie pani robiła? Pewnie ktoś zaoferował pani większe pieniądze za mniej odpowiedzialny wysiłek. Nie dziwię się. Też bym tak postąpił, gdybym był w pani wieku, Karolino. Mężczyźni w moim wieku już nikt niczego lepiej płatnego nie zaproponuje. Po co komu były policjant kryminalny?

– Wrócę do Fosses-la-Ville w Belgii, gdzie mieszka samotnie dziadek Armand, ojciec matki, też były policjant. Niedługo skończy osiemdziesiąt dwa lata, potrzebuje więc opiekunki. Zgłoszę się do tamtejszej komendy. Może przyjmą mnie od ręki, a jak nie, to poczekam, aż zwolni się miejsce.

– Na pewno jest to ostateczna decyzja?

– Tak, panie naczelniku – potwierdziła i wstała z krzesła. Położyła na biurku zawiniątko. – To na pamiątkę... Czy mogę się odmeldować?

Syski kiwnął głową. Ilona jest na urlopie. Od jutra nie będzie Karoliny w wydziale. A z Araszkiwiczem to mogę najwyżej muchy łąpać. Choćbym się skichał, nie znajdę Witkowskiego. Ale prokuratora to nie interesuje. Ostrouchy znowu da mi popalić.

Pół godziny później, gdy komisarz wezwał wszystkich na odprawę, Natasza usiadła nie po jego lewej stronie obok praktykantów, gdzie od pierwszego dnia stażu w komendzie było jej miejsce, a przy Araszkiwiczu, i rozradowana coś mu szeptała do ucha. Wyglądała uroczo. To wystarczyło Syskiemu, żeby domyślił się, dlaczego Karolina złożyła wypowiedzenie z pracy w policji.

ZIELONAGÓRA, AL. NIEPODLEGŁOŚCI, ŚRODA, PRZED POŁUDNIEM

– Tak dłużej nie może być! – grzmiał prezes wydawnictwa na cotygodniowym kolegium. Na zebrania redaktorów przychodził tylko wtedy, kiedy miał coś ważnego do przekazania. – Jeśli nic się nie zmieni, za miesiąc, za dwa splajtujemy!

– Wicenaczelniej właśnie o to chodzi – wtrącił Krzysiek z działu sportowego, po sprzeczce z Moniką Chudą na wypowiedzeniu.

Prezes lekko unióśł prawą dłoń, co oznaczało, że jeszcze nie powiedział tego, z czym przyszedł do dziennikarzy.

– Spadek sprzedaży codziennego wydania „Zielonogórskiej” od pierwszego dnia wakacji jest przerażający. Jeszcze gorzej jest z wydaniem sobotnio-niedzielnym. Tego nigdy nie było. Dlaczego? Co się stało?

– Te pytania powinien pan skierować do wicenaczelniej – znowu odezwał się

Krzysiek.

– Na całym świecie maleje zainteresowanie czytelników wydawnictwami papierowymi, ale nie w takim tempie jak u nas ostatnio. Dyrektor ekonomiczny twierdzi, że dochód ze sprzedaży gazety w lipcu ledwie pokrył połowę kosztów jej produkcji. Zaczęliśmy dokładać z ogłoszeń. Do Bożego Narodzenia ten dział wydawnictwa będzie przynosił zysk. Po świętach liczba reklam zmaleje. Minimalnie podskoczy przed walentynkami i Dniem Kobiet. Tak jest zawsze między Nowym Rokiem a Wielkanocą. A jeśli ogłoszeniodawcy dowiedzą się, że maleje sprzedaż gazety, bo nie potraficie utrzymać języka za zębami – rzucił w stronę reporterek z działu miejskiego, jakby o nie chodziło, i szybko przeniósł wzrok na Junga, ale było za późno. Pełniąca obowiązki kierowniczkę działu zerwała się z miejsca, gotowa protestować. Prezes podniósł lewą dłoń, co oznaczało, że nie pozwala jej mówić, bo nie wymienił niczyjego nazwiska: – Niech pani mi nie przerywa – rzucił w jej stronę takim głosem, że natychmiast usiadła i zrobiła się czerwona na twarzy. – Jeśli ogłoszeniodawcy dowiedzą się, że maleje sprzedaż „Zielonogórskiej”, ojedną do „Lubuskiej” i „Wyborczej”. Wtedy wydawnictwo będzie musiało zwolnić część dziennikarzy lub obciąć fundusz płac albo sprzedać tytuł.

– Grempler tylko na to czeka – trzeci raz odezwał się Krzysiek.

Prezes nie zareagował na jego uwagę.

– Gospościa profesora Witkowskiego została zamordowana, w podpalonym domku zginęła jego żona, on też przepadł. Czy na ten temat było chociaż jedno zdanie w naszej gazecie? Radio trąbiło na okrągło. Od tego dzień w dzień telewizja publiczna zaczyna każde wydanie wiadomości. „Lubuska” miała to na pierwszej stronie pod główką. W „Zielonogórskiej” ani słowa. Dlaczego, redaktorze? – wrzasnęła prezes w stronę Junga, aż ten się skulił.

– To nie do mnie uwaga. Z pewnością słuszna. Przedwczoraj po powrocie z tygodniowego urlopu identyczne pytanie zadałem redaktorce Chudej. Jak to często robi, przypomniała, że mam rude włosy i pokazała mi drzwi. Może teraz, w obecności prezesa wydawnictwa, zechce na nie odpowiedzieć.

Chuda milczała. Szpalta, która też dopiero w poniedziałek wróciła z urlopu, zrobiła się sina ze złości.

– A dlaczego Kamil nie interesował się tymi sprawami? – naczelna zwróciła się do Junga.

– Kamil leży w szpitalu. Od tygodnia. Przez telefon zawiadomił kadrowca, lecz on... zachował to dla siebie. Szmit twierdzi – Daniel przeniósł spojrzenie na Chudą – że zastępczyni naczelnej o wszystkim wiedziała.

– Monika, czy wiedziałaś? – zapytała Szpalta.

Zamiast odpowiedzieć, Chuda uśmiechnęła się cynicznie i przytaknęła, po czym założyła ręce na piersiach, jakby była z tego dumna. Prezes zrobił zdziwioną minę, po chwili zmarszczył czoło, ale się nie odezwał. Zdawał sobie sprawę z tego, że ruszenie Chudej oznacza koniec jego kariery w wydawnictwie. Kto za nią stoi, tego już się domyślał.

– O tym, co gazeta przegapiła w trakcie mojej nieobecności w redakcji, trzeba napisać. Wierzę, że umiejętnościami i doświadczeniem kolega Jung potwierdzi swoją klasę – Szpalta powiedziała do Junga. – Ponadto ogłaszam konkurs na pomysł wakacyjny. Może to być akcja redakcyjna, konkurs, najlepiej gorący artykuł, o którym wszyscy będą mówili, albo seria tekstów.

Cisza. Na razie nikt nie miał pomysłu.

Chuda uśmiechnęła się nieznacznie. Za to wszystko, co podczas urlopu Szpalta zrobiła w redakcji „Gazety Zielonogórskiej”, Neimann powinien ją pochwalić. Za miesiąc, dwa, niech będzie, że za pół roku ten wydawca gazety splajtuje, a wtedy powstanie spółka Grempler Media i ona, doktor Monika Chuda, usiądzie w obciążonym zieloną skórą fotelu prezeski. Pierwszą decyzją, jaką podejmie, będzie szurnięcie Junga. Szpalte też wywali z redakcji, ale dopiero wtedy, gdy dojdzie do wniosku, że już umie zarządzać firmą wydającą dziennik regionalny. Albo nie. Najpierw przesunie ją do dziennikarzy piszących. I do wszystkiego, co Szpalta zaproponuje lub napisze, będzie się przyczepiała, żeby ją sponiewierać. Dopiero potem jej się pozbędzie.

– Oczywiście zrobię wszystko, żeby nadrobić zaległości dotyczące zaginięcia profesora Witkowskiego i tego, co się wokół niego działo w zeszłym tygodniu. Pierwszy tekst już jutro będzie w gazecie – zapowiedział Jung, czym uradował Szpalte i nie zadowolili Chudej. Przypomniawszy sobie, co mu powiedział celnik, gdy jechał na pogrzeb Adama Madeja vel Kulschmanna. – Na zapowiedziany przez naczelną konkurs zgłaszam cykl o Plastinarium.

– Na litość boską, tylko nie Plastinarium – jęknęła kierowniczką działu politycznego.

– Czy to kogoś na pewno zainteresuje? – zapytał prezes, chociaż obiecał, że nie będzie się wtrącał do pomysłów redakcyjnych.

Zamiast odpowiedzieć prezesowi albo przynajmniej też mieć wątpliwości, Szpalta pochwaliła Junga.

– Interesujący zamiar. Ludzie lubią czytać o tym, co ich dotyczy. Szczególnie co się dzieje z ich ciałem po śmierci – dodała.

– A ja mam co najmniej dwie obawy – nie ustępował prezes. – Po tekstach redaktora Junga z pewnością wzrośnie zainteresowanie czytelników wycieczkami do Plastinarium. Czy zależy nam na tym, żeby ludzie jeździli do Guben? Zastanówcie się, jaka będzie reakcja księży. Katolickich przede wszystkim. Z kim jak z kim, ale z nimi najlepiej żyć w zgodzie.

GUBIN, UL. WESTERPLATTE, ŚRODA, PÓŹNYM POPOŁUDNIEM

Spośród wszystkich lokali gastronomicznych po polskiej stronie Nisy Vanessa Kulschmann lubiła jedynie Tercet. Nie drażnił jej zapach z kuchni, odpowiadała jadłospis, szybka i grzeczna obsługa, lecz przede wszystkim to, że z dawnego ratusza,

gdzie na parterze była restauracja urządzona w starym stylu, do przejścia granicznego miała najwyżej pięć minut. Dlaczego jej rodacy tak rzadko zagląдают do Tercetu, tego nie chciała wiedzieć, ale to lepiej, cieszyła się. Nikomu, kto mnie zna, nie będę musiała się tłumaczyć, dlaczego o tej porze byłam w polskiej restauracji. Przecież po niemieckiej stronie miasta wzdłuż Berliner Strasse co kilka metrów zaprasza gości jak nie stylowa kafejka, to wystrojona cukierenka albo baśniowa lodziarnia. Nikt nie uwierzy w tłumaczenie, że to z powodu oszczędności, bo przecież czego jak czego, ale pieniędzy mi nie brakuje. Tylko ludzie biedni uważają, że kto jest majątny, powinien bywać w najdroższych lokalach. Zresztą w restauracji przebywało niewiele osób. Dałaby głowę, że nie ma wśród nich nikogo, kto mieszka po drugiej stronie Nysy. Była pewna, że w Biedronce ustawionej tuż przy moście granicznym co drugi klient kupujący chleb i masło mówi po niemiecku. Gubeńczycy lubią zaglądać do Biedronki nie tylko dlatego, że polskie towary są tańsze, ale bo czują się w markecie tak, jakby byli w centrum handlowym Blechen Carré w Chociebużu albo w berlińskiej galerii Lafayette.

Vanessa wypila cappuccino i zjadła roladkę z masą jagodową. Miała ochotę na jeszcze jedno ciastko, lecz bardziej się krępowała niż dbała o zachowanie linii. Co innego, gdyby kelner podszedł i spytał z uśmiechem, czy jej smakowało, przytaknęłaby i poprosiła o jeszcze kolejną porcję, ale zaraz by dodała, że ze względu na niego odstępuje od zasady, której po niemieckiej stronie zawsze przestrzega. Jednak kelner nawet na nią nie zerkał. Nie nosiła zegarka, wyjęła więc komórkę z torebki, aby sprawdzić, jak długo czeka, i zadzwonić do Pauliny, bo może ta miła, ale momentami roztrzępana dziewczyna zapomniała, dokąd Vanessa kazała jej przyjść. Ale w tej chwili dostrzegła okularnicę na progu. Szybko wstała i ruszyła w stronę drzwi. Okularnica też ją zauważyła.

– Przepraszam za spóźnienie, pani Kulschmann. Tylko pięć minut – pokazała na zegarek w kształcie wisiorka. – Tak jak sobie pani tego życzyła, nie chciałam, żeby ktokolwiek wiedział o naszym spotkaniu, a moja...

– Nie musisz się tłumaczyć – rzuciła Vanessa i spytała Paulinę, czy będzie piła kawę. Gdy podszedł kelner, poprosiła o cappuccino dla okularnicy, dwie roladki oblane masą jagodową i dla siebie szklanek wody mineralnej z plasterkiem cytryny.

– Nieżle pani zna polski – pochwaliła ją okularnica. – Chciałabym przynajmniej tak mówić po niemiecku.

– Jestem Niemką i Polką. Bardziej Niemką, bo matka była ewangeliczką, a ojciec chodził do katolickiego kościoła. Urodziłam się w szpitalu powiatowym w Lidzbarku niedaleko Olsztyna. Od trzeciego do piątego roku życia chodziłam do przedszkola w Lubowidzu. Ojciec pracował w leśnictwie Konopaty czy podobnie, a matka zajmowała się domem. W latach tak zwanego łączenia rodzin stryjeczna siostra ojca zabrała nas pod Stuttgart. Po gimnazjum studiowałam mikroekonomię na Viadrinie we Frankfurcie, tym nad Odrą. A potem, jak Kulschmann przeniósł swój zakład do Guben, dostałam robotę w dziale marketingu firmy. I gdyby nie to, że jej właściciel owdowiał, pewnie zostałabym żoną jakiegoś nauczyciela czy urzędnika. Za Kulschmanna nie wyszłam z miłości. Myślałam tak: on dobiega do osiemdziesiątki, ma

wszczepione stawy biodrowe i stymulator serca, jest po niewielkim wylewie. Ile taki dziadek jeszcze będzie żył? Kiedy umrze, zostanę bogatą i młodą wdową do wzięcia. Nawet długo nie czekałam. Do Adama czułam miętę już wtedy, zanim zostałam żoną Kulschmanna. Nie spodziewałam się, że on jest bezpłodny. Adam też tego nie wiedział – powiedziała cicho, jakby go usprawiedliwiała. – Dziś nie tylko pieniądze są dla mnie ważne. Im więcej mam na koncie, tym częściej myślę o tym, kto mnie zastąpi, komu przekażę firmę... W jednym jesteś do mnie podobna, Paulinko.

– Co ma pani na myśli? – zaciekawiała się rozweselona okularnica.

Vanessa także nieznacznie się uśmiechnęła. Przyszła jej na myśl ta druga Polka, wyższa, tęższa i szeroka w ramionach, która studiowała rzeźbę na Uniwersytecie Zielonogórskim, zresztą świadczą o tym jej dłonie, nie tylko ogromne i mocne, ale i z kanciastymi palcami, jakby wyciętymi z granitu. A gdy idzie, to zawsze lekko pochylona i mocno stawia nogi. Tak przecież chodzą mężczyźni. Siedząca przed Vanessą okularnica zaś jest drobna, filigranowa, wręcz jak nie artystka. Musi bardzo dobrze znać się na anatomii człowieka, w przeciwnym razie nie znalazłaby pracy w Plastinarium.

– Prawda to, że studiowałaś malarstwo i uczyłaś się na pielęgniarkę? – zapytała Vanessa.

– Po praktyce w szpitalu na drugim roku zrezygnowałam ze studiów – przyznała się okularnica. – Właśnie wtedy poznałam... Pani wie, kogo – uśmiechnęła się, a Vanessa stwierdziła, że Paulina ma wyjątkowo ładne zęby i pewnie w całości naturalne. – Tak to trwa do dziś. Siedem lat. Jest nam ze sobą lepiej niż dobrze, proszę pani.

– Nigdy nie zabiło ci mocniej serce do jakiegoś przystojniaka w spodniach?

– Lubię cieszyć oczy naprawdę zachwycającym facetem, ale skoro przysięgałam Eluńkowi, w dodatku w kościele, muszę być jej wierna. Zdrada w żadnej formie nie wchodzi w rachubę.

– Ślubowałaś?

– Jeszcze w czasach studenckich pojechaliśmy do Karpacza po to, żeby w kościółku Wang złożyć śluby.

– Dwie kobiety... Co na to ksiądz?

– Przysięgaliśmy sobie to samo, co kobieta uroczyście przysięga ukochanemu mężczyźnie i mężczyzna swojej wybrance. Nawet wymieniliśmy się obrączkami. Jedyne, czego brakowało, to prawdziwego księdza i świadków. No i fakt ten nie został odnotowany w księdze parafialnej, ale nam to nie jest potrzebne do szczęścia – powiedziała Paulina jakby się usprawiedliwiała. – Proszę pani, cztery lata temu moja starsza siostra wzięła ślub w zielonogórskiej konkatedrze pod wezwaniem Świętej Jadwigi w obecności więcej niż stu osób. Przyjechali stryjowie z Elbląga i Gdańska, była jej matka chrzestna aż z Zamościa. Wśród gości pana młodego znalazł się wiceminister oświaty i profesor teologii moralnej w seminarium duchownym. Wesele odbyło się w najbardziej znanej restauracji w Zielonej Górze, w Palmiarni na Winnym Wzgórzu. W zeszłym roku zaś sąd ich rozwiódł, ale wedle prawa kościelnego oboje nadal są w świętym związku małżeńskim. Siostra spotyka się z kimś ze swojego

otoczenia na uniwersytecie i twierdzi, że kocha go na zabój. Były szwagier też nie spędza nocy w samotności.

Vanessa milczała. Dopiero po chwili spytała z obawą:

– Czy mieli dzieci?

– Na szczęście nie.

– Dziecko zawsze cementuje związek małżeński.

– Słusznie, pani Kulschmann – przyznała Paulina. – Dziecko oczekiwane, a nie z niechcianej ciąży.

– W waszej sytuacji, mam na myśli ciebie i Elżbietę, będzie to poważny problem – orzekła Vanessa jak znawczyni. – Chyba jedynie adopcja wchodzi w grę.

– Eluniek na razie nie ma takich oczekiwań. Ja... przeciwnie. W jakimś tygodniku przeczytałam, że pełnokrwisty mężczyzna dopiero wtedy czuje się spełniony, gdy zbuduje dom, posadzi drzewo i spłodzi następcę, który będzie kontynuował jego dzieło. Czy to również dotyczy kobiety? Pewnie tak, bynajmniej takie jest moje zdanie. Po to Pan Bóg powołał kobietę na świat, żeby rodziła dzieci i była im matką. Prawda? To musi być wspaniałe uczucie, proszę pani, mieć dla kogo żyć, o kogo się troszczyć, na kogo czekać i wiedzieć, komu się zostawia dorobek swego życia. Potem przyjdą na świat wnuki – wzruszyła się Paulina. – A pani nigdy nie chciała mieć własnego dziecka? – zapytała w chwili, gdy kelner stawiał przed nimi to, co zamówiły.

Ciągle chcę, odpowiedziała Vanessa w myślach, a teraz jeszcze bardziej. Jestem pewna, że to niebawem się ziści. Uśmiechnęła się do okularnicy, zachęcając ją do skosztowania roladki z masą jagodową.

– Czegoś tak pysznego nie podają w żadnej kawiarence po naszej stronie. Przyznam ci się, że to będzie dziś moja druga porcja – wskazała łyżeczką roladę na talerzyku. – Przed twoim przyjściem już to jadłam. Nie mogłam się oprzeć, czując ten wyjątkowy aromat, dlatego skusiłam się na jeszcze jedną porcję. Raz się żyje, moja droga Paulinko.

– Co roku na początku sierpnia Eluniek i ja staramy się wpaść do Karpacza. Ile razy tam jesteśmy, zawsze chodzimy do kościółka Wang i na jagodzianki do kawiarenki przy drodze do wyciągu na Kopę. Niemieckie lebkuchen, stollen, kasekuchen też mają niepowtarzalny smak, ale daleko im choćby do roladek z masą jagodową – stwierdziła Paulina, pochylając się nad talerzykiem. Po chwili przypomniała: – Przez telefon pani powiedziała, że chce ze mną porozmawiać na bardzo ważny temat. Wręcz życiowy. O co chodzi?

Vanessa wszystko dokładnie obmyśliła jeszcze zanim w poprzedni piątek pojechała do Jodłowa na urodziny profesora Witkowskiego. Jeśli jej plan się powiedzie, a tego była pewna, to najpóźniej w maju przyszłego roku będzie miała syna. Uśmiechnęła się do Pauliny.

– Boże, ale pani ma niebieskie oczy. Mówią, że osoby o niebieskich oczach są bezwzględne. Eluniek też ma niebieskie oczy.

– Chcesz zarobić trzydzieści sześć tysięcy?

– Złotych?

– Euro – odpowiedziała Vanessa, a Paulina w pamięci szybko przeliczyła to na złotówki.

– Przez rok?

– Troszkę krócej.

– Kulsch Medizintechnik proponuje mi dodatkową pracę?

– I mieszkanie z pełnym utrzymaniem. Będiesz mogła robić to, co zechcesz.

Paulina się roześmiała.

– Nie sądziłam, że pani też lubi homo.

Teraz Vanessa nieznacznie się roześmiała i pokręciła głową.

– Kiedy masz te dni?

Paulina nie zrozumiała, wyprostowała się na krześle i dopiero wtedy zrobiła pytającą minę.

– No, kiedy będziesz miesiączkowała?

– To nie są... Po co pani wiedzieć?

Vanessa nie odpowiedziała. Powtórzyła pytanie, ale takim tonem, jakby martwiła się o Paulinę.

– Dziś jest środa, więc od soboty za dwa tygodnie. Czy chce pani wsunąć mnie do łóżka jakiegoś obleśnego faceta i za to on mi zapłaci tyle kasy? A ile pani zarobi? Na pewno o to chodzi? Muszę się poważnie zastanowić. Nigdy nie zdradziłam Eluńka, ale trzydzieści sześć tysięcy euro nie leży na drodze. O tym najpierw powinnam z nią porozmawiać.

– Nie o to mi chodzi.

– W takim razie, co panią obchodzi tak intymna kwestia jak to, kiedy mam miesiączkę? Może chce pani wiedzieć, jak miał na imię mój pierwszy chłopak i czy przeleciał mnie już na pierwszej randce? Albo jak załatwiamy te sprawy z Eluńkiem? Co jeszcze panią interesuje?

Vanessa zlekceważyła pytania Pauliny.

– Chorowałaś na coś poważnego? Teraz bierzesz jakieś leki?

– Cierpię jedynie na... brak gotówki.

– Spytałam z ciekawości.

– A co panią obchodzą moje choroby! – wydarła się Paulina. – W ogóle jakim prawem pani zadaje mi tak osobiste pytania?!

Kelner ruszył w stronę ich stolika i się zatrzymał w pół drogi. Domyślił się, że na razie jest zbędny.

– Bo widzisz... – zaczęła Vanessa łagodniejszym tonem. Wcześniej ułożyła sobie monolog, ale teraz nie wiedziała, jak powiedzieć to, po co zaprosiła Paulinę do restauracji po polskiej stronie miasta. – Mam pewną ofertę. Chciałabym ci coś zaproponować. Coś, co dla mnie będzie bardzo ważne. Na co czekam od lat.

– Aha, zakłada pani burdel dla niemieckich emerytów i ja mam być...

– Jesteś młoda – stwierdziła Vanessa, nie pozwalając jej dokończyć. – Chcę, żebyś

urodziła dziecko.

– I co z tego, że pani chce?

– Moje dziecko.

Paulina strzeliła ironicznym śmiechem.

– Mam się z kimś puścić, kogo pani mi narai. Potem przez dziewięć miesięcy nosić dziecko po to, żeby pani mi je zabrała? Dobrze zrozumiałam?

– Nie.

– A co?

– Zostaniesz surogatką. – Vanessa domyśliła się, że Paulina nie zna znaczenia tego słowa, więc wyjaśniła: – W twojej macicy będzie się rozwijało moje dziecko. Moje. Rozumiesz? Donosisz ciążę, urodzisz dziecko i mi je oddasz. Tylko tyle.

– To znaczy, że mam być inkubatorem?

– Matką zastępczą.

– Pani puści się z jakimś gachem, a ja będę paradowała z brzuchem. Bo pani nie chce się zdeformować, co?

– W maju urodzisz moje dziecko – powtórzyła Vanessa głosem zdecydowanym.

– I to wyceniła pani na trzydzieści sześć tysięcy euro?

– Trzydzieści sześć tysięcy tylko za miejsce w twojej macicy. Na początek zadatek dwadzieścia procent. Reszta po rozwiązaniu. Jeśli będzie chłopiec, dostaniesz premię.

– Aha – powiedziała Paulina zaskoczona propozycją. – Mam pozwolić komuś, żeby machnął mi bachora? Jak będzie chłopiec... A jeśli pani się rozmyśli, to zostanę na lodzie.

– Przecież mówiłaś, że myślałaś o dziecku.

– Myśleć to jedno...

– To będzie moje dziecko w twojej macicy. Moje jajeczko i plemnik wybranego przeze mnie mężczyzny.

Paulina patrzyła na Vanesę z niedowierzaniem. Coś słyszała o zastępczych matkach, ale nie spodziewała się, że jej to może dotyczyć. Przecież nigdzie nie zarobię trzydziestu sześciu tysięcy euro. Po chwili powiedziała:

– Pani Kulschmann, muszę zapytać Eluńka. Ona jest trochę apodyktyczna. W naszym związku...

– Sama jej to powiem. A jak będzie po wszystkim, to znaczy, jak lekarz umieści zarodek w twojej macicy, zabiorę was nad jakieś jezioro. Na przykład nad Schwielochsee do Goyatzu. Pewnie nigdy tam nie byłaś, a naprawdę warto zobaczyć ten uroczy zakątek Spreewaldu. Do tego czasu niech to, o czym rozmawiałyśmy, pozostanie wyłącznie twoją i moją tajemnicą. Zgadzasz się? – Vanessa opuszkami palców dotknęła dłoni Pauliny i patrząc jej w oczy, czekała na potwierdzenie.

– Czy mam inne wyjście? Ale najpierw pieniądze. Raz już dałam się nabrać.

– Aha, chcesz, żebym teraz zapłaciła.

– Połowę.

- Co to, to nie, moja droga. Jaka będę miała pewność, że mnie nie oszukasz?
- A jaką ja będę miała pewność, że po rozwiązaniu pani mi zapłaci? Przecież pani ma bardzo długie ręce.
- Dostaniesz zadatek i każdego miesiąca będę ci wypłacała po trzy tysiące. Gdybyś jednak po urodzeniu mojego dziecka chciała zmienić zdanie... Myślę, że do tego nie dojdzie. Gdybyś jednak... Podpiszesz zobowiązanie.
- Ma pani kartkę? Już mogę to zrobić.
- Jutro po południu u notariusza.

ZIELONAGÓRA, AL. NIEPODLEGŁOŚCI, ŚRODA, PO POŁUDNIU

Daniel Jung zadzwonił do komisarza Syskiego, żeby jak najwięcej dowiedzieć się z pierwszej ręki o tym, co się wydarzyło, gdy jego nie było w redakcji, i informację podeprzeć wypowiedzią policjanta. Podczas kolegium obiecał to prezesowi wydawnictwa, co powinno doprowadzić do odzyskania części utraconych czytelników, a i miał nadzieję, że swoim pisaniem przekona młodszych dziennikarzy, ile znaczy w redakcji. Mniej interesowało go morderstwo w Residences in Park, co nieco spalenie volkswagena w lesie za obwodnicą i podpalenie domku w Jodłowie, prawie wcale włamania do willi dobrze znanych mu osób. Gdyby jednak w którejś sprawie komisarz Syski miał coś ciekawego i nowego do powiedzenia, zanotuje i zastanowi się, czy na pewno jest to interesujące. Z doświadczenia wiedział, że czytelnicy nie lubią dawkania informacji, ale jest to najskuteczniejszy sposób na przyciąganie ich do gazety. Jungowi szczególnie zależało na wyjaśnieniu, dlaczego policja mająca dostęp do internetu, zatrudniająca informatyków, psychologów i prawników z tytułami naukowymi, współpracująca z donosicielami spośród kierowców, leśników, drogowców, sprzedawców, taksówkarzy, a przede wszystkim dziwek i alfonsów oraz złodziejasków i bezrobotnych, nie może ustalić miejsca pobytu jednego człowieka. Przecież Witkowski nie mógł stać się niewidzialny jak Nick z powieści Matsa Wahla *Den Osynlige* ani nie porwali go kosmici. Gdyby nie żył, ktoś z pewnością znalazłby jego ciało lub coś, co do niego należało. Może profesor pojechał na konferencję za granicę, o czym zapomniał poinformować żonę albo sekretarkę? Uczni często mają głowy nabite nadziemskimi pomysłami, więc codzienne sprawy uważają za mało ważne. A może jednak ukrył się w Guben?

Daniel przypomniał sobie to, co w niedzielę dostrzegł w oknie domu Kulschmannów. Jeśli tam jest, to z własnej woli?

Nonsens.

Kto by go porwał i dlaczego?

Pewnie mi się wydawało, że za firanką stał Witkowski.

– Jacusiu, powiedz po starej znajomości... – zwrócił się do komisarza Syskiego. Gdy usłyszał, żeby nie zawracał mu głowy, tylko zadzwonił do rzeczniczki, bo ona jest od kontaktów z prasą, zdał sobie sprawę, w jakiej sytuacji znajduje się policjant.

Naczelnik wydziału kryminalnego rzadko kiedy nie miał ochoty z nim rozmawiać. – Powinieneś się odprężyć, na przykład, przy piwie. Zapraszam cię na nasze stare śmieci. Do Teatralnej. Chociaż nie. Od kiedy jest tam kuchnia indyjska, wolę bywać w Dominium.

– Prokurator się pieni, a ty mnie... Od powrotu z chorobowego nic mi nie wychodzi. Jestem za stary. I tyle. Powiniennem przejść na emeryturę i karmić gołębie na deptaku przed ratuszem.

– Na to zawsze masz czas.

– Dochodzi czwarta. Do trzeciej miałem poinformować Ostrouchego, gdzie jest profesor Witkowski i czy namierzaliśmy...

– Gdzie jest? – przerwał mu Jung.

– Przyjacielu, gdybym wiedział, gdzie szukać Witkowskiego, czy żyje, czy się ukrywa, czy ktoś go porwał, posłałbym po niego radiowóz, a z tobą poszedłbym na piwo do Teatralnej.

Od pierwszego dnia Syski czuł, że to śledztwo prowadzi nie tak, jak wszystkie poprzednie. Po powrocie do komendy ze zwolnienia lekarskiego nie potrafi się skupić nad jedną sprawą, nic się nie klei w wydziale i przede wszystkim brakuje mu nowych pomysłów. Szef, który nie klnie i nie zaskakuje podwładnych zamierzeniami, choćby były nie z tej ziemi, nie ma u nich posłuchu. Czyżby to oznaczało, że kończy się jego służba w policji kryminalnej i powinien spytać kadrowca, co się pisze w raporcie w sprawie przeniesienia w stan spoczynku?

Syski jest za młody, żeby nic nie robić, czymś powinien się zająć na emeryturze. Nie ma dzieci i wnuków. Nigdy nie był z wędką nad Odrą, nie umie polować, nie zna się na grzybach ani ziołach, nie fotografuje, nie pisze, nie interesuje się muzyką, czyta tyle, ile wypada, żeby nie zapomnieć liter. Może ma gotować, prać, prasować, sprzątać, myć okna i co tam jeszcze robić za żonę, podczas gdy ona rano będzie wychodziła do urzędu i po południu wracała zmęczona? Przypomniał sobie, że jego poprzednik kieruje oddziałem regionalnym jakiejś wywiadowni i czasem szuka współpracowników, a naczelnik wydziału zabezpieczenia imprez masowych, który wyleciał z policji za machlojki, jest szefem firmy Grempler Security.

– Pomożesz po starej znajomości? – zapytał Jung, jakby nie był pewny, że Syski nadal jest jego kolegą.

– Co, mam się przyznać, że nic nie wiem, a ty ogłosisz to na pierwszej stronie w gazecie? Jutro komendant weźmie mnie na dywanik i bez przebierania w słowach zbeszta jak święty Michał diabła. Tego na pewno chcesz? Stary, chociaż ty mnie zrozum i nie zwracaj głowy, bo inni...

– Może jednak jest jakiś punkt zaczepienia? Przecież nie muszę przyznawać się, że to od ciebie.

– Pomagałem ci nawet wtedy, gdy byłem na chorobowym. Daniel, nie zaprzeczysz, że zawsze mogłeś na mnie liczyć. Teraz mam pustkę w głowie. Nic. Dosłownie czarna dziura. I jeszcze Ilona na urlopie gdzieś w Holandii, nie można jej ściągnąć do kraju. Karolina złożyła raport o zwolnienie. Araszkiwicz zakochany po

same uszy. To z kim mam pracować? Ze stażystką i praktykantami to mogę najwyżej łapać muchy.

ZIELONAGÓRA, UL. WĄSKA, CZWARTEK, Z RANA

Wczoraj komisarz Syski nie przyznał się Jungowi, że tuż przed rozmową z nim zatelefonował do uniwersyteckiego instytutu psychologii i poprosił sekretarkę o połączenie z Barbarą Liberą. Zaraz po wyjściu z pokoju prokuratora chciał porozmawiać z psycholożką, ale nie znał numeru jej nowej komórki i nie było go w rejestrze współpracowników. Gdy podczas jego zwolnienia chorobowego przez blisko pół roku komisarz Ilona Mrozińska kierowała wydziałem kryminalnym, nie uważała profilowania za metodę pomagającą w prowadzeniu śledztwa i dlatego nie kontaktowała się z psycholożką. W ogóle ignorowała inne niż operacyjne sposoby wykrywania sprawców przestępstw, chyba że winowajca przyznał się, co zdarzyło się tylko raz i akurat wtedy, gdy Karolina de Murville prowadziła przesłuchanie. W przeciwieństwie do pozostałych uniwersyteckich psycholożek i psychologów doktor Libera nigdy nie odmówiła prośbie Syskiego. Nawet twierdziła, że dopiero wtedy, kiedy na podstawie rozmowy z policjantami uda jej się stworzyć portret sprawcy, nie żałuje wyboru psychologii jako kierunku studiów i badań naukowych. Jednak wczoraj uznała, że nie powinna wprost z uczelni jechać do komendy i z marszu pomagać policjantom. Ta sprawa jej się wydawała mocno niewyraźna, dlatego jeszcze chciała pogrzebać w książkach.

– Niech pan mnie nie przekonuje, komisarzu. Jak powiedziałam, jutro o ósmej piętnaście przyjdę na odprawę do wydziału – powtórzyła stanowczym głosem.

Syski nie próbował jej wytłumaczyć, że każda godzina się liczy. Choćby stanął na głowie i ściągnął z urlopu profiler komendy wojewódzkiej, niewiele to da, bo zanim zapozna się on z dotąd zebrany materiał, minie dzień albo i więcej. Ostrouchy nadal będzie do niego dzwonił z pretensjami i popisywał się monologami. Każdy prokurator identycznie jak każdy policjant ma nad sobą pryncypała, który myśli przede wszystkim, żeby nie podpaść szefowi. Jego szef też ma nad sobą zwierzchnika. Nawet niezależny prokurator generalny nie robi nic ponad to, czego oczekują od niego politycy partii rządzącej.

Takie czasy, chciał powiedzieć, ale uznał to za banał.

– Nie wątpię, panie komisarzu, że należy połączyć zaginięcie profesora Witkowskiego z morderstwem w jego mieszkaniu, podpaleniem samochodu Adama Kulschmanna i spaleniem domku w Jodłowie. A może i z zabójstwem na Dworcowej. Na razie mam zbyt mało wiadomości, żeby na ich podstawie sporządzić w miarę trafny portret psychologiczny sprawcy. To, co pan mi przedstawił, jest materiałem zaledwie na mapę sytuacyjną – powiedziała psycholożka, gdy Syski skończył opowiadać o tym, czego dowiedział się w Jodłowie i co przypomniał sobie Araszkiewicz. Powinien powtórzyć gubeńskie spostrzeżenia Daniela Junga, ale przy

stażystce i praktykantach nie chciał ujawnić bliskich znajomości z dziennikarzem.

– Naprawdę taka znakomitość jak pani doktor nie jest w stanie tego...?

– Przecenia pan naczelnik moje umiejętności profilerskie – Libera nie pozwoliła Syskiemu dokończyć pytania. – Bardziej przypuszczam niż się domyślam, że jest to ktoś bezwzględny. Ktoś nowy na naszym terenie, ale nie nowy w tej branży, że tak się wyrażę. Kto ma na sumieniu podobne czyny gdzieś indziej. Może nawet seryjny morderca. W ogóle profilowanie ma sens w przypadku seryjnych zabójców. Wtedy zwykle jest skuteczne. Gdyby chociaż pan wiedział, kto zamordował Stanisławę Wieczorek. Czy ten, kto spalił Adama Kulschmanna w samochodzie, również podpalił domek Witkowskich w Jodłowie? Jestem gotowa założyć się, że to ten sam przedstawiciel rasy ludzkiej. Najprędzej zawodowiec wykonujący płatne zlecenie. Jedna osoba? Raczej nie. Dwie? Możliwe. Trzy wykluczam.

– O dwóch kobietach napotkanych w lesie wspominali bezdomni – przypomniała sobie Natasza, zerkając na Araszkiewiczza, jakby go prosiła o potwierdzenie.

Aspirant przytaknął i zaraz uciekł wzrokiem na ścianę za plecami komisarza.

– Kobiety? W jakim były wieku?

– Bezdomni nie umieli określić – powiedziała Natasza.

– Zdaniem pani doktor sprawczyniami mogły być kobiety? – zapytał Syski, żeby zachęcić Liberę do rozmowy. – Tyle lat jestem śledczym, a tylko raz się zdarzyło, że przesłuchiwałem morderczynię. Żona zabiła męża nożem kuchennym. I wcale nie była pod wpływem alkoholu. On tak. Zrobiła to po tym, jak przepił to, co zarobił.

Psycholożka pochyliła się nad notatkami. Milczała, co oznaczało, że zastanawia się nad odpowiedzią.

– Kobiety? Nie wiem. Jestem bezradna – przyznała się zrezygnowana i wstała od stołu. Wychodząc z sali odpraw, dodała: – Przepraszam, panie komisarzu. To przekracza moje kwalifikacje zawodowe.

– Jeszcze jedna prowincjonalna gęś – praktykantka szepnęła do Łukasza Białego. Gdy psycholożka zamknęła drzwi za sobą, rzuciła w stronę Syskiego: – Powinno się zaangażować pana Grycuka.

– A kto to taki? – zaciekawił się Araszkiewicz.

– Pan aspirant nie wie?

– Ja też o nim nie słyszałem – przyznał się komisarz.

– Znakomity jasnowidz spod Wałcza. Jak tamtejsza policja nie może sobie poradzić, właśnie jego prosi o pomoc. Podobno kilka razy pomógł, niestety, nie pamiętam gdzie i w jakich okolicznościach. Dużo pisały o nim styczniowe „Wiadomości Policyjne”.

ZIELONAGÓRA, AL. NIEPODLEGŁOŚCI, CZWARTEK, PRZED WIECZOREM

Zanim Jung przeczytał wszystko w internecie, co nieznanemu mu dziennikarzem napisali

o Plastinarium i jego założyciela, zadzwonił do Madleny Havlíček w Chociebużu. W redakcji regionalnego dziennika „Niederlausitzer Tegeblatt” zajmowała się tym samym, czym Daniel w „Zielonogórskiej”. Spotykał się z nią wiele razy po obu stronach Nysy i mógł na nią liczyć o każdej porze dnia. Madlena należała do tego pokolenia Niemców, które musiało uczyć się języka rosyjskiego. I, co także było ważne, nie miała twarzy ropuchy, jak o niektórych Niemkach mówili młodszy koledzy Junga. Madlena jeszcze mogła podobać się każdemu wdowcowi, mimo że już była podwójną babcią.

– Oczywiście, Daniel, że ci pomogę. Jutro mam inną robotę, ale zaraz zadzwonię do Plastinarium i cię zapowiem. Albo nie – błyskawicznie zmieniła decyzję. – Jutro też tam się wybiorę. Pewnie pamiętasz, że kilka lat temu na fali ostrego protestu mieszkańców przeciw umieszczeniu Plastinarium w Guben zajmowałam się nimi dość często. Sprawdzę, czy w tej sprawie dużo się zmieniło.

Jak przez mgłę Jung pamiętał, że profesor Günther von Hagens najpierw chciał przenieść ośrodek plastynacji zwłok ludzkich z uniwersytetu w Heidelbergu do Sieniawy koło Żar. Przeciwno temu zbuntowali się nawet bezrobotni mieszkańcy, chociaż władze były zadowolone z wyboru wsi. Po długotrwałych poszukiwaniach placówka zajęła hale byłej fabryki kapeluszy o rzut kamieniem od dworca kolejowego w Guben, dziesięć minut piechotą do przejścia granicznego. Gdy dostało tam pracę coś trzysta osób, dyskusja na temat ulokowania ośrodka w mieście nad Nysą przycichła, chociaż odzywają się głosy, że preparowanie zwłok osób zmarłych i wystawianie ich na widok publiczny jest wstrząsające. Na swoją obronę profesor przedstawił argumenty tych, których martwe ciała zostały poddane plastynacji. Kobieta jeszcze za żywota uważała, że jej śmierć nie będzie zupełnym końcem, a ona w ten sposób pomaga innym. Mężczyzna zaś uznał to za swój „skromny wkład w badania naukowe i oświatę, konfrontację medialną dla potomności”.

Przygotowując się do zwiedzenia Plastinarium i napisania tekstu po powrocie do Zielonejgóry, Jung dowiedział się, że ciała zmarłych najpierw są poddawane kąpeli acetonowej. Dopiero kiedy aceton wyciągnie wodę i tłuszcz z tkanek, pod skórą zostaną kości i mięśnie. Wtedy laborantka ze zdolnościami rzeźbiarskimi tak długo musi wstrzykiwać silikon, aż substancja na nowo ukształtuje ciało. Wyćwiczone ręce laborantki mogą nadać mu wygląd mechanika samochodowego, piłkarza, fryzjera, nawet lekarza wszczepiającego staw biodrowy. Przeczytał także mnóstwo opinii o ośrodku i wystawach pokazywanych mieszkańcom Filadelfii, Salt Lake City, Bochum, Norymbergi, Rzymu, Amsterdamu. Najbardziej interesowały go zdania forumowiczów:

~ *lubik*: Cenię decyzje tych, którzy zapisali swoje ciała placówce. Wybrali trzecie, najlepsze wyjście (jedno to tradycyjne zakopanie w trumnie w ziemi lub włożenie do grobowca, drugie to coraz powszechniejsze skremowanie).

~ *katolik*: Człowiek – to brzmi dumnie, prawda? Zdaje się coś takiego powiedział Gorki. A co ten gościu w czarnym kapeluszu z nas robi?

~ *katolik2*: Ten człowiek wypycha zwłoki silikonem. Czy to się godzi? Ciało zmarłego trzeba oddać ziemi. Tam jest miejsce każdego po śmierci. Tak robili nasi przodkowie i tak my musimy robić.

~ *Malwina*: Jestem studentką malarstwa. Lepszej lekcji anatomii jak ta w Guben nie miałam. Z obiektami w Plastinarium powinni się zapoznać wszyscy studenci sztuk pięknych.

~ *ajku*: Plastynacja polega na zastąpieniu wody i tłuszczu związkami polimerów w tkankach osób zmarłych. To bardziej udoskonalona metoda mumifikacji czy balsamowania zwłok i uzyskiwania w ten sposób „dzieła sztuki”. Wolę oglądać dzieła sztuki wykonane z marmuru.

~ *polo*:> Jest to bardzo ciekawa lekcja ludzkiej anatomii. I naprawdę warto to obejrzeć. Część z kolei jest miejscem osobliwej sztuki nowoczesnej, a ta akurat budzi we mnie mieszane odczucia.

~ *nn*: Jeśli to ma wyłącznie aspekt naukowy i jest dawką wiedzy przekazaną zwykłemu człowiekowi, jestem za. Część wystawy to tzw. sztuka. Robienie tego ze zmarłego człowieka mi się nie podoba.

~ *Joanna*: To nie jest ani złe, ani odrażające. Odrażające jest porzucanie i mordowanie dzieci, oddawanie starych ludzi do schronisk, głód.

~ *brek*: Prof. von Hagens zrobił przełom w preparowaniu ciał dla celów naukowych. Poszedł jednak o krok za daleko. Przy całym tym naukowym podejściu, mieniając się profesorem, bębniąc, jaka plastynacja jest ważna dla nauki, stara się robić z tego sztukę, a siebie kreować na artystę. Z jednej strony rozumiem ułożenie *Szachisty* dla pokazania układu nerwowego, ale z drugiej strony *Ogródek piratów*, *Święty Mikołaj* czy *Instalacja mistyczna* to już zakrawa na bezczeszczenie zwłok. Z tym dobrowolnym oddawaniem ciał to też nie jest czysta sprawa. Przecież kilka lat temu wyszło, że część ciał von Hagens pozyskiwał z egzekucji więźniów w Chinach. Po obejrzeniu wystawy uważam, że ma ona sens wyłącznie jako edukacyjna. Mieszaniu nauki i sztuki mówię: nie. Takie działania podważają sens naukowy przedsięwzięcia.

~ *Sarna*: Czy to drastyczne? Obejrzenie prawdziwego ciała ludzkiego jest przecież kształcące.

~ *almat*: Czy ta firma płaci żywą gotówką? Jakby płaciła, jeszcze lepiej w euro, mógłbym podpisać z nią umowę. Co mi tam. Każdemu żywemu człowiekowi są potrzebne pieniądze. Trupowi wszystko jedno, co się z nim dzieje. Jak mają zjeść mnie robaki, to lepiej być podziwianym na wystawie.

~ *Patryk*: To wszystko, co Doktor Śmierć pokazał, jest okropne, obrzydające.

~ *czyt.*: Konserwatystą nie jestem, ale uważam, że ktoś robi biznes na nieboszczykach i niewiele ma to wspólnego z nauką.

~ *Luba*: To niepodważalna prawda, że życie większości ludzi składa się z trzech części. Najpierw pragnie przestać być dzieckiem. Potem pracuje i chce wrócić do dzieciństwa albo być emerytem. Kiedy zostanie emerytem, mimo że czeka na koniec, ciągle sobie przypomina dwa poprzednie okresy. Wtedy chce, żeby wrócił ten drugi.

Wypowiedzi te zasiały niepokój w głowie Junga. Już nie był taki pewny, że zielonogórzanie z wypiekami na twarzach będą czytali jego opowieść o tym, co zobaczy w Guben i opisie. W jego głowie rodziło się coraz więcej pytań i wątpliwości. Obiekcji starczyłoby na kilka felietonów, a tego bał się najbardziej. Nie lubił być atakowany. Zresztą nikt tego nie lubi. Skoro Plastinarium jest placówką naukową i wystawienniczą, zastanawiał się, to dlaczego jej twórca ukrywa się pod zmienionym nazwiskiem?

Günther von Hagens, przez przeciwników ośrodka w Guben nazywany Doktorem Śmierć, urodził się w wielkopolskich Skalmierzycach jako Gerhard lub Günther Liebchen, jego ojciec był kucharzem w armii niemieckiej. Po studiach lekarskich w Jenie i Lubece doktoryzował się z medycyny ratunkowej, ale do historii medycyny przeszedł jako wynalazca plastynacji. Czy dlatego zmienił nazwisko i nie przyznawał się do miejsca urodzenia w okupowanej przez nazistów Polsce?

A może lepsza jest plastynacja niż anonimowy pochówek? Przynajmniej wiadomo, co się stało z ciałem i gdzie się znajduje.

GUBEN, FRANKFURTERSTRASSE, PIĄTEK, Z RANA

Jung postawił ibizę na parkingu przed restauracją Retro w Gubinie, skąd przez most przeszedł na drugą stronę miasta przedzielonego Nysą Łużycką i granicą państwową. Jeszcze niedawno musiałby pokazać paszport lub dowód osobisty, odpowiadać na pytania strażnika albo celnika, może i przekonywać, że w torbie nie ma niczego takiego, czego nie wolno wnosić do Niemiec. Ile razy tędy przechodził, tylekroć przypominał sobie zdarzenie z początku lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku. Niedługo po zjednoczeniu Niemiec z Miśką i starszym synem wybrał się „maluchem” do Madleny Havlíček. W tamtym czasie takie koleżeńskie spotkania były rzadkością wśród zwyczajnych Niemców i Polaków, ale nie pomiędzy dziennikarzami czy uczonymi. A ponieważ mąż Madleny, z urodzenia Czech, zarządzał kliniką chirurgii urazowej, Miśka nie miała nic przeciw temu, żeby jechać do Chociebuża na dwa dni. Synowie, rozmawiający po angielsku, też nigdy się nie nudzili.

Jednak zanim Daniel dojechał na parking przed domem Havlíčków na Eschenweg, musiał zatrzymać „malucha” przy barakowozie celników w Guben. Biodrzasta dziewczyna w seledynowej bluzce i zielonych spodniach, na pierwszy rzut oka praktykantka lub stażystka celna, najpierw spytała go, dokąd jedzie, po co, na jak długo, czy ma niemieckie pieniądze i zieloną kartę, co przewozi, potem kazała mu wysiąść z autka i podnieść pokrywę bagażnika. Milcząc, zrobił krok do przodu, a wtedy celniczka powtórzyła głosem rozkazującym, że chce sprawdzić, czy czegoś, co jest zabronione, nie ukrył w bagażniku. Daniel zrobił kolejny krok do przodu, gdy ona, stojąc za „maluchem”, krzyczała i pokazywała palcem na tył autka, że w tej chwili domaga się otwarcia bagażnika. Zrobił jeszcze jeden krok, włożył lewą dłoń pod pokrywę bagażnika, żeby odchylić dźwignię i ją podnieść. Celniczka wyszarpnęła pistolet z kabury, odbezpieczyła go i wrzasnęła po niemiecku „Ręce do góry!” albo „Ręce na kark!”. Daniel starał się jej wyjaśnić, że ma szczerzy zamiar wykonać jej polecenie, ale ona go nie słuchała. Niemal wiśniowa na twarzy darła się coraz głośniejsze i trzymając pistolet w prawej ręce, palcami lewej odpinała kajdanki przytroczone do pasa. Gdy ciekawscy przechodnie zaczęli przystawać na chodniku, z barakowozu wychylił się mężczyzna w mundurze celnika i głosem uspokajającym powiedział do dziewczyny, żeby schowała broń.

– Fiat 126p to ostatni taki samochodzik na świecie, który ma bagażnik z przodu i silnik z tyłu. – Głosem doprawionym ironią dodał: – Jest jedynym autem błogosławionym przez papieża, bo nie da się w nim zgrzeszyć.

Miesiąc później tym samym „maluchem” wybrali się do rodziców Miśki. Celniczka podobna do tamtej nawet nie spytała Daniela, czy ma paszport i zieloną kartę. Żadnym autem, które przejeżdżało po moście nad Nysą, się nie interesowała. Od tamtego dnia niewiele się zmieniło. Gdyby nie nazwy ulic i napisy nad sklepami, turysta z Japonii nie wiedziałby, czy jeszcze jest w Polsce, czy już w Niemczech.

Tak jak wczoraj umówili się przez telefon, Madlena czekała zaraz za mostem granicznym, skąd do Plastinarium drogą wzdłuż rzeki było nie więcej niż dziesięć minut piechotą.

– W zeszłym tygodniu znowu jeździłeś z Mišką do Zum Schlangenkönig – ni to spytała, ni stwierdziła Niemka. Chciał spytać, skąd o tym wie, kiedy dodała: – Moja mama od roku też mieszka w domu starców. Niedaleko Mittenwalde. Sama tego chciała. Jej dwaj bracia także tam są. Pewnie i ja, jeśli wcześniej nie pożre mnie rak albo nie dopadnie jeszcze bardziej dotkliwa choroba cywilizacyjna, jesień życia spędzę w przytułku.

– W przytułku? – zdziwił się Jung. – Twojej matuli nie stać na miejsce w kościelnym czy państwowym domu opieki?

– Tak mi się powiedziało. Czy muszę ci tłumaczyć, że nawet najlepiej urządzony dom starców nie zastąpi własnych czterech ścian? Od ciebie słyszałam, że stare drzewa źle znoszą przesadzanie – przypomniała.

– O przeszłości należy myśleć, ale nie trzeba się o nią martwić.

– Skąd ta zmiana poglądów? – zapytała z niepokojem w głosie.

Zamiast odpowiedzieć, wyjął z torby słoik miodu lubuskiego, który kupił

w sklepie przy przejściu granicznym w Gubinie, i jej podał.

– A to z jakiej okazji?

– Za pomoc, na którą liczę.

– Dziękuję. – Nie zatrzymując się, pocałowała go w policzek. – Na pewno ekologiczny. Mimo to wolę otrzymywać od ciebie kwiaty. Róże są...

– O tej porze roku róże nie kwitną – próbował się wytłumaczyć.

– Po wszystkim zapraszam cię do mojej chatki letniskowej. Niedawno odkupiłam ją od kolegi z redakcji – wyjaśniła i podnosząc na niego oczy, sprawdzała, jak zareaguje. – Naprawdę miłe miejsce, szczególnie dla dwojga przyjaciół.

To było drugie zaproszenie. Wiele lat temu, gdy nasiliły się kradzieże samochodów w Niemczech, rzecznik rządu brandenburskiego pokazywał dziennikarzom filmy, na których widać było, w jaki sposób policja ściga złodziei. Po kolacji w Burgu, gdzie na stole niczego nie brakowało, Madlena spytała Daniela, jak dostanie się do Zielonejgóry. Powiedział, że „pięćsetkę” zostawił na parkingu przy hotelu Zur Sonne w Chociebużu, więc wynajmie tam pokój i rano wypoczęty wróci do domu.

– Zapraszam cię do mojego mieszkania – szepnęła mu do ucha.

– Jak zareaguje na to twój mąż?

– Od jesieni jestem wdową – odpowiedziała, a widząc zaskoczenie na twarzy Junga, dodała, że do tego od dawna się przygotowywała. – Hynek zachorował na stwardnienie rozsiane. Wiele razy prosił, żebym go oddała do ośrodka dla nieuleczalnie chorych. Nie mogłam się na to zdecydować. Powiedziałam, że skoro ślubowałam mu miłość, wierność i to, że nie opuszczę go aż do śmierci, zobowiązania muszę dotrzymać.

Daniel pomyślał, że śmierć była wybawieniem dla jej męża i dla niej, ale zamiast tego powiedział:

– Przyjmuję zaproszenie.

Wtedy zdradził Miśkę. Rekreacyjnie. W myślach nazwał to: gimnastycznie. Po powrocie do Zielonejgóry długo wstydził się spojrzeć żonie w oczy. Z upływem czasu zaczął wmawiać sobie, że tamto w Chociebużu stało się nie z jego winy i na pewno niczego nie zmieniło w jego życiu, ale sporo go nauczyło. Madlena o tamtej nocy nigdy mu nie przypomniała.

GUBEN – BERLIN, DROGA 112 I AUTOSTRADA A12, PIĄTEK, Z RANA

Tak jak Vanessa prosiła w środę, Paulina nie przyznała się Eluńkowi, po co jedzie do Berlina.

– Gdyby mocno naciskała, wytłumacz, że zabieram cię do Berlina jako moją doradczynię i ochroniarzkę. Mam zamiar sprawić sobie kilka nowych ciuszków i potrzebuję cię do pomocy – pouczyła Vanessa. – Najwcześniej wrócisz w niedzielę

przed wieczorem. O tym, kiedy twój Eluniek dowie się prawdy, ja zdecyduję. Jasne?

Paulina potulnie kiwnęła głową. Nie była przekonana, że właściwie postępuje, ale obiecane tysiące euro zamykały jej usta. Przecież to jest najkrótsza droga do własnego mieszkania w Zielonejgórze. Gdy będą je miały, Paulina spyta Eluńka, czy po to wydały tyle pieniędzy, żeby ten najmniejszy pokój stał pusty. Może do tego czasu zmienią się przepisy i Eluniek nie będzie miała nic przeciw temu, żeby zaadoptować małeństwo albo, co jeszcze bardziej zwiąże Paulinę z dzieckiem, przeprowadzić zapłodnienie *in vitro*. Naturalną metodę zajścia w ciążę wykluczyła. Zresztą lepiej będzie się czuła, jeśli nie pozna ojca swego synka, bo to musi być chłopiec. A gdyby kiedyś maluch spytał, dlaczego nie chodzi z tatusiem do parku czy na basen, Paulina odpowie, że nie wie, kto jest jego ojcem, bo ciocia Ela znalazła go w kapuście.

Do Eisenhüttenstadt Vanessa była zamyślona i się nie odzywała. Dopiero za miastem położyła swoją dłoń na lewym kolanie Pauliny i spytała, czy cokolwiek zjadła przed wyjazdem.

– Od tego, jak się odżywia ciężarna, zależy zdrowie dziecka – powtórzyła to, co przeczytała w kolorówce dla młodych matek. – Rozmawiałam z właścicielem zieleniaka na bazarze w Gubinie. Zobowiązał się codziennie rano przywozić świeże warzywa i owoce pod drzwi na Alte Poststrasse.

– Dlaczego pani sama nie zajdzie w ciążę? – Paulina dopiero teraz odważyła się spytać o to, co od środy tkwiło w jej głowie. Nie wierzyła, że Vanessa rozmyśli się i ją zostawi z cudzym dzieckiem, ale taka myśl także ją nachodziła. A gdyby Vanessie stało się coś jeszcze przed urodzeniem dziecka, kto się nim zajmie? – Są jakieś przeciwwskazania natury... ja wiem... genetycznej?

– Nie ma.

– Aha, zależy pani na zachowaniu wysmukłej sylwetki. W biznesie wygląd ma znaczenie.

– Paulinko – Vanessa znowu położyła dłoń na jej kolanie – chcę mieć dziecko i dać mu wszystko, co matka powinna mu dać.

– To dlaczego pani sama nie...? Czy to takie trudne rozłożyć nogi? Pewnie robiła to pani wiele razy.

– Nie znam kobiety, która tego nie robiła wiele razy, tym bardziej kobiety w moim wieku.

– To dlaczego?

– Jest tylko jeden powód, dla którego nie chcę, nie powinnam zajść w ciążę.

– Mogę się dowiedzieć, jaki to powód?

– Możesz.

– Jaki więc? – dociekała Paulina. Pomyślała nawet, że Vanessa coś przed nią ukrywa.

– Znalazłam się w sytuacji ryzykownej.

– Jakaś choroba, pani Kulschmann?

– Nie. Doszłam do wniosku, że jestem za stara na pierwiastkę.

– Każdą babę rodzącą po dwudziestym piątym roku życia ginekolodzy nazywają

starą pierwiastką.

– Ja mam sporo więcej lat. Gdybym zdecydowała się na dziecko, to poród odbyłby się przez cesarskie cięcie, co może nie jest takie złe. Gorsze jest to, że dziecko może się urodzić z wadami. Nie zniósłabym, gdyby mój syn miał jakiegoś Downa czy porażenie dziecięce mózgu albo rozszczep kręgosłupa. Mój syn, Paulinko, musi być zdrowy jak ryba. Zdrowe dzieci rodzą młode matki, chociaż i im się zdarzają nieszczęścia, ale lekarze są po to, żeby przeciwdziałać wydawaniu na świat niesprawnego potomstwa. Zostaniesz poddana badaniom. Nie zrozum mnie źle. –

Vanessa zamilkła. Po chwili namysłu kontynuowała: – Niedługo skończę czterdziestkę. W mojej sytuacji to jest ostatni dzwonek. Nie chodzi tylko o to, że za późno na zajście w ciążę i urodzenie dziecka. Ja przecież muszę je wychować, wykształcić, nauczyć, jak prowadzić firmę, żeby Kulschmann znaczyło tyle w bioinżynierii, ile Siemens znaczy w elektrotechnice czy Bosch w sprzęcie gospodarstwa domowego albo Opel w rodzinie samochodów. Te nazwiska są nieśmiertelne.

– Aha, takie buty z parówkami. Pani chodzi o nazwisko, żeby było sławne.

– I ty, Paulinko, w tym mi pomożesz.

– Już jest pani bogata. Będzie jeszcze bogatsza. Za te pieniądze, które pani ma na koncie, pani Kulschmann, może pani do śmierci nic nie robić i żyć jak pączuszek w maśle. Po co pani dziecko z próbówki? – spytała prowokacyjnie Paulina.

– To drugi powód, dla którego cię wynajęłam. Nie mniej ważny niż pierwszy.

– Jaki?

– A taki, Paulinko, żeby na starość mieć oparcie w kimś bliskim. Żeby nie szukać pomocy u obcych. Nie mieszkać w domu starców. Nie jest prawdą, że są domy spokojnej starości. Takich domów, kościelnych czy państwowych, nie ma w żadnym kraju. Są jedynie domy starców. Z jednej strony ludzi zbędnych, z drugiej niezbędnych, bo bogatych i dających pracę młodszym – powiedziała Vanessa z żalem w głosie. – Dojeżdżamy do Berlina. Jeszcze kilka minut i zatrzymamy się przy klinice na Hortensienstrasse.

– Niedobrze mi. – Paulina chwyciła się oburącz za głowę. – Niech się pani natychmiast zatrzyma.

GUBEN, UFERSTRASSE, PIĄTEK, PRZED POŁUDNIEM

Osoba odpowiedzialna za kontakty z dziennikarzami wyjechała do Heidelberga na kurs paramedyczny. Ta, która ją zastępowała, uprzedziła Daniela Junga i Madlenę Havlíček, że pewnie nie potrafi odpowiedzieć na wszystkie pytania i nie zaprowadzi ich tam, gdzie nad drzwiami miga czerwona lampka. Dała obojgu torby pełne albumów i katalogów, wycinków z prasy światowej i gadżetów, wśród których był pendrive w kształcie nogi ze znakiem ośrodka. Nawet spytała, kiedy wypiją kawę: przed zwiedzaniem czy po wszystkim.

– Jeśli mają państwo specjalne życzenia, postaram się je w miarę swoich możliwości spełnić. Pytam teraz, bo może będzie potrzebne wsparcie kogoś kompetentnego z kierownictwa firmy. Nie traktuję państwa na równi ze zwyczajnymi zwiedzającymi, jakich setki przechodzą przez sale od piątku do niedzieli. W pozostałe dni tygodnia drzwi ośrodka są zamknięte dla przybyszy – wytłumaczyła się zgrabnie.

Aha, coś jest nie tak, pomyślał Jung, ale co? Pewnie ktoś ma nas na oku, a jej nakazał nas nie odstępować na krok.

Udając, że podziwia wystrój poczekalni przerobionej z dawnego westybulu, zerkał kątem oka we wszystkie w narożniki, gdzie pod sufitem paliły się diody kamer.

– Czy dziennikarze zagraniczni nareszcie dali wam spokój? – zapytała Madlena.

– Dziennikarze mogą pomóc, ale i niewyobrażalnie zaszkodzić. To ostatnie miało miejsce na początku naszej działalności, kiedy profesor von Hagens starał się o przeniesienie ośrodka z Heidelbergu do Sieniawy Żarskiej. W Polsce mu się nie udało osiąść na stałe, a szkoda – przypomniawszy, zwracając się do Junga, jakby on był winny. – Dopiero dzięki wsparciu samorządu gubeńskiego mogliśmy odkupić budynek, w którym teraz mamy siedzibę. Poza wykonywaniem tego, do czego się zobowiązaliśmy, czyli prowadzenia badań naukowych i edukacji, firma stara się być przydatna miastu jako jeden z bardziej znaczących pracodawców i, nie ma co ukrywać, magnes przyciągający turystów. Dlatego proszę panią i pana o nieuprzedzone teksty o naszym ośrodku. Im więcej takich artykułów, tym większe będzie zainteresowanie tym, czym się zajmujemy i jakie mamy plany. Takie są zasady nauki i biznesu. Większość tu zatrudnionych to miejscowi Niemcy. Są też Łotyszka, małżeństwo Słowaków i dwie Polki – powiedziała bardziej do Junga niż do Madleny.

– Czy wolno fotografować?

– Wśród dostarczonych państwu materiałów – pokazała ręką na torby przewieszane na ramionach dziennikarzy – znajduje się pendrive ze zdjęciami wykonanymi przez zawodowego fotografa. Redakcje mogą je wykorzystać bezpłatnie jako ilustracje, nawet ignorując podanie źródła. W sali wystawowej i galerii może pan sfotografować to, co uzna za przydatne do swojej pracy. Mam tylko jeden postulat: proszę o przesłanie egzemplarza „Gazety Zielonogórskiej” z tekstem o naszym ośrodku w wersji papierowej lub elektronicznej. Fragment wykorzystamy w którymś z najnowszych folderów. Ma się rozumieć, że fragment korzystny dla Plastinarium. Nasza firma abonuje „Niederlausitzer Tageblatt”, mimo to z identyczną prośbą zwracam się do pani – uśmiechnęła się grzecznie do Madleny. – We wszystkich pracowniach, a szczególnie w laboratoriach i modelarniach fotografowanie tak przedmiotów poddawanych plastynacji, jak i zatrudnionych przy nich osób, jest kategorię zabronione. Jeśli ochroniarz zauważy, że pani czy pan łamie ten zakaz, odbierze fotoaparat i wykasuje wszystkie zdjęcia.

Daniel chciał spytać, czy to wiąże się z jakąś tajemnicą, której Plastinarium nie ma ochoty ujawnić, ale tylko kiwnął głową, co oznaczało, że bez protestu przyjął do wiadomości ostrzeżenie. Madlena też przytaknęła.

Wycieczkę po placówce zaczęli od obejrzenia wystawy *Świat ciał zwierzęcych*. Potem przeszli do galerii, gdzie część przedmiotów była zrobiona ze sztucznego

tworzywa tak, aby nawet niewprawne oko osoby zwiedzającej to zauważyło. W podświetlanych gablotach leżały całe szkielety i pojedyncze kości, żyły i tętnice, mięśnie, ścięgna, uszy, oczy i to wszystko, o czym student medycyny musi wszystko wiedzieć, zanim dostanie dyplom lekarski. Jung domyślał się, że to są plastynaty, czyli części ciała prawdziwych ludzi spreparowane metodą opracowaną przez profesora von Hagensa w Heidelbergu. Kilka razy pociągnął nosem, ale zamiast trupiego zapachu lub formaliny, czego się spodziewał, poczuł woń żelu do mycia rąk. Pomyślał, że podpowie Miśce, aby po wakacjach przywiozła tu swoich studentów.

– Zanim przekroczymy próg laboratorium i pracowni modelarskiej, przypominam o zakazie fotografowania – odezwała się od kwadransa milcząca opiekunka.

Pomimo że znowu zgodnie kiwnęli głowami, Jung zastanawiał się, jak obejść ten zakaz. Co tam jest, czego oni nie chcą ujawnić? Boją się, że na podstawie zdjęć konkurencyjna firma pozna tajemnicę plastynacji?

– Przy wyjściu odbiorę – powiedział do ochroniarza, kładąc aparat fotograficzny w skrzynce na kontuarze.

To samo zrobiła Madlena ze swoim olimpusem.

Było tak, jak Jung się spodziewał: przy stołach laboratoryjnych siedziały pochylone kobiety w seledynowych kitlach. Żadna nie podniosła wzroku na gości ani się nie uśmiechnęła. Żadna też nie odezwała się ani nie westchnęła. Daniel miał ochotę spytać je, czy preparują nieboszczyków wyłącznie dlatego, żeby mieć pieniądze na utrzymanie swoich rodzin, czy czują się spełnione, jakie skończyły szkoły, ale opiekunka szła tak szybko, że nie mógł przystanąć. Za nimi krok w krok maszerował ochroniarz. Najpewniej policjant lub żołnierz na wcześniejszej emeryturze.

Opiekunka zatrzymała się dopiero obok rusztowania, przy którym pracowały dwie milczące kobiety w fioletowych fartuchach. Z boku wyglądało to tak, jakby wcześniej czymś wypełniły szkielet oszczepnika i teraz precyzyjnie modelowały sylwetkę, ale nie tylko to zwróciło uwagę Junga. Był przekonany, że tę wyższą i tęższą niedawno gdzieś spotkał. Zapamiętał nawet jej szerokie, męskie ramiona i duże dłonie. Gdyby zrobiła krok do przodu, może bym sobie coś więcej przypomniał, pomyślał, lecz ona nie odwracała głowy i niewiele się ruszała.

– Jak państwo zauważyli, większość pracowników w laboratorium to kobiety. Zostały przyuczone do tego, czym się zajmują. Zresztą nie było to kłopotliwe, ponieważ wśród nich dominują pielęgniarki z doświadczeniem zdobytym w szpitalu i sanitariuszki. Są dwie akuszerki i farmaceutka bez praktyki. A na tym stanowisku – opiekunka pokazała głową na kobietę, która wydawała się Jungowi znajoma – pracują artystki, dosłownie i w przenośni. Obie studiowały sztukę, jedna malarstwo, druga rzeźbę. Niestety, rozmowa z nimi w laboratorium jest wykluczona.

Teraz Jung żałował, że dobrowolnie zostawił głupawkę w dyżurce ochroniarzy, bo może jednak udałoby się zrobić kilka zdjęć w modelarni. Chciał przede wszystkim sfotografować artystki przy pracy, a właściwie chodziło mu tylko o tę większą i tęższą. Przecież gdzieś ją spotkałem w Polsce. A może w pensjonacie Zum Schlangenkönig pod Burgiem, gdzie przez cały zeszły tydzień mieszkałem?

Zastanawiało go, dlaczego rzeźbiarka nie zwraca uwagi na opiekunkę i dziennikarzy. Czy to normalne zachowanie artystki? Wiele razy bywał w pracowniach plastyków, ale żaden nie traktował go jak powietrza. Twórcy lubią dzielić się swoimi przemyśleniami i przedstawiać projekty, zanim je zrealizują. Często wdają się w rozmowę ze zwiedzającymi i tą drogą dochodzą do nowych, jeszcze bardziej odkrywczych wniosków.

Przecież sztuka to nic innego jak dyskusja o nas i świecie za pomocą farb wyrażona na płótnie, dłutem wyrzeźbiona w marmurze czy znakami graficznymi przeniesiona na papier.

– A ktoś akurat teraz do mnie dzwoni? – Wyjmując komórkę z kieszeni odezwał się tak głośno, żeby opiekunka, ochroniarz i Madlena usłyszeli pytanie. – Z redakcji? – Zrobiwszy zdziwioną minę, najpierw odwrócił się w ich stronę, potem manewrował palcami po wyświetlaczu, jakby był zdenerwowany i nie umiał włączyć odpowiedniego przycisku. Później, kiwając głową, przytakiwał i odchodził na bok, ale tak, żeby wycelować obiektyw samsunga w rzeźbiarkę. Może się uda ją sfotografować, pomyślał.

Udało się. Nikt nie zauważył, kiedy nacisnął guziczek fotoaparatu. Powinienem zrobić jeszcze jedno zdjęcie z innej strony, bo jak na tym nie będzie widać twarzy, wszystko na nic, ale wołał nie ryzykować.

– Redaktorka naczelna pytała, ile miejsca ma zablokować w jutrzejszym wydaniu gazety na mój tekst – skłamał.

– Jak najwięcej – powiedziała zadowolona opiekunka.

BERLIN, HORTENSIENALTHOF, PIĄTEK, PRZED POŁUDNIEM

Nic nie świadczyło o tym, że w domu, przed którym Vanessa zatrzymała passata, znajduje się klinika ginekologiczna. Wprawdzie na budynku wisiała mosiężna tablica, ale nie wynikało z niej, czym konkretnie zajmuje się firma doktora Betrügera. Dopiero na stronie internetowej były szczegóły, tyle że podane fachowym językiem. Gdyby nie ciekawość Vanessy, a właściwie wścibstwo żony Olka Stonogi, nigdy by tu nie trafiła.

– Doktorze Betrüger, niech pan najpierw ją zbada – powiedziała Vanessa, pomagając Paulinie usiąść na krześle. – Kiedy wyjeżdżaliśmy z domu, była w porządku. Teraz chyba ma gorączkę.

– Jeśli tylko ma podwyższoną temperaturę, to lepiej być nie może. Strzał w dziesiątkę. Wczoraj wieczorem mówiła pani przez telefon, że pod względem owulacji jesteście jak bliźniaczki jednojajowe – przypomniał doktor Betrüger, nie zwracając uwagi na Paulinę.

– W aucie nieomalże zemdlała. Czy to normalne, doktorze?

– Normalne, normalne, pani Kulschmann. Prawie każda, która przyjeżdża do mojej kliniki, wygląda tak, jakby miała zemdleć, ale skoro panią coś niepokoi, to dla

świętego spokoju ją zbadam. Proszę zaprowadzić dziewczynę do mojego gabinetu – ginekolog zwrócił się do pielęgniarki. Vanessa ruszyła w stronę drzwi. – Pani poczeka. Najpierw ona.

Po z górą dwudziestu minutach pielęgniarka wróciła do poczekalni i oczyma dała znak Vanessie, żeby weszła do gabinetu. Paulina uśmiechnęła się przepraszająco, co oznaczało, że już jest tak, jak być powinno.

– Wszystko w porządku – potwierdził ginekolog, wstając zza niewielkiego biurka. Zaprosił obie do pomieszczeń po drugiej stronie poczekalni. W każdym pokoju, pomalowanym na ciepły pomarańczowy kolor, obok fotela stało łóżko, przy nim niewielka szafka z telefonem i wysuwany blat. Telewizor na regulowanym wysięgniku był uczepiony ściany. – Te może niezbyt wygodne pokoiki muszą paniom zastąpić dom. Posiłki będzie przynosiła pielęgniarka i ona także będzie na każde wasze wezwanie. Odpoczniecie po zabiegach, powoli zaczniecie się przyzwyczajać do nowych obowiązków i po południu lub najpóźniej w niedzielę po śniadaniu najprawdopodobniej się rozstaniemy. Nie na długo – powiedział do Pauliny, obejmując ją ramieniem. – Zaproszę panią w połowie przyszłego miesiąca na badanie kontrolne. Gdyby działo się coś, co cię zaniepokoi, proszę dzwonić o każdej porze dnia i nocy – zwrócił się do Vanessy. – Zatem do dzieła.

Kiedy wyszli z pokoi do poczekalni, gdzie wzdłuż zielonych ścian na zielonej wykładzinie stały zielone krzesła, pielęgniarka kazała Paulinie usiąść i czekać na wezwanie. Otworzywszy szeroko drzwi i stanąwszy z boku, doktor Betrüger uśmiechnął się przyjaźnie do Vanessy i wręcz teatralnym ruchem ręki zaprosił ją do swojego gabinetu.

– Rozumiem, że zanim podjęła pani decyzję, przeanalizowała ją ze wszystkich stron. Tak trzeba. Jest ona ostateczna i pani nigdy nie będzie żałowała, że tak zdecydowała – bardziej stwierdził niż spytał lekarz. Vanessa natychmiast przytaknęła skinieniem głowy. – Mam tu – wziął kartkę leżącą na skraju biurka – protokół z badania nasienia. Dostarczone plemniki są żywotne. Przyznam się, że gdy pani oznajmiła przez telefon, w jakim wieku będzie dawca, naszyły mnie wątpliwości, czy ma sens podejmowanie się tego zadania. Nawet konsultowałem się z kolegami po fachu. Zaczynij od zbadania nasienia, radzili. Jeśli plemniki będą jak u zdrowego dwudziestolatka, nie ma obawy, że się nie uda. Mężczyzna może zostać ojcem dosłownie w każdym wieku. Inaczej jest z kobietą. Mam na myśli wyłącznie to, co interesuje mnie jako ginekologa specjalizującego się w zapłodnieniu skorygowaną metodą pozaustrojową – Betrüger powiedział to tak, jakby się usprawiedliwiał. –

Różnica pomiędzy metodą tradycyjną a stosowaną w mojej klinice zawarta jest wyłącznie w tym, że przed pobraniem komórek jajowych również przeprowadzamy coś w rodzaju kuracji hormonalnej w celu wywołania owulacji, ale robimy to poza naszą placówką. Jajeczka w ten sposób przygotowane do swojej roli dają większą pewność, że uda się je zapłodnić w warunkach laboratoryjnych. W warunkach naturalnych owulacja oznacza wydanie jednego, znakomicie przygotowanego do swojej roli jajeczka. Przy metodzie hormonalnej uzyskuje się wiele jajeczek. Niestety, nie zawsze są one chętne do spotkania z plemnikiem. Bywa, że zabieg trzeba odłożyć

i kurację powtórzyć. Ale bądźmy dobrej myśli – lekarz pocieszył Vanessę. – Oczywiście postaramy się zapłodnić jak najwięcej jajeczek. A gdy powstaną zarodki, wybraną jedną zygotę wszczepimy do macicy dziewczyny, w naszej sytuacji wskazanej surogatki, wtedy powinna powstać ciąża. W organizmie młodej kobiety zarodek będzie miał dobre warunki do rozwoju. Dotąd zawsze się udawało, a musi pani wiedzieć, że przeprowadziłem ponad setkę takich zabiegów. Jedna z pacjentek była u mnie dwukrotnie, ponieważ zapragnęła zostać matką dwojga dzieci. Felix ma cztery lata, Jessika jest o rok młodsza. Tak więc myślę, że spełni się pani marzenie i również pani będzie szczęśliwa.

Vanessa miała ochotę przerwać doktorowi ten monolog. Nie wczoraj zdecydowała, że Witkowski zostanie ojcem jej dziecka, które urodzi Paulina. To powinien być syn, ale przecież może być córka. Także ją wychowa, wykształci, nauczy, jak prowadzić firmę, i wyda za mąż. Jednego zabroni: przyjęcia nazwiska męża i zmiany nazwy firmy. Na zawsze ma być Kulsch Medizintechnik. A jeśli urodzą się bliźniaki?

O tym nie pomyślała.

– Moi koledzy po fachu często mówią swoim pacjentkom, że organizm kobiety to nie urządzenie, które można zaprogramować. Zgadzam się z nimi, tym bardziej że na temat komórek rozrodczych, mówię o jajeczkach i plemnikach, nauka niemal nic nie wie. Ja w tej sprawie niczym się od innych ginekologów nie różnię. Uważam jednak, że dobry lekarz wszystko jest w stanie zbadać i zaprogramować. Nawet taką kwestię, jak dzień urodzenia dziecka. Oczywiście to troszkę kosztuje.

– Doktorze Betrüger, nie przyjechałam do pana, żeby rozmawiać o pieniądzach.

– Wiele kobiet znajduje się w sytuacji identycznej jak pani, pani Kulschmann, ale niektórym brakuje odwagi, dlatego nie wszystkim udaje się doprowadzić sprawę do finału – powiedział doktor Betrüger, jakby gratulował Vanessie zdecydowania.

– Nie mam zamiaru wycofać się. Jestem całkowicie świadoma tego, ku czemu zmierzam. Należę do tych kobiet, które lubią mocne wyzwania. Żałuję tylko, że tak długo czekałam z podjęciem decyzji.

– Jeszcze jedna kwestia. Pani zdaje sobie sprawę z tego, że oboje, że troje, bo i dziewczyna – ginekolog pokazał głową na drzwi, za którymi czekała Paulina – w świetle prawa staniemy się przestępcami. Ja ryzykuję najwięcej. Dlatego poproszę obie panie o podpisanie oświadczenia, że są świadome tego, w czym uczestniczą, i zwalniają mnie z odpowiedzialności prawnej. Nie chciałbym... Inaczej to wyrażę. Tylko ze względu na to, że przez lata pani była moją pacjentką i że robiłem wszystko, na co pozwalała moja wiedza medyczna, jeśli chodzi o ciążę... – Betrüger urwał, wstał, podszedł do okna i po namyśle kontynuował: – Mam zobowiązanie wobec drugiego pani małżonka. Inaczej to ujmę. Wiele lat temu, gdy mój syn złamał kręgosłup w wypadku samochodowym, Adam Madej, wtedy jeszcze nie małżonek pani, nie odmówił pomocy, a inni, nawet ci sławni moi koledzy, skazali Thomasa na cierpienie do końca życia. Adam zaprojektował i własnoręcznie wykonał cudowny implant. Thomas utyka, ale nie jest kaleką na wózku.

– Zatem doktor ma do spłacenia dług wdzięczności.

– Szkoda mi Adama. To był naprawdę znakomity inżynier. Mógł jeszcze wiele osiągnąć, a wraz z nim światowa ortopedia. Wiadomo, w jakich okolicznościach zginął?

– Spłonął razem z samochodem. Dlaczego? Tę polską policję nie potrafi wyjaśnić.

– Konkurencja?

– Możliwe. Trudno, co się stało, już się nie odstanie. Trzeba żyć i pracować dalej.

Betrüger przez chwilę milczał, jakby się nad czymś zastanawiał, potem odwrócił się twarzą do Vanessy i powiedział tonem nauczyciela godnego zaufania:

– Dawca nasienia powinien wiedzieć, że zostanie ojcem.

– Nie każdy.

– A jeśli się dowie i oskarży panią o wykorzystanie nasienia bez jego woli?

– Tę nigdy się nie dowie – odparowała krótko i zdecydowanie.

– Po roku, po dwóch latach, kiedy dziecko zacznie gaworzyć, dojdzie pani do słusznego wniosku, że oprócz matki powinno mieć ojca, i wtedy pani sama mu to powie. Mam na myśli dawcę nasienia.

– Doktorze Betrüger, jestem pewna, że on niczego się nie dowie.

– Z ciekawości powinienem spytać, jak udało się pani uzyskać nasienie. Pewnie podstępem?

Vanessa potwierdziła mrugnięciem oczu, co ginekolog zrozumiał jako prośbę o zachowanie tajemnicy. To nie była zupełna prawda. Dziś wcześniej rano, kiedy Witkowski jeszcze spał, wsunęła się do niego pod kołdrę. A potem powiedziała, że go wymasuje.

– Niech pani pamięta i o tym, że kobieta w ciąży się zmienia. W tej, którą wybrała pani na surogatkę, kiedy poczuje wiercenie się płodu, kopanie i inne sygnały z macicy, odezwie się mocny instynkt macierzyński. Tak jest z każdą kobietą. Mimo że ciąża powstała nie z jej jajeczka, donosi ją, urodzi dziecko i, były takie przypadki w mojej praktyce, zdecyduje się je wychować. Zgodnie z przepisami będzie do tego miała prawo.

– Doktorze Betrüger, wykluczone. Tę sprawę już załatwiłam. A jeśli Paulina nie podporządkuje się temu, co podpisała w biurze notarialnym, źle na tym wyjdzie. W każdej sytuacji dziecko będzie moje – oświadczyła Vanessa takim tonem, że lekarz przestał się odzywać.

ZIELONAGÓRA, AL. NIEPODLEGŁOŚCI, PIĄTEK, PRZED WIECZOREM

Daniel Jung pisał najlepsze teksty wtedy, gdy był głodny albo gdy redaktorka naczelna stała za jego plecami i zezując na zegarek, nie pozwalała wypić nawet łyżeczki kawy. Dziś zanosilo się na to, że będzie identycznie. Zaraz po wyjściu z Plastinarium pojechał z Madleną do jej chatki letniskowej. Przekonywała, że mają sobie tyle do

powiedzenia, powinien więc zostać do wieczora albo i dłużej. Przecież tam może napisać reportaż i przez internet wysłać go do redakcji. Ona też tak zrobi. Nawet zaproponowała konkurs: wygra ten, kto szybciej skończy swój tekst. Nie posłuchał jej. Gdy był może kilometr od mostu granicznego na Nysie, wracające z Niemiec samochody utknęły w korku. Co się stało, tego Jung nie próbował się dowiedzieć, a powinien, bo może byłaby to wiadomość na pierwszą stronę. Całą drogę układał w głowie tekst o Plastinarium, żeby po powrocie do redakcji przelać go na ekran laptopa, skąd niemożliwą do wyobrażenia drogą tasiemce znaków przemieszczą się do komputera składacza gazety. A może zjechać na pobocze albo zatrzymać „pięćsetkę” na najbliższym parkingu, wyjąć laptop z torby i za kierownicą napisać reportaż, potem wysłać go pocztą elektroniczną do redakcji? Tak będzie najszybciej. Nigdy tak nie robił, bał się więc, że w trakcie pisania wyczerpie się bateria albo wydarzy się coś w sieci i przesyłka nie dotrze na miejsce. Jadę prosto do redakcji, zdecydował.

Z powodu korku na drodze wrócił dużo później niż zaplanował i natychmiast przysłał się do klawiatury. Po dwóch godzinach zadzwonił do Szpalty:

– Gotowe – powiedział takim tonem, jakby napisał przemówienie zamówione przez polityka, i dopiero wtedy włączył komórkę. Najpierw zadzwonił do żony, potem odsłuchał pocztę głosową, a na końcu przejrzał galerię najświeższych fotografii. Interesowało go zdjęcie, które ukradkiem zrobił w modelarni Plastinarium.

Ale wtedy odezwała się komórka. Jung nie spojrział na wyświetlacz, był pewny, że coś w jego artykule nie spodobało się Szpalcie. Posłucha uwag naczelnej i je uwzględni albo, co uważał za swoją wadę, tak długo będzie bronił swoich zdań, aż naczelnej zabraknie cierpliwości i skapituluje lub przyzna mu rację. Nie wahał się recenzować wypowiedzi innych dziennikarzy, szczególnie początkujących, ale gdy krytyka dotyczyła jego pracy, czasem strzelał na oślep, byle nie polec.

– Madlena? – zapytał zaskoczony, gdy usłyszał głos Niemki.

– W modelarni znakomicie odegrałeś pewną scenę. Oprócz dziennikarskiego masz talent aktorski.

– Jaką scenę? – Dobrze wiedział, co mu przypomniała, mimo to dalej udawał zaskoczonego.

– Opiekunka i ochroniarz dali się nabrać na telefon, a ja udawałam, że niczego nie dostrzegłam.

– Czyżbyś wątpiła, że na pewno dzwoniła moja redaktorka naczelna z pilną sprawą?

– Jesteś dobrym aktorem, Daniel, ale i masz pewną nieumiejętność.

– Jaką? – zapytał, podnosząc się zza biurka. Był ciekawy, co Madlena w nim odkryła. Każdy mężczyzna ma jakieś tajemnice, których nie zna nawet jego żona.

– Nie potrafisz kłamać. A tak w ogóle, to jesteś z tych dziennikarzy, którzy nie zastanawiają się nad konsekwencjami, tylko walą prawdę prosto w oczy. Rasowy reporter. Takich właśnie podziwiam, cenię i lubię. Szkoda, że nie zostałeś w mojej chatce. Następnym razem będę nieugięta – zapowiedziała. – A zdradzisz, dlaczego tak bardzo zależało ci na sfotografowaniu modelarki, że posunąłeś się aż do złamania

przepisów? Coś o niej wiesz, prawda? Przypadkowo natknąłeś się na osobę, której poszukujesz? Tylko my, reporterzy śledczy, mamy nosa.

Jung nie wiedział, co powiedzieć, a nie chciał znowu skłamać. Zasłaniając się pisaniem artykułu, przeprosił Madlenę, że nie może dłużej z nią rozmawiać. W rzeczywistości mimo późnej pory postanowił zadzwonić do tych, którzy byli w Jodłowie na urodzinach profesora Witkowskiego. Może ktoś rozpozna twarz kobiety?

Nowakowski nie odebrał telefonu. Komórki Mariana i Saszy były wyłączone. Letzki odezwał się z Zakopanego, gdzie w zastępstwie profesora uczestniczył w konferencji ortopedów i bioinżynierów. Stonoga zawsze traktował Junga z wyższością, ale teraz to nie miało znaczenia, bo usłyszał automatyczną sekretarkę, że abonent jest poza zasięgiem sieci lub ma wyłączony telefon.

Mimo to jutro rano wybiorę się na lotnisko, przejrzę motolotnię i z godzinę polatam, a w południe pojedę do Jodłowa, postanowił. Po chwili namysłu zmienił decyzję: Przylepa musi poczekać, Jodłów jest teraz najważniejszy.

ZIELONAGÓRA, LOTNISKO PRZYLEPA, SOBOTA, BARDZO WCZESNYM RANKIEM

Jeszcze zanim wczoraj dziennikarze wyszli z laboratorium, Eluniek zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób uniemożliwić im opublikowanie reportaży z Plastinarium. Wcale nie chodziło jej o to, czego dowiedzą się abonenci „Niederlausitzer Tageblatt”. Interesowała ją wyłącznie „Gazeta Zielonogórska”, nawet nie reportaż i nie wszystkie fotografie, a jedynie ta jedna, którą Jung zrobił komórką, bo jednak to dostrzegła. Nie może pozwolić, żeby ją opublikował, ale jak mu w tym przeszkodzić, tego nie wiedziała i nie miała kogo się poradzić. Znam adres jego mieszkania. Może wpuszcze przez szparę pod drzwiami halotan, dostanę się tam i wykradnę komórkę? Pewnie zawsze ma ją pod ręką. Pomyślała, że najprościej byłoby podpalić jego „pięćsetkę” albo podłożyć jakiś ładunek wybuchowy, tylko jak go zdobyć?

Dopiero wieczorem na Frankfurterstrasse, gdzie razem z Pauliną wynajmowała tani pokój, pomyślała o wyszukiwarce i w okienku napisała Daniel Jung. Po kilkunastu sekundach na ekranie laptopa pokazały się tysiące informacji dotyczących dziennikarza. Wtedy w jednej chwili wpadł jej do głowy ten pomysł. Upewniła się na stronie Aeroklubu Ziemi Lubuskiej, czy Jung nadal jest członkiem sekcji motolotniarskiej i czy na pewno w zeszłym roku zdobył tytuł wicemistrza Polski dziennikarzy. A gdy nie tylko ta informacja się potwierdziła, podziękowała Bogu, że Vanessa Kulschmann zabrała Paulinę do Berlina. Eluniek nie będzie musiała wymyślać powodu, dla którego bardzo wczesnym rankiem wsiadła do golfa i pojechała w stronę Zielonejgóry.

Samochód zostawiła na poboczu asfaltówki przyległej do ogrodzenia lotniska w Przylepie na wprost tego miejsca, gdzie siatka była rozerwana. Piętnaście minut później przykucnęła za hangarem i czekała, czy ochroniarz wyjdzie z budki albo czy

wypuści psa lub czy się włączy alarm i Eluniek będzie musiała dać dyla do golfa. Nawet nie przypuszczała, że tak łatwo dostanie się na lotnisko. Nożyce do przecięcia siatki okazały się niepotrzebne, zostawiła je więc przy ogrodzeniu. Gdyby nie wietrzyk muskający worek na iglicy wiatromierza, mogłaby powiedzieć, że na lotnisku panowała cisza jak na cmentarzu. Powinna to zrobić wcześniej, ale dopiero teraz podniosła oczy na najbliższy narożnik. Nie dostrzegła niczego, co byłoby podobne do skrzynki, w której dyżuruje kamera z czujnikiem ruchu lub inny automat monitorujący płytę lotniska. Nawet się uśmiechnęła zadowolona. Mimo to lekko pochyłona, na ugiętych nogach podeszła do drugich od lewego narożnika wrót i dopiero wtedy zobaczyła dwie białe tabliczki z wypisanymi czarnymi literami danymi „Bogusław Letzki” i „Daniel Jung”. Tego się nie spodziewała. Jeśli za wrotami stoją dwie motolotnie, po czym pozna, która należy do Junga? Były dwie różniące się jedynie kolorem skrzydeł i wymalowanymi na nich oznaczeniami. Na której latał Letzki i na której Jung, tego nie potrafiła zgadnąć. Żałowała, że pobieżnie obejrzała zdjęcia w internecie, bo na pewno z któregoś można było odczytać znaki rozpoznawcze motolotni.

– Nie mam innego wyjścia, doktorze Letzki – powiedziała szeptem, jakby się obawiała, że w hangarze są urządzenia podsłuchowe. – Pana pogrzeb też będzie ładny. Może z orkiestrą i przemówieniami.

Dostanie się do silnika było dziecinnie łatwe, tym bardziej że Eluńka po zdaniu egzaminu na prawo jazdy nieraz jeździła swoją jawą nawet nad jezioro w Dąbiu. Silnik motolotni niewiele różni się od motoru jawy i jest tak samo czuły na drgania w trakcie pracy. Gdy zapaliła latarkę i pod bakiem zobaczyła przezroczysty wężyk, przez który benzyna dostaje się do silnika podczas lotu, była pewna, że będzie tak, jak zaplanowała. Niedostatek paliwa najpierw spowoduje dławienie się, potem ustanie pracy tłoków w cylindrach, co oznacza katastrofę, a tylko o to chodziło Eluńkowi. Najpierw kleszczami chirurgicznymi, które wzięła z laboratorium, zacisnęła wężyk, żeby paliwo raptownie nie wyciekło z baku i nie oblało ramy, potem przecięła go skalpelem i to miejsce owinęła taśmą samoprzylepną. Tylko wprawne oko mogło dostrzec spoinę. Gdy Jung wypchnie motolotnię z hangaru, uruchomi silnik i wzbije się nad lotnisko, pod wpływem ciśnienia benzyny taśma oderwie się od wężyka i wszystko, co będzie w baku, wycieknie. Pozbawiony paliwa silnik przestanie pracować, a wtedy motolotnia z Jungiem runie na ziemię. Jeżeli on to przeżyje, długo będzie wracał do zdrowia i pewnie da sobie spokój tak z dziennikarstwem, jak i lataniem. Eluńkowi chodziło przede wszystkim o to pierwsze.

JODŁÓW, OS. OLSZOWE, SOBOTA, Z RANA

Jung postawił ibizę przed spalonym domkiem. Przy płocie na wprost bramy za studnią jeszcze stał ten sam grill, przy którym profesor Witkowski świętował swoje urodziny. Wtedy ciemnozielonym nissanem przyjechały dwie strażniczki leśne, z dowodów

osobistych gości spisały ich dane i oznajmiły, że wszystkim wlepią mandaty za palenie ogniska w niedozwolonym miejscu. Jedynie Nowakowski się buntował, ale na nic się to zdało. Minęły dwa tygodnie od tamtego wydarzenia, a dotąd Jung nie dostał wezwania do zapłaty kary. Może jednak oponowanie Nowakowskiego okazało się skuteczne. Chciał wejść na podwórze, gdy przypomniał sobie, że póki biegły ze straży pożarnej nie napisze opinii na temat przyczyny pożaru, nikt nie powinien robić nowych śladów.

– Spodziewałbyś się, że taki będzie koniec Witkowskich? – rzucił Stonoga do Junga. – A na dobrą sprawę od blisko dwóch tygodni nikt nie wie, co się stało z profesorem. Porwali go? Kto i dlaczego? Uciekł? Po co i dokąd? Siedzi gdzieś przywiązany do haka i czeka, aż ktoś go znajdzie? Żyje chociaż? Moja firma wyznaczyła nagrodę za jakiegokolwiek wiadomości o profesorze. Kilku naciągaczy, owszem, zadzwoniło, tyle że niewiele mieli do powiedzenia.

– Próbuję sobie przypomnieć sytuację z tamtego wieczora, kiedy całą paką siedzieliśmy przy grillu. Pamiętasz, co się wtedy wydarzyło?

– Przyjechały dwie strażniczki i wlepiły nam mandaty za palenie ognia w niedozwolonym miejscu. Nowakowski...

– Wczoraj byłem w Guben po materiał na reportaż o Plastinarium. Co zobaczyłem i co właściciele firmy chcieli pokazać, to opisałem w dzisiejszej gazecie. Później sobie przeczytasz – powiedział Jung, dając „Gazetę Zielonogórską” Stonodze. – Przy tekście nie znajdziesz tego zdjęcia. – Wyjął komórkę z kieszeni spodni, dotknął palcem miejsca oznaczonego słonecznikiem i napisem „Galeria”. – Czy znasz tę kobietę?

Stonoga długo wpatrywał się w wyświetlacz. Zbliżał komórkę do oczu, oglądał zdjęcie pod kątem, cmokał i kręcił głową.

– Niewyraźne ujęcie – odpowiedział po namyśle. – Chciałbyś wiedzieć, czy ją gdzieś spotkałem. Mhm... na pewno. Twarz wydaje mi się nieobca, ale gdzie ją widziałem, nie mogę sobie przypomnieć. Każdego dnia rozmawiam z tyloma klientkami, że nawet nie staram się zapamiętać ich fizjonomii.

Nowakowski wykręcił się identyczną odpowiedzią. Mariana nie interesuje wygląd kobiet, zwłaszcza wykonujących męskie zadania. Tylko Sasza nie miał wątpliwości, że to strażniczka leśna.

– Gdy stała do mnie bokiem i zapisywała to, co okularnica dyktowała, gapiłem się na jej nos. Kropka w kropkę ten sam – pokazał palcem na wyświetlacz komórki. – A w ogóle to zachowywała się jak facet z jajami. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że ona i filigranowa blondyneczka w okularach są tandemem.

– Lesbijki – podpowiedział Stonoga i zakłopotany uciekł wzrokiem w stronę pogorzelska.

– My najlepiej w tym się rozeznajemy, Oleczku – roześmiał się Marian, biorąc Saszę pod rękę jak kawaler pannę. – Przecież nikogo nie krzywdzimy ani nikomu niczego nie zazdrościmy. Nam jest ze sobą naprawdę fajnie.

– Skąd masz to zdjęcie? – zwrócił się Nowakowski do Junga.

– Wczoraj przed południem byłem w gabinecie grozy Doktora Śmierci, jak niektórzy nazywają inicjatora Plastinarium, i tam cyknąłem tę fotkę.

– Nasza strażniczka leśna dorabia w Guben?

– Też mnie to zaskoczyło.

– Pytałeś ją o pozwolenie?

– Na dodatkową pracę?

– Czy możesz ją sfotografować?

– Nie.

– Zrobiłeś zdjęcie bez jej zgody?

– Przed wejściem do laboratorium przewodniczka ostrzegła nas, to znaczy Madlenę Havlíček, moją koleżankę z „Niederlausitzer Tageblatt”, i mnie, że fotografowanie w modelarni jest zabronione. Żeby nic mnie nie kusiło, aparat zostawiłem w dyżurce ochroniarzy. Moja ciekawość obudziła się dopiero, gdy przeszliśmy do rusztowania, przy którym pracowały dwie milczące kobiety w fioletowych fartuchach. Z boku wyglądało to tak, jakby silikonem wypełniały szkielet oszczepnika. Byłem przygotowany na taki widok, ale nie to zwróciło moją uwagę. Wydawało mi się, że tę wyższą i tęszą kobietę gdzieś spotkałem. Nie mogłem do niej podejść ani z nią porozmawiać, chciałem, żeby chociaż łypnęła wzrokiem w moją stronę, ale ona nie odwracała głowy, tylko wpychała silikon w piszczele. Udając, że słucham przewodniczki, kombinowałem, jak sfotografować tę przy rusztowaniu. I wtedy wpadł mi do głowy pomysł z telefonem. Powiedziałem, że musiało coś się wydarzyć ważnego, bo dzwoni moja szefowa. Odszedłem na bok i bleblając do komórki, na chybił trafił cyknąłem tę fotkę. Czy teraz rozumiesz, dlaczego jest denna? – zwrócił się do Nowakowskiego.

– Ta przewodniczka...

– Niczego nie zauważyła.

– Naruszyłeś przepis wewnętrzny. Za to też się odpowiada przed sądem. Nawet najlepszy adwokat nie znajdzie niczego na twoją obronę. Możesz beknąć.

– A czy taki dowód w sprawie o morderstwo sąd powinien uwzględnić?

– Teoretycznie nie. Tylko teoretycznie, bo gdy chodzi o morderstwo z premedytacją, a tym bardziej poszlakowe, każdy dowód, nawet wykonany z naruszeniem przepisów, sąd powinien wziąć pod uwagę. Powinien zatem, ale nie musi. *Cum finis est licitus, etiam media sunt licita*⁵.

– Mimo że uczyłem się łaciny, nie znam tego języka – przyznał się Jung. – W liceum chodziłem do klasy łacińskiej, bo tak postanowiła mama. Chciała, żebym został...

– Księdzem.

– ...lekarzem – kontynuował Jung, nic sobie nie robiąc z wtrącenia Nowakowskiego. – Od pierwszej do czwartej klasy chemii uczył ten sam. Ta sama biologka, polonistka, historyczka, wuefista. A łacinnicy się zmieniali. Ostatnim był aptekarz. Śmiał się, że to były cztery lata stracone. Powiedział, że jedyne, czego się nauczyliśmy, to czytania po łacinie. Żeby w towarzystwie nie wyjść na głąba, nauczyłem

nas kilku powiedzonek. Na przykład. *Hic iacet*⁶ jakiś facet. To na nagrobku i znaczy, że tu spoczywa jakiś facet. Albo... Wyleciało mi z głowy.

– To i tak więcej niż mnie nauczono po rosyjsku. Cztery lata i gdybym teraz pojechał do Moskwy, musiałbym posługiwać się angielskim – powiedział docent Rogala, spodziewając się wybuchu śmiechu, ale nikt nawet się nie skrzywił.

– A co oznacza to, co przed chwilą powiedziałeś? – Jung zwrócił się do Nowakowskiego.

– Gdy cel jest godziwy, także środki stają się godziwe.

– To jedna kwestia. Druga dotyczy profesora. Wierzycie, że policja dotąd nie trafiła na jego ślad? – zapytał Stonoga, zwracając się do wszystkich, ale mając oczy skierowane w stronę Junga. – Przesłuchali Bogdana Letzkiego? On musi coś wiedzieć. I jeszcze powinni przesłuchać każdego z nas. Z naszych spostrzeżeń może coś wyjść.

– Pierwszy raz słyszę, żeby właściciel Olemedu dobrze mówił o policji – roześmiał się Jung.

– Zamiast stać i dywagować przy płocie, zapraszam kolegów do mnie – powiedział Marian Rogala. – Sasza poda kawę, a ja, jeśli macie ochotę, poczęstuję was nalewką poziomkową. Wczoraj dostałem butelkę od wdzięcznego pacjenta. Miód w gębie.

– To już wdzięczni pacjenci nie przynoszą wypchanych kopert? – roześmiał się Nowakowski.

– Takie czasy, że nie wdzięczni pacjenci, a często gęsto ich synalkowie i córeczki na urzędowych stanowiskach traktują mnie jak taksiarza, który ma być na ich wezwanie. Prawdziwie wdzięczni pacjenci coraz rzadziej się zdarzają. Czasem ktoś przyniesie kwiaty, czego nie lubię, ale toleruję. Wolę dobre wino czy markowy koniak. Wczoraj dla odmiany dostałem nalewkę domowej roboty. Podobno na bimberku.

Chciałbyś, żeby traktowali cię jak chłopca, pomyślał Jung. Masz ciało mężczyzny i umysł kobiety. Nie potrafisz się zdecydować, z czego zrezygnować. Póki nie pozbedziesz się tego, co ma każdy facet w spodniach, swojej przynależności do płci nie powinienes podkreślać makijażem, wypielęgnowanymi paznokciami, ozdóbkami. A džinsami i koszulą rozpiętą do pasa. Nie łagodnym sposobem bycia. Zrozum, że żaden z nas, mam na myśli twoich sąsiadów, Olka, Wacka i siebie, nie traktuje cię jak kobiety.

– Przy okazji pytanie zasadnicze: czy policja ustaliła, kto okradł wasze mieszkania? – zaciekawiał się Jung, sięgając po kieliszek z nalewką. – Bez wskazania złodzieja lub wyraźnego określenia, że jego ustalenie na razie jest niemożliwe, nie macie co liczyć na odszkodowania. Takie są teraz przepisy.

– Naciągacze – orzekł Nowakowski. – Ale nie ze mną te numery.

ZIELONAGÓRA, LOTNISKO PRZYLEPA,

SOBOTA, PRZED POŁUDNIEM

– Tylu lądowań, ile startów! – zawołał ochroniarz za Grzegorzem Wieczorkiem. – Każdemu, kto dosiada motolotni, tego życzę i dzięki Bogu na razie u nas nie było poważniejszego wypadku.

– Czy ja pierwszy raz?

– Zawsze z doktorem Letzkiem – przypomniał mu ochroniarz.

– Pan Letzki jest w Zakopanem na konferencji. Pozwolił mi...

– Z samego rana doktor Letzki dzwonił na dyżurkę.

– Po co?

– No, że mam pozwolić ci latać.

– Każde życzenie w dzisiejszych czasach cuchnie zabobonem, panie starszy. Ale w kwestii latania jestem niewspółczesny – przyznał się Grzegorz. Chciał powtórzyć po Leonardzie da Vincim zdanie, które od dawna siedziało w jego głowie: „Wystarczy, że raz doznasz lotu, a będziesz zawsze chodził z oczami zwróconymi w stronę nieba, gdzie byłeś i gdzie pragniesz powrócić”, ale czy poza śledzeniem na ekranie tego, co się dzieje na lotnisku, ochroniarza jeszcze coś interesuje? – Gdyby coś...

– Długo masz zamiar latać? – Ochroniarz nie pozwolił mu dokończyć zadania. Zaraz po zawodówce został żołnierzem zawodowym i pewnie byłby nim aż do emerytury, gdyby zrobił maturę wtedy, gdy inni klęli i się uczyli. Zwolniony z wojska do cywila, dostał się do oddziału firmy Gremler Security, chroniącego lotniska i większość dworców w regionie. Szwagier kpi z jego szefa, bo czy były sierżant sztabowy na krótkich nogach, z powodu wystającego brzucha noszący spodnie na szelkach i niedosłyszający, cokolwiek ochroni?

– Dlaczego pana ciekawi to, jak długo mam zamiar latać? Czyżby znowu jacyś bogacze zarezerwowali przestrzeń nad Przylepą? No tak, płacą i wymagają.

– Pan Jung pytał, czy na dziś zapisało się dużo lotniarzy. Redaktor jedynie w soboty przyjeżdża na lotnisko. Nie szkoda to maszyny, żeby gniła w hangarze? Letzki przynajmniej panu nie żałuje.

– Nikt niczego nie daje za darmo. Nawet doktor inżynier Bogusław Letzki. W sezonie każda motolotnia musi być użytkowana określoną liczbą godzin, w przeciwnym razie zardzewieje, a jej właściciel straci świadectwo kwalifikacji – wyjaśnił Grzegorz, otwierając drzwi hangaru.

ZIELONAGÓRA, LAS ZA OBWODNICĄ MIASTA, PIĄTEK, ZARAZ PO POŁUDNIU

Pomimo końca sierpnia i sezonu urlopowego, upały nie ustępowały. Tak gorąco nie było nawet w połowie lipca, a to w zachodniej Polsce najgorętsza pora roku. Bardziej z przyzwyczajenia niż z troski o samopoczucie starszych ludzi kardiologzy mówili, że

kto nie musi wyjść za próg swego mieszkania, niech spuści żaluzje albo zasłoni okna firankami i siedzi w czterech ścianach. Kto chce, znajdzie sobie pożyteczne zajęcie. Można coś poczytać albo zrobić porządki w szafie. Powoli można przygotowywać się do okresu świątecznego, który w Polsce zaczyna się pod koniec października od porządkowania grobów na cmentarzach. Potem są Zaduszki, Dzień Odzyskania Niepodległości, andrzejki, mikołajki, Boże Narodzenie. Ponadto jesienią przypada Światowy Dzień Osób Starszych, Dzień Reumatyzmu, Dzień Niewidomych, Dzień Walki z Gruźlicą, Tydzień Pisania Listów, Dzień Pluszowego Misia, Dzień Osób Niepełnosprawnych, Europejski Tydzień Autyzmu, Barbórka górników i nafcjarzy. W telewizji jest tyle ciekawych programów, że nawet najbardziej wybredna osoba nie powinna się nudzić. Dla pracujących na dworze lekarze nie mieli żadnych rad, jeśli nie liczyć zalecenia, żeby pili dużo wody niegazowanej i jak najkrócej przebywali na słońcu, z czego najbardziej cieszyli się miglance.

– Długo tak będziemy tu siedziały? – zapytała Dominika Białek, wachlując się notesem Nataszy. – W lesie duchota większa niż w komendzie. I jeszcze ta spalenizna.

– Umówiłaś się z kimś?

– Ty jesteś na stażu, dlatego musisz robić tak, jak ci każe naczelnik. Ja mam praktykę wakacyjną. Powinnam pracować najwyżej sześć godzin. I nigdy w sobotę.

– Wracaj do miasta – rzuciła Natasza.

Dominika wstała, zapaliła papierosa i zrobiła kóleczo wokół pogorzeliśka.

– Nie pal.

– A co, jesteś w stanie błogosławionym? Z kim? Jednak z Arachą? – Dominika miała ochotę powtórzyć to, co Karolina opowiadała o Araszkiwiczu, ale ugryzła się w język. – Jesteś pewna, że oni wrócą?

– Bezdomni?

– Ci, na których czekamy.

– Wrócą.

– Zachleją gdzieś mordy i...

– Z pewnością nie wylewają za kołnierz. Zarabiają na sprzedaży jagód, grzybów i tego, co tu widzisz. Gdyby byli moczymordami, spaliby na ławkach w parku Tysiąclecia albo na noc szli do noclegowni, w dzień na zakup do Caritasu i stali z wyciągniętymi rękoma przy parkometrach. Oni nie kradną. Nie nabierają ludzi na litość. Oni zbierają jagody, grzyby, butelki, puszki po piwie, nawet gazety i kartony. Krótko mówiąc, są bardziej pożyteczni niż ci się wydaje.

Dominika strzeliła śmiechem.

– Jeszcze nie słyszałam, żeby policjantka aż tak dobrze mówiła o pijakach.

– Niczego nie ruszaj!

– Bo co? – Dominika się roześmiała, jednak wstrzymała się przed dotknięciem gilzy zawieszanej nad czymś w rodzaju furki.

– Bo może to źle się skończyć – ostrzegła Natasza. – Jeden z nich był strzelcem w Gwardii. Zna się nie tylko na broni sportowej.

Dominika stanęła przed koleżanką.

– Jedźmy nad jezioro – zaproponowała. – Wykąpiemy się i za godzinkę będziemy z powrotem.

– Jesteśmy na służbie – przypomniała stażystka akurat w chwili, gdy między drzewami pojawiły się dwie sylwetki. – Wracają – pokazała głową w stronę ścieżki.

Bezdomni je zauważyli. Wąsaty nawet podniósł rękę. Natasza miała wrażenie, że uśmiechnął się do niej i przyspieszył kroku. Ten w podkoszulku zatarł dłonie i powiedział coś wesołego, bo wąsaty gromko się roześmiał. Pięć minut później pokazała im zdjęcie kobiety sfotografowanej przez redaktora Junga w Guben, ale nie wyjawiała gdzie, spytała tylko, czy tę kobietę widzieli w lesie tego dnia, kiedy spalił się volkswagen.

– To było dwa tygodnie temu – przypomniał ten w podkoszulku. – Powiem, że ta sama, a będzie inna, i wy ją...

– Ta i jakby nie ta – powiedział wąsaty. – Prędeż ta sama. Nos z boku... Kiedyś, jak strzelałem w Gwardii, miałem wzrok, dziś już nie te oczy. Niedługo będzie trzeba wykombinować jakieś okulary.

– Dobre i to. – Natasza uśmiechnęła się najpierw do wąsatego, potem do tego w podkoszulku. Wyjęła z torebki dwie puszki piwa. – Dziękuję.

ZIELONAGÓRA, LOTNISKO PRZYLEPA, SOBOTA, PO POŁUDNIU

Pomimo że docent Pastwa z uniwersyteckiego zakładu budowy i eksploatacji pojazdów nie był biegłym z zakresu lotnictwa, kilka minut po tym, jak prokurator wezwał go na lotnisko, z marszu wskazał przyczynę wypadku.

– Silnik motolotni przestał pracować ze względu na brak dopływu paliwa, a powodem tego mógł być uszkodzony wężyk.

– Co to znaczy uszkodzony? – zapytał Araszkiewicz, który w sobotę miał dyżur w wydziale kryminalnym.

– Miękki, elastyczny przewód, który doprowadza paliwo z baku do silnika, jest przecięty w dolnej części.

– Celowo przecięty czy na skutek drgań lub zmęczenia materiału?

– Wygląda tak, jakby ktoś przeciął go czymś bardzo ostrym, może nożem, i to miejsce owinął taśmą samoprzylepną. W każdym biurze znajdzie pan identyczną taśmę. Od uruchomienia silnika i wyniesienia wózka motolotni na parędziesiąt metrów upłynęło kilka minut. W tym czasie ciśnienie wytworzone przez paliwo z tak ogromną siłą działało na ścianki przewodu zasilającego, że rozerwało go w najsłabszym punkcie, czyli w miejscu złączenia przezroczystą taśmą. Zamiast do silnika, benzyna wyciekła na ramę wózka.

– Czyżby lotniarz tego nie poczuł?

– Może poczuł, ale było za późno na lądowanie.

– To początkujący lotniarz, mógł spanikować. W dodatku latał nie na swoim

sprzęcie – wtrącił zarządca aeroklubu.

– Na powierzchni ziemi, gdzie ruch powietrza jest znikomy, kierowca natychmiast poczuje zapach paliwa. Niestety, nie znam się na tym, domyślam się jedynie, że w górze – docent Pastwa podniósł palec wskazujący – ruch powietrza musi być większy i tak płynny, że pilot nie wyczuwa zapachu paliwa. Na jaką wysokość motolotnia się wzbiła? Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć. Czy gdyby znajdowała się niżej, pilot przeżyłby upadek? Być może uda się to ustalić komisji badania wypadków lotniczych.

– Czy dobrze zrozumiałem docenta, że wężyk pękł nie z powodu zmęczenia materiału, a ktoś go przeciął? Zrobił to umyślnie, żeby paliwo wyciekło w trakcie pracy silnika i doszło do katastrofy?

– Tak podejrzewam.

– Kto to był? Kiedy przeciął wężyk?

– Nazwiska nie znam, godziny nie potrafię ustalić, jeśli w ogóle jest to możliwe.

– Docent twierdzi, że uszkodzenie było umyślne.

– Nigdy tak nie twierdziłem – postawił się Pastwa. – Sformułowałem wniosek jedynie na podstawie wstępnych oględzin silnika i wózka motolotni.

– Krótko mówiąc: ktoś postanowił pozbawić życia doktora Letzkiego. Zginął Wieczorek. Chociaż ten ktoś mógł wiedzieć, że dziś nie Letzki, a Wieczorek zajmie miejsce za sterem motolotni – dedukował aspirant. Araszkiewiczowi przypomniało się, że Grzegorz jest nieślubnym synem Witkowskiego, potrzebował pieniędzy na dokończenie studiów i pewnie domagał się od profesora opłaty za milczenie. Stanisława Wieczorek też mogła szantażować Witkowskiego, więc ją zamordował i dlatego się ukrywa. I może jeszcze się okaże, że profesor podpalił swój domek w Jodłowie. To jedyny sposób na odwrócenie uwagi śledczych od faktycznego winowajcy, dedukował policjant, jednak tego nie powiedział głośno.

– A nie bierze pan pod uwagę tego, że ten ktoś mógł zastawić pułapkę nie na doktora Letzkiego, lecz na redaktora Junga? – Pastwa zwrócił się do zarządcy lotniska: – Maszyny Junga i Letzkiego stały obok siebie w tym samym boksie, prawda?

– Jak najbardziej.

– W Warszawie dziennikarze dużo mogą. Zechcą, to i obalą ministra. U nas... Zna docent kogoś, komu Jung na tyle zalażł za skórę, żeby z tego powodu podał się do dymisji? Prędzej politycy jego wykończą niż on polityków. – W głosie policjanta było czuć drwinę.

– A komu Letzki zalażł za skórę?

– Choćby komuś z zakładu bioinżynierii. Najprędzej któremuś studentowi nie dał zaliczenia – nie ustępował aspirant. – Co to mało jest bezwzględnych idiotów na waszym uniwersytecie?

Zarządca potwierdził, że Jung i Letzki wynajmowali podwójny boks w hangarze dla swoich motolotni. Inni się ociągali, a im nie trzeba było przypominać, żeby systematycznie płacili za miejsca, i straszyć eksmisją, bo kolejka chętnych do zajęcia

boksu jest coraz dłuższa.

– O ile wiem, redaktor Jung zgłosił latanie dziś o dziesiątej. Ochroniarz poinformował mnie, że dotąd nie odebrał klucza do boksu – powiedział zarządca lotniska do policjanta.

– Obejrzyjmy motolotnię Junga – zaproponował docent. – Może to coś wyjaśni i pomoże aspirantowi w prowadzeniu śledztwa.

– I co to da? Tylko zawracanie głowy – postawił się Araszkievicz. – Trzeba wyjaśnić, komu zależało na tym, żeby spowodować wypadek i tym samym doprowadzić do śmierci Wieczorka. Wszystko inne w ocenie prokuratora okaże się bez znaczenia. Mówię to na podstawie mojego doświadczenia.

– Czyżby na pewno tak miało być? – zapytał docent po chwili milczenia. Nie czekając na odpowiedź aspiranta, rzucił do zarządcy: – Proszę nas zaprowadzić do hangaru i otworzyć boks wynajmowany przez obu panów.

Było tak, jak domyślał się Pastwa. Przewód doprowadzający paliwo do silnika motolotni Daniela Junga też ktoś przeciął i owinął przezroczystą taśmą samoprzylepną. Temu, kto to zrobił, nie chodziło o Grzegorza Wieczorka, lecz o redaktora, pomyślał docent, ale nie powiedział tego głośno tylko dlatego, że nie lubił Araszkievicza. Aspirant kilka razy próbował podważyć jego opinie jako biegłego. Niedawno powiedział, że Pastwa nigdy nie dostanie nominacji profesorskiej i dlatego do emerytury będzie docentem.

ZIELONAGÓRA, LOTNISKO PRZYLEPA, SOBOTA, PO POŁUDNIU

Wreszcie Araszkievicz poczuł się ważny. Gdy technicy zrobili to, co zawsze robią na miejscu śmiertelnego wypadku, zaraz po nich łapiduchy wpakowali zwłoki Wieczorka do pokrowca i powieźli je do chłodni zakładu medycyny sądowej, aspirant zadzwonił do Junga. Nie pytając, gdzie jest i czy ma czas, kazał mu bez ociągania przyjechać do komendy. Zaznaczył, że w celu złożenia wyjaśnień.

– W zależności od tego, co usłyszę, prokurator uzna redaktora za podejrzanego, co może oznaczać wniosek do sądu o tymczasowy areszt albo zwolnienie. Niech redaktor bierze pod uwagę dłuższą nieobecność w redakcji – zaznaczył w odpowiedzi na pytanie Junga o przyczynę natychmiastowego wezwania do komendy w sobotę po południu.

– Jestem w Jodłowie. Na popołudnie zaplanowałem latanie na motolotni. Latem robię to zawsze w sobotę przed obiadem, ale dziś jest wyjątek od reguły.

– Redaktor będzie musiał zmienić swój plan. Za godzinę spotkamy się u mnie w komendzie. Niech redaktor potraktuje to z całą powagą. Nie chciałbym zastosować środków przymusu bezpośredniego. Bez odbioru.

W drugiej kolejności Araszkievicz zadzwonił do Nataszy i kazał jej przyjechać na lotnisko aeroklubu.

– Wolna sobota, Tadziulka – przypomniała, po czym spytała głosem przymilnym, czy ma przygotować kolację dla dwojga.

– To, co usłyszałaś, potraktuj jako polecenie służbowe – rzucił szorstko i wcisnął czerwony guziczek na klawiaturze komórki.

Dwadzieścia minut później Natasza ubrana jak na piknik usiadła przy długim stole w sali zebrań obok gabinetu zarządcy aeroklubu. Żaden z wezwanych tam trzech ochroniarzy, którzy dyżurowali na poprzednich zmianach, nie zauważył nikogo podejrzanego ani obcego na lotnisku. Największy ruch przy hangarach panował w piątek po południu, kiedy motolotniarze przygotowywali swoje sterowce do sobotnich lotów. Dopiero ten, który dziś o szóstej objął zmianę dzienną, przypomniał sobie, że gdy szedł Skokową, widział samochód zaparkowany na poboczu ulicy niedaleko lotniska.

– Czy ktoś był w środku? Kolor samochodu? Marka? Coś przykuło pana uwagę? Może coś zaskoczyło? – dociekała Natasza.

– Czasem parki uciekają z miasta tu, żeby się migdalić. Człowiek idzie i odwraca głowę, niby na nich nie zważa, ale zawsze coś tam zobaczy. A tym razem w środku nie było żywego ducha. Jedno, co zwróciło moją uwagę, to blacha.

– Jaka blacha? Ma pan na myśli karoserię?

– Nie.

– A! Tablica rejestracyjna?

Ochroniarz potwierdził oczami.

– Z przodu było na niej „SPN”, potem jeszcze jakieś dwie litery i dalej same cyfry, pierwsza na pewno szóstka. Pozostałe wyleciały mi z głowy – przyznał się zawstydzony.

Natasza przebiegła w pamięci oznaczenia występujące na tablicach rejestracyjnych. „S” to na pewno województwo śląskie.

– Powiat pszczyński albo miasto Piekary Śląskie.

– Z lewej strony, pod gwiazdkami unijnymi, tam gdzie powinno być „PL”, było „D” – przypomniał sobie ochroniarz.

– Landkreis Spree-Neisse, dosłownie powiat od Sprewy do Nysy – wyjaśniła Natasza. – Może zapamiętał pan kolor samochodu? – uśmiechnęła się do niego. – Markę? Bo ja wiem, co jeszcze?

– Aha! Jakby czerwone. Golf albo coś podobnego? Chyba jednak golf, ale pewności nie mam.

Do sali wszedł zarządca lotniska.

– To moi ludzie znaleźli przy płocie – powiedział, kładąc na stole zawinięte w gazetę nożyce do przycinania drutu. – Niemieckie.

– Po czym pan poznał, że niemieckie? – zapytała Natasza.

– Po firmie. Schneider. Nasz konserwator ma identyczne. Ale to nie jego. Sprawdziłem osobiście. Jego nożyce są w torbie na narzędzia.

– Czyje więc?

– Tego, kto spowodował wypadek – domyślał się zarządca.

Natasza wstała.

– Na razie dziękuję za wyjaśnienia. Coś jednak mamy. Proszę panów o nieopuszczanie miasta bez zgody policji.

– Długo? – odezwał się ochroniarz ze zmiany dziennej.

– Co długo?

– Od środy biorę urlop. Mam skierowanie z firmy do sanatorium. Jak nie pojedę, to każą zapłacić.

– Myślę, że do środy uda się nam przeanalizować nagrania z kamer dozoru.

ZIELONAGÓRA, UL. WĄSKA, SOBOTA, PRZED WIECZOREM

Są kobiety, które traktują swoich mężów jak niepełnoletnich synów. Taka była ciotka Miśki. Żona Daniela jest kopia ciotki. Dwa, trzy dni przed każdym wyjazdem na konferencję naukową smaży kotlety, przyrządza sosy, gotuje zupy, nawet piecze jabłecznik. Wszystko dzieli na porcje, wtyka do plastikowych opakowań, na każde nakleja karteczkę i pisze, co się w nim znajduje, część wstawia do lodówki, resztę do zamrażarki. Pierze i prasuje. Robi to dlatego, aby Daniel nie odczuwał jej nieobecności w mieszkaniu. Wedle Miśki w zgodnym małżeństwie żona ma swoje obowiązki, mąż swoje. Żadne nie wkracza na ścieżkę drugiego. Gdy Daniel zarzucał jej, że przekracza granice jego wolności, bo kazała mu zmienić wodę po goleniu albo kupowała taką koszulę, jakiej sam by nie kupił, Miśka dawała za przykład ciotkę.

– W niedzielę nawet sprawdza, w jakiego koloru skarpetach wujek szykował się do kościoła. Gdyby założył jasnoniebieskie z ciemnoniebieskimi zygzakami, nakazałaby mu zmienić je na szare w zielone paski, a najlepiej na granatowe. Nigdy na czarne. Ciotka uważała czarny kolor za żałobny – przypomniała Miśka przed wyjazdem na sympozjum medyków sądowych do Braszowa.

Kiedy Miśka pojechała z doktorem Pogonowskim jego bmw do Rumunii zeszłego roku, Daniel nawet się cieszył, ale gdy oboje byli na podobnym spotkaniu w słowackim Popradzie, miał jej to za złe, a wręcz podejrzewał żonę o ukrywany romans z adiunktem. Teraz nawet nie przyszło mu to do głowy, prawdę mówiąc również miał sporo grzechów na sumieniu, większość z powodu Magdy, bo tamto z żoną doktora Ghanena traktował jako przygodę bez znaczenia. Tyle razy obiecywał sobie, że do sekretarki naczelnej będzie się odnosił tak jak do każdej koleżanki w redakcji i mimo to, gdy ją spotykał na korytarzu, uśmiechał się, zagadywał, a nawet brał pod ramię i muskał w policzek. Magda też nie była mu dłużna.

Coraz częściej miał wrażenie, że w jego małżeństwie nuda i przyzwyczajenie zajęły miejsce namiętności. Kochał Miśkę, tyle że nawet tygodniami mógł się bez niej obyć. A gdy wróciła do domu, nic się nie działo, czego nie dało się przewidzieć. Po prostu dominowała rutyna. Czyli to, co niszczy związek kobiety i mężczyzny w średnim wieku.

Rutyna jest dobra w miejscu pracy, ale nie w małżeństwie.

Teraz cieszył się dlatego, że Miśka nie będzie go poszukiwała. Czym innym ma zajęta głowę w Braszowie. Gdyby jednak zadzwoniła i zamiast żywego głosu Daniela usłyszała automatyczną sekretarkę, jakoś to sobie wytłumaczy. Co innego, gdyby zadzwoniła z Zielonejgóry. Wtedy nie usłyszy jego głosu z dwóch powodów. Po pierwsze, dyżurny komendy zabrał mu komórkę i kazał wyjąć wszystko, co miał w kieszeniach spodni. Nawet paczkę chusteczek higienicznych. Po drugie, aspirant Araszkiwicz nakazał dyżurnemu, żeby pod żadnym pozorem nie pozwolił Jungowi na dostęp do telefonu policyjnego. Oznaczało to także, że nie zadzwoni do Syskiego i nie poprosi go o interwencję, a na to liczył, kiedy dyżurny wyprowadził go z pokoju przesłuchań.

– To, co zrobiłeś, Tadeusz, jest więcej niż zwyczajnym świństwem. Znamy się tyle lat, pomagałem ci i...

– Na dwie doby policja ma prawo przymknąć każdego obywatela bez podania przyczyn – odpowiedział Araszkiwicz Jungowi. Do dyżurnego rzucił: – Co koń wyskoczy na dołek z nim!

– Komisarza... redaktora zamknąć?

GUBEN, FRANKFURTERSTRASSE, NIEDZIELA, POD WIECZÓR

Po powrocie z Berlina Paulina słowem nie pisała na temat tego, co tam robiła. Tak jej nakazała Vanessa.

– To dla ciebie – powiedziała, stawiając na stole dwie butelki berlińskiego portera. Wiedziała, że piwem zrobi Eluńkowi większą przyjemność, niż gdyby przywiozła najdroższą bluzkę kupioną w butik na Hackescher Markt czy najmodniejsze džinsy prosto z salonu Wranglera. Na ciuchy z renomowanych domów mody Eluniek nie zwracała specjalnej uwagi, nie znaczy to, że ubierała się byle jak. Wszystko, co na siebie zakładała, było wygodne i unikatowe. Czego sama nie umiała uszyć, szkicowała na papierze i zeskanowany pomysł wysyłała do zielonogórskiej pracowni Ewy Minge, od kilku sezonów rozpoznawalnej stylistki feministycznego odzienia.

Eluniek zdawała sobie sprawę, że wszyscy, z którymi podczas przerwy w pracy siedzi przy stole w jadalni, patrzą na nią podejrzliwym wzrokiem. Gdyby nie obawiali się kadrowej, dokuczaliby jej otwarcie. Co ciekawe, ci mężczyźni, którzy pogardzają gejami, również bez szacunku odnoszą się do lesbijek. Kobiety są bardziej wyrozumiałe dla homoseksualistów obu płci. Kiedyś Eluniek postanowiła sprawdzić, jak to jest być z mężczyzną w łóżku. Było źle. Błagała w myślach, żeby to się skończyło. A gdy się skończyło i ten, z którym poszła do łóżka, spytał, czy jest zadowolona, bo milczy, ubrała się i bez słowa wyszła z pokoju.

– Wszystkim samcom chodzi o to samo – powiedziała wtedy do Pauliny.

– To znaczy?

– Żeby poruchać za darmo.

– Także i po to Stwórca dał mężczyźnie kobietę.

Paulina sądziła, że Eluniek będzie ją wypytywała, co Vanessa sobie kupiła w Berlinie, ile wydała pieniędzy, czy jej też coś zafundowała. Nawet na najbardziej podchwytliwe pytanie przygotowała odpowiedź, ale Eluniek milczała, jeśli nie liczyć tego, co powiedziała zaraz po wejściu Pauliny do pokoju:

– Gdyby przyszła ci do głowy myśl, żeby mnie rzucić, byłby to twój koniec. Rozstałyśmy się na niecałe trzy dni, a mnie się wydawało, że nie ma cię miesiąc. Nie wyobrażasz sobie, jak mi ciebie brakowało. Ani spać, ani jeść bez ciebie – oznajmiła i pocałowała Paulinę w usta, w oczy, w nos, w jedno ucho, w drugie, w szyję, znowu w usta, a potem mocno się do niej przytuliła. – Kocham cię jak nikogo nigdy. Jestem przekonana, że z żadnym mężczyzną nie byłoby mi tak dobrze, jak jest z tobą.

Vanessa zabroniła mi pisać słowem, co przez trzy dni robiłyśmy w Berlinie. Gdyby Eluniek dociekała, mam odpowiadać, że było superfajnie i kiedyś znowu się wybierzemy, może nawet w większym gronie, przypomniała sobie Paulina to, co nakazała jej Vanessa. Przecież Eluniek mnie kocha, a ja ją. Przed najbliższą osobą nie wolno niczego ukrywać. Jak ją poproszę, żeby nie przyznała się Vanessie, że wszystko wie, to się nie przyzna, była pewna Paulina.

– Mam dla ciebie wspaniałą propozycję – powiedziała tajemniczym tonem.

– Ja też coś mam – pochwaliła się Eluniek i czule ją przytuliła. Robiła to często.

– Co?

– Najpierw ty.

– W środę weźmiemy urlop do końca tygodnia. Vanessa funduje nam wakacje w Goyatzu nad Schwielochsee – powiedziała Paulina i zdecydowała, że nie teraz, a tam wszystko wyjaśni. Powtórzy ze szczegółami to, co narzucił jej doktor Betrüger. Nie była pewna, czy Eluniek ją pochwali, ale gdy się dowie, ile dostanie za to pieniędzy, nie odsądzi jej od czci i wiary. Za dziewięć miesięcy będą miały klucz do apartamentu w Residences in Park. A przecież tylko o to im chodziło.

ZIELONAGÓRA, UL. STRZELECKA, NIEDZIELA, PÓŹNYM WIECZOREM

Przygotowując kolację, Natasza co chwila zerkała na Tadeusza i uśmiechała się, on zaś miał twarz poważną, jakby siedział nie na krześle w jej hotelowym pokoiku na parterze, a przed drzwiami sekretariatu komendanta i czekał na wezwanie. Od rozkazu, który wyda mu inspektor, zależy los całego świata. Tego zadania Tadeusz oczekiwał od dnia przyjęcia do policji. Już miał dość przesłuchiwanie złodziejaszków, narkomanów, morderców, dlatego nie chciał być oficerem kryminalnym w wydziale kierowanym przez komisarza Syskiego. Nęciła go służba w sekretariacie generalnym Interpolu albo w dyrektoriacie Europolu. Mógłby też pracować w komendzie głównej lub wojewódzkiej. W ostateczności przyjąłby stanowisko naczelnika wydziału lub zastępcy, pod warunkiem że Syski przejdzie na wcześniejszą emeryturę.

Z apetytem zjadł to, co Natasza przygotowała, i dopiero wtedy przypomniał sobie, że w torbie ma butelkę egri bikavér, po którą specjalnie pojechał do delikatesów

w Focusie. Odkorkował ją i sięgnął po dwie szklanki.

– Mnie nie nalewaj – rzuciła krótko i zdecydowanie Natasza. – No, może ociupinkę.

– We wtorek mówiłaś, że lubisz „byczą krew” – przypomniał. – A teraz nie masz ochoty?

– Lubiłam dobre wino i nie przestałam lubić.

– To dlaczego nie pijesz?

– Nie powinnam.

– Nie powinnaś?

– Jestem w... ciąży – oznajmiła i z uśmiechem zadowolenia podniosła wzrok na Tadeusza.

– Jesteś w... ciąży, tak? – zapytał po dłuższym zastanowieniu, jakby nie zrozumiał tego, co powiedziała.

– Tak – potwierdziła i kiwnęła głową.

– Z całego serca gratuluję.

– Dziękuję. A nie interesuje cię, kto jest ojcem dziecka?

– Kto jest ojcem dziecka? – powiedział na odczepnego.

– Jak sądzisz? – dociekała z tym samym uśmiechem, co minutę temu. Może tylko bardziej zagadkowym.

– Nie wiem. Nie śledzę cię.

– Ty, Tadziulka.

– Ja? – zapytał, wybałuszając oczy. Wstał. Zrobił dwa kroki do tyłu, oparł się o umywalkę i stał tak z otwartymi ustami. Po chwili usiadł przy stole. Znowu wstał i potrząsnął głową, jakby nie wierzył w to, co powiedziała Natasza.

– Ty, mój kochany.

Chwycił szklankę i wypił wino jakby to była woda, po czym wierzchem dłoni otarł usta.

– A od kiedy jesteś w tej ciąży?

– Od pięciu dni.

– To znaczy – liczył, załamując palce – od wtorku. I już masz pewność, że jesteś w ciąży?

– Kobieta następnego dnia wie, czy będzie matką.

– Aha, no i dlatego nie pijesz wina. Słusznie.

– Dziecko musi być zdrowe.

– Czyje dziecko?

– Nasze, Tadziulka. Twoje i moje. Od pięciu dni tu je noszę. – Natasza wzięła jego dłoń i położyła na swoim płaskim brzuchu.

– Twierdzisz, że jesteś w ciąży.

– Tak twierdzę. Z tobą, Tadziulka, czego nawet nie próbuj się wypierać.

– Na pewno?

Westchnęła. Podkurczyła nogi na łóżku i przez chwilę nad czymś się zastanawiała.

– Nie uważaliśmy.

– W takim razie...

– Ożenisz się ze mną czy mam się jej pozbyć? – zapytała, nie pozwalając mu dokończyć. – Aborcja bez wyraźnie określonych przyczyn jest karalna. Kto, jak nie my, policjanci, przede wszystkim powinien przestrzegać przepisów?

Nagle przypomniało mu się pytanie, które niedawno zadała Karolina:

– Czy gdybym była z tobą w ciąży, poprosiłbyś mnie o rękę? Inaczej mówiąc, czy ożeniłbyś się ze mną?

Wtedy bez namysłu odpowiedział:

– Oczywiście. Jestem odpowiedzialnym oficerem policji. Czego od innych wymagam, tego przede wszystkim sam muszę przestrzegać. – Po chwili spytał: – Ale jaką mam pewność, że nie będę wychowywał czyjegoś bachora?

Naga Karolina wstała z łóżka, otworzyła drzwi na korytarz i krzyknęła:

– Wynocha, tchórze!

ZIELONAGÓRA, UL. DWORCOWA, PONIEDZIAŁEK, BARDZO WCZEŚNIE Z RANA

Dowódca patrolu nie musiał przekonywać komisarza Syskiego, że policjanci, którzy mają służbę w okolicy dworca kolejowego i autobusowego, sumiennie wykonują swoje obowiązki. Nie zdarzyło się, żeby któryś zadekował się w dworcowym komisariacie i położył na krzesłach albo chociaż uciął sobie drzemkę. Pasażerowie, a jeszcze częściej nietrzeźwi bezdomni i bywalcy pobliskiego klubu na to nie pozwalają.

– O drugiej wezwaliśmy radiowóz. Dwóch nieźle wstawionych i zakłócających ciszę nocną koledzy odwieźli do izby wytrzeźwień – wyjaśnił dowódca, gdy komisarz spytał go, co widział on lub jego kolega. – Z doświadczenia wiemy, że po takiej akcji na dworcu robi się spokojniej. Wyszliśmy więc na ulicę, za kioskiem jest miejsce, gdzie możemy sobie zapalić. Na dworcu palenie surowo zabronione. Moglibyśmy w komisariacie, ale to też pomieszczenie dworcowe i jeszcze by ktoś... Kiedy tak staliśmy i sobie popalaliśmy, kolega... – dowódca urwał i przekrzywił głowę w stronę posterunkowego. – Mów, jak było.

– Wydawało mi się, że facet próbuje przedostać się przez płot na podwórze szkoły sztuk walki. Pokazałem głową na drugą stronę ulicy i spytałem kolegę, czy widzi to samo, co ja. „Jeszcze jeden pijaczek. Mało ci? Daj sobie spokój. Nie awanturuje się, nie krzyczy. Postoi i pójdzie sobie”, odpowiedziałeś. A ja, że za długo stoi w jednym miejscu i ani drgnie. Zgadza się?

– Powiedzmy – rzucił dowódca patrolu, jakby nie był pewny, czy tak było.

– Pijak stoi, stoi i nic. Ani w lewo, ani w prawo. Jak słup. Ty sobie spokojnie pal, bo ja jestem niepalący, a ja w tym czasie sprawdzę, co z nim. Gdy przechodziłem przez ulicę, akurat ktoś zamykał okno w pokoju na piętrze. I zaraz zgasło tam światło.

Ale w którym pokoju, nie zdążyłem sprawdzić. Zresztą po co?

– A co z pijakiem? – dociekał coraz bardziej zniecierpliwiony Syski.

– To, co pan komisarz widzi. Nadziany na płot. Pewnie chciał przejść na drugą stronę, ale się zawiesił. Co by innego?

Syski dał mu znak ręką, że może odejść. Komisarz podszedł do lekarza, a ten powiedział, że póki nie przyjedzie ambulans pracowni medycyny sądowej i ratownicy nie zdejmą ciała z płotu, niewiele da się stwierdzić.

– Jakie są pierwsze spostrzeżenia? – mimo to zapytał policjant.

– Jedzie od niego alkoholem. Wypił sporo.

– Narkotyki?

– Nie mam testera. To będzie musiał ustalić doktor Trzcinka podczas obdukcji. On też poda, co spowodowało zgon. Na razie mogę powiedzieć, że ma czarne wąsy i wytatuowaną kreskę na prawym nadgarstku. Na czubku głowy łysy. Na skroniach włosy oszronione, ale nie siwe.

To samo widział komisarz.

– Jego wiek? – rzucił do lekarza.

– Na mój nos tuż przed pięćdziesiątką albo dwa, trzy lata po.

– Nie Witkowski – stwierdził policjant, chociaż nie był tego pewny.

– Facet nie próbował przejść przez płot.

– W takim razie skąd się tu wziął? – zapytał ostro komisarz.

– Jego ciało zostało nadziane na metalowe sztachety. Przecież nikt o zdrowych zmysłach w ten sposób nie pokonuje płotu. To było po pierwsze. Po drugie, po co miałyby przechodzić przez płot, skoro obok jest otwarta furтка?

O tym Syski nie pomyślał.

ZIELONAGÓRA, UL. WĄSKA, PONIEDZIAŁEK, Z RANA

Ledwie zegar na korytarzu wybił ósmą, aspirant Araszkiwicz wszedł do sekretariatu naczelnika wydziału kryminalnego. Jeszcze nie wiedział, od czego zacząć rozmowę z Syskim. Komisarz powinien pierwszy usłyszeć, że żenię się z Nataszą, ale czy to na pewno interesuje naczelnika? I że za dziewięć miesięcy przez czas jej urlopu wychowawczego będzie mniej o jedną policjantkę w wydziale. Spraw prywatnych nie będę przenosił na grunt służbowy, zdecydował akurat w chwili, gdy sekretarka powiedziała, że szef skończył rozmowę z komendantem przez telefon.

– Poza wypadkiem na lotnisku w sobotę i niedzielę – zaczął, stojąc niemal na baczność – nic się nie wydarzyło, co znajduje się w orbicie zainteresowań naszego wydziału. Ofiarą jest mężczyzna, lat dwadzieścia dwa, bez świadectwa kwalifikacyjnego do latania. Wieczorek Grzegorz. Sierżant Natasza Woźniak – rano w drodze do komendy rozważał, co lepiej brzmi: Natasza Araszkiwicz czy Natasza Woźniak-Araszkiwicz – przesłuchiwała ochroniarzy pracujących na lotnisku. Protokół

będzie gotowy za dwie, trzy godziny. Raczej niewiele wiedzą. Sprawa wygląda inaczej, jeśli chodzi o Junga. Niech szef posłucha. – Uruchomił dyktafon.

– Przesłuchanie świadka, ewentualnie podejrzanego. Czynność rozpoczęto w sobotę o godzinie szesnastej dwadzieścia siedem w komendzie miejskiej. Przesłuchujący starszy aspirant magister Araszekiewicz Tadeusz, pełniący sobotnio-niedzielną dyżur w wydziale kryminalnym. Przebieg przesłuchania zarejestrowany za pomocą dyktafonu marki Sony Ericsson. Nazwisko i imię?

– Przestań się wygłupiać, Tadeusz.

– Proszę podać swoje nazwisko i imię. Przypominam, że obywatel jest na komendzie.

– Zwariowałeś?

– Powtarzam polecenie. Obywatelu, proszę podać swoje nazwisko i imię.

– Niech ci będzie. Daniel Jung.

– Imię ojca?

– Władysław.

– Imię i nazwisko rodowe matki?

– Zofia Żymiłko.

– Miejsce zamieszkania?

– Zielonagóra, osiedle Słoneczne.

– Zawód wyuczony?

– Magister psychologii po policyjnych kursach w Pile i czeskim Holeszowie.

– Zawód wykonywany?

– Dziennikarz.

– Miejsce pracy?

– Tadeusz, woda sodowa uderzyła ci do głowy czy coś mocniejszego zmiękczyło ci mózg?

– Proszę nie używać niecenzuralnych słów. Jest obywatel na komendzie. Powtarzam pytanie. Miejsce pracy?

– Kunicki Media.

– Kunicki Media? A nie „Gazeta Zielonogórska”?

– Skoro wiesz lepiej ode mnie, Tadeusz, to po co robisz ten cyrk?

– To jest oficjalne przesłuchanie. Protokół będzie przepisywała anonimowa sekretarka w hali maszyn, a ona nie zna obywatela. Miejsce pracy?

– Kunicki Media, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością wydająca „Gazetę Zielonogórską”.

– Jeszcze jedna formalność. Uprzedzam o odpowiedzialności karnej za zeznanie nieprawdy lub zatajenie prawdy. Zrozumiał obywatel, co to oznacza?

– Czyś ty upadł na głowę? Po coś go tak maglował? – zapytał Syski, podnosząc się zza biurka i pokazując na dyktafon. – Tobie naprawdę coś zmiękczyło mózg.

– Postąpiłem zgodnie z obowiązującymi procedurami.

Komisarz chciał coś powiedzieć, ale machnął ręką i podszedł do okna. Boże,

Boże, zrób coś, żeby ten facet zrozumiał, kim jest i gdzie pracuje. Ile razy mnie zastępował, tyle razy miał na pieńku z Jungiem.

– Jak skończyło się przesłuchanie?

Araszkiewicz znowu włączył dyktafon.

– Kiedy był obywatel ostatni raz na lotnisku?

– Dwa tygodnie temu.

– Czy w piątek obywatel informował administrację lotniska, że w sobotę ma zamiar odbyć lot na motolotni?

– Nie ma takiego obowiązku. Jednak wszyscy członkowie naszej sekcji dzień przed planowanym lotem kontaktują się z zarządcą lotniska. Bywa niekiedy, że płyta jest wykorzystywana do innych celów i dlatego wtedy latanie rekreacyjne jest niewskazane.

– Gdzie obywatel przechowuje motolotnię?

– W hangarze. Precyzyjniej mówiąc, w boksie oznaczonym liczbą dwa.

– Dla ilu motolotni jest przeznaczony boks, w którym obywatel przechowuje swoją motolotnię?

– Dla dwóch. Mieści się w nim motolotnia doktora Bogusława Letzkiego i moja. Jest możliwe wstawienie trzeciej motolotni, ale dopiero po złożeniu skrzydeł.

– Dalej obywatel utrzymuje, że miał zamiar odbyć loty w sobotę?

– Podtrzymuję to, co dotąd powiedziałem.

– Te loty miały być przed południem? W południe? Po południu?

– Przed południem. W piątek, kiedy telefonowałem na lotnisko, jeszcze nie byłem pewny, czy w sobotę rano pojedę do Jodłowa, a jeśli pojedę, to ile czasu to mi zajmie.

– Co ile zajmie czasu?

– Droga tam i z powrotem oraz pobyt w Jodłowie.

– W jakim celu obywatel był w Jodłowie?

– Zbieram materiały do pewnego tekstu, który powinien się ukazać w „Gazecie Zielonogórskiej” najpóźniej za tydzień.

– Czego dotyczy ten tekst?

– Obowiązuje mnie tajemnica dziennikarska.

– Powtarzam pytanie. Czego dotyczy tekst, do którego obywatel zbierał materiały w Jodłowie?

– Przestań mnie wkurwiać, Tadeusz. Zachowujesz się jak krawężnik po szkółce na skrzyżowaniu.

– Jeszcze raz zwracam uwagę, że przesłuchanie odbywa się w komendzie miejskiej, gdzie posługiwanie się słownictwem niewybrednym może zostać uznane za celowe wprowadzanie policji w błąd. To może źle się skończyć dla obywatela. Przypominam, że uprzedziłem obywatela o odpowiedzialności karnej za zeznanie nieprawdy lub zatajenie prawdy.

– Przepraszam. I skończ z tym obywatelem. Znamy się tyle lat...

– Kto może potwierdzić, że obywatel był w Jodłowie?

– Profesor Uniwersytetu Zielonogórskiego doktor habilitowany Waław Nowakowski, doktor inżynier Aleksander Stonoga, docent doktor nauk medycznych Marian Rogala, Sasza Kubisztal oraz inni mieszkańcy letniska, którzy widzieli mnie przed sklepem. Niestety, nie znam ich nazwisk.

– A może wcześniejsze poinformowanie administracji lotniska o planowanym locie w sobotę przed południem było rodzajem zapewnienia sobie alibi?

– Nie rozumiem pytania.

– Dajmy na to w piątek wieczorem obywatel pojechał na lotnisko. Znanym sobie przejściem przedostał się do hangaru. Otworzył drzwi boks numer dwa. Przeciął przewody doprowadzające paliwo do silników obu motolotni.

– Ty naprawdę masz kaszkę mannę w głowie. Po co miałbym niszczyć swoją motolotnię?

– Jak obywatel żył z Letzkim Bogusławem?

– Znamy się od wielu lat.

– Nie pytam, od kiedy się znacie. Interesuje mnie, jak obywatel żył z Letzkim Bogusławem.

– Popierdoliło cię?

– Ostrzegam, obywatelu.

– Żyłem zgodnie, o czym świadczy to, że wspólnie wynajmujemy boks dla naszych motolotni. W miesiącach parzystych Bogdan płacił czynsz, w nieparzystych ja.

– Kto to jest Bogdan?

– W dowodzie osobistym Letzki ma Bogusław, ale my, jego dobrzy znajomi, mówimy Bogdan.

– Proszę zatem podawać urzędowe dane. Czy obywatel wiedział o tym, że Wieczorek Grzegorz będzie latał w sobotę?

– W piątek za pośrednictwem telefonu komórkowego rozmawiałem z Bogusławem Letzkim. W zastępstwie profesora Witkowskiego przebywa on na konferencji naukowej w Zakopanem. Doktor Letzki uprzedził mnie, że Grzegorz przejrzy jego motolotnię i przy okazji obejrzy moją. Robił to zawsze w piątek i jeśli w sobotę ja nie latałem, wyprowadzał z hangaru moją maszynę. Jeśli była wolna maszyna doktora Letzkiego, na niej latał.

– Poza Letzkim i obywatelem redaktorem, kto jeszcze ma klucze do boks oznaczonego numerem drugim?

– Jest jeden klucz. Zawsze wisi na haczyku w szafce znajdującej się w dyżurce ochroniarzy.

– Czyli obywatel zaprzecza, że przeciął przewody doprowadzające paliwo z baków do silników obu lotni?

– Jaki miałbym w tym cel?

– Przesłuchanie zakończono o godzinie siedemnastej zero jeden. Najbliższe godziny obywatel spędzi w izbie zatrzymań. Co będzie dalej, o tym zdecyduje naczelnik wydziału kryminalnego po konsultacji z prokuratorem.

– Tadeusz!

– Jest obywatel zatrzymany na dwie doby. Bez dyskusji.

Araszkiewicz wyłączył dyktafon. Syski odwrócił się do niego.

– Nie lubisz Daniela. Ja też nie przepadam za dziennikarzami, tyle że Jung nie jest zwyczajnym pismakiem, jakich wielu wymądrza się na konferencjach prasowych. To jeden z nas. Nasz kolega po fachu. Był policjantem w pionie kryminalnym i pewnie byłby nim nadal, może nawet już zajmowałby gabinet komendanta albo naczelnika, gdyby zbyt poważnie nie potraktował tego, co mu zlecono. Jako komisarz Jung wykrył aferę w muzeum z atlasami i bronią. A ponieważ zamieszane w nią były ważne osoby w naszym regionie, nie je, lecz jego ukarano. Może i lepiej, że tak się stało, bo jako dziennikarz śledczy Daniel Jung robi to, co umie i co lubi. Przyznaję, że jest moim kolegą – powiedział Syski. – A teraz zadzwoń do dyżurnego i każ mu zwolnić Junga z aresztu. Bez wyjaśnień.

– Czy mogę się odmeldować?

Syski kiwnął głową i dał mu znak lewą ręką.

– Niech Natasza do mnie przyjdzie.

– Dziś ma wolne.

– Z jakiego powodu?

– Po pierwsze, pracowała w sobotę i zgodnie z regulaminem należy jej się za to wolny dzień. Po drugie, nie najlepiej się czuje.

– Wolne za sobotę i niedzielę dostanie w pierwszym tygodniu września, gdy Ilona wróci z urlopu. Teraz jest mi bardziej potrzebna niż ty – powiedział komisarz. – Jedyna osoba w wydziale, która nie daje mi powodu do czerwienienia się przed komendantem. I przepraszania kolegi – rzucił zły na aspiranta.

GUBEN, UFERSTRASSE, PONIEDZIAŁEK, Z RANA

W drodze do Plastinarium Paulina zachowywała się tak, jakby była podfruwajką. Chwytała Eluńka za dłoń i nią wymachiwała. Podskakiwała, żartowała, robiła głupie miny i parskała śmiechem na widok starszych kobiet mijanych na ulicy. Ubrała się nie jak do pracy przy plastynacji martwych ciał, a na wycieczkę, ale przecież w szatni zdejmie z siebie tę bluzeczkę na długich ramiączkach, ściągnie szorty, sandałki zmieni na ciężkie drewniaki i wtedy niczym nie będzie się wyróżniała, bo wszystkie będą miały na sobie identyczne fartuchy, a na głowach chustki.

– Dawno takiej cię nie widziałam – stwierdziła Eluniek, też zadowolona. – Już wczoraj zauważyłam, że jesteś zmieniona, oczywiście na korzyść. Masz rację: trzeba się radować nawet bez specjalnego powodu. Uśmiechnięci ludzie żyją dłużej. To nie ja wymyśliłam.

– Pewnie jakiś filozof w spódnicy.

– Nie pamiętam nazwiska.

– Bardzo tęskniłaś za mną, kiedy z Vanessą byłam w Berlinie? – zapytała Paulina.

– Przecież wczoraj ci powiedziałam, że gdybyś mnie rzuciła... gdyby tylko przyszła ci do głowy taka myśl... byłby to twój koniec – przypomniała. – Chwała Bogu, że nie umiesz kłamać.

Paulina puściła jej dłoń. Bała się, że Eluniek przez skórę wyczuje prawdę. Po chwili znowu chwyciła ją za palce.

– Nawet nie wyobrażasz sobie, na co mnie stać, żeby być z tobą – powiedziała, jakby ją zapewniała o swoim oddaniu. – A co robiłaś przez te dni?

– Nic wielkiego – rzuciła Eluniek bez namysłu. – Przede wszystkim czekałam na ciebie i o nas myślałam.

ZIELONAGÓRA, UL. WĄSKA, PONIEDZIAŁEK, PRZED POŁUDNIEM

Komisarz Syski nie miał żadnego śladu. Poszlaki były tak wątpliwe, że gdyby naczelnik wydziału kryminalnego przedstawił je aplikantowi w gabinecie prokuratora Ostouchego, ten wyśmiałby go i kazał przyjąć wtedy, kiedy będzie miał coś konkretnego. Szukanie zabójcy Stanisławy Wieczorek, podpalaczy domku w Jodłowie i passata z Madejem vel Kulschmannem oraz profesora Witkowskiego przy pomocy policyjnych informatorów to syzyfowa praca. Do tego doszła sprawa śmiertelnego wypadku na lotnisku. A jeszcze ten facet nadziany brzuchem na płot przy dworcu. Syski był pewny, że zdarzenia te coś łączy. Co, tego też nie wiedział i nie wiedział, kto to wie. Gdyby zarządzał dwoma tuzinami policjantów, nawet takich bez przeszkolenia kryminalistycznego w Pile, ale chętnych do pracy, na biurku prokuratora leżałby już komplet dokumentów, a w areszcie siedział ten, który za wszystko odpowie przed sądem. Latem listę obecności w wydziale kryminalnym podpisywało osiem osób, wśród nich dwoje praktykantów i stażystka.

– Do kiedy Mrozińska ma urlop? – zapytał zastępca komendanta.

– Poszła na cały sierpień, czyli będzie nieobecna do końca tego tygodnia. Identycznie jak nasz szef.

– W najbliższy poniedziałek melduje się w wydziale?

– Tak jest – potwierdził komisarz, niemal stając na baczność, co mu się rzadko zdarzało.

– Jeśli do soboty, Syski, nie wyjaśnisz, co się stało...

– Pożegnaj się z funkcją naczelnika wydziału kryminalnego. Zastąpi mnie nadkomisarz Ilona Mrozińska.

– Baby są dobre w kuchni. A jeszcze lepsze w łóżku.

– Błagam, inspektorze, niech pan wybije sobie z głowy Araszkiwicza. To fajny kolega, ma nieziemskie pomysły, ale, jak Boga kocham, nie nadaje się do kierowania ludźmi. Dzień po jego awansie napiszę raport o przejście na emeryturę – zagroził Syski.

– A ja wtedy pojedę do redakcji, przeproszę Daniela Junga, złożę wniosek o przywrócenie mu stopnia komisarza i wezmę go na etat do komendy. Szkoda, żeby taki śledczy marnował swój talent w „Zielonogórskiej”. Do gazety każdy może sobie pisać. Co to, wielka sztuka zadzwonić do jednego rzeczownika, do drugiego? Jeszcze trochę i nikt nie będzie jej kupował. Po co ludziom gazeta, skoro wszystko można przeczytać w internecie?

ZIELONAGÓRA, AL. NIEPODLEGŁOŚCI, PONIEDZIAŁEK, W POŁUDNIE

Jung powiedział Syskiemu przez telefon, że gdy dyżurny w izbie zatrzymań komendy wetknął klucz do zamka i kazał mu iść prosto na przystanek autobusowy, a nie na kolejne przesłuchanie, miał ochotę poskarżyć się na Araszkiewicza. Jeszcze w celi ułożył kilka zdań, które najpierw powinien przeczytać bezpośredni zwierzchnik aspiranta, czyli Syski, potem zastępca komendanta odpowiedzialny za pion kryminalny. Gdyby sami policjanci nie stwarzali powodu do wygłaszania tyłu negatywnych opinii o sobie, nikt nie powiedziałby słowa o ich debilnym zachowaniu.

– Będziesz próbował wykorzystać to w gazecie? – zapytał komisarz. W tonie jego głosu była prośba, żeby z tego na razie zrezygnował.

Jung nie odpowiedział.

– Za chwilę wyślę ci ememes. Na wyświetlaczu swojej komórki zobaczysz nie najlepszej jakości zdjęcie kobiety w fioletowym kitlu. Powinno cię zainteresować. Niestety, wyraźniejszej jej podobizny nie mam – zaznaczył Jung. – Wbrew zakazowi fotografowania obowiązującemu w Plastinarium w Guben, zrobiłem je tam w piątek. Podstępnie – dodał i opowiedział bez szczegółów, jakiego użył fortelu. – Obejrzyj je i jeśli zechcesz więcej dowiedzieć się o sfotografowanej osobie, zaproś mnie do bufetu w komendzie albo spotkajmy się tam, gdzie ostatnio.

– W Focusie?

– W kawiarni Dominium na wysokim parterze.

– Od razu umówmy się w Focusie – zdecydował Syski. – Zdążysz za godzinę?

– Jest dwunasta. Mam jeszcze trochę pracy w redakcji. O drugiej zrobię sobie przerwę i punktualnie będę w Focusie. Przygotuj się na to, że po naszym spotkaniu będzie cię czekało naprawdę dużo roboty. Ale i sukces masz na wyciągnięcie ręki. Tego jestem pewien. A jeśli sukces, to i premia.

– Nie pamiętam kiedy komendantka przyznała mi premię. Dobrze pamiętam zaś, kiedy dostałem ostatnie upomnienie. Było to w zeszłym tygodniu.

Jung od dziecka był uparty. Ci, którzy lepiej go znali, twierdzili, że jest nie do przekonania. Gdy się uprze, to nie ustąpi, choćby miał z tego powodu cierpieć. Taki sam jest Syski. W dodatku policjant denerwuje się, swoim współpracownikom zarzuca obojętność, a nawet lenistwo. Barbara Libera, kiedy z nią o tym ostatnio rozmawiał, powiedziała, że lenistwo nie jest wadą, a oznacza właściwy stan natury człowieka. Po dobrze wykonanej pracy większość ludzi lubi się lenić. Psycholodzy

nawet zalecają tego rodzaju ucieczkę od rzeczy ważnych jako rodzaj terapii.

– Umiejętność osiągania sukcesu polega na tym, żeby we właściwym czasie przerwać lenistwo. Do tego potrzeba samodyscypliny, ale i zdawania sobie sprawy z wartości wykonywanej pracy – wyjaśniła, jakby usprawiedliwiała tych, z którymi musiał pracować.

Natasza powiedziała mu, że wśród śledczych powinny dominować osoby przebiegłe, może nawet na swój sposób cwane i sprytne. Byle nikomu nie wyrządziły krzywdy bez potrzeby.

– Powiedzmy osoby myślące inaczej niż większość – dodała, z czym się wyjątkowo zgodził. Siebie uważał za przeciwieństwo prokuratora Ostrouchego. – Pan nie ma wad.

Dziewczyno, kiepsko mnie znasz. Nie ma ludzi bez wad. Każdy ma jakieś wady. Czasem to, co inni uważają za mocne strony, to właśnie są wady.

ZIELONAGÓRA, AL. KONSTYTUCJI 3 MAJA, PONIEDZIAŁEK, PO POŁUDNIU

Daniel Jung nie spodziewał się, że o tej porze w centrum handlowym będzie tłum kupujących. Co innego w sobotę, kiedy większość ludzi ma wolny dzień, wtedy całymi rodzinami przyjeżdżają na zakupy i spotkać się ze znajomymi. Najpierw długo szukał wolnego miejsca na parkingu. Znalazł je dopiero na placyku przy Sienkiewicza, gdzie mogli stawiać swoje auta klienci poczty. Potem czekał, aż zwolni się stolik w kawiarni.

– Zamawiał pan dwa miejsca na czternastą trzydzieści – przypomniała mu kierowniczką.

Komisarz Syski przyszedł do Dominium w towarzystwie Nataszy. Ubrana jak na dyskotekę, a nie do pracy w komendzie, wyglądała olśniewająco, toteż Jung nawet nie zdziwił się, że komisarz i ją zaprosił do kawiarni. On też bywał z Magdą nie tylko na obiedzie w redakcyjnym bufecie, lecz i wieczorem w restauracji przy lotnisku. Nawet kilka razy. Ale tylko wtedy, kiedy Miśka wyjeżdżała na dłużej z Zielonejgóry. A może Syski czuje miętę do Nataszy? Jego żona nie mogła mieć dzieci, to próbuje nadrobić stracony czas z młodszą, pomyślał.

– Natasza nie jest tu przypadkowo – wyjaśnił Syski, jakby czytał w jego myślach. – Miała mieć wolne za ostatnią sobotę. Dostanie później, gdy Ilona wróci z urlopu. Pokazałem jej zdjęcie, to, które w południe przesłałeś mi ememesem. Wiesz, co powiedziała? – spytał i nie czekając na odpowiedź Junga, powtórzył: – Że na pewno jej nie zna, nigdy nie widziała, ale przecucie jej podpowiada, że powinniśmy do niej dotrzeć. Ta kobieta może mieć coś wspólnego z ostatnimi wydarzeniami związanymi z Witkowskim. Zresztą chyba nieprzypadkowo przysłałeś mi jej fotkę, prawda?

– A na jakiej podstawie doszła pani do takiego wniosku? – zaciekał się Jung, trochę jak mężczyzna, któremu podoba się kobieta.

Pokazała palcem na czubek swego nosa i nawet nie mrugnęła tymi bursztynowymi

oczywiście. Nie roześmiała się również. Ładna i pewnie cholernie ambitna, pomyślał Daniel. Po chwili milczenia wyjaśniła:

– Bezdumni w lesie, ci, z którymi rozmawiałam w zeszły czwartek jeszcze przed zniszczeniem ich szałasów, wspomnieli o dwóch kobietach w pobliżu miejsca, gdzie spalił się samochód Kulschmanna. Opisałi je tak, jak na ogół mężczyźni widzą kobiety. Przeczucie mi podpowiada, panie redaktorze, że jedną z nich była ta, którą pan sfotografował. Jestem ciekawa, gdzie i dlaczego.

– Gdzie sfotografowałem?

– I dlaczego?

– W Plastinarium w Guben. To coś w rodzaju galerii kościotrupów. Ona pracuje w laboratorium kształtowania plastynatów. A sfotografowałem tylko dlatego, pani Nataszo – puścił do niej oko – że identycznie jak pani podpowiedziało mi to przeczucie. Zresztą fotografując ją, złamałem przepisy obowiązujące w Plastinarium.

– Doświadczenie byłego policjanta – dodał Syski, licząc na to, że Natasza zaciekawia się, dlaczego nazwał dziennikarza byłym policjantem. Wtedy on będzie mógł pochwalić się znajomością z Danielem.

– A te zdjęcia, które ilustrowały pana reportaż w sobotniej „Zielonogórskiej”?

– Ilustracje zamieszczone w gazecie pochodzą z oficjalnego serwisu Plastinarium. Tam nie wolno robić zdjęć pracownikom.

– Pan, redaktorze...

– Wiem – Jung nie pozwolił jej dokończyć zdania. – Powinna pani ze mną się zgodzić, że bywają sytuacje bez wyjścia. To się nazywa wyższą koniecznością albo czynnością dla dobra sprawy. Pani też znajdzie się w takiej sytuacji i złamie procedury, za co przełożony pani nie pochwali. Przeciwnie, w najlepszym razie da naganę. Za to grozi usunięcie ze służby i ciupa.

– Dziennikarzowi wolno więcej niż policjantowi – powiedziała i zaraz dodała, że tego na pewno nie wie. Tak się jej wydaje, od kiedy obserwuje Junga. – Szczególnie takiemu dziennikarzowi jak pan. Ale wróćmy do tego, o czym pan powiedział. Czy możemy prowadzić śledztwo, posługując się zdjęciem wykonanym wbrew prawu? – zwróciła się do Syskiego.

– Nie. Ale kiedy wskażemy zabójcę, a będzie to akurat kobieta sfotografowana z naruszeniem przepisów obowiązujących w Plastinarium, nikt nie będzie miał odwagi, żeby nas oskarżyć o złamanie prawa. Działaliśmy w imię wyższej konieczności – wyjaśnił komisarz.

– Zastanawiam się nad jeszcze jedną rzeczą – zaczął Jung. – Pod większymi tekstami w „Zielonogórskiej”, takimi, które mogą być dyskutowane przez czytelników, redakcja zamieszcza imię, nazwisko i zdjęcie autora, numer telefonu i jego adres elektroniczny.

– Uważa pan, że Niemka czyta „Gazetę Zielonogórską” i tak pana namierzyła?

– Jeśli naprawdę ona jest Niemką, pani Nataszo. Podczas wycieczki po Plastinarium przewodniczka powiedziała, że tam pracują Polki. Z żadną nie rozmawiałem, a więc nie wiem, ile ich jest i jak wyglądają. Domyślam się, że ta na

zdjęciu – dotknął palcem fotografii leżącej przed Nataszą – jest jedną z nich.

– Przeczucie byłego policjanta – powiedziała i uśmiechnęła się tak uroczo, że omal tego nie odwzajemnił.

– Mam jeszcze coś.

Syski westchnął i pomasażował czoło.

– Nadawaj! – rozkazał, jakby był szefem Junga.

Siedzące przy sąsiednim stoliku dwie kobiety w ciąży zwróciły głowy w ich strony i syknęły.

– W zeszyły wtorek byłem w Guben na anonimowym pogrzebie Madeja. – Natasza otworzyła usta, żeby spytać, co to znaczy, czego Jung się spodziewał, więc wyjaśnił jej, o co chodzi, i kontynuował: – Kiedy grabarz wynosił urnę z kaplicy i wszyscy podążali za nim wzrokiem, przy drzwiach stały dwie kobiety: jedna szczuplejsza, w okularach, druga wyższa i cięższa. Od razu wydały mi się podobne do tych, które w mundurach strażniczek leśnych pojawiły się w Jodłowie. Wyszyły zaraz za grabarzem. Przy pochówku anonimowym jest tak, że żałobnicy póty nie mogą ruszyć się z miejsc, póki grabarz nie wróci do kaplicy.

– Naprawdę? – wtrąciła Natasza z niedowierzaniem.

– Wyższa i cięższa może być tą. – Jung znowu pokazał palcem na zdjęcie leżące na stoliku.

– Zbieg okoliczności – powiedział Syski.

– Za dużo zbiegów okoliczności, szefie – orzekła Natasza. – Dobry śledczy, jak mnie uczono w Pile, nie lekceważy zbiegów okoliczności. Dobry śledczy, szefie i panie redaktorze, większość spraw prowadzi na podstawie przecucia. Dowody są tylko potwierdzeniem tego, czego się domyślał. A w ogóle to taki zawód, w którym najbardziej się liczy nos, węch i inteligencja.

– Szczególnie inteligencja. – Syski westchnął.

– W sądzie przecucie nie ma dużej szansy, pani sierżant.

– Bezdomni! Oni widzieli dwie kobiety w lesie. Zabieram zdjęcie i jutro rano do nich pędzę. Akceptuje pan, szefie? – zwróciła się do komisarza.

ZIELONAGÓRA, UL. WĄSKA, PONIEDZIAŁEK, WIECZOREM

Jeszcze wczoraj Natasza postanowiła zaskoczyć Tadeusza Araszkiwicza dzisiejszą kolacją. Nie powiedziała mu, ale zdecydowała, że przygotuje po dwa jajka nadziewane lekko wysmażonym mięsem indyczym z cebulką i poleje je sosem chrzanowym. Poda sałatkę z marchewki gotowanej i groszku doprawioną sokiem z cytryny albo majonezem. A może Tadeusz będzie bardziej zadowolony, jeśli zobaczy na talerzu pęto białej kiełbasy? Najpierw jednak musi wpaść do Lidla, bo w lodówce ma tylko pół kostki masła i kilka plasterków żółtego sera. W delikatesach na pewno na coś jeszcze zwróci uwagę i to kupi, żeby Tadeusz ją pochwalił, czego

bardzo pragnęła. Od dnia, kiedy powiedziała mu, że jest w ciąży, Natasza czuje się tak, jakby była jego żoną.

Zadowolona, że wreszcie może wyjść z komendy, obejrzała się w lusterku, zamknęła torebkę i odsunęła krzesło, gdy rozległ się telefon na biurku.

– Sierżant Woźniak – rzuciła do słuchawki.

– Ktoś do pani – usłyszała zduszony głos dyżurnego. – Mówi, że Paweł. Paweł Bezdomny. Aha, bezdomny – poprawił się dyżurny. – Mam dodać, że ten z lasu. Nazywa się Zdenka.

– Sam?

– Przede mną sam stoi.

– Trzeźwy?

– Nawet ogolony.

– Niech przyjdzie do mojego pokoju. Albo nie. Niech usiądzie w poczekalni. Zaraz tam będę.

Pomyślała, że musiało stać się coś bardzo ważnego, skoro o tej porze przyszedł do komendy. A może wraca z baru i chce, żeby zawieźć go policyjnym samochodem do lasu? Założył się z Marciniakiem, że mu się to uda. Nic z tego, panie Pawle. Radiowóz to nie taksówka, a pan ma zdrowie nogi i może drałować choćby do białego rana.

– Gdy sierżant zostawiła wizytówkę, to powiedziała, że jakby coś się działo, można natychmiast dzwonić – przypomniał jej bezdomny. – Sprawa jest poważna, dlatego nie dzwoniłem, tylko przyszedłem prosto do komendy.

– Coś z tamtymi kobietami, które widzieliście w lesie?

– Marcin nie wrócił.

– Marcin? Aha, Marciniak? – zapytała, a bezdomny kiwnął głową przytakująco. – Dokąd poszedł? Skąd miał wrócić?

– W niedzielę zrobiliśmy sobie labę. Było się na piwku tu i tam. Powiem prawdę. Pochlialiśmy. To się zdarza. Właśnie wczoraj... Jak dostałem się do naszego szałas, nie odpowiem, bo, szczerze, nie wiem. Może piechotą, a może ktoś mnie podrzucił. Rano budzę się, bo pić się chce jak... Pani wie, jakiego ma się kaca po tylu piwach. Patrzą. Marcina nie ma. Czekałem do południa. Nie przyszedł. To ja do miasta. Szukałem w kilku miejscach. Nigdzie go nie ma. Nikt go nie widział. Przepadł jak kamień w wodę.

– A może poznał jakąś babkę i u niej zarzucił kotwicę?

– Marcin?

– A co on nie ma tego, co każdy facet nosi w spodniach? Nie ciągnie go do kobiety? Szczególnie po pijaku?

– Jeszcze w kiciu przysięgł sobie, a on jak coś postanowi, to nie odpuści. – Paweł podniósł obie dłonie, złączył je palcami przed sobą i potrząsał, jakby w ten sposób dawał Nataszy do zrozumienia, że Marciniak nie rzuca słów na wiatr. – Były takie, nawet wczoraj, co go ciągnęły w krzaki, ale on twardo: nie i nie. Tam, w kiciu, postanowił, że do końca życia nie dotknie żadnej kobiety.

– Poza panem miał kogoś bliskiego?

– Wspominał o córce. Ostatni raz widział ją, jak chodziła do szkoły. Jakieś dwanaście lat temu. Ani razu go nie odwiedziła w kiciu. Pisał do niej listy. Nie odpowiadała. Pewnie gdzieś wyjechała. Albo wymazała z pamięci ojca-mordercę matki. Na Wszystkich Świętych poszedłem z nim na cmentarz. Zapalił świeczkę na grobie swojej żony. Pamiętam jak dziś jego słowa. – Paweł urwał i podniósł oczy na policjantkę, jakby ją zachęcał, żeby zapytała, co wtedy powiedział Marciniak. Natasza milczała. – Podobno morderca zawsze przychodzi na grób swojej ofiary.

– Jak w *Don Juanie*?

– Raz, właśnie na cmentarzu, wspominaliśmy dawne lata. Marcin powiedział, że jego córka, ta, której dawno nie widział, miała wybitne zdolności do rysowania. On beztalencie, jej matka tak samo. Po kim to?

Pewnie pijany Marciniak leży gdzieś w parku albo w ciemnym zaułku. Gdy wytrzeźwieje, wróci do lasu, pomyślała Natasza. Nie on pierwszy i nie ostatni zaginął. Większość odnajduje się po kilku dniach.

– Żeby wszystko było zgodnie z procedurami, proszę wypełnić formularz – powiedziała, wlepiając wzrok w tarczę zegara. Przecież mam przygotować kolację. Po drodze do hoteliku muszę wpaść do delikatesów. Kończę, postanowiła. – Informację podamy na stronie komendy, wyślemy ją do Itaki, a ta umieści ją w Internetowej Bazie Danych Osób Zaginionych.

Paweł przyznał się, że nie wszystko wie o Marciniaku.

– Najważniejsze jest imię i nazwisko oraz znaki szczególne.

– Wąsy?

– Wąsy owszem, ale przede wszystkim tatuaż na prawym nadgarstku – powiedziała i w tym momencie przypomniała sobie, że rano Syski wspomniał o osobie zawieszanej na płocie przy Dworcowej. – Niech pan wraca do lasu. Albo nie. Jedziemy na Zyty.

ZIELONAGÓRA, UL. DWORCOWA, PONIEDZIAŁEK, WIECZOREM

Od dziesięciu minut Daniel Jung spacerował po chodniku przed dworcem. Autobus z Zakopanego spóźnił się, mimo że firma przewożąca pasażerów zachwalała swoje usługi. Gdyby autobus przyjechał punktualnie, Jung już wiedziałby, czy Letzki kiedykolwiek widział kobietę z fotografii. Po południu wysłał mu zdjęcie ememesem. Letzki odpowiedział, że jest za małe, a pytanie poważne. Poprosił więc Syskiego o podobną powiększoną przez policyjnego fachowca. Jeśli doktor potwierdzi, że kobieta ze zdjęcia jest kubek w kubek podobna do masywniejszej strażniczki, która w zeszły piątek spisała dane z dowodów gości profesora Witkowskiego, Jung nie będzie miał wątpliwości. Zadzwoi do naczelnika wydziału kryminalnego, a ten pozwoli Nataszy robić to, co zaraz po południu w trójkę ustalili w Dominium.

Jung czuł się podle. Skwar nadal jest trudny do zniesienia, a ja jestem przeziębiony, zakatarzony i mam gorączkę, pożalił się w myślach. Większość Polaków zapada na grypę jesienią i zimą, kiedy na dworze plucha, ja choruję upalnym latem. W dzień zgrzany i spocony ochładzam się zimną wodą, wyłącznie gazowaną, chociaż gastrologzy grzmią w telewizji, że kto skończył czterdziestkę, ten nie powinien pić wody gazowanej, bo zawarty w niej dwutlenek węgla podrażnia jelita i żołądek. A Jung codziennie wieczorem sięga po piwo prosto z lodówki. Miśka radziła mu, żeby wtedy, gdy czuje łamanie w kościach, co może być pierwszym symptomem przeziębienia, nie łykał pastylek, tylko położył się na dwa, trzy dni. Nie ma lepszego lekarstwa od łóżka i radia nastawionego na muzykę poważną. Zamiast wody, trzeba pić kompot ze świeżych jabłek. Chory się wypoci i przeziębienie jak ręką odjął. Jednak teraz, gdy widać światełko w tunelu prowadzonego śledztwa, nie mógł położyć się nawet na pół dnia. Gdyby Kamil był zdrowy, zastąpiłby mnie, pomyślał, ale on leży w szpitalu. Wyjdzie pod koniec tygodnia i jeszcze długo będzie się kurował w domu.

Na czterdzieste urodziny Miśka dała Danielowi powieść Igora Newerlego o Syberii *Wzgórze Błękitnego Snu*. Czytał ją kilka razy i coraz bardziej nabierał ochoty na wyprawę do tajgi. Chciał wędrować po tych wszystkich siołach, chutorach, osadach dzikiego Wschodu, które były domem tamtejszych ludzi. Nęciła go przyroda. Już nawet ułożył plan wyprawy, zebrał pieniądze, kupił sprzęt, napisał podanie o trzymiesięczny bezpłatny urlop. I wtedy Miśka zachorowała. Gdy pół roku później wyszła ze szpitala, odechciało mu się jechać na Syberię. Zanim dowiedziałbym się, że powinienem wrócić do domu, bo stało się coś ważnego, już nie byłoby to ważne. Powrót pociągiem z Syberii do Moskwy zajmuje tydzień. Od tamtego czasu Daniel bał się dalekich podróży.

Spikerka zapowiedziała przyjazd spóźnionego autobusu z Zakopanego. Jung wyjął zdjęcie z torby i oparty ramieniem o klon czekał na Letzkiego. A jeśli Bogdan nadal będzie miał wątpliwości?

– Na pewno ona. Zapamiętałem nos. Długi i cienki. Spiczasty. Wręcz suchy. Jakby obciążony pergaminem. Czoło wysokie. Jest nawet teoria, że takie czoło charakteryzuje przestępcę – powiedział Letzki i zaczął pociągać nosem, po czym wetknął rękę do kieszeni.

– Do Zakopca ludzie jeżdżą po zdrowie. Ty wróciłeś w towarzystwie choroby – roześmiał się Jung, podając mu chusteczkę higieniczną.

– Zmiana klimatu zawsze tak na mnie wpływa. Dwa lata temu byłem w Egipcie na wczasach. Inni kąpali się w Morzu Czerwonym, a ja przez drugą połowę pobytu siedziałem pod parasolem i żywiłem się tabletkami na przeziębienie.

Letzki zdjął okulary i wpatrując się w zdjęcie, próbował sobie przypomnieć jeszcze coś, co nie dawało mu spokoju. Wydawało mu się, że wtedy, wieczorem w Jodłowie, kiedy strażniczka stanęła bokiem, widział pieprzyk na jej prawym policzku.

– Na nos też zwróciłem uwagę, ale nikomu o tym nie mówiłem. Gdyby nie charakterystyczny nos, pewnie nie zrobiłbym zdjęcia w Plastinarium – przyznał się

Jung.

ZIELONAGÓRA, UL. ZYTY, PONIEDZIAŁEK, PÓŹNYM WIECZOREM

– To Marcin – potwierdził Paweł, zakrywając usta dłonią.

– Nie pomylił się pan? – zapytała Natasza, mimo że i ona była pewna, czyje ciało patomorfolog wysunął z chłodziarki.

– To przynajmniej o tyle pani szef będzie miał mniej roboty – stwierdził doktor Trzcinka. – A już chciałem mu podpowiedzieć, żeby podobną ofiarę ze zdjęciem tatuażu na prawym nadgarstku rozesłał do wszystkich zakładów karnych. Przede wszystkim do Barczewa, bo to chyba ktoś, kto mógł poznać smak tamtejszej kuchni.

– Nie żyje? – zapytał Paweł, jakby nie dowierzał, że to prawda.

– Nie żyje od mniej więcej doby – potwierdził patomorfolog. – Ktoś go nadział na metalowe sztachety.

– Śmierć w męczarniach – powiedziała cicho Natasza bardziej do siebie niż do Trzcinki.

– Chyba jednak nie – odparł lekarz. – Po pierwsze, ten ktoś, kto go nadział, wręcz precyzyjnie trafił w serce. Jakby wiedział, gdzie celować. Po drugie, denat był tak pijany, że nie czuł bólu. Zmarł zamroczony alkoholem. Po południu, kiedy robiłem obdukcję, miał jeszcze prawie cztery promile. Zastanawia mnie tylko jedno.

– Co mianowicie?

– Ile trzeba mieć siły, żeby człowieka podnieść i nadziać na sztachety. Jedna osoba nie była w stanie tego zrobić.

Natasza najpierw skontaktowała się z komisarzem Syskim. Pierwszy raz tak późno do niego dzwoniła. Nawet nie spytał, dlaczego zainteresowała się denatem z Dworcowej, jakby był przekonany, że to na pewno nie jest poszukiwany Bolesław Witkowski. Podpowiedział, żeby natychmiast zadzwoniła do Daniela Junga. Chciała mu przypomnieć, że bez zgody rzeczniczki prasowej komendy tego nie może zrobić, kiedy Syski rzucił:

– Za niecałe pięć minut zamykają jutrzejszy numer „Zielonogórskiej”. Dobrze byłoby, gdyby z wtorkowej gazety czytelnicy dowiedzieli się, że policja już wie, kim jest zamordowany. To poprawi nadwątlony ostatnio wizerunek policji.

KROSNO ODRZAŃSKIE, UL. POPRZECZNA, WTOREK, Z RANA

Od dnia podpisania układu z Schengen tylko dwa razy się zdarzyło, że na przejścia graniczne Polski z Niemcami, Czechami i Słowakami wrócili umundurowani strażnicy. Pierwszy raz stało się to w połowie 2012 roku, kiedy do Warszawy,

Poznania, Wrocławia i Gdańska waliły tłumy kibiców z całej Europy na piłkarskie mistrzostwa kontynentu. Drugi raz strażnicy zerkali, kto przekracza granicę, rok później jesienią. Wtedy w Warszawie odbywała się światowa konferencja klimatyczna. Nie znaczy to, że każdy może dostać się do Polski bez zatrzymywania, wwieźć, co chce, i zostawić to na najbliższym leśnym parkingu. Po drogach dojazdowych do granicy kręcą się strażnicy i celnicy, sprawdzają dokumenty tych, którzy wydają im się podejrzani albo robią coś, czego zabraniają przepisy. Na słupach i drzewach w pobliżu przejść granicznych wiszą wyjątkowo czułe kamery dozoru, a przed monitorami w centrach monitoringu siedzą przeszkoleni obserwatorzy.

– Sierżant Natasza Woźniak i praktykantka Dominika Białek – powiedziała stażystka do zastępcy szefa wydziału operacyjnego Straży Granicznej w Krośnie. Spodziewała się, że najpierw usłyszy jego nazwisko i jakieś miłe słowa. Wszyscy mężczyźni, z którymi dotąd rozmawiała służbowo, proponowali filiżankę kawy, prawili komplementy lub robili zdumione miny, że taka młoda jest śledczą, albo uśmiechali się pobłażliwie. Starsi całowali jej dłoń, co lubiła, bo wtedy czuła się atrakcyjną kobietką. – Tak jak zaznaczył komisarz Syski, interesuje nas zapis z sobotniego monitoringu w Gubinku.

Major nie wymienił swego nazwiska ani nie zażądał od niej legitymacji czy innego dokumentu, tylko bez słowa pokazał dwa krzesła przy stole i włączył przeglądarkę. Nawet nie spytał, czego poszukują. Natasza i Dominika wpatrywały się w to, co się pojawiało na ekranie, ale nie dostrzegły czerwonego golfu z literami SPN i pierwszą szóstką po kolejnych dwóch literach na tablicy rejestracyjnej. Ile i jakie jeszcze powinny być znaki, tego Natasza nie wiedziała.

– Może poszukiwane auto przejechało przez Świecko lub Słubice – podpowiedział major.

– Interesująca nas osoba to kobieta o męskim wyglądzie i mało kobiecej twarzy. Pracuje w Guben i prawdopodobnie tam mieszka.

– Trzeba sprawdzić, co zarejestrowała kamera na Chopina. Kolejne dwie są na Kujawskiej.

Major pochylił się nad Dominiką i wcisnął guzik z napisem „Gubin 1”. Na ekranie pokazała się pusta asfaltówka, oświetlona lampami zawieszonymi nad ulicą. Każdy, kto najkrótszą drogą chciał się dostać z niemieckiego Guben do polskiego Gubina, tędy musiał iść lub jechać.

– Jest! – krzyknęła Dominika i wyciągnęła palec wskazujący w stronę monitora, na którym pokazał się samochód wjeżdżający do miasta.

– Czwarta trzydzieści jeden. – Natasza uśmiechnęła się zadowolona. – Mniej więcej godzinę później dojechała do Przylepy. Właśnie tego golfu ochroniarz widział przed szóstą na poboczu Skokowej. Samochód stał niedaleko lotniska.

– Czy na pewno tego? Może to zbieg okoliczności? Wprawdzie Niemcy nie kochają się w czerwonych golfach, ale skoro Wolfsburg je produkuje, to fabryka musi mieć zbyt. Proszę dokładnie przeanalizować zapis, pani sierżant – powiedział major i dodał tonem opiekuńczym: – Lepiej dwa razy sprawdzić, niż raz się pomylić.

– Ale tylko jeden czerwony golf ma tablicę rejestracyjną zaczynającą się od SPN,

z dwoma literami i cyferkami. Pierwsza miała być szóstka? I co jest? – Natasza nie dawała za wygraną.

– Jak najbardziej sześć. Mimo to podpowiadam, aby panie przejrzały zapisy z innych kamer monitorujących wjazd do Gubina. To wyłącznie dla upewnienia się, że nie ma wątpliwości.

– Proszę nie pouczać koleżanki sierżant. Ona najlepiej wie, jakie ma zadanie do wykonania – wypaliła Dominika.

Major chciał powiedzieć, że dobrze radzi, a one nie są pierwszymi osobami z policji, które proszą go o pomoc, ale w ostatniej chwili uznał to za zbędne i wycofał się pod okno. Pewnie niedługo Syski znowu do niego zadzwoni, wtedy mu powie, że pomoże, ale wolałby mieć do czynienia z mężczyznami. Co innego komisarz Mrozińska. Z nią można konie kraść.

– Który guzik wcisnąć, żeby przejrzeć to, co zarejestrowały kamery na Kujawskiej? – zapytała Natasza.

Milcząc, major wskazał klawisze z napisami „Gubin 2” i „Gubin 3”.

Natasza wyczuła, że major czuje się urażony po słowach praktykantki. Kiedy będziemy zbierały się do wyjścia z pokoju, Dominika go przeprosi albo sama to zrobię, zdecydowała.

– Jest! – znowu krzyknęła Dominika. Pochylona, przeczytała: – Dziewiąta zero jeden. Kurwa, majorze, mamy ją! – Wstała z krzesła, podniosła zaciśnięte pięści i przez chwilę tryumfowała. Potem wyjęła paczkę mentolowych winstonów z torebki. – Pan palący czy żona zabroniła?

– W pomieszczeniu, gdzie stoją czułe urządzenia elektroniczne, palenie jest niedozwolone. A w ogóle to coraz więcej mężczyzn po czterdziestce rzuca palenie. W naszej komendzie niewolnicy papierosów zbierają się w palarni przy wyjściu z budynku – wyjaśnił major, jeszcze urażony.

– Gości także to dotyczy? – bardziej warknęła niż spytała.

– Powinna pani wiedzieć, że jest bardziej w pracy niż w gościach.

Dominika schowała papierosy do torebki. Widać było, że jakies zdanie ciśnie się jej na usta, ale milczała.

Natasza położyła na stole odbitkę fotografii zrobionej przez Daniela Junga ukradkiem w Plastinarium.

– Szkoda, że wasze kamery nie uchwyciły twarzy kierowcy – powiedziała. – Poza potwierdzeniem koloru, marki i tablicy rejestracyjnej niczego nie mamy.

– Jednak coś mamy – ucieszyła się praktykantka.

– Młoda damo, trzeba mieć stuprocentową pewność, w przeciwnym razie – major mówił tylko do Dominiki – każdy się wywinie, a sąd nie da wiary. Sugeruję – zwrócić się do Nataszy – wycieczkę do straży miejskiej. Oni ustawili stacjonarny fotoradar w Brzózce, zaraz przed skrzyżowaniem do miasta, gdzie nie wiadomo dlaczego jest ograniczenie prędkości. Niejeden kierowca właśnie tam wpadł. Ostatnio wicemarszałek województwa.

ZIELONAGÓRA, UL. WĄSKA,
WTOREK, W POŁUDNIE

Podpowiedź majora, żeby Natasza i Dominika sprawdziły, czy fotoradar zrobił zdjęcie poszukiwanego czerwonego golfa, była strzałem w dziesiątkę. Komendant straży nawet się ucieszył, że nareszcie będzie mógł przedstawić burmistrzowi dobre strony postawienia fotoradaru w Brzózce. On nie może wezwać zagranicznego kierowcy do złożenia wyjaśnienia i domagać się od niego zapłacenia mandatu za przekroczenie prędkości. Jeszcze prawo unijne na to nie zezwala. Gdy zmienią się przepisy, komendant będzie wysyłał wezwania, ale tylko do tych niesfornych kierowców, którzy mieszkają w państwach należących do strefy Schengen. Pod warunkiem że Schengen będzie istniała.

– A najczęściej Rosjanie, Białorusini i Ukraińcy olewają znaki drogowe. Oni wprost drwią z naszego prawodawstwa i nic nie można im zrobić. Dosłownie nic. Chyba że zapijaczony nie jest w stanie o własnych siłach usiąść za kierownicą. Ale wtedy są same kłopoty. Samochód trzeba odprowadzić na parking strzeżony, a pilnowanie kosztuje. Kierowcy nie można zostawić na drodze, tylko powinno się go zawieźć do izby wytrzeźwień i mieć baczenie, żeby nie zwiął, bo kto zapłaci za łóżko w wytrzeźwiające i za miejsce na parkingu? – Natasza powtórzyła Syskiemu słowo w słowo to, co jej powiedział komendant krośnieńskiej straży miejskiej.

– Skoro w Polsce jesteśmy aż tak porządni, to dlaczego były wyłączone kamery przy hangarze w Przylepie? Przecież gdyby monitoring działał, nie musiałybyś gnać do strażników w Krośnie.

– Wyłączają je dopiero na noc. W ten sposób co nieco zaoszczędzają na wydatkach – odparła Natasza, jakby usprawiedliwiała zarządcę lotniska.

Komisarz litościwie pokiwał głową. Chciał powiedzieć, że dopiero jak trwoga, to do Boga, ale uznał to za niepedagogiczne, a on uważał się za wychowawcę wszystkich, którzy mu podlegali i odbywali praktykę w wydziale kryminalnym.

– Mamy dowód w postaci nożyc do przecinania drutu. Pianistom udało się trafić na odciski palców na pokrywach silników obu motolotni.

– Niech porównają je z tymi, które zdjęli z lichtarza w apartamencie Witkowskich. Przepraszam. Nie ma czego porównywać. To zupełnie zbędne.

– Znowu technicy zawalili?

– Tym razem spisali się lepiej niż dobrze, tyle że na lichtarzu znaleźli wyłącznie odciski palców denatki.

W pokoju zapadła cisza.

– Ale mamy niepodważalne dowody w postaci fotografii, za co proszę podziękować redaktorowi Jungowi – powiedziała Natasza po krótkim namyśle. – Co tu ukrywać, gdyby nie jego dociekliwość...

Syski zachmurzył się i przeciął ręką powietrze, co oznaczało, że Natasza ma przestać wychwalać dziennikarza. Powinien, ale nie chciał potwierdzić, że Jung ma zdolności śledcze podparte praktyką w policji. W wielu sprawach pomógł Syskiemu,

choć i raz przeszkodził w schwytaniu mordercy. Było to dwa lata temu, gdy opisał w gazecie przypuszczalne okoliczności zabójstwa Kunickiego, które okazały się rzeczywistymi. Tylko że wtedy Syski miał związane ręce, bo prokurator maczał w tym palce, każąc mu odesłać akta do archiwum i nie prowadzić śledztwa w sprawie śmierci byłego posła. Wedle Carewicza Kunicki targnął się na swoje życie, ponieważ przeinwestował i dlatego jego firmy nie miały z czego zwrócić długów. Banki też nie chciały go dłużej kredytować.

– Nie mam wątpliwości. Ta sama twarz, co na fotografii zrobionej przez redaktora Junga – potwierdził Syski. – Jesteśmy prawie na mecie. Zostało ostatnie zadanie do wykonania. Chyba najtrudniejsze.

– Takie trudne, komisarzu, wsadzić ją do aresztu i postawić przed sądem?

– Najpierw trzeba ją zatrzymać.

ŚWIECKO, POLSKO-NIEMIECKIE CENTRUM WSPÓŁPRACY, WTOREK, PO POŁUDNIU

Czy podinspektor Kaliszuk jest jeszcze koordynatorem policyjnym, tego Syski nie wiedział. Gdy zaczęły masowo ginąć samochody w Niemczech, w Świecku powstało centrum współpracy służb granicznych obu państw. Wtedy komisarz często tam jeździł z technikami kryminalnymi. Po podpisaniu przez Polskę układu z Schengen złodzieje nie przenieśli się do Francji czy jeszcze dalej, ale na pewno jest dużo mniej kradzieży, z czego najbardziej się cieszy niemiecka policja. Centrum przestało się kontaktować z Syskim, bo i spraw kryminalnych prawie nie było, a z tymi, które się zdarzały, radzili sobie policjanci z jednostek powiatowych na pograniczu.

– Komisarz Jacek Syski z komendy zielonogórskiej – przedstawił się dyżurnemu, prosząc o połączenie z koordynatorem. Gdy usłyszał głos Kaliszuka, ponownie się przedstawił i spytał, czy kolega wreszcie doczekał się trzeciej gwiazdki inspektora na pagonach. – Bo ja jedną straciłem i zanosi się na odjęcie kolejnej – przyznał się. Chciał wyjaśnić, dlaczego został zdegradowany do komisarza, kiedy Kaliszuk się roześmiał.

– Mnie nie zdegradowują, bo nikt tak dobrze nie zna niemieckiego. Byłby wstyd, gdyby któryś zastępca w wojewódzkiej próbował wyjaśnić Niemiaszkom nawet po angielsku, dlaczego mam mniej gwiazdek na pagonach. I nie awansują, bo musiałbym zająć gabinet naczelnika któregoś wydziału na Kwiatowej. Zostało mi jedno: do emerytury tu będę grzał fotel. Zresztą z punktu widzenia kierownictwa komendy jest to słuszna decyzja. Po co przyuczać nowego, jeśli stary gorliwiec robi więcej niż do niego należy i w dodatku jest na każde kiwnięcie palcem? – powiedział samokrytycznie Kaliszuk. – Ale tobie nie o to chodzi. W czym mogę i w czym muszę ci pomóc?

Syski bez szczegółów opowiedział o sprawie. Nie podał żadnych danych o ofiarach i nie wspominał o zdjęciu zrobionym przez Daniela Junga w Plastinarium. Nie opowiedział też o mężczyźnie nadzianym na płot przy dworcu, jakby to nie miało

nic wspólnego z prowadzonym śledztwem.

– Trop prowadzi za Nysę – zaakcentował i zaraz dodał: – Do sprawcy mieszkającego na stałe lub przebywającego okresowo w Guben. Tyle udało się nam ustalić.

– Polak? Obywatel niemiecki?

– Tego nie wiem.

– I pewnie sprawa poszlakowa?

– Na razie na to wygląda.

– Masz jakieś mocniejsze podstawy? Jeśli mam pomóc, będę zmuszony przedstawić mojemu niemieckiemu koledze argumenty. My jesteśmy drobiazgowi, oni jeszcze bardziej. My chronimy swoich obywateli, oni identycznie. Bez wsparcia z Warszawy może się nie obejść, tym bardziej że, jak mówisz, sprawcą może być obywatel niemiecki.

– Wyślę ci faksem zdjęcie osoby poszukiwanej. Podam miejsce, gdzie była widziana i gdzie pracuje. To znaczy, gdzie jeszcze w piątek pracowała.

– Kobieta?

– Tak twierdzi autor zdjęcia. Chociaż może to być mężczyzna.

GUBEN, UFERSTRASSE, ŚRODA, PRZED POŁUDNIEM

Komisarz kryminalny Martin Tomiak z prezydium policji w Chociebużu czekał przy moście granicznym. Sam się przedstawił Syskiemu i po chwili zdał sobie sprawę, że zaraz za nim stoją dwaj umundurowani policjanci z rewiru w Guben. Mógł zabrać ze sobą kogoś z chociebuskiej policji czy z powiatowego Forstu, ale uznał, że ci z Guben będą najlepsi, bo znają miasto jak własne kieszenie. Zresztą nie pierwszy raz współpracują z komisarzem.

– Prowadzimy tasiemcowe śledztwo w sprawie morderstwa i podpaleń, w których wyniku zmarły trzy osoby. Ostatnio, to znaczy w sobotę, miał miejsce śmiertelny wypadek na lotnisku sportowym pod Zieloną Górą – kulejącą angielszczyzną wyjaśniał Syski to, o czym Tomiak już wiedział od podinspektora Kaliszuka, ale Niemiec kiwał głową, udając, że słucha uważnie i wszystko rozumie. – Koleżanka sierżant – Syski pokazał na Nataszę Woźniak – na ile to było możliwe, zebrała dowody w tych sprawach. Jej zdaniem, a ja też tak sądzę, trop prowadzi do Guben.

– Trochę o tym wiem – przyznał się Tomiak po polsku z mocnym akcentem niemieckim.

– Pan zupełnie dobrze zna nasz język – pochwaliła go Natasza.

– Dziękuję. Coraz lepiej mi idzie, ale jeszcze ciężko. Przełożeni uważają, że skoro mój pradziadek przyjechał za robotą spod Babimostu do Senftenberga i nigdy nie nauczył się porządnie niemieckiej mowy, to i ja muszę mówić po polsku. A prawda jest taka, że moja matka była Niemką, dlatego w domu mówiło się tylko po

niemiecku. Pomimo to radzę sobie nie najgorzej. Większość spraw dotyczących przestępstw na pograniczu bywa prowadzona z moim udziałem, pani sierżant. – Tomiak objął Nataszę w pasie jak kawaler pannę. – O panu Syskim sporo słyszałem, chociaż nie miałem okazji z nim współpracować. Zawsze przedstawiał mi się aspirant Araszkiwicz. Pani taka młodziutka to i pewnie od niedawna w policji?

– Drugi miesiąc. Odbywam roczny staż w wydziale kryminalnym.

– I od razu dostała pani tak skomplikowaną sprawę? – zapytał Tomiak z niedowierzaniem. – Ja zaraz po szkole chodziłem po piwo dla naczelnika wydziału. Ale to były inne czasy.

– W naszej policji wszystkie sprawy są skomplikowane i trudne – odparła Natasza, uśmiechając się zjadliwie. – A tu, na pograniczu, trudne do kwadratu.

– Zaraz po naszym zjednoczeniu, a jeszcze przed wejściem Polski do układu z Schengen, było dużo gorzej. Dosłownie jak na pograniczu amerykańsko-meksykańskim. Teraz mamy pogranicze amerykańsko-kanadyjskie, pani sierżant.

– Polscy złodzieje masowo kradli niemieckie auta – Natasza powtórzyła to, co usłyszała w szkole policyjnej w Pile.

– Wśród Polaków nie ma ani więcej złodziei, ani mniej, proszę pani, niż wśród Niemców – tłumaczył Tomiak. – Niemcy też okradają swoich rodaków, teraz nawet częściej, bo każde złodziejstwo można rzucić na Polaków. A prawda jest taka: gdyby niemieccy złodzieje nie pomagali polskim złodziejom, oczywiście nie za darmo, nie byłoby aż tak źle. Ale dzięki temu na razie nikt nie mówi o redukcji etatów w policji na pograniczu.

Syski chciał pochwalić się znajomością z komisarzem Zieschem vel Cyżem, Łużyczaninem z Berlina, z którym był na unijnym kursie dla policjantów kryminalnych, ale czas biegł, a on przecież nie po to przyjechał do Guben, żeby się chwalić, pokazał więc palcem na zegarek, co Tomiak zrozumiał natychmiast.

Dziesięć minut później wszyscy weszli do administracyjnej części Plastinarium. Zaskoczony tym wiceprezes natychmiast przerwał zebranie.

– Czym mogę służyć? – zapytał z obawą. Nie lubił rozmawiać z policjantami.

– Czy zna pan tę osobę? – Tomiak pokazał mu zdjęcie, które dostał od Nataszy.

– A co ona przeszkrobała, że aż policja o nią pyta?

– Padło pytanie. Najpierw proszę odpowiedzieć.

Wiceprezes pokręcił głową z determinacją.

– Oczywiście wiem, kto to jest. Wolałbym jednak nie wypowiadać się konkretnie. Zaraz poproszę osobę odpowiedzialną za sprawy personalne w naszej firmie.

Najwyżej dwie minuty później kobieta w średnim wieku wzięła fotografię do ręki i długo się w nią wpatrywała.

– Zdjęcie zostało wykonane w naszym laboratorium, panie prezesie. Tam gdzie obowiązuje zakaz fotografowania. Ten, kto go złamał, powinien ponieść konsekwencje – powiedziała takim głosem, jakby była co najmniej członkinią zarządu Plastinarium. – Domyślam się, że jest to zdjęcie, które w piątek dziennikarz z Zielonejgóry zrobił telefonem komórkowym. Operator w centrum monitoringu

zauważył tę sytuację, ale nie interweniował. Wobec osób z zagranicy jesteśmy pobłażliwi. Gdyby natomiast zakazu nie przestrzegała towarzysząca mu redaktor Hawlitchek z „Niederlausitzer Tageblatt”, z pewnością ochroniarz odebrałby jej aparat.

– Do rzeczy – uściślił Tomiak.

Kadrowa podniosła wzrok na wiceprezesa, jakby się wahała, czy powiedzieć prawdę. Spłoszone spojrzenie mężczyzny uświadomiło jej, że tak właśnie postąpiłby.

– Padło pytanie. Proszę odpowiedzieć. – Tomiak stanął w szerokim rozkroku i splótł ręce na piersiach. Dwaj umundurowani policjanci przesunęli się do przodu.

– Osoba znajdująca się na zdjęciu pracuje w laboratorium.

– Proszę nas do niej zaprowadzić – zażądał Tomiak.

– Dziś to nie jest możliwe.

– Dlaczego? – chciał wiedzieć wiceprezes.

– Ta osoba od dziś do końca tygodnia jest na urlopie.

– Wyjechała?

– Nie wiem.

– Jak się nazywa?

Kadrowa znowu spojrzała na wiceprezesa, on kiwnął głową.

– Elżbieta Marciniak.

– Polka?

– U nas pracuje kilkoro Polaków. Jest też małżeństwo ze Słowacji, Litwinka, kilka dni temu rozstaliśmy się z Czeszką. Jednak najczęściej zatrudniamy miejscowych Niemców.

– Gdzie mieszka Marciniak? – zapytał Tomiak i zaraz wyjaśnił: – Chodzi mi o to, po której stronie granicy.

– Panie prezesie, czy mogę podać adres? – kadrowa zwróciła się do wiceprezesa. Ten znowu kiwnął głową. – Nie jestem pewna. Muszę sprawdzić w aktach. Wydaje mi się, że razem z tą drugą Polką wynajmują mieszkanie przy Frankfurterstrasse. Numer? Proszę chwileczkę poczekać.

– A, to o nią chodzi – niemal wykrzyknął wiceprezes. – Nie powinienem wnikać w sprawy osobiste naszych pracowników – powiedział do komisarza. – Ale nie da się zauważyć, że pani Marciniak jest... Jakby to nazwać i nie zostać posądzonym o zachowanie dyskryminujące?

– Jest w intymnym związku z inną kobietą, chciał pan powiedzieć – weszła mu w słowo Natasza całkiem zrozumiałą angielszczyzną. – I miał pan ochotę dodać, że zajmuje pozycję mężczyzny. Tą tezę da się odpowiedzieć na wiele interesujących nas pytań.

– Pani Marciniak mieszka przy Frankfurterstrasse – potwierdziła kadrowa, jakby chciała, żeby policjanci o nic więcej nie pytali wiceprezesa.

– Czy o tej porze tam ją zastaniemy?

Zamiast odpowiedzieć Tomiakowi, kadrowa wzruszyła ramionami i zacisnęła

usta.

– Jak się nazywa ta druga kobieta, z którą mieszka pani Marciniak? Pani pamięta?

Kolejny raz kadrowa podniosła oczy na wiceprezesa. Gdy dał jej znak, powiedziała:

– Oczywiście, że pamiętam. Paulina Woźnica. To wyjątkowo uczynna i urokliwa osoba. A nie wszystkie nasze pracownice są takie. Czy ona...? Czy one obie zrobiły coś, czym interesuje się policja? – zapytała z obawą w głosie.

Tomiak nie potwierdził, ale i nie zaprzeczył.

– Czy państwo z Polski oglądali naszą wystawę *Body worlds of animals*? Pokazywaliśmy ją w Ameryce, zachodniej Europie, być może i Polacy dojdą do wniosku, że warto zobaczyć naszą pracę.

– *Świat ciał zwierzęcych* – przetłumaczył Syski. Do Nataszy powiedział, że lubi obserwować żywe zwierzęta. – Mam dość martwych ludzi, ale muszę ich oglądać, bo za to komenda mi płaci. Jeśli panią interesują martwe zwierzęta, poczekam na zewnątrz.

GUBEN, FRANKFURTERSTRASSE, ŚRODA, W SAMO POŁUDNIE

Bramka była lekko uchylona, toteż dwaj umundurowani policjanci z gubeńskiego rewiru weszli na podwórze i zatrzymali się przy trzepaku. Młodszy pokazał głową ścieżkę prowadzącą pomiędzy jabłoniemi do altany w ogrodzie, przed którą suszyły się spodnie i koszule, drugi wyciągnął rękę w stronę dzwonka przy przeszklonych drzwiach domu, dając mu do zrozumienia, że tam powinni podejść.

– Dłaczego stoicie jak myśliwi na polowaniu? Sprawdźcie, czy jest właściciel – rzucił komisarz Tomiak spod bramki.

Nie musieli wybierać, w którą stronę iść, bo zazgrzytał klucz w zamku i z domu wyszła kobieta dobrze po sześćdziesiątce. Nie przedstawiła się, nawet nie spytała, o co chodzi, tylko zatrzymała się na progu i milcząco patrzyła na policjantów, jakby ich się spodziewała.

W cieniu pod gruszą stały dwa samochody. Natasza podeszła do czerwonego golfa. Z tablicy rejestracyjnej przyklepionej do tylnego zderzaka przepisała do notesu wszystkie litery, cyfry i pozostałe znaki. Sprawdziła, czy tablica z przodu jest taka sama jak ta z tyłu. Ponieważ kolor, marka i model oraz oznaczenia rejestracyjne się zgadzały, podniosła dumnie głowę i mrugnęła do Syskiego, jakby chciała go zapewnić, że wyjdą stąd jako zwycięzcy.

– Czy pani jest właścicielką posesji? – zapytał Tomiak, robiąc dwa kroki w kierunku kobiety ciągle stojącej w drzwiach.

– Tak – przyznała bez ociągania.

– Wynajmuje pani mieszkanie Polkom: Elżbiecie Marciniak i Paulinie Woźnicy?

– Tak.

– Chcemy z nimi porozmawiać.
– Rozmawiajcie – odburknęła.
– Niech pani do nich nas zaprowadzi – zarządził policjant.
– Ich nie ma.
– Proszę spytać, czy ten samochód należy do Polek – Natasza zwróciła się do Tomiaka, pokazując ręką na czerwonego golfa.

Komisarz powtórzył pytanie.

– Tak.

– Pani oświadczyła, że Polek nie ma w domu – przypomniał Tomiak, jakby sprawdzał, czy dobrze zrozumiał kobietę. – A gdzie one są?

– Wczoraj pani Marciniak powiedziała, że dostały urlop i wybierają się na odpoczynek nad jezioro. Wyjechały gdzieś godzinę temu. Mają wrócić w niedzielę przed wieczorem, bo w poniedziałek idą do pracy.

– Dokąd pojechały? – Natasza znowu zwróciła się do kobiety za pośrednictwem Tomiaka. W liceum miała lekcje niemieckiego, ale nie nauczyła się go na tak, żeby teraz zadawać pytania i rozumieć odpowiedzi. Zresztą najpierw musiałaby ułożyć je w głowie po polsku, potem przetłumaczyć na niemiecki.

– Nie wiem, dokąd pojechały. One nie muszą mówić. Każdego pierwszego dnia miesiąca powinny zapłacić za pokój i mi to wystarczy do szczęścia – wyjaśniła Niemka, mając wzrok utkwiony w Nataszy. – Od zeszłego piątku do niedzieli pani Woźniak była w Berlinie. Pani Kulschmann ją zabrała. Podobno na zakupy – dodała głosem podejrziwym, jakby nie wierzyła w to, co powiedziała. – W sobotę wczesnym rankiem pani Marciniak jeździła do Polski.

– Skąd pani wie, że do Polski?

Kobieta nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się pod nosem i podniosła obie dłonie, jakby to miało służyć za dostateczne wyjaśnienie.

– O której w sobotę wróciła pani Marciniak?

Tomiak powtórzył pytanie po niemiecku.

– Dokładnie o dziewiątej piętnaście.

– Dziś rano lokatorki wyjechały na urlop do Polski czy są gdzieś w Niemczech? – znowu spytała Natasza.

– Skoro nie pojechały swoim autem, to pewnie są gdzieś w Niemczech.

– A czym autem pojechały?

– Nie wiem.

– Może zapamiętała pani kolor, markę, to, co jest na tablicy rejestracyjnej?

– Na pewno czarne. Chyba škoda, ale głowy nie dam, że to na pewno była škoda. Nie znam się na autach.

– A kto nim kierował?

– Szpakowaty mężczyzna w drucianych okularach. Obok niego na miejscu dla pasażera siedziała pani Kulschmann.

– Czy szpakowatym mężczyzną w okularach był mąż pani Kulschmann?

– Przecież on nie żyje. Pojechał do Polski i tam został zamordowany.

– Skąd pani to wie?

Kobieta znowu nie odpowiedziała.

– Zna pani tego mężczyznę, który siedział za kierownicą? – dociekała Natasza za pośrednictwem Tomiaka.

– Pierwszy raz go widziałam.

– Nie przedstawił się? – zapytał Tomiak tonem żartobliwym.

– Widziałam go przez okno z kuchni.

Syski pokręcił głową z niedowierzaniem i odszedł pod gruszę, skąd bez skrępowania przyglądał się kobiecie. Pomyślał, że pewnie w młodości była na usługach Stasi i policja polityczna nauczyła ją dyskretnego śledzenia sąsiadów. Nawet się zastanawiał, czy o to ją spytać, ale uznał, że skoro Natasza gra pierwsze skrzypce, niech tak zostanie do końca. Każdy się wstydzi grzechów przeszłości, stwierdził.

– Komu jeszcze pani wynajmuje mieszkanie?

– Tam – pokazała ręką altanę w ogrodzie – w większym pokoju mieszka dwoje Słowaków, małżeństwo lekarzy z Koszyc, w mniejszym Litwinka z Kowna, dentystka. W domu na piętrze – podniosła palec wskazujący – na razie są tylko Polki. Drugi pokój jest wolny. Niedługo ma przyjechać dwóch Czechów. Pewnie geje, ale mnie to nie przeszkadza, byle płacili regularnie. Wszyscy lokatorzy są zameldowani. Podatek odprowadzam na bieżąco. Pokazać dokumenty?

Tomiak nie odpowiedział. Odwrócił głowę w stronę Syskiego, jakby w ten sposób go pytał, co dalej robić.

– Powinniśmy zajrzeć do pokoju Polek – powiedziała Natasza do komisarza. Syski dał jej znak ręką, że nie ma nic przeciw temu. – Proszę spytać panią, czy dysponuje zapasowym kluczem.

Tomiak powtórzył pytanie. Niemka nadal stała w drzwiach. Wtedy jeden z umundurowanych policjantów zrobił krok w kierunku domu.

– Chodźcie za mną – powiedziała kobieta i szeroko otworzyła drzwi. – Rozumiem, że macie jakiś nakaz.

Nikt się nie odezwał, a ona już więcej nie powtórzyła tego zdania i niczego nie żądała.

Pokój był pięć razy większy od tego, w którym mieszka Natasza przy Strzeleckiej. Na środku pomiędzy dwoma oknami stało małżeńskie łóżko z szafkami nocnymi po bokach. Okrągły stół i przy nim dwa wytarte fotele rozsiały się po przeciwnej stronie. W kącie bliżej okna tkwiła toaletka pamiętająca odległe czasy, obok niej stała trzydrzwiowa szafa na wysoki połysk. Natasza najpierw wysunęła szuflady szafek nocnych. W jednej były dwa wibratory, proteza członka, tubka z resztkami żelu intymnego, rękawiczki lateksowe i szeroki pas z czymś, co przypominało stringi. W drugiej leżała książka w czarnej oprawie ze złotymi literami *Alten und Neuen Testaments*. Natasza była pewna, że to Stary i Nowy Testament w wersji dla ewangelików. W szafie po prawej stronie wisiało kilka bluzek i dwie sukienki, pod nimi stały dwie pary sandałów i szpilki. Na półkach po lewej stronie nie byłoby

niczego, co powinno zainteresować policjantkę, gdyby nie to, że Natasza włożyła dłoń pod swetry. Wysunęła spod nich inkrustowany kuferek. Syski to dostrzegł i podszedł.

– Sprawdź, czy coś jest w środku – odpowiedział zbytnie.

Natasza najpierw potrząsnęła kuferkim, potem podniosła wieczko.

– Jakaś biżuteria – odpowiedziała. – Raczej nic ciekawego. Złoto. Może naszyjnik godny uwagi ze względu na kamienie. Jakie? To zadanie dla fachowca, szefie.

Syski wyjął komórkę z kieszeni i wybrał numer komisariatu na Szarych Szeregów. Gdy odezwał się dyżurny, poprosił o natychmiastowe połączenie z kierownikiem. Niczego nie wyjaśniając, spytał o zawartość kufereka ukradzionego z domu Stonogi.

– Mam gdzieś spis. Na pewno były to wyroby wyłącznie ze złota. Zapamiętałem zdjęcie naszyjnika wysadzanego trzydziestoma rubinkami. Stonoga kupił go żonie na urodziny. Pewnie trzydzieste. Komisarzu, jeśli to takie ważne, proszę poczekać przy telefonie, a ja odnajdę protokół zgłoszenia kradzieży. Albo nie, niech pan zadzwoni za dziesięć minut.

– Czy ten naszyjnik i pozostała biżuteria zginęły z osiedla Malarzy?

– Za dziesięć minut będzie potwierdzenie.

– One? – zapytał Tomiak.

Syski nie zaprzeczył.

GUBEN – GOYATZ, DROGA 320, ŚRODA, W POŁUDNIE

Wczoraj Vanessa Kulschmann zamówiła przez telefon dwa pokoje w gościńcu Grassmel w Mochowie. Jeden z łóżkiem małżeńskim dla Elżbiety i Pauliny, drugi, wyposażeniem zbliżony do apartamentu, dla Witkowskiego i siebie. Dziś już za rogatekmi Guben zdecydowała, że całą czwórką zamieszkają w pensjonacie Zur Sonne w Goyatzu przy Dorfstrasse, gdzie pokoje są jednoosobowe i skąd najbliżej do jeziora.

– A...?

– Żebyś, mój drogi Bolesławie, w nocy miał się do kogo skradać. Trzy kobiety i ty jeden. Powiedzmy, że dwie.

– Jak w małym haremie – roześmiała się Paulina.

Vanessa nawet nie pomyślała, żeby być z Witkowskim sam na sam. Gdyby tylko o to chodziło, zostaliby w Guben. Przecież nikt nie zaglądał do sypialni i im nie przeszkadzał. Nie chodziło jej też o Elżbietę. Vanessie przede wszystkim chodziło o Paulinę. Ona była teraz oczkiem w jej głowie. A wobec Bolesława i Elżbiety miała plan, który jeszcze dziś musi zrealizować. Im szybciej to robi, tym lepiej.

Vanessa często jeździła do Goyatzu, gdzie jesienią zamieniała opla insygnię na rower, a latem na kajak lub motorówkę, toteż знаła nie tylko wszystkie ścieżki wokół jeziora, ale i właścicieli wypożyczalni sprzętu. Niektórzy nawet uważali ją za modelową wodniaczkę, dlatego pozwalali wypływać na Schwielochsee o każdej porze

i samodzielnie.

– Czy wśród nas jest ktoś, kto nie nauczył się pływać? – zapytała Vanessa.

Elżbieta powiedziała, że kiedy chodziła do szkoły podstawowej, całą klasą jeździli do Drzonkowa, gdzie pływali w niewielkim basenie z podgrzewaną wodą i pod okiem ratownika. To było jednak prawie dwadzieścia lat temu. Czy teraz potrafi utrzymać się na wodzie, tego nie wiedziała. Paulina też dawno nie pływała, ale przecież kto jako dziecko nauczył się przebierać nogami i rękoma w wodzie, nigdy tego nie zapomni. Witkowski spytał, czy na łodzi, którą Vanessa zamówiła, są kapoki.

– Strzeżonego Pan Bóg strzeże – dodał, jakby się usprawiedliwiał. Ostatni raz był nad wodą w zeszłym roku w Szarm el-Szejku na Synaju, pływał, a właściwie zanurzał się po pas w przyhotelowym basenie. Raz poszedł z żoną na plażę przy Morzu Czerwonym, ale akurat tego dnia był odpływ i dlatego nikt się nie kąpał w słonej wodzie.

Tobie, Bolesławie, już nawet Pan Bóg nie pomoże, przeleciało przez myśl Vanessie.

Paulina spodziewała się, że dziś lub jutro, gdy będą siedzieli w kawiarni, Vanessa zamówi butelkę szampana i najpierw wygłosi spicz na temat oczekiwań każdej kobiety, a potem zdradzi to, co się wydarzyło w piątek w Berlinie. Zaskoczony tym Witkowski pewnie rąbnie pięścią w stolik, aż podskoczą kieliszki, zerwie się z krzesła, krzyknie, że został podstępnie wykorzystany, i zagrozi donosem na policję, ale Vanessa znajdzie sposób, żeby się uspokoił i milczał do końca urlopu nad Schwielochsee w Goyatzu. Tego Paulina była pewna. Elżbieta może będzie się złościła, ale czy to ma sens, skoro za dziewięć miesięcy dostanę trzydzieści tysięcy euro? Zresztą na jakąkolwiek formę protestu już jest za późno. Chcę urodzić to dziecko, pomyślała Paulina, położywszy dłoń na swoim płaskim brzuchu.

GUBIN, UL. WESTERPLATTE, ŚRODA, WCZESNYM POPOŁUDNIEM

– Gratuluję, pani sierżant – powiedział Syski do Nataszy, gdy usiedli przy stoliku wciśniętym w kącie restauracji Tercet.

– Z gratulacjami, szefie, powinien pan się wstrzymać co najmniej do wieczora najbliższej niedzieli. Co zrobimy, jeśli się okaże, że to, co dziś stwierdziliśmy, jest formą celowej mistyfikacji? Albo wyjdzie jeszcze coś, czego nie przewidziałyby nawet komisarz Mock? – Syski zrobił pytające oczy, więc dodała, że to bohater powieści Marka Krajewskiego z akcją umiejscowioną w przedwojennym Wrocławiu. Czytała je dlatego, że Mock miał niekonwencjonalne metody prowadzenia śledztw, co jego przełożonym się nie podobało, ale było skuteczne. – Dotarliśmy do sprawczyni lub sprawczyń, bo przecież teoretycznie tak jest. Znamy ich nazwiska i... W rzeczywistości, panie komisarzu, nie mamy się z czego cieszyć, ponieważ trzymamy ręce nie na pulsie, lecz w nocniku.

– Tak już jest w naszym fachu, że póki wyrok się nie uprawomocni, nie należy się

cieszyć. Akurat w tej sprawie żaden sąd nie powinien mieć wątpliwości.

Podszedł kelner. Natasza poprosiła o wodę niegazowaną i ciemny ryż zapiekany z jabłkami. Komisarz uważał, że obiad powinien być treściwy, dlatego zamówił zupę pomidorową, podwójny kotlet pożarski z frytkami smażonymi w świeżym oleju i mizerię.

– Teraz mogę iść do toalety – powiedziała Natasza, gdy kelner odszedł od ich stolika.

Syski rwał sobie ostatnie włosy z głowy i mimo to nie mógł zrobić nawet jednego kroku. Natasza, proszę, ledwie zaczęła staż i już taki sukces. Może ona jest w czepku urodzona? Są osoby, które mają tylko rozum, i są takie, które oprócz rozumu mają szczęście, przypomniał sobie powiedzonko często powtarzane przez zastępcę komendanta. Komisarz nie domyślał się, że Natasza na swój sposób rozważa wszystkie za i przeciw. Jej metoda w niewielu miejscach przypomina to, czego mnie uczono na kursach policyjnych, doszedł do wniosku Syski. Przede wszystkim dziewczyna stara się wejść w skórę tego, kogo ma wskazać jako sprawcę przestępstwa. Tak pracują profilerki, ale one są po studiach psychologicznych, mają za sobą kursy w najlepszych ośrodkach policyjnych, ciągle zaglądają do książek. Natasza zwraca uwagę na drobiazgi. Na rzeczy z pozoru nieistotne, niedostrzegalne gołym okiem albo tak banalne, że nikt nie traktuje ich poważnie. Udawało się to szczególnie wtedy, gdy miało się zdarzyć coś bardzo ważnego w jej życiu. Wtedy wyswobadzały się myśli, o których istnieniu Natasza wcześniej nie miała pojęcia. To jest owo szczęście.

– W szkole lubiłam słuchać takiego trochę śmiesznego wykładowcy. Gdy inni powoływali się na przepisy, kazali wkuwać paragrafy, on pokazywał na czubek nosa i pukał się w głowę. To jest wasze prawo, mówił. Pamiętajcie, że każdy przestępca ma przewagę nad śledczym, ale i wiedźcie, że nie odniesie sukcesu ten, który przekracza wszystkie granice. Zresztą nie ma takich granic, które da się przekroczyć bezkarnie. Jedną, dwie można przekroczyć. Jak nie na trzeciej, to na czwartej sprawca wpadnie. Wpadnie dlatego, że przestanie być czujny.

– Wyjątkowo słuszne spostrzeżenie – stwierdził Syski po namyśle.

– Gdy wrócimy do Zielonejgóry, spróbuję odnaleźć kogoś, kto więcej powie o jednej i drugiej kobiecie – oznajmiła.

– O Marciniak najwięcej mogą wiedzieć w pogotowiu opiekuńczym. Dawniej było przy alei Wojska Polskiego, na wprost uniwersytetu. Teraz jest tam placówka innego rodzaju, ale większość średniego personelu pozostała. Zmienił się jedynie wychowawcy i opiekunowie.

– Skąd pan to wie?

– Co?

– Że o Marciniak można pytać na Wojska Polskiego?

– Od kierownika komisariatu przy Szarych Szeregów. Kiedy pani trafiła na biżuterię, zadzwoniłem do niego i poprosiłem, żeby jak najwięcej dowiedział się o naszych paniach. Pierwszą zapamiętał z czasów, kiedy jako student trzeciego roku

resocjalizacji odbywał praktykę w izbie dziecka. O drugiej nic nie wiedział, ale znał kogoś w Bytomiu, kto miał takie nazwisko.

– Trzeba tam jechać – zdecydowała Natasza.

ZIELONAGÓRA, AL. WOJSKA POLSKIEGO, ŚRODA, PO POŁUDNIU

Zaraz za znakiem wskazującym dojazd do stacji paliwowej Syski zdjął nogę z pedału gazu, włączył kierunkowskaz i chwilę później skręcił kierownicą samochodu w prawo.

– Przed budynkiem pogotowia jest zakaz zatrzymywania – wyjaśnił komisarz, gdy Natasza spytała, dlaczego postawił auto w tym miejscu. – W południe może bym odważył się złamać przepisy, tym bardziej że postój trwałby kilkanaście sekund, ale teraz jest za duży ruch samochodów. To jedna z najważniejszych ulic wjazdowych do miasta. Zresztą masz młode nogi, a stąd do pogotowia jest najwyżej sto metrów. Załatwiasz sprawę, a ja będę tu czekał.

– Szkoda pana czasu, komisarzu. Nigdzie mi się nie spieszy. Wiedząc, że pan na mnie nie czeka, nie będę się spieszyła.

– Racja – zgodził się Syski i pomyślał, że w przyszłym roku, kiedy Natasza skończy staż, podpowie komendantowi, żeby podpisał z nią umowę o pracę w wydziale kryminalnym. Ilona Mrozińska pewnie też ją zaakceptuje. Jedyne może Araszkiewicz będzie kręcił nosem, ale on od dnia rozstania się z policją i wyjazdu z Polski Karoliny de Murville na wszystkich patrzy tak, jakby został skrzywdzony. Teraz gdy Ilona jest na urlopie, Syski uważał Nataszę za najlepszą policjantkę. Przede wszystkim ma chęć do pracy, pomysły i potrafi dedukować, z czego najbardziej się cieszył. Uroku jej także nie brakuje.

Pięć minut później Natasza weszła na podwórze. Na ścianie budynku nie było tablicy pogotowia opiekuńczo-wychowawczego.

– Ośrodek Szkolno-Wychowawczy dla Dzieci Niesłyszących w Zielonejgórze – przeczytała na głos. – A gdzie jest pogotowie?

– O, będzie ze dwa lata, jak zlikwidowali pogotowie – odpowiedziała kobieta, która wyszła z budynku. – Pani szuka kogoś konkretnego?

Natasza przedstawiła się i spytała, czy w ośrodku pozostał ktoś, kto pracował w pogotowiu.

– Ja, a bo co? – spytała zaczepnie kobieta.

– Jakies dwanaście lat temu przebywała tu Elżbieta Marciniak. Pamięta ją pani?

– Chłopczyca. Długo tu nie była, bo z nikim nie mogła się zgodzić. Uciekała. To stąd przenieśli ją na Lubuską. Akurat wtedy tam, w części dawnego Domu Kombatanta, powstało coś w rodzaju ośrodka wychowawczego dla trudnych dziewcząt.

– A dlaczego Elżbietę najpierw zamknięto w pogotowiu?

– Dyrektorka lepiej by to wyjaśniła, ale teraz są wakacje. Do końca miesiąca ma urlop. Zastępca i wychowawcy nie wiedzą, co się dzieje, jak tu było pogotowie, bo to nowa kadra, po specjalnych szkoleniach do pracy z dziećmi niedosłyszącymi i głuchymi. Dobrze nie pamiętam, ale coś mi świta, że ta, o którą pani pyta, nie miała gdzie się podziać. Do domu dziecka była za duża, a na usamodzielnienie za mała. Tam – kobieta zmrużyła oczy, jakby to miało jej pomóc w skupieniu się – chyba poszło o to, że konkubent pobił czy zabił jej matkę. Tak to już jest, że najpierw oboje piją, a potem się biją.

ZIELONAGÓRA, UL. LUBUSKA, ŚRODA, PRZED WIECZOREM

Natasza nigdy nie była na Lubuskiej. Nawet nie wiedziała, którą część miasta przecina ta ulica. Jeszcze nie знаła Zielonejgóry tak, żeby wszędzie trafić bez pytania o drogę. Była przekonana, że do egzaminu postażowego pozna nie tylko najkrótsze uliczki, lecz te i najbardziej peryferyjne, gdzie policja rzadko zagląda. Musi, bo skoro Tadeusz staje się jej coraz bliższy, a to jak dwa razy dwa prowadzi do ołtarza, pozostanie zielonogórzanką. Zresztą taki ma cel na najbliższe miesiące. W Boże Narodzenie nie zdąży, ale najpóźniej od drugiego dnia Wielkanocy będzie się przedstawiała jako sierżant Natasza Araszekiewicz albo Woźniak-Araszekiewicz. Do tego czasu musi zdecydować, czy przyjmie nazwisko męża, co oznacza zmianę dowodu osobistego, czy do dotychczasowego dopisze drugi człon. Jest trzecie wyjście: może pozostać przy nazwisku panińskim. A wtedy jak się będą nazywały ich dzieci?

– O tym muszę porozmawiać z Tadeuszem jeszcze przed ślubem – powiedziała tak, żeby nikt jej nie usłyszał, i pomimo to się obejrzała. Nikt za nią nie szedł. – Sierżant Woźniak-Araszekiewicz – przedstawiła się sama sobie zadowolona.

Gdyby miała komórkę z nawigacją GPS, tak jak podpowiadał jej Tadeusz, teraz wpisałyby „Lubuska” i na wyświetlaczu pokazałyby się wytyczona trasa. Dlatego postanowiła, że wieczorem w hoteliku albo jutro w komendzie przed południem poprosi Tadeusza, żeby pomógł jej wybrać system użytkowy i te wszystkie urządzenia, dzięki którym komórka będzie najbardziej przydatna.

Zatrzymała się przed Figarem, żeby przejść na plac przy kampusie uniwersyteckim, gdzie taksówki w długim ogonku czekały na klientów, gdyby rozweselony młodzieniec wychodzący z restauracji nie powiedział jej, że na Lubuską jest blisko. Najpierw ma iść Wojska Polskiego do końca, potem deptakiem obok pomnika Bachusa na Wzgórze Winne, gdzie wśród dojrzewających na zboczach winogron wygrzewa się Palmiarnia, jedyna taka restauracja w zachodniej Polsce, a może i w Unii Europejskiej. Stamtąd żabi skok na Lubuską.

– Jak pani będzie przechodziła obok Wieży Braniborskiej, koniecznie proszę tam wstąpić. Będzie pani miała całe miasto jak na dłoni. Przy takiej pogodzie jak dziś zobaczy pani nawet Wieżę Wilkanowską, to znaczy Bismarcka, a to het za miastem – powiedział młodzieniec i dodał, że gdyby nie wypił z kolegami po dwa piwa na

głową, to by ją zawiózł na Lubuską. – Ze Wzgórza Winnego, gdzie stoi Palmiarnia, też jest piękny widok.

Czterdzieści minut później była na wzgórzu, zdyszana usiadła na ławce oplecionej winoroślami i wpatrywała się z góry w pędzące miasto. Przecież w dole, najwyżej pięć minut od Palmiarni, jest komenda, niemal zawołała. Obok cerkiew. Na prawo Focus. Po chwili, kiedy ochłonęła, skarciła się, że tak mało wie o mieście, w którym zamierza pozostać na zawsze. I postanowiła, że jutro kupi plan miasta, w hoteliku rozłoży go na podłodze i długopisem podzieli na kwadraty. Od września każdej soboty i niedzieli będzie poznawała nowe miejsca, żeby podczas egzaminu na zakończenie stażu w komendzie nikt jej nie zagiął ze znajomości miasta.

Na następnym wzgórzu, jeszcze wyższym niż to, z którego Natasza oglądała miasto, stał budynek z płaskim dachem, okolony topolami. W oknach były kraty. Z tablicy umocowanej na metalowej bramie Natasza dowiedziała się, że to jest ośrodek wychowawczy.

– Proszę czekać. Skontaktuję się z dyżurką wychowawców – powiedział mężczyzna w błękitnej koszuli z naszywką Grempier Security na lewym rękawie. Po kilku minutach odłożył słuchawkę. – Pani na pewno z policji? – Natasza nie odpowiedziała, tylko pokazała odznakę. – Muszę sprawdzić i zapisać do książki wejść. Takie są procedury. Zresztą niepotrzebnie wyjaśniam. Kto jak kto, ale policjantka rozumie – tłumaczył się głosem przepaszającym. – Jak pani dojdzie do pawilonu, proszę ominąć rzeźbę i zatrzymać się przy drugich drzwiach. Trzeba wcisnąć znaki kodu. Każdy ochroniarz po przyjściu do ośrodka zmienia ustawienia swego poprzednika. Dziś na wieczór jest S28h. Dyżurka wychowawców na parterze po lewej.

Natasza zrobiła tak, jak jej wytłumaczył ochroniarz. Szpakowaty mężczyzna w dyżurce, gdy mu się przedstawiła, nawet nie poprosił o legitymację. zaproponował jej kawę. Odmówiła.

– Oczywiście, że pamiętam Marciniak. Krótkie jasne włosy i niebieskie oczy. Tyle lat, a ja ją pamiętam. Inne podopieczne dawno wyleciały mi z głowy – przyznał się. –

Z tą Marciniak było urwanie jaj. Przepraszam za określenie, ale lepszego nie znajduję.

– Dlaczego znalazła się w ośrodku? – spytała, sięgając do torby po notes i długopis.

– Przywieziona z pogotowia opiekuńczego, czekała na decyzję kuratora czy sądu rodzinnego. A tam, to znaczy do pogotowia, dostała się po tym, jak ojciec zaciukał jej matkę. Razem pili i się bili. Podobno i do córki stary się dobierał. Takie środowisko.

– Długo tu przebywała?

– Dyrektorka wiele razy monitowała w kuratorium, ale konkretnej decyzji, co dalej z Marciniak, nie było. Nasz ośrodek to nie poprawczak, tłumaczyła. Kazali czekać. Na szczęście u nas była coś około roku. Gdyby miesiąc dłużej, połowa wychowawców poszłaby na zwolnienie chorobowe. Następnego dnia, kiedy tylko skończyła osiemnaście lat, z samego rana dyrektorka pojechała do ratusza po jej dowód osobisty. Masz tu, panienko, urzędowe poświadczenie dorosłości. Zabieraj

swoje fatałaszkę i od tej chwili radź sobie sama. Takie są przepisy. Inne dziewczyny, jeśli nie miały gdzie się podziąć, a u nas było wolne miejsce, zostawały i nikt z tego powodu nie robił sprawy.

– A czym szczególnie wyróżniła się panna Marciniak, że mieliście jej dość?

– Edison tego by nie wymyślił, co ona tu wyczyniała. Co ja mówię, Edison! To Leonardo da Vinci dosłownie.

– Taka zdolna czy też taka odmienna od pozostałych dziewczyn?

– Trudna.

– Na przykład?

– Na przykład w trakcie kolacji rzuciła kubkiem w inną podopieczną dlatego, że tamta podała jej kromkę chleba, a nie piętke. Potem, już w pokoju, gdzie mieszkały, kazała tamtej całować się po niemytych nogach. Gdy dziewczyna odmówiła, paznokciami rozryła jej czoło i policzek. W walce o swoje była bezwzględna.

– Co jeszcze?

– Po każdym posiłku dziewczyny wносиły chleb z jadalni i karmiły nim ptaki. Nie wolno, ale przymykaliśmy na to oczy. Nawiasem mówiąc, psychologowie zalecają częsty kontakt z przyrodą osobom odosobnionym. To jedna z bardziej skutecznych metod wychowawczych, stosowana szczególnie wobec młodych osób.

– Co było z tym chlebem? – przerwała mu Natasza, gdy usłyszała sygnał kończący „Wiadomości” telewizyjne.

– Na podwórzu usiadł wróbel. Pewnie chory, bo Marciniak go schwytała. Do nogi przywiązała mu szmatkę nasączoną denaturatem czy czymś podobnym, podpaliła ją i ptaszka wrzuciła do pokoju wychowawców wtedy, kiedy mieliśmy radę pedagogiczną. To było nie do wytrzymania, ale...

– Inne jej zachowanie?

– Na każdym kroku poniżała koleżanki. Bez powodu je biła, a była wyjątkowo silna. Agresję wykazywała nawet wobec wychowawców. Posługiwała się słownictwem niecenzuralnym.

– Kiedy wspomniał pan o Leonardzie, to zrozumiałam, że miała jakieś wyjątkowe zdolności?

– Przy wejściu do pawilonu stoi rzeźba. Na pewno pani przy niej się zatrzymała. Każdy, kto tu wchodzi pierwszy raz, przystaje w tym miejscu. To zrobiła Marciniak. Skąd i jak przytargała ten kłoc? Komu ukradła dłuto? Nie pytaliśmy dlatego, że kiedy rzeźbiła, w ośrodku był spokój. Więcej niż miesiąc jakby jej nie było. Tyle lat minęło od tamtego czasu i rzeźba stoi. Nikt jej nie niszczy. Nawet deszcz jakby ją oszczędzał. Pod względem artystycznym Marciniak była genialna. Umiała rzeźbić, ale i pięknie malowała. Dawno już stwierdzono, że osoby uznawane za trudne, wykazują się wyjątkowymi zdolnościami. Szczególnie w sztukach pięknych i literaturze.

– Dlatego są artyści, których podziwiamy, cenimy, których pracami się zachwycamy. I są zwyczajni ludzie, których nazwisk nie staramy się poznać – powiedziała Natasza.

– Coś jeszcze sobie przypomniałem. To może być najważniejsze. Marciniak miała

skłonności homoseksualne. Na ścianie nad łóżkiem każda dziewczyna wieszała kolorowe zdjęcia, najczęściej swoich idoli muzycznych albo aktorów. Normalne zachowanie panienek. Jedyłą, która niczego nie powiesiła, była Marciniak. Osiemnastoletnia dziewczyna nie interesowała się chłopakami. To nakazało nam ją obserwować, tym bardziej że poruszała się jak chłopak, a dłonie miała większe niż moje. – Zaciśniętą pięścią wychowawca uderzył w blat stolika, jakby w ten sposób chciał podkreślić, że Elżbieta była silna. – Nasze podejrzania się potwierdziły. Marciniak wykazywała skłonności homoseksualne.

– Czym się one objawiały?

– Wybrała sobie taką jedną, ładniutką, chyba najbardziej filigranową, i ją adorowała. A nawet, proszę mnie źle nie zrozumieć, próbowała ją namówić do wzajemnego masturbowania się podczas kąpieli.

– Powiedział pan, że po ukończeniu osiemnastego roku życia opuściła ośrodek. Wracała tu? Odwiedzała dawne koleżanki? Może spotkał ją pan w mieście? Co robiła?

– Dyrektorka gdzieś się dowiedziała, że Marciniak dostała się na uniwersytet. Podobno studiowała rzeźbę.

– A co ona teraz robi?

Wychowawca wzruszył ramionami. Po namyśle dodał, że podopieczni interesują go jedynie w ośrodku.

– Mnie, gdybym była wychowawczynią, interesowałiby także poza ośrodkiem, bo za to biorę pieniądze – wyrzuciła z siebie Natasza i bez pożegnania wyszła z dyżurki.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi pawilonu, usłyszała przez otwarte okno:

– Coś mi się przypomniało. Zaznaczam, że to nie było w mojej obecności. Powtórzę, co słyszałem od dyrektorki. Gdy Marciniak odebrała dowód osobisty, to powiedziała, że ma do załatwienia jedną bardzo ważną sprawę. Dyrektorka spytała jaką. A ona odpowiedziała, że powiesi ojca na płocie za to, co zrobił jej matce.

GOYATZ, SCHWIELOCHSEE, ŚRODA, PRZED WIECZOREM

Była to ta sama motorówka, którą Vanessa i Adam pływali w czerwcu po jeziorze. Wtedy przyjechali do Zur Sonne tylko na weekend, a zostali do wtorku. Vanessie wydawało się, że to, na co czekała od czterech lat, stało się w niedzielę z rana. Za dziewięć miesięcy urodzi syna, który, gdy dorośnie i zdobędzie dyplom bioinżyniera, przejmie dorobek jej i obu mężów i doprowadzi do tego, że o firmie będzie bardzo głośno.

Dwa tygodnie później doktor Betrüger długo zastanawiał się, jak jej wytłumaczyć, że na razie nie zostanie matką. Przecież wybuchnie płaczem albo, co gorsze, pójdzie do innej kliniki. Nie dać nadziei takiej klientce, to byłaby za duża strata dla kieszeni doktora. Już miał na końcu języka, że wśród młodych kobiet jest więcej takich, które

jeszcze nie chcą mieć dzieci, niż takich, które modlą się o to, żeby wreszcie się udało. Starsze, nawet te niewierzące, przed pójściem do łóżka z mężem błagają Pana Boga, żeby tym razem zostały matkami, gdy coś mu podszeptało rozwiązanie przede wszystkim dla niego dobre.

– Proszę rozejrzeć się za kwitnącą dziewczyną, najlepiej zza wschodniej granicy. Za taką, która jeszcze nie rodziła, ale i nie przekroczyła trzydziestki. Zapewne będzie to panią sporo kosztowało, ale przecież nie tylko pieniądze się liczą – powiedział doktor Betrüger, pamiętając o przestrodze swego profesora, który nie radził posługiwać się nazewnictwem medycznym w trakcie rozmowy z pacjentką i dopasowywać słowa do jej percepcji. – Ponieważ w trakcie badania wyszło, że plemniki pani męża są leniwe, to znaczy nie wykazują ochoty na pokonanie długiej i krętej drogi do jajowodu, gdzie co miesiąc czeka na nie jajeczko pragnące z nim się związać, trzeba tę sprawę inaczej załatwić. Myślę, że pani, tak atrakcyjna kobieta, akurat z tym sobie poradzi. W ostateczności podam pani adres banku nasienia. Ale to, podkreślam, w ostateczności. Z psychologicznego i etycznego punktu widzenia jest lepiej, gdy kobieta wie, kto został ojcem jej dziecka. Plemnikami uzyskanymi tą lub tamtą drogą zapłodnię pobrane od pani jajeczko. Zrobię to metodą pozaustrojową, nazywaną in vitro, czyli poza organizmem kobiety. Zapłodnione jajeczko wszczepię do macicy wybranej surogatki. Po mniej więcej trzystu dniach zobaczy pani mały owoc swoich starań. To się powinno udać. Co ja mówię? To się musi udać! A dlaczego? – zapytał ginekolog, ale nie dopuścił Vanessy do głosu. – Bo wszyscy tego pragniemy. Dobry człowiek, który czegoś mocno pragnie, zawsze to otrzymuje.

Vanessa zdecydowała, że postąpi tak, jak podpowiedział doktor Betrüger. W jednej chwili przyszła jej na myśl Paulina. Za pieniądze ta Polka zrobi wszystko, co jej każe.

Teraz Vanessa miała inny plan. Każe wszystkim wsiąść do łodzi. Uruchomi silnik i motorówka powoli będzie się oddalała od brzegu, a potem doda gazu i szarpnie sterem w prawo. Nie, najpierw w lewo. Potem w prawo i jeszcze raz w lewo.

– Wieczorem zaproszę was do kawiarni na szampana – zapowiedziała, gdy doszli do przystani nad wyjątkowo spokojnym Schwielochsee. – Mam szczery zamiar coś wam ujawnić. Coś wyjątkowego i niezwykle ważnego. – Mrugnęła do Pauliny.

– Przecież to jest dwumiejscowa łódź – orzekł zdziwiony Witkowski.

Vanessa kiwnęła głową.

– Jak się pomieścimy?

– Ja za sterem. Paulinka obok mnie na fotelu. Elżbieta za Paulinką. Ty za mną na rufie.

– A czym ona – Witkowski pokazał na Paulinę – zasłużyła sobie na takie miejsce? I skąd ta wyjątkowa serdeczność wobec niej? Wystarczy, że przywożłem ją do Goyatzu.

– Ją i mnie łączy pewnego rodzaju kobieca tajemnica – odpowiedziała Vanessa,

trącając Paulinę ramieniem, jakby chciała powiedzieć, żeby nie przejmowała się gadaniem Witkowskiego.

– Vanessa, bez kapoka nie wsiądę – uparł się profesor. – Takie są przepisy. I tak mi nakazuje rozsądek. Nie mam ochoty...

– Ta, jak każda łódź silnikowa, jest wyposażona w automatyczny zestaw ratunkowy – zapewniła go Vanessa. – Zresztą tu jedynie dzieci pływają w kapokach i to wyłącznie wtedy, kiedy są z rodzicami. Chcesz kapok, proszę bardzo. Przy Am Bahnhof jest wypożyczalnia. Dwa euro za pierwszą godzinę. Następna i kolejne po trzy.

Witkowski machnął ręką i pierwszy wszedł na motorówkę. Rozebrał się do kąpielówek. Elżbieta położyła rybaczki i T-shirt na rufie i na nich usiadła.

– Ela, co oznacza ten znak? – zapytał profesor, pokazując na tatuaż w kształcie róży z kolcami na jej prawej łopatkę, sięgający aż kręgosłupa.

– Błąd młodości – odpowiedziała.

– Jeśli dobrze kojarzę, to tak się oszpecają osoby w więzieniach. Siedziałaś? Za co?

– Mógłby profesor się ode mnie odwalić? – odwarknęła Elżbieta.

Paulina zdjęła bluzkę, ale została w szortach. Vanessa zerknęła na nią kątem oka. Za wcześnie na zaokrąglenie się brzucha, pomyślała.

– Ty też masz tatuaż? – zapytała zdziwiona, że go wcześniej nie zauważyła. – Też błąd młodości?

Paulina zaprzeczyła ruchem głowy.

– To na znak związku z Eluńkiem – wyjaśniła.

Vanessa nie rozumiała, dlaczego młode kobiety oszpecają swoje ciała niezmywalnymi malowidłami. Tylko moda? A czy tusz nie przenika przez skórę i nie dostaje się tam, gdzie nie powinno go być? Przecież to trucizna.

– A ty dlaczego nie zrucasz ciuchów? – Witkowski zwrócił się do Vanessy.

– Wypłyniemy dalej, to też się rozbiore – odpowiedziała, uruchamiając silnik. –

Na razie niech wszyscy spokojnie siedzą na swoich miejscach. Potem gdy odpłyniemy od brzegu, zgaszę motor. Będzie można zamoczyć nogi i nawet, jeśli ktoś ma ochotę, może popływać na golasa.

– Pływać powinniśmy na kąpielisku przy pomoście, gdzie jest ratownik.

– Tam nie można kąpać się na golasa – Vanessa zgasła Witkowskiego i zwolniła dźwignię gazu. – Uwaga, ruszamy! – zawołała, przekrzykując narastający warkot silnika.

– Jak będę miał ochotę kąpać się na golasa, to wybiorę się na plażę nudystów – rzucił przez ramię do Elżbiety, ale ona tego nie zrozumiała.

Motorówka niespiesznie oddalała się od brzegu. Palcami lewej dłoni Vanessa wcisnęła regulator dźwigni gazu, lekko przesuwając ją w dół. Prawą dłonią trzymała ster. Mimo osłony z pleksiglasu krople z rozcinanej tafli wody padały na pasażerów siedzących na rufie. Paulina rozpięła pasek przytrzymujący szorty, założyła okulary przeciwsłoneczne na nos, mocno oparła się plecami o fotel i podniosła obie ręce, żeby

pęd powietrza je chłodził. Wtedy Vanessa nagle opuściła dźwignię gazu do samego dołu. Silnik zawył, dziób motorówki uniósł się nad wodą, na łuku łódź skoczyła do przodu. Witkowski zdążył złapać się lewą ręką za poręcz fotela.

– Stop! – ryknął. – Zatrzymaj motorówkę! Eluniek wypadła!

Vanessa natychmiast przesunęła dźwignię gazu do góry.

– Elżbieta w wodzie?! Jak to się stało?! Dlaczego wypadła?! Skacz! Trzeba ją ratować!

– Boże! Eluniek nie umie pływać! – przeraźliwie krzyczała Paulina.

Witkowski chciał wskoczyć do jeziora, ale się bał. Vanessa krzyknęła:

– Bolesław, skacz! Ratuj ją!

– Ty skacz!

– Muszę trzymać ster!

Witkowski zsunął się z motorówki. Jego spodnie i koszula też wpadły do wody.

– Tam, tam! – Paulina pokazywała ręką miejsce, gdzie wynurzała się i ginęła głowa Elżbiety. Witkowski płynął, ale jakby w miejscu. – On nie da rady!

– Musi! Bolesław, szybciej! Bardziej na lewo!

– Podpłyn do niej motorówką!

– Zrobią się fale i będzie jeszcze gorzej – wyjaśniła Vanessa, ale przesunęła dźwignię w dół i zamiast zbliżyć łódź do topiącej się Elżbiety, motorówka odpłynęła kilka metrów na środek jeziora.

– Pomóż mu! – krzyknęła Paulina. – Rzuć koło ratunkowe albo jakąś linę!

Vanessa wetknęła prawą dłoń pod fotel, ale tak, żeby nie odpiąć klamry przytrzymującej koło ratunkowe.

Paulina podniosła się i nie zważając na protest Vanessy, wskoczyła do wody.

– Paulinka! Ty musisz żyć!

ZIELONAGÓRA, AL. NIEPODLEGŁOŚCI, PIĄTEK, PRZED WIECZOREM

Daniel Jung już miał wyłączyć laptop, wsiąść do ibizy i wrócić do swojego mieszkania. Wszystkie teksty, które zgłosił do sobotnio-niedzielnego wydania „Gazety Zielonogórskiej”, napisał i przesłał do sekretariatu redakcji. Do czasu rozpoczęcia druku gazety, a to zacznie się zaraz po północy, pewnie jeszcze wydarzy się coś, co powinno zaciekawiać czytelników. Z rzeczniczką prasową komendy od dawna miał niepisaną umowę, że jeśli w piątek wieczorem nie dojdzie do naprawdę groźnego wypadku, nie będzie do niego dzwoniła.

Jednak jeszcze raz zajrzał do swojej skrzynki odbiorczej. Było w niej kilka takich informacji, jakich nigdy nie czytał, bo zachęcały do wzięcia kredytu i spłaty w dogodnie rozłożonych ratach albo ubezpieczenia samochodu za połowę składki. Nie czytał, ponieważ nie wierzył w uczciwość tych, którzy podstępem zdobyli jego adres elektroniczny i mieli nadzieję, że da się nabrać na zachętę.

Był też list od Madleny Havlíček. Nie spodziewał się, że Niemka do niego napisze dzień po tym, jak się spotkali w Guben, dlatego natychmiast go otworzył i czytał:

Drogi Danielu,

w jutrzejszym „Niederlausitzer Tageblatt” ukaże się mój reportaż (może lepiej nazwać to pogłębioną informacją?) o tragicznym wypadku na jeziorze w Goyatzu. To, o czym napisałam, jest świeżutkie. Wydarzyło się w środę przed wieczorem. Nie mam pewności, czy wszystko, co znalazło się w „NT”, potwierdzi się na sto procent. Mój bardzo dobry znajomy z prezydium policji w Chociebużu, który wiele razy służył mi pomocą, komisarz T., powiedział, że nie chciałby być złym prorokiem. Intuicja mu podpowiada, że tragedia na Schwielochsee w Goyatzu jest nie na rękę policjantom z Zielonejgóry. A mój reporterski nos węszy w tym coś, co chyba Cię interesuje. Zajrzyj więc do załącznika. Odpisz, czy mam rację.

Ściskam Cię mocno. Pamiętaj, że zawsze będziesz mile witany w Chociebużu, a najserdeczniej w mojej chatce letniskowej.

Daniel przesunął kursor na załącznik „Schwielochsee”, wcisnął prawy klawisz myszy i po chwili zobaczył litery równymi rzędkami schodzące ku dołowi. Nie wszystko rozumiał. Właściwie więcej się domyślał niż rozumiał. Żałował, że nie zna języka niemieckiego co najmniej tak jak angielskiego.

Skopiował tekst do swojego archiwum i zaraz go wydrukował. O przetłumaczenie na polski musi poprosić kogoś, kto studiował w Niemczech. Najlepszy byłby Kostrzyński, skończył ekonomikę finansów na Viadrinie we Frankfurcie, ale Michał został zamordowany przy redakcyjnym biurku przez żuźlowego kibola. Kto jeszcze w redakcji kapuje po niemiecku? Angielskiego wszyscy się uczyli. Szpalta? Nie. Naczelna jest z tego pokolenia, które nie zna żadnego języka albo piąte przez dziesiąte rozumie po rosyjsku. Karolina de Murville? Jak się ucieszył, tak zaraz syknął ze złością. W poniedziałek Karolina odeszła z policji i jeszcze tego samego dnia wyjechała do Belgii. Olek!

– Chętnie ci pomogę – usłyszał w komórce odpowiedź Stonogi. – Właśnie siedzimy z Mediną przed domkiem i wsłuchujemy się w klekot boćków zbierających się do odlotu.

– Piątek, tłok na drodze, w Jodłowie mogą być najwcześniej za godzinę, a ja już potrzebuję tłumacza.

– Poproś żonę.

Miśka zna jedynie terminy medyczne.

Mam, znowu się ucieszył. Po studiach w Zielonejgórze doktor Trzcinka praktykował w Erfurcie. Rozprawę doktorską także przygotował pod opieką tamtejszego profesora. Przetłumaczył ją na polski po to, żeby Miśka była jedną z dwóch recenzentek.

Jeśli Trzcinka jest w szpitalu i nie przeprowadza sekcji zwłok, na pewno nie odmówi.

Doktor Trzcinka nawet się ucieszył, że będzie miał do kogo mówić.

– Prawdopodobnie trzy ofiary braku wyobraźni – przetłumaczył tytuł artykułu, który wydrukuje jutrzejszy „Niederlausitzer Tageblatt”. – W środę po południu trzy kobiety i mężczyzna zamieszkali w pensjonacie Zur Sonne w Goyatzu na Dolnym Spreewaldzie. Przed wieczorem wynajęli dwuosobową łódź motorową z zamiarem opłynięcia Schwielochsee. Właśnie po to nad goyatzkie jezioro przyjeżdżają tysiące mieszkańców Berlina, Chociebuża, Lubniowa. Niektórzy wracają tu każdego roku, tym bardziej że spreewaldzkie rzeki i jeziora są wyjątkowo czyste i atrakcyjne. Kto nie chce kąpać się lub pływać motorówką czy kajakiem, może łowić ryby, jeździć na rowerze, zbierać grzyby i jagody w pobliskich lasach, a wieczorem miło spędzać czas w którejś z regionalnych restauracji lub dyskotek. Pewnie z takim zamiarem przyjechało tu również czworo przyjaciół.

W tym, że wynajęli motorówkę, nie byłoby niczego osobliwego, gdyby nie to, że łódź była przeznaczona dla dwóch osób. Jak nam wyjaśnił kapitan Reisch z centrum wodniackiego w Goyatzu, pływanie taką łodzią przez cztery nawet niezbyt ciężkie osoby po akwenie stałym wprawdzie oznacza naruszenie przepisów wodniackich, ale nie stanowi zagrożenia życia. Gwarantowana przez producenta wyporność motorówki to trzysta kilogramów. Co innego zaskoczyło naszego rozmówcę. Pasażerowie wypłynęli z mariny bez obowiązkowych kapoków. Właściciel łodzi także nie zwrócił na to uwagi, za co pewnie odpowie przed sądem lub zostanie mu odebrane prawo do prowadzenia wypożyczalni.

Jak doszło do tragedii, na razie ani ekspert, ani policja nie chcą się na ten temat wypowiadać pod nazwiskiem. Wiadomo, że uratowała się tylko jedna osoba, Vanessa K. z Guben, która siedziała za sterem. Na złożenie przez nią wyjaśnień trzeba będzie poczekać, bowiem jest w szoku. Vanessa K. przebywa w klinice psychiatrycznej w Lubinie.

Gdy dyżurny w centrum wodniackim w Goyatzu zauważył, że coś niedobrego dzieje się na środku jeziora, natychmiast podjął decyzję o wysłaniu tam łodzi ratowniczej. Ratownikom udało się wydobyć dwie kobiety z wody. Na pokładzie medycznym rozpoczęli reanimację. Jednak o kilka minut było za późno na przywrócenie im akcji serca. Ciało trzeciej osoby, prawdopodobnie mężczyzny, jest poszukiwane.

Jeden z ratowników powiedział nam, że zastanawia go, dlaczego kierująca łodzią Vanessa K. nie rzuciła nieszczęśnikom koła ratunkowego. Znajdowało się pod fotelem pasażera. Jego zdaniem nikt nawet nie próbował podnieść klamry przytrzymującej koło. Powinna to zrobić Vanessa K., która tą łodzią wcześniej wielokrotnie pływała. Ostatni raz była tu w maju tego roku.

Ofiary tragicznego wydarzenia to obywatele polscy. Na Schwielochsee zginął sześćdziesięciodwuletni Bolesław Witkowski, profesor Uniwersytetu Zielonogórskiego, znany na całym świecie twórca implantów ortopedycznych, wychowawca wielu pokoleń inżynierów medycznych. Śmierć poniosły pracownice

gubeńskiego Plastinarium: dwudziestoosmioletnia Paulina Woźnica i o rok starsza Elżbieta Marciniak. Pierwsza była z wykształcenia sanitariuszką, druga ukończyła studia plastyczne w zakresie rzeźby.

O jeszcze jednym chcemy wspomnieć, niestety, na razie redakcji nie udało się potwierdzić, czy te fakty miały miejsce. Od dwóch tygodni polska policja poszukiwała profesora Witkowskiego w związku z wydarzeniami o charakterze kryminalnym w Zielonejgórze. Co łączyło obie zmarłe kobiety z Vanessą K. i profesorem Witkowskim, będzie starała się wyjaśnić policja.

Dyżurny sekretarz redakcji nie lubił zmieniać wyglądu pierwszej strony „Gazety Zielonogórskiej” tuż przed wysłaniem gotowej gazety do druku, ale gdyby tego nie zrobił, pląłby sobie w brodę.

– Na ten tekst czekają tysiące czytelników. To będzie informacja sezonu. Wyrolujemy policję – zapewnił go Daniel Jung.



ZIELONAGÓRA, AL. NIEPODLEGŁOŚCI, ŚRODA, PO POŁUDNIU

Komisarzowi Syskiemu zawsze się podobało w Dominium. Natasza przekonywała go, że kawiarnia jest za blisko komendy, dlatego zaproponowała, żeby spotkali się z Danielem Jungiem w centrum miasta.

– Chyba nie w redakcyjnym Jazzgocie? – ofuknął ją naczelnik wydziału. – Raz tam poszedłem i nigdy więcej moja noga nie przekroczy progu tego miejsca. Głośniej niż na stadionie przy Szosie Wrocławskiej.

– Myślę, że redaktor Jung nie będzie miał nic przeciw temu, żebyśmy się spotkali w restauracji Między Nami. – Ponieważ Syski zrobił pytającą minę, szybko wyjaśniła, że to lokal przy deptaku w pobliżu redakcji. – Pan może pamiętać starą nazwę: Essenza.

– Aha – potwierdził jeszcze niezadowolony, ale już uciszony Syski.

– Jak dawniej, tak i obecnie podają tam czeskie piwa markowe butelkowane w Czechach. Jeżeli dobrze zapamiętałam – Natasza odważyła się mrugnąć do Syskiego – to pan, szefie, identycznie jak redaktor Jung, lubi piwo rozlewane w Czechach.

– Pani pewnie też ma ochotę na czeskie piwo, stąd ta podpowiedź.

Natasza tajemniczo się uśmiechnęła i pokręciła głową, co naczelnik zrozumiał nie jako zaprzeczenie, a poświadczenie.

Daniel Jung, gdy Syski zaprosił go przez telefon do restauracji przy deptaku, powiedział, że czeka na to od piątku. Do najbliższego sobotnio-niedzielnego wydania gazety musi napisać o okolicznościach zaginięcia profesora Witkowskiego. Informacje o tym, co się wydarzyło w Goyatzu, przekazała mu Madlena Havlíček z „Niederlausitzer Tageblatt”, ale to niemieckie spojrzenie, a on chciałby poznać polski punkt widzenia. Liczy na to, że od Syskiego się dowie, kogo policja podejrzewa o zamordowanie gosposi profesora, kto podpalił samochód Adama Kulschmanna i kto porwał Witkowskiego.

– O czwartej w Między Nami – powiedział komisarz i się rozłączył.

Mimo iż Jung wiele lat temu przestał być policyjnym detektywem i Syski powinien go traktować tak jak wszystkich dziennikarzy, naczelnik wydziału kryminalnego odnosił się do niego inaczej. Może dlatego, że Daniel nie zadawał bzdurnych pytań i jeśli miał uwagi, to nie wypowiadał ich podczas konferencji prasowych. Krytykował policjantów, ale nie robił tego tylko dlatego, żeby szukać dziury w całym.

– Nie za wiele tu gości – stwierdził Syski, omiatając wzrokiem restaurację. – Lubię, gdy w lokalu jest gęściej.

– Ja przeciwnie – roześmiała się Natasza akurat w chwili, kiedy w drzwiach stanął Daniel Jung. – Tyle się słyszy, że dziennikarze nie szanują czasu swoich rozmówców,

a pan redaktor jest punktualny – pochwaliła go zbędnie policjantka.

– To nawyk jeszcze z komendy – odpowiedział Daniel, z czym Syski się nie zgadzał. Jung jako policjant był wnikliwy, ale nie obowiązkowy.

Ledwie Jung usiadł przy stoliku, milczący kelner położył przed każdym gościem jadłospis. Był to młody, modnie ostrzyżony mężczyzna z parodniową brodą. Pewnie student, pomyślał Daniel. Ja na trzecim roku zacząłem dorabiać w marcecie.

– Trzy razy staropramen i talerz koreczków serowych na przekąskę – złożył zamówienie Syski, po czym odsunął menu na brzeg stolika.

– Dwa piwa i woda niegazowana – zmieniła zamówienie Natasza, czym zaskoczyła naczelnika.

– Na pewno będzie pani piła tylko wodę? – nie dowierzał komisarz.

Natasza przytaknęła i poprosiła kelnera, żeby podał jej niezbyt zimną wodę.

– Jest pani w ciąży? – Bardziej się roześmiał niż zapytał Syski.

– Powiedźcie, po co ściągnęliście mnie do Essenzy – niecierpliwił się Jung, nie zwracając uwagi na gadkę policjantów. Za pół godziny miało się rozpocząć ostatnie tego dnia kolegium redakcyjne. – Domyślam się, że chodzi o Vanessę Kulschmann. Profesor i te dwie lesbijki wypadli z łodzi i utopili się w jeziorze. Przeżyła organizatorka pobytu w Goyatzu. Tyle wiem od koleżanki z „Niederlausitzer Tageblatt”.

– Nie spodziewali się, że to tak się zakończy – stwierdził komisarz, zapatrzony w szklanekę z piwem.

– A to było zaproszenie na śmierć – westchnął Jung.

Cisza.

– Mój szef chciałby podziękować panu redaktorowi za okazaną pomoc – zaczęła Natasza i natychmiast umilkła skarcona spojrzeniem Syskiego.

– Pani sierżant przekonała mnie, że wobec ciebie mamy dług. Bardziej koleżeński niż służbowy. Gdyby nie twoja dociekliwość, Daniel, zresztą nie pierwszy raz, nadal byśmy się zastanawiali, kto zabił Stanisławę Wieczorek, kto podpalił samochód, którym jechał mąż Vanessy, dlaczego profesor Witkowski dał się porwać i dlaczego zginął młody Wieczorek.

– Naprawdę już to wszystko macie? – Jung przerwał Syskiemu.

Naczelnik nie odpowiedział. Podniósłszy szklanekę do ust, wypił kilka łyków piwa, po czym sięgnął po korek serowy.

– Zapytałem, co już wiecie – nalegał Jung. – Rozumiem, że nie wszystko możecie powiedzieć, jak i ja nie wszystko muszę napisać.

Syski znowu podniósł szklanekę z piwem, jakby to miało mu pomóc w odpowiedzi na zadane pytanie. Natasza także milczała. Po namyśle naczelnik wydziału powiedział, że po wypadku na Schwielochsee w Goyatzu w sobotę niemieccy policjanci weszli do pokoi zajmowanych przez Vanessę Kulschmann i tych, którzy się utopili w jeziorze. W torebce Vanessy znaleźli taki sam notes, w jakim kobiety zapisują terminy wizyt u fryzjera, kosmetyczki, dentysty. Pod datą 27 czerwca, piątek, był zapisek: „Geburstag BW Jodlow Pl”. Notes i rzeczy osobiste mundurowi zawieźli

do dyrekcji policji w Chociebużu. Pakunek zainteresował komisarza Tomiaka.

– Komisarz zadzwonił do kliniki psychiatrycznej, gdzie została umieszczona Vanessa Kulschmann, z pytaniem o stan jej zdrowia i to, kiedy będzie mógł ją przesłuchać. Otrzymał zaskakującą odpowiedź: stan pacjentki jest dobry. W każdej chwili może zostać wypisana z kliniki.

– Vanessa udawała szok – powiedział Jung z taką pewnością, jakby był psychiatrą.

– Przesłuchanie odbyło się w dyrekcji policji w Chociebużu przy udziale pani sierżant. – Komisarz mrugnął do Nataszy, jakby jej gratulował tego, że była świadkiem rzadkiego wydarzenia. Zazwyczaj niemieccy policjanci przekazywali polskim śledczym wnioski z przesłuchań dopiero po zapoznaniu się z nimi przez zwierzchników. Dlaczego tym razem postąpili inaczej, tego Syski jeszcze się nie dowiedział. – Niech pani opowie, jak wyglądało przesłuchanie – naczelnik zwrócił się do sierżant Woźniak.

Natasza zaczęła od stwierdzenia, że Vanessa Kulschmann jest okrutną kobietą.

– Zaprosiła pani trzy osoby do Goyatzu, wywiozła je na jezioro i tam doprowadziła je do śmierci, powiedział komisarz Tomiak takim głosem, jakby nie miał wątpliwości, że Vanessa zrobiła to z premedytacją. Ja? – zapytała Vanessa zaskoczona stwierdzeniem policjanta. Zachowywała się tak, jakby nie zdawała sobie sprawy z tego, co się stało. A może tylko udawała, bo po chwili powiedziała, że żałuje Pauliny. Właściwie nie jej. Żałuje tych pieniędzy, które jej dała, żeby urodziła jej dziecko.

– Jakie dziecko?

– O to samo zapytał komisarz. Vanessa przyznała się, że wynajęła Paulinę jako surogatkę. Dawcą plemników był Witkowski. Chodziło jej o to, żeby dziecko miało dobre męskie geny.

– Jeszcze po jednym piwie? – zapytał kelner. Syski i Jung potaknęli. – A dla pani niezbyt zimna woda?

Natasza kiwnęła głową i kontynuowała:

– Po tej wypowiedzi Vanessy komisarz podszedł do okna i długo tam stał. Towarzyszący mu psycholog też się nie odzywał, jakby nie wiedział o co zapytać. Vanessa to zakładała nogę na nogę, to stroiła miny i rozglądała się po pokoju.

– Udawała czy naprawdę nie rozumiała, co się stało?

– Chwilę później zwróciłam się do komisarza Tomiaka o zgodę na zadanie kilku pytań. Vanessa podniosła obie ręce, jakby nie miała nic do ukrycia, i powiedziała, że to, co się stało na jeziorze, było nieszczęśliwym wypadkiem. Ona nikogo nie zamordowała. Morderczyniami są lesbijki Elżbieta Marciniak i Paulina Woźnica. Polki potrzebowały pieniędzy na mieszkanie. Kulschmannowie im zapłacili za to, żeby wykradły dokumentację z apartamentu Witkowskiego. Chodziło o projekt implantów, które nie korodują. Elżbieta i Paulina zdobyły adres profesora, udając strażniczki leśne podczas jego urodzin w Jodłowie. Nie spodziewały się, że w apartamencie zastaną gosposię, dlatego spanikowały i ją zabiły. Niedługo po tym

porwały Witkowskiego, a właściwie tylko przetransportowały go do Guben. Profesor się nie stawiał. Następną ofiarą był Adam Kulschmann, bezpłodny mąż Vanessy, którego lesbijki zamroczyły, wywiozły do lasu i podpaliły auto. Wydawało im się, że świadkami tego byli bezdomni, dlatego spaliły szałas. Na szczęście im się udało ująć z życiem. Kolejną ofiarą miał być pan, redaktorze.

– Ja? – roześmiał się z niedowierzaniem Daniel Jung. – Ja nawet nie zamieniłem zdania z Vanessą.

– Pan także był w Jodłowie na urodzinach profesora Witkowskiego. I to pan zauważył, że jedna ze strażniczek, Elżbieta, mrugnęła do Vanessy. Ona też zauważyła, że pan to zauważył. Spostrzeżeniem podzieliła się z Vanessą, a ta kazała jej pozbyć się i pana. Miał pan szczęście, że w hangarze stały dwie motolotnie. Zamiast pana zginął Grzegorz Wieczorek.

– To powiedziała Vanessa?

Natasza kiwnęła głową.

– Nie chce mi się wierzyć.

– Mnie także nie chce się wierzyć – wysyczał komisarz.

– Już powiedziałam, że Vanessa Kulschmann jest okrutną kobietą. Pewną siebie, za co jej nie krytykuję, ale i bezwzględną, nieczułą, wynaturzoną. To psychopatka. Jej drogę życiową oddaje powiedzenie: po trupach do celu.

– Czy Tomiak ujawnił, co zrobi w tej sprawie?

– Po przesłuchaniu komisarz zaprosił mnie do kantyny na obiad. Siedzieliśmy przy stoliku, ale żadne z nas nie tknęło tego, co było na naszych talerzach. Komisarz był jeszcze bardziej wstrząśnięty zeznaniem Vanessy niż ja. Powiedział, że przypuszczalnie sąd zgodzi się na zamknięcie jej na oddziale psychiatrii sądowej, gdzie zostanie poddana obserwacji. Jeśli jest zdrowa, stanie przed sądem i pewnie zostanie uniewinniona, bo to, co się wydarzyło na jeziorze w Goyatzu, sąd uzna za nieszczęśliwy wypadek. – Natasza przymknęła oczy. – Vanessa może się przyznać do zlecenia zabójstw po polskiej stronie, jak i się tego wyprzeć. Osoby, którym to zleciła, czyli Elżbieta Marciniak i Paulina Woźnica nie żyją. Nie ma więc świadków. Są poszlaki. Moim zdaniem to za mało, żeby sąd uznał Vanessę Kulschmann za winną.

Przy stole zapadła cisza. W końcu Jung westchnął zrezygnowany.

– To nie tak powinno się skończyć.

PODZIĘKOWANIA

Zaproszenie na śmierć jest fikcją. Nie przeczę, że to, co przedstawiłem, mogło się zdarzyć, ale i nie twierdzę, że nie mogło się zdarzyć. Akcja powieści toczy się w miejscach zmyślonych, mających dużo wspólnego z miejscami rzeczywistymi na polsko-niemieckim pograniczu. O większości tylko słyszałem od znajomych i przyjaciół, nigdy tam nie byłem i nie mam zamiaru być, przedstawiłem je więc tak, jak sobie wyobrażam, że mogą wyglądać. Chciałem, żeby wyglądały realistycznie i wiarygodnie. Czy to mi się udało?

Lubię bywać w obcych krajach, ale w przeciwieństwie do mojej żony nie lubię leżeć plackiem na plaży nawet pod parasolem. Ile razy musiałem leżeć, a musiałem w Grecji, zawsze czytałem książkę. Przed każdym wyjazdem obciążałem walizkę kilkoma lekturami. Dlatego sprawiłem sobie czytnik elektroniczny, w nim mam setki tytułów, które zajmują bardzo dużo miejsca w systemie, ale niewiele w bagażu. Wtedy, na greckim Korfu jeszcze nie miałem czytnika, zabrałem książki papierowe i chyba czytałem za szybko, bo dwa dni przed powrotem do Polski zostałem bez lektur. Próbując zająć wolny czas, zacząłem wypełniać bohaterami szkic kolejnej powieści. Od dawna miałem w głowie jej zakończenie, ale nie wiedziałem, jak dojść do finału. O swojej udręce opowiedziałem Ludmile Będzikowskiej, koleżance mojej żony od czasów studenckich. Z nią i jej mężem czasem bywamy w dalekich krajach. Nie pamiętam kto, Ludmiła czy Sławek, w każdym razie jedno z nich opowiedziało o swojej przygodzie na przyleśnym wczasowisku gdzieś na podłockim Mazowszu. Tam, w greckim kurorcie Paleokastritsa, jeszcze nie wiedziałem, że to będzie początek mojej powieści. Dziękuję wam, moi drodzy warszawiacy, za odpowiedź.

Nie raz i nie dwa przerywałem pisanie, bo nie umiałem rozwiązać niektórych problemów moich bohaterów. Wtedy pomagali mi moi znajomi, znajomi mojej żony i znajomi naszych znajomych. Świetlanej lub świętej pamięci Olegowi Sanockiemu, byłemu nadleśniczemu w Gubinie, dziękuję za informację o szkodnictwie leśnym, zasadach pracy strażników, ich umundurowaniu i uprawnieniach oraz za wszystko o leśnikach, czego dowiedziałem się z monografii jego pióra *Nadleśnictwo Gubin*. Kapitan żeglugi wielkiej Henryk Mackiewicz wyjaśnił mi, jak jest zbudowana łódź motorowa i na czym polega pływanie po wodach stałych. To samo zrobił Jarosław Owsiany z Aeroklubu Ziemi Lubuskiej, tyle że w odniesieniu do motolotni i sztuki wzbijania się nad ziemię. Najpierw mój kolega Marian Araszkiwicz, o mało co profesor w zakresie nauk biologicznych, a potem doktor Jan Teterwak skorygował moją bardzo powierzchowną wiedzę na temat zapłodnienia pozaustrojowego i wszystkiego, co się wiąże z bezpłodnością oraz macierzyństwem i anatomią człowieka. Doktor inżynier Lechosław Ciupik, właściciel firmy produkującej implanty kręgosłupowe, starał się przybliżyć mi problemy inżynierii medycznej. Pewnie szybko zagubiłbym się w przepisach i procedurach, gdyby nie pomoc znajomych z kręgów policyjnych i prokuratorskich. Przepraszam, że nie wszystkie

wyjaśnienia potraktowałem zgodnie z literą prawa. Nie mam wykształcenia prawniczego, dlatego niektóre przepisy zapisane w kodeksach uważam za bzdurne, szkodliwe, wręcz zbędne. Rozumiem, że to nie jest wasza wina.

Za łańcuszek uwag i odpowiedzi dziękuję czytelnikom pierwszej wersji książki, wśród nich tłumacze kryminałów autorów rosyjskich Aleksandrze Stronce. Dziękuję stałej czytelniczce moich maszynopisów, Marii Wasik, która zawsze nie tylko wytyka błędy, lecz i sugeruje inne rozwiązania.

A najgoręcej dziękuję mojej żonie, że jest taka cierpliwa.

1 (ukr.) Kupić, po co, dokąd.

2 (niem.) Porządek to połowa sukcesu.

3 (łuż.) Widzę cię.

4 (łuż.) A ja cię słyszę.

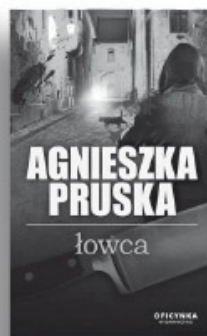
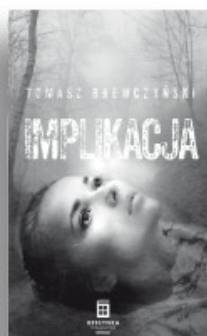
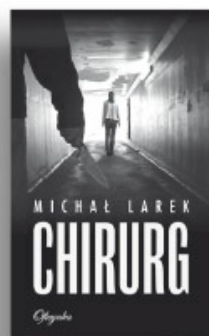
5 (łac.) Gdy cel godziwy, godziwe są i środki.

6 (łac.) Tu leży.

OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawią, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delektować się warsztatem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.

POLECAMY



Księgarnia Oficynki www.oficynka.pl

e-mail: oficynka@oficynka.pl

tel. 510 043 387



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Prolog

Część 1. Wokół Jeziora Tarnowskiego Dużego

Część 2. Wokół Schwielochsee

Epilog

Karta redakcyjna

Copyright © Oficynka & Alfred Siatecki, Gdańsk 2020

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2020

Opracowanie redakcyjne: zespół

Korekta: Magdalena Paluch

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce: © Elena Lar/Shutterstock

© sutham/Shutterstock

978-83-65891-39-6



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek